

AUTOR „KOLEKCJONERA KOŚCI”



JEFFERY  
DEAVER

Piekielna  
dzielnica



C&T

JEFFERY DEEVER

## Piekielna Dzielnica

*„Jestem zawodowcem. Udało mi się przetrwać w branży, w której obowiązują prawa dżungli”.*

*Humphrey Bogart*

# 1

Wspinał się na górę, ciężko stąpając po schodach pokrytych bordowym chodnikiem w kwiaty. Spod przetartego materiału miejscami przezierały porysowane dębowe deski.

Na klatce schodowej było ciemno; w miejscach takich jak to żarówki błyskawicznie ginęły z oprawek, choć oznaczały wyjścia awaryjne. John Pellam pociągnął nosem, starając się zlokalizować źródło dziwnego zapachu. Na próżno. Wiedział tylko, że woń, która wypełnia mu nozdrza, budzi w nim niepokój i wyprowadza z równowagi.

Pierwsze piętro, podest, kolejne schody.

Chyba już po raz dziesiąty odwiedzał tę wiekową kamienicę i za każdym razem wpadały mu w oko coraz to nowe szczegóły, które jakimś cudem umknęły wcześniej jego uwadze. Tego wieczoru jego wzrok padł na witraż przedstawiający kolibra zawieszzonego nad kielichem żółtego kwiatu.

No, proszę. Stuletnia czynszówka w jednej z najgorszych dzielnic Nowego Jorku... Skąd tu takie dzieło sztuki? I dlaczego akurat koliber?

Z góry dobiegł go odgłos szurania. Pellam gwałtownie uniósł głowę. Aż dotąd był przekonany, że nie ma tu nikogo poza nim. Coś upadło z głuchym łomotem. Niemal równocześnie rozległo się czyjeś westchnienie.

Podobnie jak owa trudna do zdefiniowania woń, również i te dźwięki sprawiły, że Pellam poczuł się nieswojo.

Przystanął na drugim piętrze i spojrzał na witraż znajdujący się nad drzwiami mieszkania numer 3B. Ten akurat przedstawiał drozda czy sójkę na gałęzi i był równie starannie wykonany jak koliber piętro niżej. Kiedy był tu po raz pierwszy, parę miesięcy temu, widok pokrytej liszczami fasady kazał mu się spodziewać równie obskurnego wnętrza. Ale nie miał racji. Wszystko tu mogło być stawiane za wzór porządnej rzemieślniczej roboty: dębowe deski były solidnie połączone, tynk na ścianach gładki jak marmur, rzeźbione filary i poręcze klatki schodowej, zwieńczone łukami nisze w ścianach, w których, jak

przypuszczał, spoczywały niegdyś katolickie figurki. Gdyby tak można...

Znowu ten dziwny zapach. Woń była coraz silniejsza. Jego nozdrza rozszerzyły się. Z góry kolejny raz dobiegł go odgłos głuchego uderzenia. I westchnienie. Przyspieszył kroku i zadzierając głowę, wdrapywał się coraz wyżej wąskimi schodami, uginając się pod ciężarem kamery, akumulatorów oraz torby z taśmami wideo. Pocił się przy tym jak mysz. Była dziesiąta wieczór, sierpień i Nowy Jork przypominał piekło.

Co to za smród?

Nieznany zapach poruszył jakąś strunę w jego pamięci, lecz skojarzenie zaraz się rozwiało, zagłuszone oparami smażonej cebuli, czosnku i starego oleju. Przypomniawszy sobie, że Ettie trzyma na piecyku puszkę po kawie Folgers pełną starego tłuszczu. „Przynajmniej oszczędzam parę centów” - mawiała.

W pół drogi między drugim a trzecim piętrem Pellam ponownie przystanął. Oczy go piekły. Potarł powieki i ten odruchowy gest naprowadził go na właściwy trop. Już pamiętał.

Studebaker.

Przed oczyma stanął mu fioletowy samochód rodziców z końca lat pięćdziesiątych, podobny do statku kosmicznego. Auto stało w płomieniach. Ojciec przypadkowo upuścił na siedzenie niedopałek, od którego zajęła się tapicerka wozu. Pellam, jego rodzice i okoliczni sąsiedzi obserwowali cały ten spektakl z przerażeniem, zgorznięciem, a niektórzy pewnie i z utajonym zachwytem.

A teraz znowu czuł ten sam zapach. Jakby coś się tliło... Dym! Buchnął mu w twarz obłok gorącego dymu. Przechylony nad poręczą Pellam spojrzął w dół. Początkowo jego wzrok napotkał jedynie ciemność i coś na kształt szarego welonu mgły, ale już po chwili rozległ się potężny wybuch. Drzwi wiodące do piwnicy zapadły się do środka i słup ognia błyskawicznie wypełnił klatkę schodową oraz przylegający do niej na parterze nieduży hol.

-Pali się! - krzyknął Pellam. Kłęby czarnego dymu wzniosły się ponad płomienie, były coraz bliżej. Załomotał do najbliższych drzwi. Żadnej reakcji. Chciał zbiec na dół, ale ogień zmusił go do cofnięcia się. Ściana dymu i strzelających iskieł okazała się przeszkodą nie do

pokonania. Zaczął się dusić, a czarne od sadzy powietrze, które z każdym oddechem wdzierało mu się do płuc, sprawiło, że jego ciałem zaczęły wstrząsać dreszcze. Rozkaszał się.

Cholera jasna. Pożar rozprzestrzenił się naprawdę błyskawicznie. Płomienie, kawałki papieru i snopy iskier wirowały na podobieństwo trąby powietrznej w studni, jaką tworzyła klatka schodowa, sięgając już najwyższego, piątego piętra.

Usłyszał nad sobą czyjś krzyk i zadarł głowę do góry.

-Ettie!

Nad poręczą na czwartym piętrze majaczyła ciemna twarz starszej kobiety. Jej wzrok z przerażeniem ogarniał płomienie. To ją musiał słyszeć wcześniej, gdy z wysiłkiem wspinała się przed nim po schodach. W ręce trzymała plastikową torbę z zakupami. Teraz ją upuściła. Trzy pomarańcze potoczyły się w dół po stopniach i zginęły w ogniu, sycząc i strzelając dokoła błękitnymi iskrami.

-John! - zawołała. - Co się...? - Przerwał jej atak kaszlu. - ... kamienica. - Reszty nie zrozumiał.

Ruszył w jej kierunku, ale ogień zajął właśnie chodnik i stertę śmieci na trzecim piętrze. Buchnął mu w twarz, wyciągając po niego swoje pomarańczowe macki. Pellam zatoczył się do tyłu i cofnął o parę stopni. Obok przefrunął kawałek płonącej tapety i krążył mu nad głową. Na szczęście spalił się na popiół, zanim zdążył wyrządzić poważniejsze szkody. Pellam z powrotem znalazł się na podeście drugiego piętra i załomotał do kolejnych drzwi.

-Ettie - krzyknął. - Uciekaj na schody ewakuacyjne! Na zewnątrz!

W głębi korytarza jakieś drzwi uchyliły się ostrożnie i wyrzwał przez nie chłopczyk o latynoskich rysach twarzy. Miał wytrzeszczone oczy, a w ręku trzymał żółtą figurkę Power Rangers.

-Zadzwoń po straż pożarną! - zawołał do niego Pellam. - Zadzwoń...!

Drzwi zatrzasnęły się. Pellam mocno w nie zastukał. Wydawało mu się, że słyszy w środku jakieś krzyki, ale nie był pewien z powodu ogłuszającego huków ognia, który był jak ryk silnika przyspieszającej ciężarówce. Płomienie strawiły już chodnik i jak korniki wgryzały się w wiekową balustradę.

-Ettie! - zawołał ponownie, krztusząc się od dymu. Upadł na

kolana.

-John! Ratuj się! Uciekaj stąd! Szybko!

Dzieliła ich coraz wyższa kurtyna płomieni. Ściany, deski podłogi, chodnik, wszystko się paliło. Witraż z ptakami eksplodował, zasypując mu twarz i ramiona gradem rozpalonych odłamków.

Jak to możliwe, żeby pożar tak szybko się rozprzestrzenił? - myślał w panice Pellam. Zrobiło mu się słabo. Wokół niego strzelały iskry, trzaskając i hałasując jak kapiszony. Zaczynało mu brakować powietrza. Nie mógł oddychać.

-John, pomóż mi! - krzyknęła Ettie. - Tutaj. Ja nie mogę... - Otaczała ją ściana ognia. Najwyraźniej nie była w stanie dosięgnąć do okna wychodzącego na schody ewakuacyjne.

Z góry i z dołu nacierały na niego płomienie. Wychylił się i zobaczył, że stojąca na podeście czwartego piętra Ettie cofa się przed nadciągającą pożogą. Fragment klatki schodowej pomiędzy nimi zawalił się. Ettie utknęła w pułapce dwa piętra wyżej.

Wstrząsany odruchem wymiotnym Pellam odganiał rękoma wirujące wokół niego rozżarzone węgielki, które wypalały dziury w jego roboczej koszuli i džinsach. Nagle ściana, przy której stał, pękła z hukiem. Ze szczeliny wysunął się czerwony język ognia i polizał rękaw szarej koszuli Pellama. Materiał natychmiast się zapalił.

Ból spowodowany oparzeniem odegnał myśl o śmierci. Teraz Pellam najbardziej ze wszystkiego bał się cierpienia - tego, że ogień go oślepi, zwęgli mu skórę, zniszczy płuca...

Rzucił się na ziemię, przyciskając ramię do podłogi, żeby ugasić ogień. Potem zerwał się na nogi i jeszcze raz zawołał:

- Ettie!

Spojrzał do góry i zobaczył, że udało jej się odwrócić tyłem do atakujących ją płomieni i otworzyć okno.

-Ettie! - krzyknął. - Spróbuj wyjść na dach! Będą mieli haki i drabiny... - Sam również cofnął się do okna. Po krótkiej chwili wahania zamachnął się płócienną torbą i wybił szybę. Wart czterdzieści tysięcy dolarów sprzęt potoczył się po metalowych schodach ewakuacyjnych. Pół tuzina przerażonych mieszkańców zignorowało tę niespodziewaną lawinę i wytrwale parło na dół, szukając schronienia w uliczce na tyłach budynku.

Pellam wy dostał się na schody i po raz ostatni zerknął za siebie.

-Wyjdź na dach! - zawołał jeszcze do Ettie.

Niewykluczone jednak, że i ta droga ucieczki była już zablokowana. Płomienie były teraz dosłownie wszędzie.

A może po prostu ogarnięta paniką Ettie przestała logicznie myśleć.

Ich oczy spotkały się ponad morzem ognia i Pellam zobaczył na jej wargach blady uśmiech. Bez słowa czy okrzyku, który mógłby usłyszeć, Etta Wilkes Washington wybiła szybę w oknie, którego ramy na dobre unieruchomiły warstwy wiekowej farby. Spojrzała w dół i zawahała się, a następnie skoczyła z okna w oddaloną o prawie pięć metrów brukowaną uliczkę, na której kamieniach, jak pamiętał Pellam, pięćdziesiąt pięć lat wcześniej Issac B. Cleveland wydrapał swoje wyznanie miłości do nastoletniej Ettie Wilkes. Drobne ciało starszej kobiety zniknęło w chmurze dymu.

Rozległo się chrapliwe rżenie drewna i metalu, a zaraz potem kamienicą wstrząsnął potężny łoskot, jakby coś w jej konstrukcji ugięło się pod naporem ognia. Pellam odskoczył na samą krawędź schodów ewakuacyjnych i niewiele brakowało, a wypadłby za metalową barierkę. Następnie z wysiłkiem powłókł się na dół, zataczając się w obłoku pomarańczowych iskier.

Choć spieszył się tak samo jak inni uciekający mieszkańcy, przyświecał mu zgoła inny cel niż salwowanie się z szalejącej pożogi. Mając na względzie córkę Ettie, chciał odnaleźć ciało starszej kobiety i wytaszczyć je z płonącego budynku, zanim walące się ściany zamkną je w rozpalonym, makabrycznym sarkofagu.

## 2

Otworzył oczy i zobaczył nad sobą twarz ochroniarza. -Proszę pana? Do pana mówię. Jest pan naszym pacjentem? Podniósł się prędko i w tym samym momencie dotarło do niego, że choć ucieczka z płonącej kamienicy dała mu się porządnie we znaki - cały był obolały i posiniaczony - to dopiero ostatnie pięć godzin przespane na pomarańczowych, plastikowych krzeselkach w poczekalni ostrego dyżuru ostatecznie go załatwiło. Kark rwał go jak diabli.

-Chyba zasnąłem.

-Tutaj nie wolno spać.

-Byłem waszym pacjentem. W nocy mnie opatrzone. Potem zasnąłem.

-Rozumiem. Opatrzono pana, więc nie może pan tu już przesiadywać. Jego dzinsy wyglądało jak sito, całe w wypalonych dziurach; Pellam domyślił się, że

jego twarz musi być czarna od sadzy. Nic dziwnego, że ochroniarz wziął go za włóczęgę.

-Okej - westchnął. - Niech mi pan da minutę.

Ostrożnie spróbował pokręcić głową. Coś mu strzeliło u nasady karku, a mózg przeszył oślepiający ból, zupełnie jakby ktoś wbił mu sopel lodu w czaszkę. Wzdrygnął się, rozejrzał dokoła i zrozumiał, dlaczego ochroniarz go obudził. Pomieszczenie pełne było ludzi czekających na badanie. Wokół niego niczym fale przypiływu przetaczały się okrzyki, jęki i skargi wypowiedane po hiszpańsku, angielsku albo arabsku. Każdy był albo wystraszony, albo zrezygnowany, albo poirytowany; największe obawy Pellama wzbudzali ci zrezygnowani. Siedzący obok niego mężczyzna oparł łokcie o kolana i przygarbił plecy. Z jego prawej dłoni dyndał dziecięcy but.

Ochroniarz najwyraźniej uznał, że wykonał swoje zadanie. Przekazał Pellamowi czytelny nakaz, ale zabrakło mu już ochoty na jego wyegzekwowanie. Odszedł więc w stronę dwojga nastolatków popalających jointa w rogu poczekalni.

Pellam wstał i przeciągnął się. Poszperał w kieszeniach i wydobył



otrzymany w nocy świstek. Mrużąc oczy, odcyfrował, co było na nim napisane.

Następnie dźwignął ciężką kamerę wideo i ruszył przed siebie długim korytarzem, kierując się strzałkami wskazującymi drogę do skrzydła B.

Cienka zielona linia była niemal płaska...

Korpulentny Hindus w lekarskim kitlu stał przy łóżku i wytężał wzrok, jakby zastanawiał się, czy monitor przypadkiem się nie popsuł. Potem popatrzył na leżącą postać przykrytą kocem i prześcieradłem i odwiesił kartę na haczyk przy łóżku.

W progu sali czekał już John Pellam. Jego przekrwione oczy, utkwione dotąd w ponurym porannym krajobrazie malującym się za oknami Manhattan Hospital, ponownie spoczęły na nieruchomym ciele Ettie Washington.

-Jest w śpiączce? - zapytał.

-Nie - odparł lekarz. - Po prostu śpi. Podaliśmy jej silne leki.

-Wyjdzie z tego?

-Ma złamaną rękę i zwichniętą nogę w kostce. Nie stwierdziliśmy żadnych obrażeń wewnętrznych, ale trzeba jeszcze zrobić dodatkowe badania. Między innymi tomografię mózgu. Upadając, uderzyła się w głowę. Wie pan, że tylko najbliższej rodzinie wolno przebywać na Oddziale Intensywnej Opieki Medycznej?

-Och - westchnął ze znużeniem Pellam. - Jestem jej synem.

Lekarz wpatrywał się w niego przez chwilę nieruchomym wzrokiem. Potem zerknął na Ettie Washington, której ciemna skóra miała odcień mahoni.

-Jej... synem? - Znowu to samo nieruchome spojrzenie.

Można by przypuszczać, że lekarz pracujący w takiej dżungli, jaką był zachodni Manhattan, będzie miał większe poczucie humoru.

- Niech pan posłucha, doktorze - odezwał się Pellam ugodowym tonem. - Niech mi pan pozwoli posiedzieć z nią parę minut. Obiecuję, że nie zwinę żadnego basenu. Może je pan policzyć, zanim stąd wyjdę.

Nadal nawet cienia uśmiechu. Lekarz odparł jednak:

- Pięć minut.

Pellam opadł ciężko na krzesło, podparł brodę rękoma i poczuł w

karku kolejne ukłucie bólu. Wyprostował się i przekrzywił głowę na bok.

Dwie godziny później obudziła go pielęgniarka, która weszła zwawym krokiem do sali. Spojrzenie, jakie mu rzuciła, świadczyło o tym, że bardziej interesują ją jego bandaże i podarte dżinsy niż obecność na oddziale.

-Kto tu jest pacjentem? - zapytała gardłowo z silnym akcentem z Dallas. - A kto odwiedzającym?

Pellam rozmasował obolały kark i skinął w stronę łóżka. - Co jakiś czas się zamieniamy. Co z nią?

-O, to twarda kobitka.

-Dlaczego jeszcze się nie obudziła?

-Nieźle ją nafaszerowali różnymi prochami.

-Lekarz mówił coś o dodatkowych badaniach.

-Zawsze tak gadają. Boją się o własne tyłki. Nic jej nie będzie. Już z nią nawet rozmawiałam.

-Naprawdę? I co mówiła?

-Coś w rodzaju: „Ktoś spalił mi mieszkanie. Co za... taki owaki mógł zrobić coś podobnego?” Tyle że nie powiedziała „taki owaki”.

-Cała Ettie.

-To ten sam pożar? - zapytała pielęgniarka, spoglądając na jego osmalone dżinsy i koszulę.

Pellam skinął głową. Wyjaśnił, że Ettie skoczyła z okna. Na szczęście zamiast na bruku wylądowała na dwudniowej stercie śmieci, która zamortyzowała upadek. Pellam zaniósł ją do karetki, a potem wrócił, żeby pomóc wydostać się innym mieszkańcom. Wreszcie dym i jemu dał się we znaki i zemdłał. Obudził się w tym samym szpitalu, do którego przywieziono Ettie.

-Wie pan co - powiedziała pielęgniarka. - Cały jest pan... w sadzy. Wygląda pan jak jeden z tych komandosów z filmów ze Schwarzeneggerem.

Pellam przetarł sobie twarz i zobaczył pięć czarnych palców.

-Chwileczkę. - Pielęgniarka znikła na korytarzu i po chwili wróciła, niosąc wilgotną szmatkę. Zawahała się - domyślił się, że nie jest pewna, czy nie powinna sama go umyć - po czym zdecydowała się jednak zlecić to zadanie pacjentowi. Pellam wziął od niej szmatkę i tak

długo przecierał twarz, aż materiał zrobił się całkiem czarny.

-Napilby się pan kawy? - zaproponowała kobieta.

Pellam poczuł, że skręca mu się żołądek. Domyślił się, że musiał połknąć co najmniej z pół kilo popiołu. - Nie, dziękuję. Jak teraz wyglądam?

-Już tylko jak zwykły brudas. Śmiem twierdzić, że to duża poprawa. A teraz muszę zmienić baseny. To na razie. - I już jej nie było.

Pellam wyciągnął przed sobą długie nogi i przyjrzał się dziurom wypalonym w swoich lewisach. Nadawały się już tylko do wyrzucenia. Następných kilka minut poświęcił dokładnym oględzinom kamery, którą jakaś dobra dusza przekazała ratownikom, dzięki czemu sprzęt trafił wraz z nim na Izbę Przyjęć. Postanowił przeprowadzić rutynowy test diagnostyczny i po prostu nią potrząsnął. W środku nic nie gruchotało. Kieszon kasety była lekko wyszczerbiona, ale rolki się obracały, a taśma była nietknięta - na niej zaś zachował się ostatni, jak się okazało, wywiad przeprowadzony na Zachodniej Trzydziestej Szóstej pod numerem 458.

Dobrze, John, to o czym będziemy dzisiaj gadać? Chcesz usłyszeć coś jeszcze o Biłym Doyle'u? Moim pierwszym mężu. Sukinsyn jeden... Widzisz, ten facet to była żywa, chodząca wizytówka Hell's Kitchen.

Tam był grubą rybą, wszędzie indziej zwykłą płótką. Ta dzielnica była kiedyś prawdziwym państwem w państwie. Hm, opowiem ci o Doyle'u ciekawą historię. Myślę, że ci się spodoba...

Nie pamiętał, co jeszcze powiedziała mu Ettie podczas ich ostatniego spotkania przed paroma dniami. Ustawiał kamerę w jej ciasnym mieszkanku pełnym pamiątek zebranych na przestrzeni siedmiu dekad życia. Były tam setki obrazów, koszyczki, bibeloty, stare meble z wyprzedaży i żywność, na którą ledwo ją było stać, schowana przed karaluchami w plastikowych pojemnikach. Rozstawiał sprzęt, włączał kamerę, a ona po prostu mówiła.

Widzisz, mieszkańcy Hell's Kitchen mieli swoje marzenia, swoje plany. Billy na przykład marzył o kupnie ziemi. Upatrzył sobie parę działek w tej okolicy, gdzie teraz stoi centrum konferencyjne Javitsa. Mówię ci, jak nic by je kupił, gdyby miał wtedy forszę. Cholerny

irlandzki cwaniak... Nazywam go irlandzkim cwaniakiem, bo sam tak o sobie mówił.

Nagły ruch na łóżku przerwał jego rozmyślenia.

Nie otwierając oczu, starsza kobieta zaczęła skubać palcami krawędź koca; dwa ciemne kciuki, dwa palce wskazujące zbierające jakby niewidzialne perły.

Pellam poczuł niepokój. Przypomniawszy sobie, jak miesiąc wcześniej był świadkiem ostatnich chwil Otisa Balma; 102-letni staruszek spoglądał na krzak bzu rosnący za oknem domu opieki na West Side i tak samo skubał palcami pościel. Latami mieszkał w tej samej kamienicy co Ettie. Kiedy trafił do domu opieki, nadal z przyjemnością opowiadał o swoim życiu w Kitchen. Pewnego dnia jednak umilkł i zaczął skubać koc, jak Ettie teraz. Nagle zamarł w bezruchu. Pellam wezwał pomoc. Lekarz potwierdził zgon. Zawsze tak robią, powiedział. Pod koniec skubią pościel.

Pellam pochylił się nad Ettie Washington. Niespodziewanie powietrze rozdarł jęk, w którym z trudem dało się rozróżnić słowa.

- Kto tu jest? - Dłonie kobiety znieruchomiały; otworzyła oczy, ale najwyraźniej nadal niezbyt dobrze go widziała. - Kto tu jest? Gdzie ja jestem?

-Ettie - odezwał się łagodnie Pellam. - To ja, John. Pellam.

Ettie spojrzała na niego, mrużąc powieki.

- Słabo cię widzę. Gdzie ja jestem?

- W szpitalu.

Przez całą następną minutę kaszłała. W końcu poprosiła o szklankę wody.

- Cieszę się, że mnie odwiedziłeś. Nic ci się nie stało?

- Na szczęście nic - odparł i napełnił szklankę; Ettie opróżniła ją jednym haustem.

-Jak przez mgłę pamiętam, że skoczyłam przez okno. Boże, ale ja się bałam! Lekarz mówi, że jestem w zaskakująco dobrym stanie. Tak powiedział: „zaskakująco dobry stan”. Z początku nic nie rozumiałam.

- Jęknęła. - To Hindus. No wiesz, z Indii. Curry, słonie i te rzeczy. Nie widziałam tu jeszcze żadnego amerykańskiego lekarza.

-Bardzo cię boli?

-Jak jasna cholera. - Zerknęła na swoją rękę. - Kiepsko to wygląda.

- Cmoknęła z niesmakiem, przyglądając się potężnemu gipsowemu opatrunkowi.

-Gdzie tam. Biorąc pod uwagę, przez co przeszłaś, i tak wyglądasz jak dziewczyna z okładki.

-Ty też nie najlepiej wyglądasz, John. Jak to dobrze, że udało ci się wydostać. Kiedy leciałam w dół, moją ostatnią myślą było: „O Boże, John też zaraz zginie!” Coś okropnego...

-Wybrałam prostsze rozwiązanie niż ty. Schody ewakuacyjne.

-Co się właściwie stało, u licha? - wymamrotała.

-Nie mam pojęcia. Wszystko było dobrze i nagle cały budynek stanął w ogniu. Zajął się jak pudełko zapalek.

-Byłam wcześniej na zakupach. Właśnie wracałam, kiedy...

-Słyszałam cię na schodach. Musiałaś wrócić parę minut przede mną. Nie zauważyłem cię na ulicy.

Ettie mówiła dalej:

- Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby ogień tak szybko się rozprzestrzenił. Zupełnie jak w Aurorze, tym klubie, o którym ci opowiadałam. Przy Czterdziestej Dziewiątej. Wystąpiłam tam raz czy dwa. Spłonął w czterdziestym siódmym. Trzynastego marca. Mnóstwo ludzi zginęło. Pamiętasz tę historię?

Pellam nie pamiętał. Podejrzewał, że chcąc do niej dotrzeć, musiałby przejrzeć wiele godzin taśm z zapisem rozmów prowadzonych z Ettie Washington, które trzymał u siebie w mieszkaniu.

Ettie wydmuchała nos i znowu się rozkaszała.

- To ten dym. To było najgorsze. Wszystkim udało się wydostać z budynku?

-Nikt nie zginął - odparł Pellam. - Ale Juan Torres jest w stanie krytycznym. Leży na górze, na oddziale dziecięcym.

Ettie skamieniała. Jak dotąd Pellam tylko raz widział u niej taki wyraz twarzy - kiedy opowiadała mu o swoim najmłodszym synu, który zginął przed laty na Times Square.

- Juan? - szepnęła. Przez chwilę milczała. - Myślałam, że przez tych parę dni miał być u swojej babki w Bronksie. To on był w domu?

Wyglądała na załamana, a Pellam nie wiedział, jak ją pocieszyć. Ettie spojrzała na koc, na miejsce, które wcześniej skubała palcami.

Jej twarz poszarzała.

- Chcesz, to podpiszę ci się na gipsie - zagadnął ją Pellam.

- Pewnie, czemu nie.

Pellam wyjął z kieszeni flamaster.

- W jakimś konkretnym miejscu? Może tutaj? - Podpisał się okrągłymi zawijasami.

Na ruchliwym korytarzu czterokrotnie rozległ się cichy dźwięk dzwonka.

-Tak się zastanawiam - powiedział Pellam - czy nie powinienem zawiadomić twojej córki?

-Nie - odparła starsza kobieta. - Już z nią rozmawiałam.

Zadzwoiłam z samego rana, zanim zasnęłam. Przeraziła się, ale pocieszyłam ją, że jeszcze nie stoję nad grobem. Najlepiej, jak zaczeka z odwiedzinami, aż zrobią mi wszystkie badania. Oczywiście, jakby mieli mnie kroić, to wołałabym, żeby tu była. Mogłabym ją zeswatać z którymś z tych przystojnych doktorków. Jak w „Oстрым dyżurze”. Lisbeth chętnie wydałaby się za bogatego lekarza. Wiesz, jaka ona jest, opowiadałam ci przecież...

Ktoś zapukał do uchylonych drzwi i do sali weszło czterech mężczyzn, większość z nich w garniturach. Byli wysocy i poważni, a ich obecność sprawiła, że pomimo trzech wolnych łóżek szpitalna sala zrobiła się nagle bardzo mała.

Pellam spojrzał na nowo przybyłych i domyślił się, że ma do czynienia z wymiarem sprawiedliwości. A więc podejrzewano podpalenie. To by tłumaczyło szybkość, z jaką ogień się rozprzestrzenił.

Ettie skinęła im głową skrupowana.

-Pani Washington? - zapytał najstarszy z nich. Miał na oko czterdzieści pięć lat, wątle ramiona i zdecydowanie za duży brzuch, a na sobie dżinsy i kurtkę z kapturem. Na jego biodrze Pellam dostrzegł kaburę z wielkim rewolwerem.

-Inspektor straży pożarnej Lomax. To mój asystent... - Skinął głową na rosłego młodzieńca o posturze kulturysty. - A ci panowie to śledczy miejskiego wydziału nowojorskiej policji.

Jeden z gliniarzy zwrócił się do Pellama i poprosił go, aby opuścił salę.

-Nie, nie - zaprotestowała Ettie. - To mój przyjaciel. Niech zostanie.  
Funkcjonariusz spojrział znacząco na Pellama.

-Nie ma sprawy, Ettie - uspokoił ją Pellam. - Ze mną też będą chcieli porozmawiać. Wrócę, jak skończą.

-Pan jest jej znajomym? - zapytał Lomax. - W takim razie rzeczywiście będziemy chcieli z panem porozmawiać. Ale nie tutaj. Proszę podać swoje nazwisko i adres obecnemu tu funkcjonariuszowi, a potem stąd spadać.

-Słucham? - Uśmiechnął się zdezorientowany Pellam.

-Nazwisko i adres. - Lomax skinął na swego asystenta i warknął: - A potem wynoś się pan stąd do diabła.

-O, co to, to nie.

Inspektor wziął się pod boki. Dłonie miał jak bochny chleba.  
Możemy to rozegrać grzecznie albo nie...

Pellam skrzyżował ręce na piersiach i lekko rozstawił nogi.

- Nie zostawię jej samej.

-John, nic się nie stanie, jeśli...

Lomax odezwał się oficjalnym tonem:

- Od tej pory odwiedzający nie mają wstępu do tej sali. I niech pan czasem nie pyta, dlaczego, bo to nie pański interes.

-Mój interes to akurat nie pańska sprawa - odciął się Pellam.  
Zapożyczył ten tekst z pewnego filmu, do którego przed laty napisał scenariusz i który nigdy nie doczekał się realizacji. Zawsze żałował, że się zmarnował, i oto nadarzyła się świetna okazja, aby go wykorzystać.

-Kurwa mać - rzucił jeden z policjantów. - Nie mamy na to czasu.  
Wyprowadźcie go.

Palce krzepkiego asystenta niczym obcęgi zacisnęły się na ramieniu Pellama. Mężczyzna popchnął go w stronę wyjścia. Brutalny gest spowodował, że Pellam znowu poczuł przeszywający ból w zeszywniałym karku. Wyrwał się, a wówczas policjant najprawdopodobniej uznał, że dobrze mu zrobi mały odpoczynek przy ścianie. Przygwoździł go więc do niej na dobrych kilka minut, unosząc przy tym nieco w górę tak, że stopy Pellama ledwo dotykały podłogi, a ramiona szybko zeszywniały z braku krążenia.

Pellam krzyknął do Lomaxa:

- Zabierz ode mnie tego palanta! Co tu się dzieje, do cholery?  
Jednak inspektor był już wtedy zajęty.

Ze wzrokiem utkwionym w trzymanym w dłoni białym kartoniku odczytał Ettie jej prawa, a następnie aresztował za spowodowanie zagrożenia życia, napaść oraz podpalenie.

-Nie zapomnij o usiłowaniu zabójstwa! - dodał jeden ze śledczych.

-Racja - mruknął Lomax. Zerknął jednak na Ettie i wzruszając ramionami, dodał: No, sama pani słyszała.



### 3

Jak większość nowojorskich kamienic, budynek, w którym mieszkała Ettie, powstał w dziewiętnastym wieku i został zbudowany z wapienia; w tym przypadku kamień był czerwony, w odcieniu terakoty.

Przed 1901 rokiem nie istniały żadne kodeksy regulujące zasady stawiania tego rodzaju pięciopiętrowych budynków mieszkalnych i wielu budowniczych kleiło kamienice z przegniłych belek oraz zaprawy murarskiej i gipsu zmieszanego z trocinami. Jednak te niechlujne konstrukcje prędko się zawaliły. Kamienice takie jak nasza, tłumaczyła Ettie Washington z namaszczeniem, wpatrzona w obiektyw kamery Johna Pellama, stawiali prawdziwi rzemieślnicy. Wnęki na figury Najświętszej Panienki, kolibry na witrażach wieńczących wejścia do poszczególnych mieszkań... Nic nie stało na przeszkodzie, aby przetrwały kolejnych dwieście lat.

Nic, poza zapalką i kanistrem benzyny...

Rankiem Pellam wybrał się obejrzeć to, co zostało z wiekowej kamienicy. Nie było tego wiele.

Tylko czarna, kamienna skorupa, wewnątrz której walały się nadpalone materace i meble, strzępy papieru oraz fragmenty różnych urządzeń. Dolną kondygnację wypełniała gęsta, szara maź, będąca mieszaniną wody i popiołu. Pellam zamarł na widok sterczącej z błota dłoni. Rzucił się w jej stronę, ale przystanął w pół kroku, zauważywszy winylowy szew na nadgarstku. Dłoń okazała się ręką manekina.

Kawał godny Hell's Kitchen.

Na kupie odpadków stała - idealnie poziomo - wielka porcelanowa wanna na fikuśnych nóżkach, pełna mętnej wody o słonawym zapachu. Pellam okrążył pogorzeliśko i przepchnął się przez tłumek gapiów zgromadzonych przed żółtą taśmą policyjną na podobieństwo klientów czekających na otwarcie domu towarowego w dniu wyprzedaży. Większość przejawiała niezdrowe podniecenie typowych miejskich hien, jednak potencjalne łupy prezentowały się dość żałośnie. Dziesiątki materacy, wszystkie nadpalone i poplamione sadzą; poczerńnięte szkielety mebli i urządzeń elektrycznych, książki

nasączone wodą jak gąbka. Dipolowa antena (w kamienicy nie było kabłówki) tkwiła w nieregularnej bryle plastiku, która musiała być niegdyś telewizorem, o czym świadczyło zachowane logo Samsunga oraz obwód drukowany.

Smród spalenizny był po prostu nie do wytrzymania. Pellam dojrzał wreszcie człowieka, którego szukał. Najwyraźniej nastąpiła zmiana kostiumu, bo w tej chwili mężczyzna ten miał na sobie dżinsy, wiatrówkę i buty strażaka.

Pellam zanurkował pod taśmą i podszedł do inspektora. Wyraz pewności siebie, który przywołał na twarz, wystarczył, aby przedostał się, nie zatrzymywany, przez tłum kręcących się wte i wewte strażaków oraz policyjnych techników badających pogorzelnisko.

Słyszał, jak Lomax zwraca się do swojego asystenta - faceta, który przygwoździł go do ściany szpitalnej sali: - Popatrz, odpryski.

-Palcem wskazywał spękaną powierzchnię cegły. - To nasz punkt centralny. Ognisko pożaru musiało być za tą ścianą. Niech fotograf zrobi zdjęcie.

Przykucnął i przyjrzał się uważnie czemuś leżącemu na ziemi. Pellam obserwował go z odległości paru metrów. Nagle Lomax uniósł głowę. Pellam zdążył już wcześniej wziąć prysznic i przebrać się w czyste rzeczy. Z jego twarzy zniknął też kamuflaż w postaci sadzy i chwilę potrwało, zanim inspektor go rozpoznał.

-Znowu pan - mruknął.

Pellam, który postanowił zacząć po przyjacielsku, rzucił życzliwie: - Jak leci?

-Spadaj pan - warknął inspektor.

-Zajmę tylko chwilkę.

Lomax ponownie skupił uwagę na badanym obiekcie.

W szpitalu spisali jego dane i sprawdzili je w bazie nowojorskiego wydziału policji. Wyglądało przy tym na to, że Lomax, jego kumple gliniarze, a zwłaszcza niedźwiedziowaty asystent niezmiernie żałują, iż nie mają podstaw zatrzymać Pellama, albo przynajmniej brutalnie go przeszukać. Zadowolili się więc spisaniem krótkiego zeznania, po czym wyrzucili go na korytarz, zaznaczając, że jeśli w ciągu najbliższych pięciu minut nie zniknie ze szpitala, zostanie aresztowany za utrudnianie pracy wymiarowi sprawiedliwości.

-Mam tylko kilka pytań - powtórzył Pellam.

Lomax, ze swoją pomarszczoną twarzą, przypominał mu trenera z czasów liceum, zresztą fatalnego sportowca. Teraz podniósł się z kucek i zmierzył Pellama wzrokiem od stóp do głów. Szybkie, badawcze spojrzenie. Nie ostrożne, nie wrogie, tylko po prostu sondujące.

-Chciałbym się dowiedzieć, dlaczego ją aresztowaliście - zapytał Pellam. - Przecież to całkiem bez sensu. Byłem przy tym, kiedy wybuchł pożar. Wiem, że to nie ona go zaproszyła.

-To jest miejsce przestępstwa. - Lomax wrócił do swojej cegły. Jego słowa nie zabrzmiały jak ostrzeżenie, ale Pellam uznał, że tak miał je odebrać.

-Chciałem tylko...

-Proszę się cofnąć za linię.

-Za linię?

-Za taśmę.

-Zaraz. Ja tylko...

-Aresztuj go - warknął Lomax do swojego asystenta, który natychmiast rzucił się wykonać polecenie.

-Nie ma takiej potrzeby. Już sobie idę. - Pellam uniósł dłonie w pojednawczym geście i cofnął się za żółtą taśmę.

Następnie przykucnął, wyjął z torby kamerę wideo i wycelował obiektyw w tył głowy Lomaxa. Włączył nagrywanie. Na ekranie monitora zobaczył, że jeden z umundurowanych funkcjonariuszy policji nachyla się i szepcze coś Lomaxowi do ucha. Ten obejrzał się i zaraz odwrócił wzrok. Za nimi z wolna dopalały się ruiny budynku, niczym porzucona niedbale sterta poczerniałych kamieni. Pellam zdał sobie sprawę, że - chociaż kręcił wyłącznie ze względu na Lomaxa - zapewnia sobie w ten sposób materiał pierwsza klasa.

Przez pewien czas inspektor ignorował poczynania Pellama. Wreszcie nie wytrzymał, obrócił się na pięcie, podszedł do niego i zasłonił obiektyw dłonią. - Wystarczy tego dobrego. Pakuj pan manatki.

Pellam wyłączył kamerę.

-To nie ona wznieciła pożar - oświadczył.

-A pan to niby kto? Reporter?

-Coś w tym rodzaju.

-Nie ona, powiada pan? To w takim razie kto? Pan?

-Pański asystent spisał moje zeznania. A tak przy okazji, ten facet ma jakieś nazwisko?

Lomax zignorował zaczepkę.

- Proszę odpowiedzieć na moje pytanie. Skoro jest pan taki pewien, że to nie ona zaproszyła ogień, to może sam pan to zrobił?

-Nie. - Pellam westchnął zrezygnowany.

-A jak wy dostał się pan z budynku?

-Po schodach ewakuacyjnych.

-Ta pańska znajoma zeznała, że kiedy wybuchł pożar, nie było jej w mieszkaniu. Kto wpuścił pana do środka?

-Rhonda Sanchez. Z lokalu 2D.

-Zna ją pan?

-Poznaliśmy się. Wie, że kręcę film o Ettie, więc mnie wpuściła.

Lomax zareagował błyskawicznie. - Skoro wiedział pan, że pani Washington nie ma w domu, to po co w ogóle wchodził pan do środka?

-Mieliśmy się spotkać o dziesiątej. Domyśliłem się, że wróci najdalej za parę minut. Poszedłem więc na górę. Okazało się, że Ettie wyszła po zakupy.

-Nie wydało się to panu dziwne? Starsza pani wałęsająca się po nocy po ulicach Hell's Kitchen?

-Ettie żyje według własnego rytmu.

Lomax na dobre się rozkręcił.

-Więc kiedy wybuchł pożar, całkiem przypadkowo znalazł się pan w pobliżu schodów ewakuacyjnych? Ma pan szczęście.

-Czasami - przyznał Pellam.

-Proszę opowiedzieć dokładnie, co pan wtedy widział.

-Wszystko jest w moich zeznaniach.

-I gówno z nich wynika - warknął Lomax. - Proszę o szczegóły. Chce pan nam pomóc czy nie?

Pellam zastanowił się i doszedł do wniosku, że im chętniej będzie współpracował, tym lepiej dla Ettie. A zatem jeszcze raz opowiedział, jak wychylił się przez poręcz, spojrzał w głąb klatki schodowej i zobaczył wylatujące z zawiasów drzwi do piwnicy. Opisał ogień, dym i

iskry. Całe mnóstwo iskiek. Lomax i jego asystent o posturze zapaśnika słuchali go beznamietnie, więc szybko dodał: - Obawiam się, że niewiele wam to pomoże.

-Jeśli to, co pan mówi, jest prawdą, to cholernie pan nam pomógł.

-A dlaczego miałbym kłamać?

-Niech mi pan powie, panie Szczęściarzu - było więcej dymu czy ognia?

-Chyba więcej dymu.

Inspektor skinął głową.

- A jakiego koloru były płomienie?

-Nie wiem. Jak to ogień. Pomarańczowe.

-Błękitne języki?

-Nie.

Lomax wszystko sobie zapisywał.

Pellam zapytał zirytowany:

- Co właściwie na nią macie? Jakies dowody? Świadców?

Uśmiech Lomaxa wyraźnie mówił: „tajemnica służbowa”.

-Niech pan posłucha - warknął Pellam zniecierpliwiony: - To siedemdziesięcioletnia kobieta...

-To pan mnie posłucha, panie Szczęściarz. W ubiegłym roku dochodzeniówka przeprowadziła dziesięć tysięcy dochodzeń w sprawie tajemniczych pożarów w mieście. Ponad połowa z nich to były podpalenia, a sprawcami jednej trzeciej okazały się kobiety -W sądzie taki dowód się nie utrzyma. Co z podstawą prawną aresztowania?

Lomax odwrócił się do swojego asystenta.

- Podstawa prawna, fiu, fiu. Naoglądał się gość „Nowojorskich gliniarzy”. Nie, wyglądasz mi pan raczej na takiego, którego kręcił proces O.J. Simpsona. Pieprzę cię i twoją podstawę prawną. Jazda mi stąd!

Znalazłszy się ponownie poza policyjną taśmą, Pellam włączył kamerę i kontynuował nagrywanie. Lomax postanowił go ignorować.

Właśnie filmował brudną uliczkę na tyłach kamienicy, uwieczniając stos worków ze śmieciami, które ocaliły Ettie życie, gdy usłyszał cieniutkie zawodzenie. Taki odgłos mógłby wydawać dym, gdyby w ogóle wydawał jakikolwiek odgłos.

Ruszył w stronę placu budowy rozpościerającego się po

przeciwnej stronie ulicy, tam, gdzie wznosił się w niebo sześćdziesięciopiętrowy budynek niemal na ukończeniu. Gdy się nieco zbliżył, zawodzenie zmieniło się w słowa: - Jedną z nich. Mogłam być jedną z nich. - W cieniu wielkiego kontenera na śmieci, między dwoma noszącymi ślady erozji kamiennymi buldogami, które od z górą stu trzydziestu lat strzegły wejścia do kamienicy Ettie, siedziała czarnoskóra kobieta. Jej ciemna twarz była ładna, choć ospowata, a biała bluzka podarta i ubrudzona sadzą.

Pellam ukucnął przy niej i zapytał:

- Nic ci nie jest, Sibbie?

Kobieta nie odrywała wzroku od zrujnowanego budynku.

-Sibbie, pamiętasz mnie? To ja, John. Filmowałem cię. Do mojego projektu. Opowiadałaś mi, jak przeniosłaś się tutaj z Harlemu.

Przypominasz sobie?

Nic na to nie wskazywało. Pewnego dnia, kiedy przyszedł nagrać kolejny wywiad z Ettie, Sibbie czekała na niego na progu. Musiała już o nim słyszeć, bo bez ceregieli oznajmiła, że za dwadzieścia dolarów opowie mu całe swoje życie. Wielu dokumentalistów ma etyczny dylemat, czy płacić ludziom za ich zwierzenia; Pellam po prostu wsunął kobiecie banknot do ręki i włączył kamerę, zanim zdążyła się zdecydować, do której kieszeni go schowa. Okazało się to jednak ewidentną stratą czasu i pieniędzy, bo Sibbie przeważnie zmyślała.

-Widzę, że jesteś cała i zdrowa.

Sibbie wytłumaczyła mu, rozkojarzona, że w momencie wybuchu pożaru była w domu z dziećmi - właśnie siadali do posiłku złożonego z ryżu i gotowanej fasoli z keczupem. Udało im się wydostać bez większych problemów, ale zaraz ona i dzieciaki zawrócili, ryzykując własne życie, aby ocalić z mieszkania, co tylko się dało. - Straciliśmy telewizor. Próbowaliśmy go wynieść, ale był za ciężki. Niech to szlag trafi.

Jaka matka naraża w ten sposób własne dzieci? Pellam wzdrygnął się na samą myśl.

Obok kobiety przysiadła mniej więcej czteroletnia dziewczynka, ściskająca w rączce popsutą zabawkę, oraz może dziewięć- czy dziesięcioletni chłopiec; jego twarz była poważna, ale oczka śmiały się radośnie.

- Ktoś nas puścił z dymem - oznajmił, niezwykle z siebie dumny. - Czadowo, nie?

-Mogę wam zadać parę pytań? - zaczął Pellam.

Sibbie nie zareagowała.

Uruchomił kamerę z nadzieją, że jej pamięć ostatnich wydarzeń okaże się trwalsza niż wspomnienia z młodości.

-Ej, koleś, a ty jesteś z CNN? - zawołał chłopiec, nie odrywając oczu od błyszczącej czerwonej lampki kamery.

-Nie, ja tylko robię film. W ubiegłym miesiącu nakręciłem parę ujęć z twoją mamą.

-Ale numer! - Chłopak zasłonił oczy ręką w geście najwyższego zdumienia. - Film! Wesley Snipes, Denzel Washington, ja piórkuję!

-Wiesz może, jak wybuchł pożar?

-To na pewno chłopacy - odparł szybko mały.

-Ty się lepiej zamknij - warknęła jego matka, wyrwana gwałtownie ze stanu ponurego otępienia.

Chłopacy, czyli pewnie członkowie któregoś z młodocianych gangów.

- A wiesz może, co to byli za jedni?

Kobieta milczała ze wzrokiem wbitym w klucz, który opony przejeżdżających ulicą aut wgniotły głęboko w rozgrzany asfalt. Obok niego w jezdni tkwiła końcówka mosiężnej łuski naboju do pistoletu.

Po chwili Sibbie podniosła głowę. - Patrzcie no, co się porobiło.

-To była piękna kamienica - zauważył Pellam.

-Teraz to wszystko jest gównem. - Głośno strzeliła palcami. - Boże, przecież też mogę tak skończyć!

-Słucham? - Nie zrozumiał Pellam.

-Wylądować na ulicy. Na ulicy! A potem zachorować. Mogę przecież dostać zapalenia płuc i umrzeć.

-Na pewno do niczego takiego nie dojdzie. Miasto się wami zaopiekuje.

-Miasto, psiakrew. Akurat, już to widzę.

-A ty nie zauważyłeś przypadkiem, czy ktoś nie kręcił się koło piwnicy, zanim wybuchł pożar?

-No pewnie! - zawołał chłopiec. - To chłopacy, na sto procent! Widziałem ich. Czarnuch zawsze musi mieć oczy szeroko otwarte.

Widziałem...

Sibbie brutalnie spoliczkowała syna.

- Gównu tam widziałeś! Nie ma o czym gadać!

Pellam aż się wzdrygnął. Chłopiec zauważył wyraz jego twarzy, ale milczące współczucie nie było w stanie uśmierzyć bólu, jaki mu właśnie zadano.

-Sibbie, tutaj nie jesteście bezpieczni - powiedział zdecydowanie Pellam. - Jedźcie do schroniska. Tego na końcu ulicy.

-Do schroniska, psiakrew. Dobrze, że udało mi się wynieść chociaż parę gratów. Sibbie machnęła ręką w stronę wypchanej torby na zakupy. - Nie mogłam tylko znaleźć koronek mamy. Szukałam wszędzie, ale przepadły, cholera jasna. - A zwracając się do grupki gapiów, zawołała: - Ej, nie widzieliście gdzieś moich koronek?

Nikt nie zwrócił na nią uwagi.

-Sibbie, ty masz jakieś pieniądze? - zapytał Pellam.

-Piątaka. Dostałam od takiego jednego faceta.

Pellam wsunął jej do ręki banknot dwudziestodolarowy. Następnie wyszedł na ulicę i zatrzymał przejeżdżającą taksówkę. Pokazał kierowcy drugiego dwudziestaka.

- Zawieź ją pan do schroniska, tego przy Pięćdziesiątej.

Taksówkarz rzucił okiem na potencjalny zarobek.

- Stary, ja właśnie zjeżdżałem do bazy...

Pellam uciszył go kolejnym banknotem.

Rodzina wpakowała się do środka. Z tylnego siedzenia czujnie zerkały na Pellama oczy małego Ismaila. Po chwili taksówka odjechała. Pellam podniósł kamerę, która zdawała się ważyć z pół tony, i zarzucił ją sobie na ramię.

Co to za jeden? Kowboj jakiś czy co?

Skórzane kowbojki, džinsy, czarna koszula.

Brakowało mu tylko lassa i konia.

Hej-ho, jupi-jaj - pomyślał Sonny. Przejechałem z tysiąc mil...

Przyglądał się, jak kowboj upycha w taksówce wysuszoną jak śliwka Murzynkę z jej czarnym przychówkiem, po czym wraca na pogorzelnisko. Tak, jak to czynił przez ostatnich parę godzin, tak i teraz Sonny popatrzył na poczerńiałe zgliszcza z przyjemnością zabarwioną drażniącym podnieceniem. Myślał o huku ognia. Wiedział, że kolejne



piętra waliły się z trzaskiem, którego nikt nie słyszał. Ogień robi więcej hałasu, niż można by się spodziewać. Kiedy płomienie sięgają dajmy na to kolan, ogień dudni człowiekowi w uszach niczym buzująca krew.

Myślał też o zapachu. Wciągał w nozdrza wyjątkowy aromat spalonego drewna, zwęglonego plastiku i utlenionego metalu. Po chwili niechętnie otrząsnął się ze swoich marzeń na jawie i uważniej przyjrzał kowbojowi. Z wycelowaną przed siebie kamerą kręcił właśnie inspektora, jak pogania wykończonych strażaków, żeby rozkopywali rumowisko przy pomocy narzędzia Halligana, wynalazku przypominającego skrzyżowanie oskarda z łomem. Jego autorem był Huey Halligan, pierwszorzędny strażak i duma nowojorskiej straży pożarnej. Sonny miał szacunek dla swoich przeciwników.

Sporo też o nich wiedział. Wiedział na przykład, że w całym Nowym Jorku jest 250 inspektorów straży pożarnej badających przyczyny pożarów. Jedni byli lepsi, inni gorsi, ale ten tutaj, Lomax, był klasą samą w sobie... Sonny patrzył, jak fotografuje spękaną farbę na kawałku osmalonej deski. Że też od razu zwrócił na to uwagę, pocziwiec. Czarne kwadraty na powierzchni deski były duże i błyszczące, co znaczyło, że temperatura ognia musiała być wysoka i że szybko się rozprzestrzeniła. Taka informacja może się bardzo przydać w dochodzeniu. Oraz podczas procesu - o ile kiedyś go złapią, co oczywiście nie wchodziło w rachubę.

Inspektor podniósł z ziemi mierzący blisko dwa metry metalowy drąg, wybił nim szybę w oknie na parterze i poświecił do środka latarką.

Przed paroma laty w inspektoracie straży pożarnej utworzono specjalny oddział Czerwonych Czapek. Ubrali inspektorów w czerwone bejsbolówki i wysłali w miejsca o najwyższym ryzyku podpaień. W owych czasach Sonny stawiał dopiero pierwsze kroki w swoim fachu i było mu bardzo na rękę, że inspektorzy tak się wyróżniali. Obecnie nosili się po cywilnemu, ale Sonny był już na tyle doświadczony, że nie potrzebował wskazówek w rodzaju czerwonej czapki z daszkiem, żeby wyłuskać z tłumu swoich wrogów. Każdemu z nich mógł śmiało spojrzeć w oczy, przyznając w duchu, że pożary to całe jego życie.

Zarówno ich wywoływanie, jak i gaszenie.

Teraz jednak dobry nastrój powoli go opuszczał. Coraz bardziej spocony i roztrzęsiony zerkał na potężną kamerę na ramieniu kowboja. Od kamery biegł przewód do znajdującego się w płóciennej torbie zasilacza. Nie było mowy o żadnej tandecie do kręcenia domowych filmów wideo - to był jak najbardziej profesjonalny sprzęt.

Kim ty właściwie jesteś, nieznajomy? I czego tutaj szukasz?

Sonny pocił się coraz bardziej. Nie przeszkadzało mu to, chociaż ostatnimi czasy pocił się naprawdę obficie. Drżały mu też dłonie, co z kolei bardzo mu przeszkadzało, bo drżenie rąk oznacza poważne kłopoty dla kogoś, kto żyje ze składania urzędzeń zapalających.

Patrząc, jak wysoki, chudy facet kręci kolejne ujęcia spalonej kamienicy, Sonny doszedł do wniosku, że powodem jego rosnącej nienawiści jest raczej wzrost kowboja, niż fakt, że płacze się z kamerą po zgliszcach, które były jego, Sonny'ego, dziełem.

Po tym, jak wzniecił pożar, wyśliznął się na tyły budynku piwnicznymi drzwiami, ukrył na placu budowy po przeciwnej stronie ulicy i włączył nasłuch radiowy. Słyszał, jak dyspozytor ogłasza alarm pożarowy drugiego stopnia. To było wezwanie typu 10-45, kod 2. Bardzo go ucieszył typ wezwania oznaczający groźny pożar, rozczarował zaś kod, z którego wynikało, że na miejscu zdarzenia są tylko ranni, a żadnych trupów. Kod 1 oznaczał śmierć.

Kowboj kręcił jeszcze przez parę minut. Potem wyłączył swoją wielką kamerę i schował ją z powrotem do torby.

Sonny jeszcze raz spojrzął na inspektora i jego koleśków. Kurczę, ależ sobie sprawił przydupasa. Prawdziwy wielkolud. Inspektor polecił mu, żeby zarządził oczyszczenie pogorzelniska i jak najszybsze przekopanie zgliszczy. Sonny w duchu pogratulował mu decyzji właśnie tak powinno się postępować w przypadku tego rodzaju pożaru.

Tymczasem jednak z każdą chwilą coraz bardziej się denerwował. Wkrótce strach przepełnił go całego, tak jak dym wypełnia pusty korytarz; w jednej chwili wszystko jest w porządku, a w następnej wszędzie siwo, jakby ktoś upchał ciasno motki szarej wełny.

Powodem jego zdenerwowania nie byli jednak ani Lomax, ani jego rosły asystent, ale tajemniczy kowboj.

Nienawidzę gościa. Nienawidzę, nienawidzę, nienawidzę, nienawidzę, nienawidzę!

Sonny odrzucił na plecy swój blond kucyk, drżącymi rękoma otarł spocone czoło i zaczął przeciskać się przez tłum w kierunku nieznajomego. Oddychał ciężko, serce tłukło mu się o żebra. Wciągnął w płuca ciężkie od dymu powietrze i wolno, bardzo wolno je wypuścił, rozkoszując się jego smakiem oraz zapachem. Żółta taśma zadrżała pod dotykiem jego dłoni. Dosyć tego, dosyć tego, dosyć tego, dosyć tego, dosyć tego!

Podniósł wzrok na Pellama.

Niecałe trzydzieści centymetrów wyższy. Może nawet trochę mniej. Dwadzieścia pięć centymetrów, gdyby Sonny się wyprostował. Albo dwadzieścia dwa.

Nagle wyrosła między nimi jakaś nowa postać, bezceremonialnie odsuwając Sonny'ego na bok. Intruzem okazała się młoda dziewczyna w drogim, ciemnozielonym, dwurzędowym kostiumie. Bizneswoman.

-To straszne. Po prostu okropne - powiedziała.

-Widziała pani, co tu się stało? - zapytał kowboj.

Skinęła głową.

- Akurat wracałam z pracy do domu. Miałam dziś audyt. Pan jest reporterem?

-Kręcę film o kilku mieszkańcach tej kamienicy.

-Film. Fajnie. Dokumentalny? Jestem Alice.

-Pellam.

Pellam, zadumał się Sonny .Pellam. Wyobraził sobie to nazwisko i tak długo powtarzał je w myślach, aż poczuł, że - choć niewidoczne - jest trwale obecne w jego umyśle, niczym zwieńczenie słupa dymu.

-Najpierw - mówiła dalej kobieta spoglądając na szczupłą twarz kowboja, Pellama. Najpierw zupełnie nic się nie działo, a potem ani się człowiek obejrzał, a wszędzie dokoła były płomienie. Mówię panu, dosłownie wszędzie. - W ręku trzymała wypchaną teczkę z wytłoczonym złotymi literami logo firmy Ernst wokół palca wskazującego wolnej ręki nerwowo okręcała pasmo krótkich, rudych włosów. Sonny zerknął na laminowaną wizytówkę przyklepioną do uchwytu teczki.

-Gdzie dokładnie wybuchł pożar? - indagował dalej Pellam.

-Widziałam płomienie buchające z tamtego okienka. - Ruchem głowy wskazała piwnicę.

Imię „Alice” w ogóle do niej nie pasowało. Wyglądała raczej jak tamta poważna młoda osóbką z „Archiwum X”, którą Sonny na swój prywatny użytek ochrzcił dowcipnie „agentką Scullery”.

Podobnie jak Pellam, Scullery była wyższa od Sonny’ego. Nie lubił wysokich mężczyzn, ale kobiet wyższych od siebie po prostu nie znosił; a kiedy taka obrzucała go nieuważnym spojrzeniem, jakby był niewiele większy od wiewiórki, gniew ustępował miejsca czemuś bardzo spokojnemu i gorącemu jak samo piekło.

-To ja wezwałam strażaków. Z tamtej budki na rogu. Jednej z tych, które się widuje, ale o których nigdy się nie myśli.

Nienawidził też krótkich włosów, bo niewystarczająco długo się paliły. Wytarł dłonie o białe, luźne spodnie i nasłuchiwał, wytężając uwagę. Agentka Scullery plotła coś o wozach straży pożarnej, karetkach, ofiarach poparzeń, zaczadzonych i tych, którzy połamali się, skacząc z okien budynku.

I o błocie.

-Wszędzie było pełno błota. Człowiek nie spodziewa się błota na miejscu pożaru.

Niektórzy się spodziewają, pomyślał Sonny. Mów dalej.

Agentka Scullery opowiadała temu cholernemu nieznanemu, temu kowbojowi, o strzelających czerwonych iskrach, rozpuszczonym szkle i o tym, że widziała kogoś, kto wyciągał z żaru spalone kawałki kurczaka i zjadał je, podczas gdy inni rozpaczliwie wzywali pomocy. - To było... - urwała, szukając odpowiedniego słowa - rodem z jakiegoś koszmaru. Sonny pracował dla kilku biznesmenów i wiedział, jak bardzo cenią sobie trafne określenia takie, w których wszystko dałoby się zawrzeć.

-A zauważyła może pani kogoś kręcącego się w pobliżu budynku, zanim to się zaczęło?

-Widziałam. Tam na tyłach, w uliczce, stało kilka osób.

-Kto dokładnie?

-Nie zwróciłam uwagi.

-Może jednak coś sobie pani przypomni? - nalegał kowboj.

Sonny nadstawił uszu, ale agentka Scullery niewiele pamiętała.

-Był tam jakiś mężczyzna. Kilku mężczyzn. I to by było na tyle.

Przykro mi.

-Byli młodzi? Nastolatki?

-Raczej nie. Nie wiem. Przykro mi...

Pellam podziękował. Kobieta zwlekała z odejściem; może liczyła, że zechce się z nią umówić? On jednak uśmiechnął się tylko niezobowiązująco, wkroczył na jezdnię i zatrzymał taksówkę. Sonny natychmiast ruszył za nim, ale kowboj był naprawdę szybki; już siedział w środku i żółty Chevrolet odjechał, zanim Sonny zdołał dotrzeć choćby do krawężnika. Nie zdążył też usłyszeć, jaki adres podał Pellam kierowcy.

Na moment ogarnęła go wściekłość, że Pellam - ten tykowaty Nocny Kowboj - tak łatwo mu się wymknął. Zaraz jednak zrozumiał, że nic złego się nie stało; w końcu tutaj wcale nie chodziło o pozbywanie się świadków czy karanie intruzów, tylko o coś o wiele ważniejszego.

Wyciągnął przed siebie ręce i zauważył, że przestały drżeć. Obłoczek dymu, półprzezroczysty duch, przepłynął mu przed nosem. Sonny mógł jedynie zamknąć oczy i bezradnie wdychać słodką woń.

Przez chwilę trwał tak, nieruchomy i ślepy, po czym z wolna wrócił na ziemię i zaczął przetrząsać zawartość torby, którą miał na ramieniu. Okazało się, że zostało mu niewiele ponad pół litra jego magicznego soku.

Uznał, że to wystarczy. Aż nadto wystarczy. Czasami wystarczała nawet łyżka wszystko zależało od tego, ile miał czasu i czy wykazał się odpowiednim sprytem. A w tej chwili Sonny dysponował nieograniczoną ilością czasu i wiedział, że nie stracił nic ze swego lisiego sprytu.

## 4

Co za pogoda. Od rana taki wiatr. Zbliżała się kolejna sierpniowa burza i pierwszą rzeczą, jaka uderzyła go zaraz po przebudzeniu, było to, że chociaż za oknem wyje wiatr, jego sypialnia wcale się nie kołysze.

Właśnie mijały trzy miesiące od dnia, gdy zaparkował swój wóz kempingowy Winnebago Chieftain na parkingu Westchester Auto Storage w White Plains, porzucając na pewien czas życie nomady. Trzy miesiące - a mimo to wciąż zdarzało mu się przewracać bezsennie w łóżku, którego stalowe sprężyny nie wymagały jeszcze natychmiastowej wymiany. Przy takim wietrzysku jak dzisiaj jego pokój powinien był się huścić jak statek pasażerski miotany nawałnicą!

Inną rzeczą, do jakiej nie potrafił przywyknąć, było płacenie półtora tysiąca dolców miesięcznie za wąską jak tramwaj klitkę w East Village, której główną atrakcją stanowiła zainstalowana w kuchni wanna. „To jest właśnie kuchnio-łazienka - oznajmiła agentka nieruchomości, pobierając od niego czek na poczet swojej prowizji oraz czynsz za pierwszy miesiąc z taką miną, jakby regularnie zalegał z opłatami.

-Ludzie się teraz o nie po prostu zabijają”. Czwarte piętro bez windy, podłoga z linoleum w kolorze brudnego beżu i zielone ściany godne szpitala, w którym leżała Ettie Washington. I do tego ten okropny zaduch. Co to mogło być, do diabła?

W swojej wieloletniej karierze dokumentalisty filmowego zaledwie parę razy zdarzyło mu się wyszukiwać plenery na Manhattanie. Miejscowe wytwórnie permanentnie okupowały co ciekawsze lokalizacje, a poza tym koszty produkcji były tu bardzo wysokie. Dlatego też większość podziwianych przez widzów miejskich pejzaży Nowego Jorku powstawała zwykle w Toronto, Cleveland albo w jakiejś hali zdjęciowej. Filmy, które faktycznie tutaj nakręcono, zazwyczaj nieszczególnie się Pellamowi podobały; były to głównie albo wydumane, niezależne, niskobudżetowe studenckie filmiki w stylu Jima Jarmuscha, albo nudne hollywoodzkie megaprodukcje. PLENER - PLAŻA HOTEL W DZIEŃ, PLENER - WALL STREET W NOCY. W mieście takim jak Nowym Jork praca dokumentalisty miała mniej

wspólnego z byciem trzecim okiem reżysera, a więcej z wypełnianiem odpowiednich formularzy w biurze burmistrza i pilnowaniem, aby przepływ gotówki -zarówno tej przekazywanej oficjalnymi kanałami, jak i tej wręczanej potajemnie pod stołem - odbywał się w sposób jak najbardziej płynny.

Póki co jednak Pellam nie przewidywał dla siebie tego rodzaju zajęć, w każdym razie nie w najbliższej przyszłości. Już tylko miesiąc dzielił go od zakończenia wstępnego montażu jego pierwszego od wielu lat filmu i pierwszego dokumentu, jaki w ogóle nakręcił. Obraz ten miał nosić tytuł „Na zachód od Ósmej”.

Wziął prysznic i przycesał niesforne, czarne włosy, przez cały czas rozmyślając o swoim projekcie. Harmonogram przewidywał jeszcze tylko tydzień na dokończenie zdjęć, a potem trzy tygodnie na montaż oraz postprodukcję. 27 września stanowił nieprzekraczalny termin miksowania dźwięku i dostarczenia gotowego materiału do siedziby WGBH w Bostonie, gdzie w obecności producenta miał się dokonać ostateczny montaż filmu. PBS planowało wyemitować go wczesną wiosną. Jednocześnie dokument miał być zgrany na taśmę filmową, przemontowany i latem przyszłego roku przesłany w ograniczonej dystrybucji do wyświetlania w amerykańskich kinach studyjnych oraz na angielskim kanale 4. Później trzeba już tylko było przedstawić film jury festiwalowemu w Cannes, Wenecji, Toronto oraz Berlinie i droga do Oscara stała otworem.

Rzecz jasna, tak wyglądał wstępny plan. Pytanie, co teraz będzie?

Motyw przewodni „Na zachód od Ósmej” stanowiły losy kamienicy przy Zachodniej Trzydziestej Szóstej numer 458 oraz jej mieszkańców. Ale to Ettie Washington była postacią centralną. Pellam zastanawiał się, czy jej aresztowanie nie czyni z niego przypadkiem dumnego posiadacza dwustu godzin fascynujących wywiadów, które nigdy nie trafią do telewizji, o kinach nie wspominając.

Na ulicy kupił gazetę i zatrzymał taksówkę.

Rozklekotany pojazd śmigał to w lewo, to w prawo, w gęstym ruchu ulicznym, jakby taksówkarz usiłował zgubić pościg; Pellam, który próbował dowiedzieć się czegoś z gazety na temat wczorajszego pożaru, musiał się mocno trzymać klamki. Od poprzedniego wieczora sensacyjna informacja straciła znacznie na

wartości i dzisiejsza prasa donosiła już tylko o aresztowaniu Ettie oraz potwierdzała to, co Pellam niestety dobrze wiedział - że poważne obrażenia odniósł jedynie Juan Torres. Pellam doskonale pamiętał chłopca. Robił wywiad z jego matką i teraz przypomniał sobie energicznego dwunastolatka stojącego w mieszkaniu przy oknie, ćwiczącego lewe sierpowe na paczce jednora zowych pieluch i powtarzającego jak nakręcony: „Mój tatuś zna Jose Canseco. Tego boksera. Naprawdę. Słowo honoru, że go zna!”

Mały wciąż był w stanie krytycznym.

Gazetowej notce towarzyszyło zdjęcie Ettie wyprowadzanej przez policjantkę z gmachu Manhattan Hospital. Staruszka była potwornie rozczochrana. Błysk flesza odbił się od chromowanych kajdanek, którymi skuto jej nadgarstki tuż poniżej gipsu, na którym Pellam złożył swój podpis.

Etta Washington, primo voto Doyle, z domu Wilkes, miała siedemdziesiąt dwa lata. W Hell's Kitchen przyszła na świat i tam też spędziła całe swoje życie. Przez ostatnie pięć lat jej domem był budynek numer 458 przy Zachodniej Trzydziestej Szóstej. Wcześniej przez czterdzieści lat zamieszkiwała w podobnym budynku przy tej samej ulicy, obecnie już rozebrany. Wszystkie jej poprzednie adresy znajdowały się w obrębie Hell's Kitchen, oddalone od siebie góra o pięć przecznic.

W swoim życiu Ettie zaledwie trzy razy wyruszała w krótkie podróże poza stan Nowy Jork, z czego dwa razy na pogrzeb krewnych w Północnej Karolinie. W ciągu pierwszych dwóch lat nauki w szkole średniej dała się poznać jako znakomita uczennica, rzuciła jednak szkołę, żeby pracować i spróbować sił wokalnych w kabarecie. Przez kilka lat występowała na scenie, zawsze rozgrzewając publiczność przed występem kogoś bardziej znanego; z reguły w Harlemie albo Bronksie, choć trafiały jej się także chałury na rogu Swing Street i Pięćdziesiątej Drugiej. Pellam miał okazję słuchać jej starych szpulowych nagrań skopiowanych na taśmę magnetofonową i był pod wrażeniem jej niskiego głosu. Latami miała się różnych zajęć, żeby utrzymać siebie, a czasami również swoich kochanków, raz za razem odrzucając propozycje małżeństwa, którymi była nieustannie zasypywana, jak każda piękna kobieta mieszkająca samotnie w Hell's



Kitchen. W końcu jednak wyszła za mąż, późno i za wielce nieodpowiedniego kandydata: jej małżonkiem został Irlandczyk, niejaki Billy Doyle.

Przystojny mężczyzna i niespokojny duch, Doyle porzucił ją wieki temu, po zaledwie trzech latach spędzonych razem.

Mój Billy zrobił tylko to, co robią wszyscy faceci. Nosi ich i tyle. Może taka już ich natura, ale kobiecie ciężko coś takiego wybaczyć. Ciekawa jestem, czy i z tobą jest ten sam kłopot, John.

Siedzący za kamerą i nagrywający te słowa Pellam pokiwał zachęcająco głową i zanotował w myślach, żeby przy montażu wyciąć ostatnie zdanie wraz z towarzyszącym mu chichotem.

Drugim mężem Ettie został Harold Washington, który utonął po pijanemu w rzece Hudson.

Nie kochałam go i nie płakałam po nim, ale muszę przyznać, że jeśli chodzi o pieniądze, można było na nim polegać. Nigdy mnie nie zdradził i nie podniósł na mnie głosu. Czasami mi go brakuje, o ile akurat mi się przypomni.

Najmłodszy syn Ettie, Frank, trafił przypadkiem w sam środek pijackiej strzelaniny na Times Square i zginął zabity przez faceta w fioletowym cylindrze. Jej córka, Elizabeth, z której Ettie była niezmiernie dumna, pracowała jako agentka nieruchomości w Miami. Za rok czy dwa Ettie zamierzała przeprowadzić się na Florydę i zamieszkać bliżej niej. Jej najstarszy syn James - przystojny Mulat - był jedynym dzieckiem, jakie miała z Doylem. On także połknął bakcyła włóczęgi i przepadł gdzieś na zachodzie. Ettie podejrzewała, że może być w Kalifornii, ale od dwunastu lat nie miała od niego żadnych wiadomości.

Za młodych lat była zmysłową, nieco władczą piękną (świadczyła o tym setka zdjęć, z których w tej chwili pozostał już tylko popiół) i nawet teraz zachowała urodę oraz świeżość cery młodej kobiety. Często zastanawiała się, czy nie przefarbować swoich szpakowatych włosów z powrotem na czarno. Mówiła z południowym akcentem ze Środkowego Wybrzeża, piła kiepskie wino i przygotowywała wyborne flaczki z bekonem i cebulą. Posiadała też dar snucia opowieści o życiu swoim oraz swojej matki i babki i robiła to niczym urodzona aktorka - zupełnie, jakby Bóg pragnał jej w ten

sposób zrekompensować wszystkie życiowe niepowodzenia.

Co się z nią teraz stanie?

Trzęsąca się taksówka przecięła Ósmą Aleję, linię Maginota oddzielającą Hell's Kitchen od reszty świata.

Pellam spojrział przez szybę na mijaną właśnie fasadę budynku, na którego witrynie ktoś zamalował napis „Piekarnia” i zastąpił go szyldem głoszącym: „Ośrodek pomocy młodzieży - oddział w Clinton”.

Odwieczna kość niezgody między władzami miasta a lokalną społecznością. Chodziło o to, że dla tych ostatnich również i ta okolica wchodziła w obręb Hell's Kitchen i nigdy nie miała nazywać się inaczej, zaś „Clinton” było nazwą używaną przez miejskich urzędników oraz ludzi z agencji reklamy i nieruchomości - tak jakby zmiana nazwy mogła kogokolwiek przekonać, że ta część miasta nie jest już bagnem pełnym rozpadających się czynszówek, gangów, zadymionych winiarni, dziwek i rozbitych fiolek po cracku zaścielających chodniki, ale ziemią obiecaną idealnie nadającą się do stawiania firmowych siedzib i nowobogackich loftów.

W uszach wciąż rozbrzmiewał mu głos Ettie: Wiesz, skąd właściwie wzięła się nazwa naszej dzielnicy? Mówią, że dawno temu jeden gliniarz powiedział do drugiego: „To miejsce to prawdziwe piekło”. A ten drugi na to: „Piekło to betka w porównaniu z tym, co się tu dzieje. To jest Piekielna Kuchnia”. Tyle legenda, ale wcale tak nie było. O, nie, przyjacielu. Nazwa wzięła się od takiej jednej knajpy w Londynie. A zresztą, czego innego można się spodziewać po Nowym Jorku? Nawet nazwę dzielnicy ukradli komuś innemu...

-Popatrz no pan tylko - głos taksówkarza wybił Pellama z zamyślenia. - Ten sam syf co wczoraj, psia ich mać. I tak od tygodni.

Rozwścieczony gwałtownie gestykulował, wskazując ciągnący się przed nimi korek. Wyglądało na to, że powodują go prace na placu budowy naprzeciwko pogorzelniska, gdzie wznosił się w niebo niemal ukończony wysokościowiec. Ciężarówki z cementem nieustannie wjeżdżały i wyjeżdżały przez bramę z metalowej siatki, tamując ruch na jezdni.

-To ta przeklęta budowa. Niech ich szlag trafi, popaprańców jednych. Zmarnowali całą cholerną dzielnicę. Caluteńką. - Kierowca z

całej siły walnął pięścią w deskę rozdzielczą, strącając z niej niemal plastikowy odświeżacz powietrza.

Pellam zapłacił i wysiadł, zostawiając taksówkarza mamroczącego pod nosem inwektywy, a następnie ruszył w stronę nabrzeża Hudson.

Po drodze mijał ciemne, drewniane fasady sklepów - „Owoce i warzywa Vinciego”, „Delikatesy Managro”, „Mięso i konserwy Kuzyna”; na wystawie tego ostatniego pyszniły się całe sprawione zwierzęta. Chodnik zastawiony był budami z odzieżą i drewnianymi stoiskami z piętrzącymi się paczkami ziół i przypraw. Sklep z afrykańskimi towarami reklamował jakieś egzotyczne przysmaki. „Kupujcie teraz!” - zachęcał kolorowy plakat.

Pellam minął Dziewiątą Aleję i szedł dalej w stronę Dziesiątej. Minął wypaloną skorupę kamienicy Ettie, spowitą odrealniającymi wszystko obłokami na pół przezroczystego dymu, i zbliżył się do stojącego na rogu pięciopiętrowego budynku z czerwonej cegły, którego mury pokrywały wiekowe lizaje.

Przystanął przed ręcznie namalowanym szyldem - wiszącym w brudnym oknie mieszkania na parterze.

Louis Bailey, prawnik, adwokat w kancelarii Abogado. Sprawy karne, cywilne, testamenty, rozwody, odszkodowania. Wypadki motocyklowe. Nieruchomości. Notariusz. Poświadczenia notarialne. Dokumenty proszę nadsyłać faksem.

W oknie brakowało dwóch szyb. Jedną z nich zastępowała pożółkła gazeta, drugą spłowiwały karton po płatkach śniadaniowych. Pellam przyglądał się przez chwilę krytycznie walącej się kamienicy, po czym sprawdził, czy aby dobrze zapamiętał nazwisko. Wszystko się zgadzało.

Dokumenty proszę nadsyłać faksem...

Pchnął drzwi i wszedł do środka.

Wewnątrz nie było poczekalni, wchodziło się wprost do mieszkania, którego pokój dzienny został przerobiony na biuro. Wszędzie piętrzyły się papiery, notatki, książki oraz zwalisty i pamiętający lepsze czasy sprzęt biurowy - zakurzony, tandetny komputer, a obok niego faks. Do tego setka książek prawniczych, z których część wciąż tkwiła w oryginalnym, pożółkłym opakowaniu z celofanu.

Tabliczka na biurku głosiła dumnie: NOTARIUSZ.

Ten zaś we własnej osobie stał akurat przy kopiarce, wsuwając kolejne arkusze jakiegoś prawnego dokumentu do podajnika rozklekotanej maszyny. Przez szare od brudu szyby lał się do środka słoneczny żar - w pomieszczeniu musiało być ze czterdzieści stopni.

-Pan Bailey?

Prawnik zwrócił ku gościowi spływające potem oblicze i skinął głową.

-Nazywam się John Pellam.

-Znajomy Ettie. Pisarz?

-Filmowiec. - Uścisnęli sobie dłonie.

Zażywny mężczyzna przesunął palcami po misternej fryzurze ułożonej z długich, siwych włosów, spod których prześwitywała łysina. Miał na sobie białą koszulę i szeroki krawat w kolorze szmaragdowym. Obie części szarego garnituru były o rozmiar niedopasowane - spodnie za długie, a marynarka za wąska.

-Chciałbym porozmawiać z panem o jej sprawie - wyjaśnił Pellam.

-Tutaj będzie nam za gorąco. - Bailey ułożył skopiowane dokumenty w równą stertę na biurku i otarł mokre czoło. - Klimatyzacja nawala. Może przejdziemy do mojego drugiego biura? Mam filię przy tej samej ulicy.

Filię? - zdumiał się Pellam, ale głośno odparł:

- Niech pan prowadzi.

Louis Bailey skinął na pulchną barmankę. Nic nie powiedział, a mimo to kobieta natychmiast oddaliła się kaczym krokiem, żeby przyrządzić to, co najwyraźniej zwykle zamawiał. Zaciągając z irlandzka, zawołała do Pellama:

- A co dla pana?

-Kawa.

-Po irlandzku?

-Zwykła - odparł.

-Pytam, czy ma być z whisky?

-Ma być bez niczego.

Bailey podjął przerwany wątek:

- Więc, jak już mówiłem, odebrała wyniki tego rezonansu, czy czegoś tam. Wszystko w porządku, nic jej nie będzie. Przenieśli ją do

aresztu dla kobiet.

-Chciałem ją wczoraj odwiedzić, ale mnie nie wpuścili. Z kolei Lomax, ten inspektor od pożarów, niewiele mi pomógł.

-Tak to już z nimi bywa. Jak się stoi po drugiej stronie barykady...

Pellam dodał:

- W końcu od jakiegoś gliniarza udało mi się dowiedzieć, że Ettie pana wynajęła.

Drzwi otworzyły się z przeraźliwym skrzypnięciem i do knajpy weszło dwóch młodych mężczyzn w ciemnych garniturach. Rozejrzeli się, nie kryjąc odrazy, i zaraz wyszli. Śródmiejska filia Baileya - ponura mordownia znana także jako pub „Smaragdowa Wyspa”

- nie była lokalem nadającym się na biznesowe spotkania przy lunchu.

-Mogę się z nią zobaczyć? - zapytał Pellam.

-Myślę, że teraz, kiedy przebywa w areszcie, da się to jakoś zorganizować. Pewnie, czemu nie? Rozmawiałem już z z.p.o.

-Z kim?

-Z zastępcą prokuratora okręgowego. Znaczy się, z oskarżycielem. Ona nazywa się Lois Koepel. Ani dobra, ani zła. Ale ma charakter. Jak to Żydówka. Albo kobita. Albo jak młoda, ambitna suka. Sam już nie wiem, co gorsze. Zagroziłem, że jeśli nie będą Ettie dobrze traktować, wystąpię o uzasadnienie aresztowania. Ma dostawać środki przeciwbólowe i mieć zmieniane opatrunki. Ale oczywiście im to wszystko kompletnie zwisa.

-Domyślam się.

Przy kwaśnej jak nieszczęście kawie i szklaneczce martini, którą zamówił Bailey, prawnik przedstawił Pellamowi swój pogląd na sprawę, ten zaś spróbował w myślach ocenić jego kompetencje. Z ust jego rozmówcy nie padło ani jedno słowo na temat jakichkolwiek ustaw, precedensów czy przepisów sądowych. Pellam doszedł zatem do ogólnikowego wniosku, że wolałby kogoś bardziej zacierzwionego i jeśli nawet nie bystrzejszego, to przynajmniej kogoś, kto skończył prawo trochę wcześniej niż całe wieki temu.

Bailey pociągnął drinka i zapytał:

-A o czym właściwie jest ten pański film?

-To historia Hell's Kitchen opowiedziana ustami jej mieszkańców.

A Ettie jest moim najlepszym informatorem.

-Tak, faktycznie ma dar opowiadania.

Pellam otulił dłońmi gorący kubek. W barze było zimno jak w psiarni. Z charkoczącego nad drzwiami klimatyzatora co rusz wydobywały się powiewy przenikliwego wiatru.

- Dlaczego ją aresztowali? Lomax nic mi nie chciał powiedzieć.

-No, wie pan, coś tam na nią znaleźli.

-Coś tam?

-Kiepsko to wygląda. Świadek widział, jak tuż przed wybuchem pożaru wchodziła do piwnicy. Właśnie tam wszystko się zaczęło, tuż obok bojlera. A ona ma klucz od tylnego wejścia.

-Chyba jak wszyscy mieszkańcy?

-Niektórzy tak. Ale to ją widziano, jak otwierała te drzwi kluczem pięć minut przed wybuchem pożaru.

-Rozmawiałem z kimś wczoraj na pogorzeliisku - powiedział Pellam. - Ta kobieta widziała jakichś ludzi w uliczce na tyłach kamienicy. Tuż przed pożarem. Trzech czy czterech mężczyzn. Niestety, nie potrafiła lepiej ich opisać.

Bailey skinął głową i zapisał coś w sfatygowanym notesie; na którego skórzanej okładce widniały cudze inicjały.

-Ettie nie mogła tego zrobić - dorzucił Pellam. - Byłem tam. Stała na schodach piętro nade mną, kiedy to wszystko się zaczęło.

-Och, oni wcale nie twierdzą, że sama to zrobiła. Uważają, że otworzyła drzwi od piwnicy i wpuściła piromana.

-Zawodowego podpalacza?

-Właśnie, profesjonalistę. I na dodatek świra. Jeden taki grasuje tu w mieście już od paru ładnych lat. Wiadomo, że miesza benzynę z olejem napędowym. We właściwych proporcjach. Gość zna się na rzeczy. Benzyna sama w sobie jest zbyt niestabilna, dlatego dodaje olej. Ogień trochę dłużej się rozpala, ale za to jego temperatura jest wyższa, rozumie pan? A na koniec - uważaj pan - dodaje do mieszanki płyn do zmywania naczyń. Dlatego to cholerstwo przywiera do ubrań i skóry zupełnie jak napalm. Ci, co podpalają na zlecenie, prawdziwi zawodowcy do wynajęcia, nigdy by czegoś takiego nie użyli. Poza tym z zasady nie podpalają budynków wtedy, kiedy są w nich ludzie. Nie chcą, żeby komukolwiek stała się krzywda. A tego

najwyraźniej to kręci... Inspektorzy straży pożarnej i gliny mają prawdziwą zagwozdkę. Gość się rozzuchwalił. Jest ciśnienie z góry, żeby go przymknąć.

-Więc Lomax uważa, że to Ettie go wynajęła - zadumał się Pellam.  
- A jak tłumaczą fakt, że sama omal nie zginęła?

-Zastępca prokuratora okręgowego podejrzewa, że próbowała dostać się na górę do swojego mieszkania, żeby mieć potem alibi. Za jej oknem są schody ewakuacyjne. Po prostu źle wyliczyła czas. Sądzą też, że specjalnie zaplanowała wszystko na dzień pańskiej wizyty, żeby w razie czego mógł pan potwierdzić, że nie ruszała się z mieszkania.

Pellam zachnął się.

- Ettie nigdy by mnie nie skrzywdziła.

-Ale przyszedł pan za wcześnie, zgadza się?

Pellam chwilę milczał, po czym niechętnie przyznał:

- Tak, o parę minut. - I zaraz dodał: - Jednak nikt tu nie mówi o najważniejszej rzeczy. Jaki miałyby mieć motyw, żeby to wszystko zaplanować?

-No tak. Motyw. - Podobnie jak robił to już wcześniej, tak i teraz Bailey przerwał i przez chwilę zbierał myśli. Wysączył do reszty swoje martini i zamówił następne. - Tylko tym razem pełną miarkę, Rosie O'Grady. Nie myśl, że mnie oszukasz, jeśli zapchasz mi szklankę tymi wielkimi oliwkami... Podobno w ubiegłym tygodniu Ettie wykupiła polisę ubezpieczeniową na swoje mieszkanie na kwotę dwudziestu pięciu tysięcy dolarów.

Pellam pociągnął łyk kawy i odsunął od siebie kubek. Ohydna lura tylko częściowo ponosiła winę za niesmak, jaki w tej chwili czuł w ustach. - Proszę mówić dalej.

-To takie ubezpieczenie od ognia i innych zdarzeń losowych na kwotę deklarowaną. Słyszał pan o czymś takim? Człowiek płaci wysoką składkę, ale jeśli mieszkanie ulegnie zniszczeniu, ubezpieczyciel wypłaca mu pełną sumę bez względu na to, czy w środku stały meble Chippendale'a, czy skrzynki po pomarańczach.

-Jak na mój gust, to za bardzo oczywiste. Wykupujesz polisę, a po miesiącu puszczasz z dymem budynek?

-Fakt, ale policja uwielbia oczywiste sprawy, panie Pellam. Tak jak

i ławnicy. Nowojorczyki gubią się w subtelnościach. To dlatego łebskim zbrodniarzom nawet morderstwo uchodzi na sucho. - Na stole stało kolejne martini i Bailey pochylił się nad szklaneczką z miną dziecka, które w bożonarodzeniowy poranek znalazło pod choinką wymarzony prezent. - A na dodatek kobiety są głównymi podejrzanymi w sprawach o wyłudzenie odszkodowań i zasiłków. Widzi pan, jeśli takiej, dajmy na to, matce na zasiłku spali się chałupa, ląduje automatycznie na początku listy oczekujących na lepszy lokal. Takie rzeczy zdarzają się każdego dnia. Temu inspektorowi wystarczy, że ma kobietę, polisę ubezpieczeniową i podejrzaną pożar. Raz, dwa i jest po robocie.

-Ktoś ją wrabia. Cholera, gdyby rzeczywiście chodziło o ubezpieczenie, po co miałyby od razu podpalać cały budynek? Nie mogła spalić tylko własnego mieszkania?

-To mogłoby wzbudzić podejrzenia. Tak czy inaczej, naszego piromana kręcą jak największe zniszczenia. Miała pecha, że trafiła akurat na niego. Pewnie nawet nie wiedziała, co ten gość zamierza.

Pellam, w przeszłości niezależny filmowiec i scenarzysta, często przyłapywał się na myśli, że życie to plątanina różnych wątków. W tym jednak były ewidentne luki.

- Okej, w takim razie firma ubezpieczeniowa musiała przesłać jej tę polisę. I co Ettie powiedziała, kiedy ją zobaczyła?

-W agencji twierdzą, że osobiście pobrała formularz zgłoszeniowy, wypełniła i odesłała pocztą. Stamtąd przesłali go do głównej siedziby firmy. Poświadczona kopia polisy wyszła od nich pocztą dzień przed pożarem, więc Ettie nigdy jej nie dostała.

-Wobec tego agent ubezpieczeniowy albo jakiś inny urzędnik będzie mógł zeznać, że to nie była ona - zauważył Pellam.

-Urzędniczka rozpoznała ją na zdjęciu jako kobietę, która pobrała od niej formularz zgłoszeniowy.

Pellam, zdeklarowany sceptyk jeśli chodzi o teorie spiskowe, poczuł, że ma oto do czynienia z intrygą na miarę filmu Olivera Stone'a.

- A co z czekiem pokrywającym składkę?

-Zapłaciła gotówką.

-I co na to Ettie? - spytał Pellam.



-Oczywiście wszystkiemu zaprzecza - poinformował go Bailey lekceważącym tonem, jakby wypieranie się winy przez podejrzanego było w śledztwie czymś równie nieistotnym, jak mucha przechadzająca się przed nimi po krawędzi kontuaru. - A teraz przejdźmy do spraw praktycznych. Odczytanie aktu oskarżenia wyznaczono na jutro. Zastępca prokuratora okręgowego bąkała coś o odroczeniu rozprawy. Wie pan, na czym polega odczytanie aktu oskarżenia? Prokurator...

-Wiem, co to jest - mruknął Pellam. - A jak wygląda sytuacja z kaucją?

-Nie sędzę, aby była zbyt wysoka. Pogadam z paroma znajomymi poręczycielami. W przypadku Ettie nie ma większego ryzyka, bo nie jest zbyt mobilna. No, i na szczęście nie jest to sprawa o zabójstwo.

-Panie Bailey - zaczął Pellam.

Prawnik podniósł w górę otwartą dłoń.

- Proszę mi mówić Louis. - Louie. - Bailey wypowiedział swoje imię, zniżając głos, i na jedną krótką chwilę stał się żywym wcieleniem cwanego kolesia z noweli Damona Runyona.

-Zajmowałeś się już kiedyś czymś takim? - zapytał Pellam delikatnie. - Mam na myśli podobne sprawy.

-Ach. - Bailey odchylił do tyłu głowę i pomacał się po obwisłym podgardlu. Ich spojrzenia się spotkały i nagle oczy prawnika rozbłysły, odmalowało się w nich skupienie. Zauważyłem, jak mi się przyglądasz. Jak patrzysz na mój tandetny krawat i wystrzępione mankiety. Na mój garnitur z odzysku. Zauważyłeś może, że góra i dół różnią się rodzajem szkockiej kratki? Rok temu musiałem wyrzucić spodnie od kompletu, bo były za bardzo znoszone, i dobrałem jak najbardziej zbliżony wzór. Do tego jako dżentelmen nie skomentowałeś ani słowem mojej skłonności do nadużywania alkoholu o tak wczesnej porze...

Wyciągnął przed siebie prawą dłoń gestem, który w wykonaniu kogoś innego byłby z pewnością o wiele bardziej dramatyczny.

-Oto sygnet studenta nowojorskiego wydziału prawa. Przy okazji chciałbym podkreślić, że mam na myśli Nowojorską Szkołę Prawa, a nie Uniwersytet Nowojorski, bo to ogromna różnica. Uczyłem się wieczorowo, a w dzień praktykowałem w sądzie i skończyłem studia z

wynikiem trochę na lewo od średniej mojego rocznika.

-Na pewno jesteś świetnym prawnikiem...

-Oczywiście, że nie! - parsknął Bailey. - Ale co z tego? To nie jest sprawa z Upper East Side. Ani z SoHo czy Westchester. Takie sprawy wymagają zatrudnienia naprawdę dobrego prawnika. Ale ta sprawa dotyczy Hell's Kitchen. Ettie jest biedna, czarna, a fakty świadczą przeciwko niej i ława przysięgłych uzna ją za winną, jeszcze zanim się zbierze. Prawo nie ma z tym wszystkim nic wspólnego.

-A co ma?

-Kij w szprychy - szepnął Bailey; zabrzmiało to tak, jakby uliczny ściek z sykiem zasysał wodę.

Pellam nie miał ochoty na zgrywanie mądrali. Milczał. Za szybą pubu wolno przejechał samochód. BMW kabriolet. Nawet tutaj wyraźnie słyhać było basowe rytmy popularnego, rapowanego kawałka, który Pellam już wielokrotnie miał okazję słyszeć na falach lokalnych stacji radiowych.

To świat białego człowieka, otwórz w końcu oczy...

Samochód powoli się oddalił.

-Kij w szprychy - powtórzył Bailey, bawiąc się oliwką. - Już ci mówię, co to znaczy: pierwsza rzecz, jakiej musisz się nauczyć, mieszkając w Hell's Kitchen, to że w każdej chwili ktoś może cię zabić. Z byle powodu albo w ogóle bez powodu. Takie są fakty. Co zatem można zrobić, żeby mimo wszystko przeżyć? Można na przykład utrudnić innym to zadanie. Idąc ulicą, trzymać się z dala od ciemnych zaułków, nie nawiązywać kontaktu wzrokowego, ubierać się skromnie, nie wystawać samotnie na rogach ulic, a w barach takich jak ten rzucać od niechcena nazwiska szefów związkowych albo gliniarzy z Midtown South... Rozumiesz, co mam na myśli? Trzeba wsadzać kij w szprychy. Jeśli niełatwo będzie cię zabić, może ci, którzy mają na to ochotę, pójdą sobie gdzie indziej.

-A jak to się ma do sytuacji Ettie?

-Wszyscy - zastępca prokuratora okręgowego, gliny, prasa - idą po linii najmniejszego oporu. Jeżeli ktoś wpycha im kij w szprychy i utrudnia zamknięcie sprawy, zaczynają się rozglądać za nowym podejrzanym. Kolejnym łatwym celem. Dlatego na razie tylko tyle możemy zrobić dla Ettie. Wsadzić im kij w szprychy.

-W takim razie podsuńmy im innego podejrzanego. Kto jeszcze mógłby mieć motyw? Właściciel budynku, prawda? Żeby wyłudzić odszkodowanie.

-To niewykluźnione. Sprawdzę akt własności i dowiem się, jak się sprawy mają w kwestii ubezpieczenia kamienicy.

-Z jakiego jeszcze powodu ktoś mógłby podłożyć tam ogień?

-Dzieciaki robią takie rzeczy dla zabawy. W tym mieście to główna przyczyna wszystkich nieszczęść. Numer dwa to zemsta. Powiedzmy, że ktoś sypia z twoją żoną. Wystarczy szparą pod drzwiami wstrzyknąć mu do mieszkania trochę płynu do zapalniczek i gotowe. Poza tym mnóstwo przestępców wznieca pożary, żeby zatrzeć ślady innych zbrodni. Przede wszystkim gwałtów zakończonych morderstwem. Także włamań. Do tego, jak już mówiłem, dochodzą próby wyłudzenia odszkodowań. Bywa też, że ktoś cierpi na przerost ego - posłaniec zaprósza pożar w biurze, po czym sam go gasi i już jest bohaterem... Zdarzają się również podpalenia zabytków, zwłaszcza tutaj, w Hell's Kitchen - miasto nadaje budynkom specjalny status ze względu na ich wiek. Właściciele starych kamienic, które na siebie nie zarabiają, bo ich utrzymanie jest zbyt kosztowne, zwykle decydują się je wyburzyć i stawiają na ich miejscu coś, co przyniesie im zysk. Ale zabytków nie wolno burzyć, są pod specjalną ochroną. I co wtedy? Nieszczęście, wybucha pożar. Co za zbieg okoliczności! Właściciel może budować, co tylko zechce. O ile oczywiście go nie nakryją.

-Czy kamienica Ettie miała status zabytku?

-Nie wiem. Ale mogę się dowiedzieć.

Nacisk, jaki Bailey położył na czasownik „mogę”, powiedział Pellamowi co nieco o metodzie, jaką się posługiwał, żeby „wsadzić kij w szprychy”. Wydobył portfel z tylnej kieszeni spodni i położył go przed sobą na barze.

Twarz prawnika rozciągnęła się w rozanielonym uśmiechu.

- Tak jest, dokładnie tak to działa u nas w Hell's Kitchen. Każdego można kupić. Może nawet mnie. - Nagle uśmiech zniknął. - A może po prostu znam swoją cenę. Tak tutaj postrzegamy etykę zawodową - trzeba się wysoko cenić.

Za szybą przemknął radiowóz z migającymi światłami, lecz

wyłączoną syreną. Z jakiegoś względu towarzysząca jego przejazdowi cisza zrobiła na nich obu silne wrażenie, jakby policjanci udawali się gdzieś z przerażającą i nie cierpiącą zwłoki misją.

Bailey umilkł i nagle spowaźniał; Pellam domyślił się, że to drugi - a może już trzeci? dżin daje o sobie znać, wywołując nagły przyptyw nieoczekiwanej melancholii. Prawnik ojcowskim gestem położył mu dłoń na ramieniu, a w jego zamglonych oczach Pellam dostrzegł przeblysłk niechętej szczerości.

- Muszę cię o coś zapytać.

Pellam skinął głową.

-Czy jesteś zupełnie pewien, że chcesz się w to angażować? Zaczekaj. Zanim odpowiesz, pozwól, że jeszcze cię o coś spytam. Ty rozmawiałeś z wieloma osobami w tej okolicy? Przy okazji wywiadów do tego swojego filmu?

-Głównie z Ettie. I z jakimś tuzinem innych.

Bailey kiwnął głową i z bliska przyjrzał się uważnie twarzy Pellama.  
- No to już wiesz, że ludzie w Hell's Kitchen są bardzo przystępni. Podziela się z tobą ćwierćlitrowką whisky i nie obetrą szyjki, kiedy oddasz im butelkę. Przegadają z tobą całe godziny na progu swojego domu. Czasami wręcz trudno jest ich zmusić do milczenia.

-To prawda. Nieraz sam się o tym przekonywałem.

-Człowiek czuje się przy nich swobodnie, prawda?

-Fakt. Tak właśnie jest.

-Ale to tylko pozory - ciągnął Bailey. - Nie znaczą wcale, że ci ludzie cię akceptują. Albo że ci ufają. Nie spodziewaj się, że ktoś zdradzi ci swoje prawdziwe sekrety. Bo co jak co, ale na pewno nie usłyszy ich ktoś taki jak ty.

-Jak mam to rozumieć? - zapytał Pellam.

Miejsce szczerości zajęła ostrożność. Na chwilę zapadło między nimi milczenie. - Chcę tylko powiedzieć, że to niebezpieczny teren. Bardzo niebezpieczny. I z każdym tygodniem robi się tu coraz gorzej. Ostatnio mieliśmy sporo pożarów, więcej niż zwykle. Pojawiły się też gangi... strzelaniny...

Dodatek miejski „Timesa” pełen był opisów takich strzelanin. Historii dzieciaków wnoszących potajemnie broń do podstawówek. Niewinnych ludzi ginących od przypadkowej kuli albo z rąk oszalałego

snajpera. Pellam przestał je czytać już po tygodniu swojego pobytu w tym mieście.

-W Hell's Kitchen źle się teraz dzieje.

A czy kiedykolwiek było inaczej? - pomyślał Pellam.

Bailey jeszcze raz zapytał:

- Czy naprawdę jesteś pewien, że chcesz się w to angażować? -  
Lecz gdy tylko Pellam otworzył usta, podniósł dłoń, żeby go uciszyć. -  
Jesteś gotów się przekonać, dokąd cię to zaprowadzi?

Pellam odpowiedział pytaniem na pytanie:

- Ile? - I poklepał swój portfel.

Wzrok Bailey'a ponownie zasnuła mgła alkoholowego upojenia.

- Za wszystko? - Wzruszył ramionami. - Będę musiał znaleźć  
gliniarza, który za odpowiednią kwotę udostępni mi raport z miejsca  
zdarzenia, nazwisko agenta ubezpieczeniowego i wszystko, co tam na  
nią mają. Dane dotyczące właściciela i akt własności są w publicznych  
archiwach, ale to może trwać całymi tygodniami, jeśli się nie, no  
wiesz...

-Nie posmaruje - mruknął Pellam.

-Założmy, że... tysiąc.

Pellam zastanawiał się, co tak naprawdę stanowi przedmiot tego  
targu: swobodnie pojmowana moralność czy jego własna naiwność.

-Pięćset.

Bailey zawahał się.

- Nie wiem, czy dam radę...

-Ona jest niewinna, Louis - przerwał mu Pellam. - A to znaczy, że  
Bóg jest po naszej stronie. Czy to się nie liczy w tym rozrachunku?

-W Hell's Kitchen? - Bailey ryknął śmiechem. - Bóg dawno już  
zapomniał o tym miejscu. Daj mi sześć stów, zobaczę, co da się  
zrobić.

## 5

Rozłożył plan na przepięknym, kamiennym blacie.

Wygładzając zagniecenia długimi, kościstymi palcami, Sonny rozkoszował się miękkością faktury i myślą, że oto dotyka żywego wcielenia kory drzewa. Lubił szelest papieru, lubił jego dotyk. Wiedział, że nic nie pali się lepiej.

Podniósł głowę, żeby rozejrzeć się po przestronnym poddaszu.

Zaraz jednak opuścił wzrok. Przed sobą miał plan Manhattanu. Długo wodził palcem wzdłuż kolorowych nitek ulic, aż w końcu znalazł miejsce, gdzie się obecnie znajdował. Kosztownym długopisem postawił w tym miejscu krzyżyk i z kieliszka do wina pociągnął łyk piwa imbirowego.

W tym samym momencie dobiegł go odgłos szurania i coś jakby miauczenie. Spojrzał w prawo - na świadka, tamtą dziewczynę, która wcześniej na pogorzeliśku flirtowała z kowbojem. Biedna rudowłosa agentka Scullery z biura Ernst Young... Musiała cholernie dobrze zarabiać, bo to jej poddasze było naprawdę bardzo ładnie urządzone. Sonny obrzucił dziewczynę krytycznym wzrokiem i po raz kolejny doszedł do wniosku, że w długich włosach byłoby jej bardziej do twarzy, tak jak jemu. Leżała teraz na boku, z rękoma i nogami skrępowanymi srebrną taśmą klejącą. Taka sama taśma zaklejała jej usta.

Sonny zagadnął ją rzeczowo:

- Wiesz, ten twój serial to zwykła lipa. Nie wierzę, że FBI faktycznie robi te wszystkie rzeczy. Myślisz, że agentów federalnych naprawdę obchodzą jacyś tam kosmici? Mają to zwyczajnie w dupie. - Przemawiał uspokajającym, choć trochę nieobecny tonem. Jednocześnie muskał palcami kolorowe kwadraciki na mapie, przypominały mu klocki, które w dzieciństwie kupowała matka.

Tutaj.

Zaznaczył na planie budynek.

I tutaj.

Jeszcze jeden.

W ten sam sposób wybrał jeszcze kilka obiektów, zaznaczając je

krzyżkami. Czekają go teraz sporo pracy. Ale Sonny lubił pracować - była to chyba jedyna czynność, co do której nie miał żadnych zastrzeżeń. Cnota sama w sobie jest wystarczającą nagrodą. Agentka Scullery popatrywała na niego znad paska metalicznej taśmy, a jej bosa pięty wybijały o podłogę głośne, rozpaczliwe SOS.

-Ojej, ojej. - Sonny złożył starannie plan i schował go do tylnej kieszeni spodni. Pstryknął długopisem, żeby schować końcówkę, i ostrożnie wsunął go do kieszonki na piersiach. Nie znosił, kiedy tusz plamił mu ubrania. Potem szerokim łukiem obszedł agentkę Scullery, która kopiała, wiła się i pomiaukiwała.

W kuchni zapoznał się bliżej z kuchenką gazową. Był to najnowszy model, ale fakt ten nie zrobił na nim większego wrażenia. Wszelkie gadżety obchodziły go o tyle, o ile były mu przydatne w pracy. Swojej własnej kuchenki używał jedynie do gotowania wody na ziołowe herbatki. Jadał wyłącznie warzywa, lecz nigdy ich nie gotował; już sama myśl o podgrzewaniu żywności napawała go wstrętem. Przyklęknął teraz na niepokalanie czystej posadzce i otworzył drzwiczki piecyka. Pięć sekund zajęło mu odkręcenie zaworu odcinającego dopływ gazu, dziesięć - wyrwanie z obsadki gumowego przewodu. Kwaśna woń substancji dodawanej do gazu (który sam w sobie był bezwonny) z wolna zaczęła wypełniać pomieszczenie. Słodkogorzki aromat był dziwnie przyjemny i przypominał zapachem tonik.

Sonny podszedł do drzwi wejściowych i dwukrotnie przekręcił wyłącznik światła, żeby sprawdzić, która żarówka się zapali. Zapaliła się jedna z tych pod sufitem, niedaleko od wejścia. Sonny wszedł na krzesło i wspiąwszy się na palce, trzymanym w ręku kluczem francuskim rozbił żarówkę. Na jego głowę i ramiona posypał się deszcz szklanych odłamków. Strop był tu wysoki i Sonny musiał się nieźle nagimnastykować. Gdy usiłował dosięgnąć żarówki, ogarnęła go nagła pewność, że ta przerośnięta agentka Scullery w duchu się z niego naśmiewa.

Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni, pocieszył się Sonny. Rzucił dziewczynie nienawistne spojrzenie, podszedł do swojej torby, wyjął z niej butelkę soku i oblał nim jej bluzkę i spódnicę. Szamotała się, próbując umknąć spod cuchnącego strumienia.

-I co, nadal ci wesoło?

Przeszedł się po mieszkaniu, gasząc po drodze wszystkie światła i zaciągając zasłony. Potem wyszedł na korytarz, nie domykając za sobą drzwi. W holu na parterze spisał sobie nazwiska sześciu lokatorów.

Pół godziny później stał przecznicę dalej w budce telefonicznej z niedojedzonym owocem mango w ręce i przytrzymując brodą słuchawkę, wystukiwał kolejno numery telefonów.

Przy piątej próbie w słuchawce rozległ się wreszcie czyjś głos.

- Halo?

-Czy to mieszkanie państwa Roberts?

-Tak, mówi Sally Roberts.

-Dzień dobry, nie zna mnie pani. Jestem bratem Alice Gibson, pani sąsiadki.

-Jasne, Alice. Tej spod 4D?

-Właśnie. Wspominała mi kiedyś o pani, więc pozwoliłem sobie odszukać pani numer w książce telefonicznej. Trochę się o nią niepokoję.

-Naprawdę? - Głos kobiety również zabarwił niepokój.

-Jakiś czas temu rozmawialiśmy przez telefon. Mówiła, że bardzo źle się czuje, że to chyba zatrucie pokarmowe. Potem rozłączyła się i od tamtej pory nie podnosi słuchawki. Nie chciałbym pani fatygować, ale może mogłaby pani do niej zajrzeć, sprawdzić, czy wszystko jest w porządku? Boję się, że mogła stracić przytomność.

-Oczywiście. Poda mi pan swój numer?

-Jeśli można, wolałbym poczekać przy telefonie - odparł Sonny, chodzący wzór uprzejmości. - Bardzo pani dziękuję.

Oparł głowę o aluminiową ścianę budki. Zostały na niej tłuste ślady potu. Dlaczego aż tak się poci? Znowu go to zastanowiło. E, to na pewno przez ten upał. W taki skwar wszyscy się pocą. Ale nie wszystkim trzęsą się ręce... Odsunął od siebie tę nieprzyjemną myśl. Lepiej pomyśleć o czymś innym. Może o kolacji? Może być. Co by tu dzisiaj zjeść? O, już wie: smacznego, dojrzałego pomidora prosto z Jersey. Trudno je było kupić. Najlepiej z solą i odrobiną...

Dziwna rzecz; potężny huk wybuchu rozległ się najpierw w słuchawce, a dopiero potem na zewnątrz. Połączenie zostało



zerwane, a budka zachybotwała się gwałtownie pod podmuchem eksplozji. Dla wybuchu gazu typowe były biało-niebieskie płomienie i niewielka ilość dymu; szyby najpierw implodowały pod siłą zasysanego tlenu, a następnie wylatywały z okien pod wpływem temperatury spalania.

Pożar działał silniej do wewnątrz niż na zewnątrz.

Sonny przyglądał się przez chwilę, jak płomienie sięgają najwyższego piętra, gdzie znajdowało się mieszkanie świętej pamięci agentki Scullery. Po krótkiej chwili zajął się smołowany dach i dym z białego zrobił się najpierw szary, a potem czarny.

Wytrzeł dłonie serwetką. Potem rozłożył plan i z namaszczeniem umieścił krzyżyk w kółku, którym zaznaczył budynek z luksusowym poddaszem. Wyrzucił niedojedzone mango i uznał, że czas wracać do domu. Szedł szybkim krokiem pod prąd, w przeciwną stronę niż wszyscy gapie. Sycił się ich podnieceniem i szczerze żałował, że nie wiedzą, komu to wszystko zawdzięczają.

-Jak się czujecie, matko?

-Jak się czuje? - Głos niósł się echem po zimnej, cementowej posadzce. - Jak się czuje?

Ettie Washington leżała na pryczy z podkulonymi nogami. Otworzyła oczy. Jej pierwszą myślą było, że jest nieodpowiednio ubrana. Zawsze bardzo dbała o swój wygląd, prasowała sukienki, bluzki i spódnice. Tymczasem tutaj, w areszcie dla kobiet w samym sercu Manhattanu, gdzie pozwalano osadzonym zatrzymać swoje cywilne ciuchy - z wyjątkiem pasków i sznurówek, rzecz jasna - Ettie Washington nie miała co na siebie włożyć.

Kiedy przywieźli ją tu ze szpitala, miała na sobie bladoniebieską koszulę nocną w kropki, z rozcięciem na plecach. Bez guzików, tylko wiążaną na troczki. Czuła się w niej potwornie skrępowana. W końcu któraś ze strażniczek wyszukała jej prostą sukienkę z więziennego przydziału. Niebieską, milion razy praną. Ettie wprost nie mogła na siebie patrzeć.

-Matko, słyszycie mnie? Dobrze się czujecie?

Duża ciemna dłoń zawisała nad jej twarzą, a potem delikatnie dotknęła jej czoła. - Jest rozpalona. Może ma gorączkę?

-Niech Bóg ma ją w swojej opiece - z drugiego końca celi dobiegł

ją czyjś głos.

-Nic jej nie będzie. Nic wam nie będzie, matko. - Duża kobieta po czterdziestce osunęła się na kolana u wezgowia Ettie, która zmrużyła oczy, żeby lepiej widzieć.

-Jak wasza ręka?

-Boli - odparła Ettie. - Jest złamana.

-Ładny gips. - Brązowe oczy zatrzymały się na podpisie Johna Pellama.

-Jak ci na imię? - zapytała kobietę Ettie. Spróbowała usiąść.

-Nie, nie róbcie tego, matko, powinniście leżeć. Nazywam się Hatake Imaham, matko.

-A ja Ettie Washington.

-Wiemy.

Ettie ponownie spróbowała usiąść. Leżąc na wznak, czuła się bezradna, słabsza niż zwykle.

-Nie, nie, nie, matko, nie ruszajcie się. Nie próbujcie siadać. Wtargali was tutaj jak wór ziemniaków. Pieprzone białasy... A potem rzucili na wyro.

W celi stały dwadzieścia cztery prycze, wszystkie przykręcone śrubami do posadzki. Materace miały dwa centymetry grubości i były brudne jak nieszczęście. Równie dobrze mogłaby leżeć na podłodze.

Ettie jak przez mgłę pamiętała swoją drogę do aresztu. Gliniarze przenieśli ją tutaj ze szpitalnej sali, wyczerpaną i naszprycowaną środkami przeciwbólowymi. Wieźli ją w policyjnej suce. W środku nie było niczego, czego mogłaby się przytrzymać, a Ettie miała wrażenie, że kierowca celowo bierze ostre zakręty. Dwukrotnie spadła ze śliskiej, plastikowej ławki. Nie potrafiłaby przy tym zliczyć, ile razy boleśnie uraziła złamaną rękę, obijając się po wnętrzu wozu - do tego stopnia, że pod koniec miała już łzy w oczach.

-Jestem zmęczona - zwróciła się do Hatake. Ominęła wzrokiem potężne ciało klęczącej przy niej kobiety i spojrzała na pozostałe towarzyszki. Areszt składał się z jednego dużego pomieszczenia, zakratowanego i pomalowanego na beżowo. Jak wielu mieszkańców Hell's Kitchen, Ettie Washington wiedziała to i owo o aresztach. Wiedziała na przykład, że większość z obecnych w celi kobiet wylądowała tu za gówniane przewinienia - przewinienia, które na

dobłą sprawę nikogo nie obchodziły. Kradzież w sklepie, prostytutka, napaść, oszustwo. Okradanie sklepów było okej, bo pozwalało kobiecie wyżywić rodzinę. Jeżeli zostawała prostytutką - Ettie nienawidziła określenia „dziwka” - działo się tak zwykle dlatego, że nie mogła znaleźć uczciwej pracy za uczciwe pieniądze (zresztą w ten sposób przynajmniej pracowała, zamiast siedzieć w domu na zasiłku). Napaść - no cóż, czy przywalenie kochance męża naprawdę jest aż taką zbrodnią? Komu to przeszkadza? Samej Ettie zdarzyło się to nawet raz czy dwa. A jeśli chodzi o naciąganie opieki społecznej, to... Litości, proszę, w końcu to okazja czyni złodzieja i tak dalej.

Ettie poczuła, że ma ochotę na wino. Straszłą ochotę. Wcześniej wetknęła sobie pod gips sto dolarów, ale nie wyglądało na to, aby którakolwiek z jej sąsiadek była na tyle ustosunkowana, aby skombinować jej butelczynę. Ostatecznie to jeszcze młode dziewczyny, w większości jeszcze dzieci.

Hatake Imaham ponownie dotknęła jej czoła.

-Leżcie spokojnie, matko. Nie ruszajcie się i o nic się nie martwcie. Przyniosę, co wam tylko trzeba.

Hatake była wielką babą z dreadami, w których tkwiły afrykańskie paciorki - taką samą fryzurę miała Elizabeth w dniu, gdy wyjeżdżała z Nowego Jorku. Ettie zauważyła w jej uszach duże dziury po kolczykach; ciekawe, jak ciężkie muszą być kolczyki, żeby aż tak rozciągnąć skórę. Zastanowiła się, czy Elizabeth też nosi taką biżuterię. Pewnie tak. Jej córka była pretensjonalną dziewczyną.

-Muszę gdzieś zadzwonić - powiedziała.

-Pozwolą wam, ale nie teraz. - Kobieta dotknęła jej zdrowej ręki i ścisnęła ją delikatnie.

-Jakiś sukinsyn zabrał mi pigułki - poskarżyła się Ettie. - Któryś ze strażników. A ja muszę je teraz zażyć.

Hatake roześmiała się głośno.

- Skarbie, tych pigułek dawno tu nie ma. Sprzedane. Zobaczymy z dziewczynami, co da się wykombinować. Znajdziemy coś, co złagodzi ból. Założę się, że ta ręka rwie was jak diabli.

Niewiele brakowało, a Ettie wygadałaby się, że ma pieniądze i może zapłacić. Instynkt podpowiedział jej jednak, żeby póki co zachować tę informację dla siebie. Odparła więc tylko: - Dziękuję.

-Leżcie spokojnie, matko. Odpoczywajcie. Zajmiemy się wami.

Ettie przymknęła oczy i pomyślała o Elizabeth. Potem pomyślała o swoim mężu Billym Doyle'u, a na koniec o Johnie Pellamie. Nie rozmyślała o nim jednak zbyt długo, bo po mniej więcej pięciu sekundach usnęła.

-No i co? Hatake Imaham wróciła do kobiet, które zbiły się w ciasną grupkę w drugim końcu celi.

-Zrobiła to, suka jedna. Jest winna, ma to wypisane na czole. - Hatake nigdy nie twierdziła, że ma jakąś szczególną moc, ale w całej Hell's Kitchen wiadano, że posiada coś w rodzaju szóstego zmysłu. I chociaż nie odnosiła większych sukcesów jako ta, co nakłada ręce na chorych, żeby ich wyleczyć, wszyscy wiedzieli, że jest zdolna poznać najskrytsze tajemnice człowieka, po prostu go dotykając. Teraz zaś była pewna, że żar i wibracje promieniujące z czoła Ettie Washington dobitnie świadczą o jej poczuciu winy.

-Cholera - syknęła jedna z kobiet. - Żeby tak poparzyć dzieciaka. Takiego ślicznego chłopaczka.

-Skrzywdziła dziecko? - spytała inna pełnym niedowierzania szeptem.

-Podłożyła ogień w piwnicy, dziewczyno - nie czytałaś o tym? Przy Trzydziestej Szóstej. Wszyscy tam mogli przez nią zginąć.

-I ta suka śmie się nazywać matką - warknęła chuda jak patyk kobieta o głęboko osadzonych oczach. - Pieprzyć ją. Najlepiej...

-Ciii - Hatake machnęła ręką.

-Załatwmy ją od razu! Załatwmy sukę!

Twarz Hatake wykrzywił gniewny grymas.

- Cisza! Damballah mówi! Zrobimy to po mojemu. Słyszysz, dziewczyno? Nie zabiję jej. Damballah nie żąda większej zapłaty ponad to, co ta sama zrobiła.

-Okej, siostró - odparła tamta cichym i przestraszonym głosem. - Okej. Jak chcesz. To co robimy?

-Ciii - syknęła ponownie Hatake i wyjrzała przez kraty na zewnątrz, gdzie ospała strażniczka odpoczywała poza zasięgiem ich głosów. - Która się dzisiaj widzi ze swoim papugą?

Podniosło się kilka rąk. Same prostytutki. Hatake wiedziała, że policja załatwia ich zwolnienia na łapu-capu, żeby jak najszybciej się

ich pozbyć. Zupełnie jakby miastu zależało na tym, żeby czym prędzej znalazły się z powrotem na ulicy. Hatake wyszukała wzrokiem najstarszą z nich.

- Ty jesteś Dannette, tak?

Kobieta przytaknęła; na jej ospowatej twarzy malował się niczym nie zmałowany spokój.

-Poproszę cię, żebyś coś dla mnie zrobiła. Co ty na to, dziewczyno?

-Co niby miałabym zrobić?

-Pogadasz ze swoim papugą, jak wezmą cię na salę rozpraw.

-Sie wie, siostró.

-Powiesz mu, że mu się to opłaci. Potem wyjdiesz i zaraz tu wrócisz.

Dannette zmarszczyła brwi.

- Chcesz, żebym... Żebym co?

-Posłuchaj mnie. Ty wrócisz tutaj. Jutro...

Dannette kiwała głową, chociaż zupełnie nic nie rozumiała.

Hatake mówiła dalej:

- Chcę, żebyś coś zdobyła i mi to przyniosła. Wiesz jak, prawda? Wiesz, gdzie masz to schować? W swojej dziurce, tylko z tyłu, a nie z przodu. W foliowej torebce.

-Jasne. - Dannette kiwała głową z taką pewnością siebie, jakby codziennie przemyciała w ten sposób trefny towar.

Popatrzyła po pozostałych. W ich oczach wyczytała poparcie dla tego, co miała zrobić cokolwiek by to było.

-Zapłacę ci, żebyś tu wróciła.

-A załatwisz mi koks? - zapytała skwapliwie dziewczyna.

Hatake zmarszczyła gniewnie brwi. Powszechnie było wiadomo, że nienawidzi narkotyków, dilerów i wszystkich, którzy brali.

- Porąbało cię, dziewczyno?

Ospowata twarz skamieniała.

- Załatwisz mi koks?

-Dam ci kasę - warknęło potężne babsko. - Kupisz sobie za nią, co będziesz chciała. Możesz sobie spieprzyć życie, jak chcesz. Twoja sprawa.

Dannette odparła:

- To co mam ci przynieść?

-Ciii - szepnęła Hatake Imaham. Strażniczka mijiała akurat drzwi ich celi.

## 6

Niczego sobie miejsce...

-Och, John, powiedz mi prawdę. Mam poważne kłopoty? Pellam spojrzał na Ettie. Jeszcze nie. Ale powiedziałbym, że stąpasz po bardzo cienkim lodzie.

-Jak dobrze cię znowu widzieć...

Siedzieli naprzeciwko siebie w pomieszczeniu rzęsiście oświetlonym jarzeniówkami. Na pobliską ścianę powoli wdrapywał się karaluch, mijając po drodze rozgniecione i wyschnięte na wiór zwłoki swoich krewniaków. Ignorując wiszącą pod sufitem tabliczkę z informacją o zakazie fizycznego kontaktu, John Pellam ujął zagipsowaną dłoń Ettie Washington. Stojąca obok przysadzista strażniczka w więziennym mundurze skwitowała to jawne łamanie obowiązujących przepisów chłodnym spojrzeniem, ale nic nie powiedziała.

Pellam oznajmił:

- Louis Bailey wyciągnie cię stąd za kaucją.

Ettie kiepsko wyglądała. Sprawiała wrażenie aż nazbyt spokojnej, biorąc pod uwagę wszystko, co ją ostatnio spotkało. Pellam dobrze znał jej temperament. Pamiętał, jak opowiadała mu o tym, jak zostawił ją mąż, niejaki Billy Doyle. I o tym, jak wylali ją z ostatniej roboty. Po latach pracy u jednego bubka na Manhattanie pokazano jej drzwi, nie wypłaciwszy choćby centa odprawy. Pellam miał pełne prawo spodziewać się, że tym razem Ettie skieruje swoją furię na tajemniczego podpalacza, policję i więziennych strażników. Zamiast tego ujrzał w jej oczach rezygnację, która zaniepokoiła go o wiele bardziej niż gniew.

Zaczęła skubać przetarty rękaw luźnej sukienki. - Strażniczki mówią, że lepiej będzie, jeśli się przyznam i powiem, kogo wynajęłam, żeby to zrobił. Nie mam pojęcia, o co im chodzi.

Po chwili zastanowienia Pellam podjął decyzję.

- Możesz powiedzieć mi coś na temat tej polisy ubezpieczeniowej?  
- zapytał.

-Do diabła, nie wykupiłam żadnej polisy, John. Czy naprawdę mają

mnie za głupią, starą babę, która zrobiłaby coś podobnego? - Przycisnęła zdrową dłoń do głowy okrytej sztywnymi, szpakowatymi włosami, jakby czuła zbliżającą się migrenę. - Skąd bym wzięła pieniądze na ubezpieczenie? - Skrzywiła się z bólu, po czym mówiła dalej: - I tak już ledwo mi starcza na zapłacenie rachunków. A najczęściej nawet i na to mnie nie stać. Skąd niby miałabym wziąć kasę na ubezpieczenie?

-I w ostatnim miesiącu nie byłaś w żadnej agencji ubezpieczeniowej?

-Nie. Przysięgam. - Jej twarz była ściągnięta, a oczy podejrzliwie śledziły strażniczkę.

-Ettie, musiałem cię o to zapytać. Ktoś rozpoznał cię jako osobę, która wykupiła polisę.

-To już jego problem - syknęła przez zaciśnięte wargi. - Bo to na pewno nie byłam ja.

-A ktoś inny widział cię tamtego wieczora przy tylnym wejściu do budynku. Niedługo przed wybuchem pożaru.

-Zazwyczaj tamtędy wchodzę. Prawie zawsze, szczególnie jak wracam ze sklepu. Tak jest krócej. Mniej łażenia po schodach.

-Czy wszyscy mieszkańcy mają klucze do tych drzwi na tyłach kamienicy?

-Nie wiem. Myślę, że tak.

-I zamknęłaś je potem za sobą na klucz?

-Zamykają się automatycznie. Wydaje mi się, że słyszałam trzask zamka.

Ettie często pozwalała sobie na dygresje. Jedna myśl dawała początek dziesięciu innym, jedno pytanie mogło wzbudzić barwny strumień świadomości prowadzący w inne miejsca, w inny czas. Pellam zauważył jednak, że teraz Ettie zrobiła się nagle bardzo ostrożna i zaczęła udzielać krótkich, zwięzłych odpowiedzi.

Strażniczka wystarczająco długo tolerowała widok dłoni Pellama na ręce Ettie. Żadnego dotykania - warknęła. Pellam odsunął się. Strażniczka miała w nosie trzy złote ćwieki, a w każdym uchu po dziesięć czy dwanaście małych kółek. Jej wrogie spojrzenie wyraźnie mówiło, że tylko czeka, żeby ktoś zaczął sobie pokpiwać z jej ekstrawaganckiego wyglądu.



-Ten Louis Bailey - powiedział Pellam. - Myślisz, że to dobry adwokat?

-O, tak. Już wcześniej mi pomagał. Jakieś sześć, osiem miesięcy temu wynajęłam go, kiedy miałam problemy z ubezpieczeniem zdrowotnym. Całkiem nieźle się spisał... Ta strażniczka ciągle nas obserwuje, John. Ależ ma wredną minę! I co to za elegancja, wpychać sobie gwoździe do nosa.

Pellam roześmiał się. - Pewna kobieta, która była świadkiem pożaru, powiedziała mi, że jakiś czas wcześniej widziała kilku kolesiów w uliczce na tyłach kamienicy. Też ich widziałaś, kiedy wracałaś do domu ze sklepu?

-Jasne.

-Co to za jedni?

-Nikt, kogo bym znała. Jakieś chłopaczyska z okolicy. Zrozum, to boczna uliczka. Dzieciaki wciąż się tam szwendają. Zawsze tak było i będzie. Pewne rzeczy po prostu się nie zmieniają.

Pellam przypomniał sobie, co usłyszał od synka Sibbie - i za co mały natychmiast zarobił w buzię. Zapytał teraz Ettie: - Czy to mogli być jacyś gówniarze z gangu?

-Może... Trudno powiedzieć. Z reguły zostawiają nas w spokoju... Równie dobrze mogli to być ci budowlańcy - no wiesz, ci, co stawiają ten wielki budynek po drugiej stronie ulicy. Z tymi swoimi urządzeniami jak teleskopy do robienia pomiarów. Tak, dam głowę, że widziałam paru z nich wtedy w uliczce. Dobrze pamiętam, bo mieli na głowach te swoje plastikowe kaski. Rozpoznałam kilku z nich, bo wcześniej byli u nas z petycją, którą wszyscy podpisaliśmy.

Pellam przypomniał sobie, jak Ettie opowiadała mu o radości, z jaką okoliczni mieszkańcy zareagowali na wieść o budowie w ich sąsiedztwie wieżowca. Roger McKennah, niemal tak znany jak Donald Trump, stawia bajerancki drapacz chmur w Hell's Kitchen! Jego firma przysłała do dzielnicy swoich przedstawicieli, którzy mieli nakłaniać mieszkańców kamienic sąsiadujących z planowaną inwestycją do podpisywania oświadczeń, w których zgadzali się, aby wieżowiec był o pięć pięter wyższy, niż przewidywały to obowiązujące warunki zabudowy. W zamian uzyskiwali zapewnienie, że w nowym budynku znajdą się nowe sklepy spożywcze, hiszpańska restauracja oraz

całodobowa pralnia. Podobnie jak reszta mieszkańców, Ettie również złożyła swój podpis na tym dokumencie.

Dopiero później okazało się, że sklep spożywczy ma należeć do sieci delikatesów, w których za puszkę czarnej fasoli każą sobie płacić dwa dolary trzydzieści dziewięć centów, pralnia zainkasuje trzy dolary za upranie bluzki, w restauracji obowiązywać będą stroje wieczorowe, a zaparkowane przed lokalem limuzyny wygenerują koszarne korki.

Pellam skrupulatnie odnotował w myślach informację o robotnikach; zaintrygowało go, dlaczego dokonywali pomiarów przy budynku po przeciwnej stronie ulicy. Zastanawiał się także, dlaczego w ogóle pracowali o tak późnej porze...

Zmienił temat.

- Uważam, że powinniśmy zawiadomić twoją córkę.

-Już do niej dzwoniłam - odparła Ettie. Obrzuciła zdumionym spojrzeniem swój gips, zupełnie jakby właśnie zmaterializował się na jej przedramieniu. - Odbyliśmy dziś rano długą rozmowę. Obiecała opłacić honorarium Louisa. Chciała tu jutro przyjechać, ale chyba będę jej bardziej potrzebować przed samą rozprawą.

-Założę się, że nie będzie żadnej rozprawy.

Wykolkowana strażniczka wymownie spojrzała na zegarek.

-Dobra. Idziemy, Washington.

-Dopiero co przyszedłem - odparł chłodno Pellam.

-I już na pana pora.

-Jeszcze kilka minut - zaprotestował.

-Czas widzenia minął. Ruszaj się pan! A ty, Washington, lepiej się pospiesz. Pellam pochylił się i spojrzał strażniczce prosto w oczy.

- Ta kobieta ma zwichniętą kostkę. Może mi pani wyjaśnić, jak u diabła ma się pospieszyć?

-Tylko niech mi tu nie pyskuje. Idziemy.

Drzwi otworzyły się szeroko, ukazując w głębi mroczny korytarz i tablicę z częściowo widocznym napisem: WIĘŹNIOM NIE WOLN...

-Ettie - rzucił Pellam, szczerząc wesoło zęby. - Pamiętaj, jesteś mi coś winna.

-Co takiego?

-Zakończenie historii Billy'ego Doyle'a.

Zobaczył, że staruszka stara się pokryć rozpacz uśmiechem.

- Spodobała ci się, co, John? Na pewno dobrze wypadnie w filmie.
- A odwracając się do strażniczki, dodała ugodowo: - Idę już, idę. Dajże chwilę odetchnąć starszej kobiecie.

# 7

W kancelarii Louisa Baileya pochylony nad biurkiem wychudzony człowieczek uważnie słuchał instrukcji, którymi zasypywał go stary prawnik, sącząc przy tym tanie wino ze styropianowego kubka.

Na widok Pellama Bailey gestem zaprosił go do środka.

- To jest Cleg.

Chudzielec serdecznie uścisnął dłoń nowo przybyłego, zupełnie jakby byli dobrymi znajomymi. Miał na sobie marynarkę z poliestru i luźne czarne spodnie. Przy lewym mokasynie połyskiwała stalowa jednopensówka. Czuć go było brylantyną. Prawnikiem przeglądał sfatygowany kołnотatnik.

- Jedną chwileczkę...

Cleg zwrócił się do Pellama:

- Obstawiasz koniki...

Nie zabrzmiało to jak pytanie.

-Nie - odparł mimo to Pellam.

Na twarzy chudego odmalowała się konsternacja.

- Hm. Jakbyś chciał, mogę ci dać typ.

-Typ?

-Cynk - wyjaśnił Cleg.

-Cynk?

-No, pewniaka.

-Dzięki, ale nie.

Przez chwilę mężczyzna bacznie mu się przyglądał, po czym skinął głową, jakby nagle wszystko zrozumiał. Poszperał w kieszeniach i wyciągnął paczkę papierosów.

-Już mam - odezwał się Bailey i zapisał jakieś nazwisko na wielokrotnie używanej żółtej karteczce samoprzylepnej. Wydobył z biurka dwie butelki alkoholu i włożył je do dużych brązowych kopert wraz z dwoma mniejszymi pakunkami zawierającymi - jak domyślił się Pellam - jego osobistą gotówkę.

Bailey wręczył jedną z kopert Clegowi. - To dla tego urzędasza od ksiąg wieczystych. Grubas, drugie piętro. Tylko dyskretnie! A to zanieśiesz do komisji ochrony zabytków. Pani Grunwald, recepcjonistka. Ładna, ma kota. Jak się pewnie domyślasz, dostanie likier Irish Cream.

A więc tak wyglądało owo słynne „smarowanie”.

A może raczej „wsadzanie kija w szprychy”?

Chudy owinął przesyłki w dodatki sportowe i wyszedł. Pellam zobaczył przez szybę, że przystaje, zapala papierosa, po czym rusza zwawym krokiem w kierunku stacji metra.

Bailey zajął się teraz Pellamem. - Zastępca prokuratora okręgowego, pani Koepel, wystąpiła o odroczenie odczytania aktu oskarżenia Ettie. Zgodziłem się.

Pellam pokręcił głową. - Przecież to znaczy, że będzie musiała dłużej posiedzieć w areszcie.

-Fakt. Ale moim zdaniem nie opłaca się wchodzić tej suce w drogę.

- Wziął do ręki wyszczerbiony kubek i zajrzał do środka. - Koepel to wariatka. Chociaż z drugiej strony, strasznie ich cisną w sprawie tych podpaleń. Robi się nieciekawie. Słyszałeś?

-O czym? - spytał Pellam.

-Rano był kolejny pożar.

-Żartujesz.

-Tym razem na poddaszu. Tak się składa, że całkiem blisko mnie. Dwa piętra zniszczone, trzy osoby nie żyją. Wyglądało to na wybuch gazu, ale znaleźli ślady koktajlu tego naszego gagatka - benzyna, olej napędowy i mydło w płynie. Poza tym jedna z ofiar była związana i zakneblowana. - Bailey podsunął Pellamowi pod nos wyświechtany egzemplarz „The Post”. Ten spojrzął na zdjęcie przedstawiające częściowo spalony budynek.

-O słodki Jezu. - W swoim życiu robił dokumentację do wielu przygodowych filmów akcji. Większość eksplozji, tak spektakularnie wypadających na ekranie i oficjalnie wywołanych przy użyciu C4, trotylu czy dynamitu, było w rzeczywistości efektem podpalenia pojemników z nasączonymi benzyną trocinami, starannie przygotowanych na planie zdjęciowym przez doświadczonego zbrojmistra. Kiedy zapalał lont, wszyscy wycofywali się na bezpieczną odległość. Nawet kaskaderzy, dla których skok z wysokości paru pięter bez żadnego zabezpieczenia był przecież bułką z masłem, w obliczu żywiołu, jakim był ogień, stawali się cholernie ostrożni.

Bailey przejrzał swoje zapiski. - No dobrze, co my tu mamy, co my tu mamy?... Przekłęta klimatyzacja! Weź pociągnij za tę wajchę. Śmiało! To kompresor. No, pociągnij! Działa?

Pellam zrobił, co mu kazano. Stary, zakurzony sprzęt nie zareagował. Bailey wymamrotał coś niezrozumiałego; warkot klimatyzatora wszystko zagłuszał. Potem podniósł z biurka faks. - Wstępny raport z podpalenia kamienicy Ettie. Na to poszła większość twoich pieniędzy. Zrobiłem ci kopię. Czytaj i płacz.

Utajnione, do wiadomości wewnętrznej NOTATKA SŁUŻBOWA  
Od: Inspektor straży pożarnej Henry Lomax Do: Pani Lois Koepel, zastępcy prokuratora okręgowego Dotyczy: Wstępne ustalenia w sprawie pożaru o nieustalonej przyczynie przy Zachodniej Trzydziestej Szóstej Ulicy numer 458.

O godzinie 21.58 dziesiątego sierpnia przyjęto zgłoszenie z telefonu alarmowego numer 598 przy Dziesiątej Ulicy dotyczące pożaru przy Zachodniej Trzydziestej Szóstej Ulicy numer 458.

Podobne zgłoszenie w tej samej sprawie odebrano pod numerem alarmowym policji 911 o godzinie 22.02. Ekipa gaśnicza numer 38 odpowiedziała na pierwsze wezwanie, jednak na miejscu zdarzenia dowódca uznał, że ze względu na rozmiary pożaru i obecność rannych konieczny będzie przyjazd drugiej ekipy. Wezwanie to odebrano o 22.17.

Na miejscu pożaru obecne były wozy gaśnicze numer 26 i 33, cysterny numer 48 i 16 oraz wóz z drabiną numer 17. Natychmiast rozciągnięto węże i rozpoczęto polewanie trzech górnych pięter. Strażacy dostali się do budynku przez wyjście ewakuacyjne na drugim piętrze i budynek został w całości ewakuowany.

Obecny na miejscu dowódca uznał, że płomienie do tego stopnia nadwątlily konstrukcję górnych pięter, że próba wejścia przez otwór wentylacyjny w dachu byłaby wielce ryzykowna, i odwołał strażaków. Wkrótce potem doszło do zawalenia się dachu oraz dwóch górnych pięter.

Ogień ostatecznie ugaszono o 23.02, ekipy gaśnicze odjechały o 00.30.

Dowódca zgłosił konieczność wezwania na pogorzeliśko inspektora straży pożarnej, jako że pewne cechy pożaru mogły wskazywać na jego celowe wzniesienie.

Na miejsce przybyłem o godzinie pierwszej rano i natychmiast rozpocząłem dochodzenie.

Zlokalizowałem ognisko pożaru w piwnicy budynku. Potwierdzają to charakterystyczne odpryski na powierzchni cegieł oraz stopione aluminium. Zaobserwowałem również, że szyby w oknach piwnicy, które wyleciały z ram na zewnątrz, pękły nie z powodu wysokiej temperatury, lecz pod wpływem uderzenia jakimś ciężkim narzędziem. Być może chodziło o zapewnienie lepszego dopływu tlenu w celu podsycenia ognia. Zgadzałoby się to z obserwacjami naocznych świadków, którzy zeznali, że płomienie nie były błękitnawe (co wskazywałoby na wysoki poziom tlenku węgla i jest charakterystyczne dla pożarów w zamkniętych pomieszczeniach), lecz miały odcień pomarańczowy, wskazujący na swobodny dostęp tlenu.

W miejscu prawdopodobnego ogniska pożaru znalazłem odłamki stopionego szkła, które mogły odpowiadać dużej butli (o pojemności

od dwóch do czterech litrów), zaś ślady ognia na posadzce sugerowały użycie jakiegoś rodzaju płynnego przyspieszacza spalania.

Przypuszczenia te potwierdziła następnie analiza spektrograficzna. Wynika z niej, że podpalacz posłużył się mieszanką zawierającą substancje węglowodorowe (patrz policyjny raport laboratoryjny numer 337490), składającą się w 60 procentach z 89-oktanowej benzyny bezołowiowej, w 30 procentach z oleju napędowego oraz w 10 procentach z detergentu do mycia naczyń. Analiza spektrometryczna pozwoliła na ustalenie, że był to płyn do zmywania marki Dawn.

Pokrywa się to z zeznaniami naocznych świadków, którzy twierdzili, że płomień miały odcień intensywnie pomarańczowy i towarzyszyły im duże ilości dymu, co wskazywałoby na użycie jakiegoś przyspieszacza spalania zawierającego substancje węglowodorowe.

W odnalezionym na miejscu metalowym kanistrze znajdował się osad z 89-oktanowej benzyny bezołowiowej. Jednak analiza porównawcza barwników dodanych do benzyny, której śladowe ilości znajdowały się w kanistrze, oraz do benzyny wchodzącej w skład substancji przyspieszającej spalanie wykazała, iż pochodziły one z dwóch różnych źródeł.

Analiza fotospektrometryczna również potwierdziła różnice pomiędzy olejem napędowym ze zbiornika znajdującego się w budynku, a tym wchodzącym w skład substancji odnalezionej w miejscu ogniska pożaru. Podjęto próbę określenia źródła pochodzenia benzyny oraz oleju napędowego, które wchodziły w skład przyspieszacza spalania, zakończoną niepowodzeniem z uwagi na to, iż obie substancje okazały się być mieszankami.

Należy również zaznaczyć, że w budynku odnaleziono trzynaście pistoletów półautomatycznych (cztery 9-milimetrowe glocki, trzy 9-milimetrowe taurusy oraz sześć browningów kaliber 380), ukrytych w schowku za zbiornikiem oleju napędowego w piwnicy. Broń nie była naładowana, brakowało też amunicji. Pistolety przewieziono do policyjnego laboratorium kryminalistycznego w celu zbadania śladów linii papilarnych. Przeszukanie bazy-archiwum odcisków nie przyniosło jednak żadnych rezultatów.



O odkryciu tym powiadomiono Biuro ds. Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej oraz wydział kryminalny nowojorskiej policji.

Świadkowie donoszą, iż widzieli, jak na krótko przed wybuchem pożaru zamieszkała w kamienicy E. Washington wchodziła do budynku tylnym wejściem znajdującym się w odległości około trzech metrów od ogniska pożaru.

Na podstawie powyższych zeznań zarządziłem przeszukanie archiwów państwowego biura do spraw zapobiegania oszustwom ubezpieczeniowym, w wyniku którego ujawniono, iż 14 lipca bieżącego roku podejrzana Washington ubiegała się o polisę ubezpieczeniową od ognia i innych zdarzeń losowych w firmie ubezpieczeniowej New England Mutual, którą otrzymała (numer polisy 7833-B-2332, wartość ubezpieczenia 25.000 dolarów). Wypłata odszkodowania miała nastąpić na jej rachunek bankowy (East Side Bank Trust, numer rachunku 223-11003).

Odciski palców zdjęte z kilku szklanych odłamków znalezionych w pobliżu ogniska pożaru porównano z trzema innymi odnalezionymi na pogorzeli i należącymi do podejrzanej Washington. Potwierdzono zgodność dwóch fragmentarycznych odcisków.

Na tej podstawie stwierdzono prawdopodobieństwo winy i podejrzana Washington została aresztowana w Szpitalu Nowojorskim, gdzie odbywała rekonwalescencję po tym, jak przewieziono ją tam z obrażeniami odniesionymi w trakcie pożaru.

Podejrzanej Washington zostały odczytane jej prawa - odmówiła zeznań - i umożliwiono wybór zastępstwa procesowego.

Dochodzenie jest nadal w toku, a ja nie ustaję w wysiłkach mających na celu pozyskanie nowych dowodów mogących wesprzeć zastępcę prokuratora okręgowego w prowadzeniu powyższej sprawy.

Uwaga: w przypadku przeważającej większości „podpaleń dla zysku” ogień podkładany jest na najwyższym piętrze oraz na tyłach budynku. Dzieje się tak z dwóch powodów. Po pierwsze, pożar niszczy dach, którego naprawa bywa zwykle najbardziej kosztowna. W przypadku całkowitego zniszczenia dachu firma ubezpieczeniowa orzeka więc zazwyczaj szkodę całkowitą. Po drugie, woda użyta do gaszenia dachu powoduje znaczne uszkodzenia w całym budynku, a co za tym idzie, dodatkowe poważne straty przy minimalnym ryzyku

ofiar śmiertelnych.

W tym konkretnym przypadku ogień podłożono w piwnicy - to znaczy z całkowitym brakiem poszanowania dla zdrowia i życia mieszkańców. Jeżeli podpalaczem jest osoba, która wzniecała już podobne pożary na przestrzeni ostatnich kilku lat, na co wskazywałby sposób działania sprawcy oraz rodzaj użytego przyspieszacza spalania, mamy podstawy przypuszczać, że stanowi ona poważne zagrożenie dla społeczeństwa.

Zaleca się wywarcie możliwie jak największej presji na podejrzaną Washington, aby ujawniła tożsamość sprawcy, którego - według mnie - wynajęła z zamiarem popełnienia oszustwa ubezpieczeniowego.

Polisa ubezpieczeniowa.

I odciski palców.

Niech to diabli, pomyślał Pellam. Na domiar złego on sam udzielił Lomaxowi wszystkich informacji dotyczących barwy płomieni, ilości dymu i innych szczegółów technicznych!

-Zastępca prokuratora okręgowego zleciła grafologowi wykonanie ekspertyzy wniosku o wydanie polisy ubezpieczeniowej, żeby potwierdzić, czy to faktycznie Ettie go wypełniła. Ale wszystko wskazuje na to, że ich podejrzenia są uzasadnione. - Bailey skinął głową w stronę drzwi, za którymi przed chwilą zniknął Cleg, jego tandetnie odziany emisariusz. - Mam dostać kopię tej ekspertyzy zaraz, jak tylko zostanie wysłana do pani Koepel. Sprawy zdecydowanie lepiej by wyglądały, gdyby Ettie nie wypierała się tak bardzo tej polisy.

-Może wypierała się, bo wcale jej nie wykupiła - odparł Pellam. Bailey nie zareagował. Pellam jeszcze raz zajrzał do raportu. - Odszkodowanie miało być wypłacone bezpośrednio na jej konto. Czy to nie dziwne?

-Nie, to dość powszechna praktyka. Po pożarze budynku albo mieszkania ubezpieczyciel przelewa kwotę odszkodowania wprost do banku. Chodzi o to, żeby nie wysyłać czeku na adres, pod którym nikt już nie mieszka.

-Więc ten, kto wykupił polisę, musiał znać numer jej konta.

-Dokładnie tak. - Brzegi żółtych kartek z notatnika Baileya były spłowiałe od słońca. Papier wyglądał, jakby miał z dziesięć lat.

-A broń, którą znaleźli? - zapytał Pellam, przebiegając wzrokiem raport. - O czym to twoim zdaniem świadczy?

Bailey wybuchnął śmiechem. - O tym, że mamy do czynienia z kamienicą, która znajdowała się na terenie Hell's Kitchen. To wszystko. Więcej tu broni niż na autostradach w Los Angeles.

Pellam szczerze w to wątpił. Zapytał: - Dowiedziałeś się może, kto był właścicielem budynku? I czy kamienica miała status zabytku?

-Właśnie dlatego posłałem Clega z podziękowaniami. - Bailey poszperał w teczce i rzucił na biurko kserokopię dokumentu opatrzonego pieczęcią prokuratora generalnego. Najwyraźniej uważał go za niezwykle ważny, ale Pellam nie znalazł w nim nic interesującego poza niezrozumiałym prawniczym bełkotem. Wzruszył ramionami i podniósł wzrok znad kserokopii.

Prawnik wyjaśnił:

- Owszem, budynek znajdował się na liście zabytków, ale nie to jest najważniejsze.

-A co jest?

-To, że jego właścicielem jest organizacja typu non-profit. - Bailey przerzucił kilka kartek i postukał palcem w odpowiedni ustęp. Pellam przeczytał: Fundacja Świętego Augustyna, Zachodnia Trzydziesta Dziewiąta Ulica numer 500.

Wszyscy w Hell's Kitchen znali ten adres. Mieścił się tam wielki kościół, probostwo oraz budynki katolickiej uczelni od niepamiętnych czasów zlokalizowane w samym sercu dzielnicy. Jeśli w ogóle można powiedzieć, że Hell's Kitchen miała swoją duszę, to była nią parafia Świętego Augustyna. Wiedział od Ettie, że Francis P. Duffy, kapelan słynnego 69. regimentu bojowego z czasów pierwszej wojny światowej, którego członkowie rekrutowali się spośród mieszkańców Hell's Kitchen, zwykł odprawiać msze u Świętego Augustyna, zanim objął funkcję pastora w kościele Świętego Krzyża.

Teraz zapytał sceptycznie:

- Twoim zdaniem fakt, że to instytucja kościelna, automatycznie ich uniewinnia?

-Kluczem jest tu określenie non-profit - odparł Bailey - a nie kwestie teologiczne. Wszystkie pieniądze zarobione przez instytucję typu non-profit muszą w niej pozostać. Nie można ich przekazać

udziałowcom, nawet po jej rozwiązaniu. Na dodatek prokurator generalny i urząd podatkowy bez przerwy zaglądają im w księgi rachunkowe. A poza tym fundacja ubezpieczyła budynek do wysokości jego wartości księgowej, czyli na jedyne sto tysięcy. Nie bój się - znam mnóstwo księży, którzy powinni powędrować za kratki za to czy owo, ale nikt przy zdrowych zmysłach nie zaryzykuje wycieczki do SingSing dla garści drobniaków.

Pellam ruchem głowy wskazał rozłożone papiery.

- A kim jest ojciec James Dały? Dyrektorem fundacji?

-Dzwoniłem do niego z godzinę temu - był właśnie w trakcie wyszukiwania lokali zastępczych dla pogorzalców. Dam ci znać, kiedy oddzwoni.

Pellam poprosił jeszcze: - A mógłbyś też dostać nazwisko agenta ubezpieczeniowego, z którym rzekomo rozmawiała Ettie?

-Pewnie, że mogę.

Mogę. To słowo z wolna stawało się najbardziej kosztownym czasownikiem... Pellam przesunął po blacie kolejne dwie setki w nowiutkich, szeleszczących dwudziestodolarówkach. Przyszło mu do głowy, że na ekranie bankomatu powinno się dodatkowo wyświetlać ostrzegawcze pytanie: „Czy zamierzasz rozsądnie dysponować wypłaconą gotówką?”

Skinął głową w kierunku okna i wznoszącego się za nim wysokościowca. Biuro Bailey'a mieściło się zaledwie o dwa budynki od spalonej kamienicy Ettie i snujący się nad pogorzelniskiem dym wciąż przesłaniał widok na nowoczesną konstrukcję. - Ten Roger McKennah - powiedział Pellam, cedząc słowa. - Ettie mówi, że wieczorem w dniu pożaru widziała robotników z jego budowy naprzeciwko w uliczce na tyłach swojej kamienicy. Ciekawe, czego tam szukali?

Bailey tylko pokiwał głową, jakby wcale nie zdziwiła go ta informacja.

- Wykonują też u nas pewne prace.

-Tutaj? W tym budynku?

-Tak. Częściowo do niego należy. Ten hałas, który słyhać, to właśnie te roboty. - Z

korytarza piętro wyżej rzeczywiście dochodziły odgłosy walenia młotkiem. - Nowy Donald Trump we własnej osobie remontuje mój

budynek.

-Dlaczego?

-Trwają co do tego pewne spekulacje, ale sądzimy - my sądzimy - że szykuje tu gniazdko dla swojej nowej kochanki. Ale sam wiesz, jakie są plotki. Czyba go nie podejrzewasz?

-A powinienem?

Bailey zerknął na karton wina, ale zrezygnował z dolewki.

- Nigdy nie uwierzę, że zrobił coś nielegalnego. Deweloperzy pokroju McKennaha trzymają się z dala od wszelkich przekrętów. Po co pchać się w tak niedochodowe przedsięwzięcie jak podpalenie starej kamienicy? Facet jest właścicielem hoteli i biurowców na całym północnym wschodzie. Ledwie przed miesiącem otworzył nowe kasyno przy promenadzie nad oceanem w Atlantic City... Widzę, że nie wyglądasz na przekonanego.

-Scenarzyści hollywoodzkich dreszczowców mawiają: jeśli nie chcesz się za bardzo napracować przy tworzeniu postaci czarnego charakteru, zrób z niego dewelopera nieruchomości albo prezesa spółki naftowej.

Bailey pokręcił głową.

- McKennah jest za bardzo znany, żeby pakować się w coś nielegalnego - powtórzył.

-Muszę gdzieś zadzwonić. - Pellam podniósł słuchawkę.

Prawnik najwyraźniej zmienił zdanie, jeśli chodzi o wino, i napełnił kubek po same brzegi. Pellam odmówił, wystukując jednocześnie długi numer na klawiaturze. - Z Alanem Lefkowitzem proszę...

Po kilkunastu sygnałach i paru przełączeniach w tryb oczekiwania w słuchawce rozległ się wreszcie radosny głos.

-Pellam? Ten John Pellam? Gdzie ty się podziewasz, do cholery?

Pellam z niesmakiem podchwycił producencki żargon rodem z Hollywood: - Zadekowałem się w „Wielkim Jabłku”. Co masz aktualnie na tapecie, Lefty?

-Taki jeden projekt do spółki z Polygramem. No wiesz, ten z Costnerem. Właśnie jadę na plan.

Pellam nie był w stanie przypomnieć sobie, czy jest obecnie cokolwiek dłużny multimilionerowi Lefkowitzowi, czy też raczej słynny producent jest coś winien jemu. Zdecydował się jednak przybrać ton

wierzyciela i oznajmił: - Musisz mi pomóc, Lefty.

-Jasna sprawa, Johnny. Wal.

-Znasz wszystkie grube ryby ze Wschodniego Wybrzeża, nie?

-Owszem, niektóre.

-Roger McKennah.

-Wpadamy na siebie od czasu do czasu. Jest członkiem zarządu w wytwórni Columbia. Albo w NY Universal, nie pamiętam.

-Chcę się z nim zobaczyć. A ściślej, chcę mu się przyjrzeć.

Towarzysko. U niego w domu. Na neutralnym gruncie.

Cisza na drugim wybrzeżu. A potem:

- Ale... do czego ci to potrzebne?

-Robię dokumentację.

-Aha. Dokumentację. Jakiś mały rekonesans, co? Daj mi chwilę.

-Lefty nie rozłączył się, a ze słuchawki zaczęło dobiegać miarowe, ciężkie posapywanie - zupełnie, jakby jego rozmówca uprawiał seks. Pellam domyślił się jednak, że producent pochyla się właśnie nad swoim potężnym biurkiem i przerzuca kartki opasłego notesu z adresami.

-No proszę, proszę...

-Co tam znalazłeś, Lefty?

-Chcesz się wybrać na imprezę? Ty uwielbiasz imprezować, mam rację?

O ile sobie przypominał, ostatnia impreza, w jakiej uczestniczył, odbyła się przed dwoma czy trzema laty. Odparł jednak: - Żyję po to, żeby balować, Lefty.

-McKennah bez przerwy gdzieś bywa. Wystarczy, że o mnie wspomnisz, a na pewno cię wpuszczą. Podzwonię po ludziach, dowiem się, co i jak. Zadzwońię do Spielberga. - Rzecz jasna, miał na myśli asystenta Spielberga. A i tak koniec końców czekała go co najwyżej rozmowa z asystentem asystenta przebywającym w zupełnie innym mieście niż sam poszukiwacz zaginionej arki.

-Będę ci dozgonnie wdzięczny, Lefty. Słowo.

-Czyli co - rzucił niezobowiązująco producent - robisz dokumentację, tak, John?

-Zgadza się. Dokumentację.

Na linii zawisło niedopowiedzenie; odbiło się od satelity gdzieś w

lodowatej przestrzeni kosmicznej i wróciło na ziemię.

- Słyszałem to i owo, John.

-Co takiego? Że Oakland Raiders przegrywają, a Cardinals wręcz przeciwnie?

-Ktoś z post-produkcji wygadał komuś, kogo znam, że zabukowałeś studio na montaż...

-Coś mi to pachnie głuchym telefonem - zauważył Pellam.

-Ale to nie wszystko, co do mnie dotarło.

-Nie?

-Chodzą słuchy, że parę wytwórni chciało cię zatrudnić do wyszukiwania plenerów, ale ty podobno nie robisz już w tej branży.

Jeden pan powiedział drugiemu panu...

W Hollywood poczta pantoflowa działała równie sprawnie jak na ulicach Hell's Kitchen.

-Nie, no skąd. Po prostu zrobiłem sobie wakacje.

-Aha, akurat. Kumam. I szukasz dobrego montażysty, żeby podrasował ci fotki Myszki Mickey i Goofy'ego, które natrzaskałeś w Disneylandzie. Już ci wierzę.

-Coś w tym rodzaju.

-Daj spokój, John. Zawsze w ciebie wierzyłem.

Znaczyło to mniej więcej tyle, że bez względu na wszystko, co wydarzyło się w przeszłości i stawiało Pellama w nieszczególnie dobrym świetle (zwłaszcza jedna taka sprawa wisiała nad nim na podobieństwo chmury gradowej), Lefkowitz nigdy go nie przekreślił. Co przy odrobinie dobrej woli nie było znowu tak dalekie od prawdy.

-I ta świadomość trzyma mnie przy życiu.

-No więc jak? Próbujesz samodzielnie coś zмайstrować, nie mylę się?

-To nic wielkiego, Lefty. Taki skromny projekt. I tak nie byłbyś zainteresowany. W tej chwili zależy mi wyłącznie na krajowej dystrybucji.

-Masz inwestora?! I ja nic o tym nie wiem? - Ostatnie zdanie Lefkowitz wypowiedział już szeptem.

-To naprawdę bardzo skromny projekt.

-Jeśli dobrze pamiętam, Złotą Palmę i nagrodę krytyków Los Angeles też dostałeś za skromne projekty.

-Powtarzam ci: szukam dopiero dystrybutora. Producenci uwielbiają kontrakty na wyłączną dystrybucję, bo w ten sposób jeśli film robi klapę, nie grożą im milionowe straty. To zwyczajna umowa na procent. Co prawda producenci wykonawczy nie dostają wtedy nagrody Akademii i nie bogacą się tak jak zwykle, ale też z dnia na dzień nie biednieją i mogą się dłużej cieszyć swoimi stołkami.

-Zamieniam się w słuch, Pellam. Mów.

-Mam akurat spotkanie...

-Tak? A z kim?

-Z moim prawnikiem. Na razie nie mogę nic więcej powiedzieć. - Pellam mrugnął do Bailey'a.

-To ktoś z Wall Street? Z której kancelarii?

-Cicho, już cicho - mitygował go szeptem Pellam.

-Co jest grane, John? To może być duża rzecz. Nowa fabuła Johna Pellama.

Gdyby Lefkowitz odkrył, że jego rozmówca tyra nad mizernym dokumentem, natychmiast by się rozłączył i Pellam, za którym zawsze stał murem, w jednej chwili przestałby dla niego istnieć. Dystrybucja w kinach studyjnych oznaczała, że dokument będzie wyświetlany na niecałej setce ekranów w kraju, między innymi w nowojorskim Film Forum czy w kinie Biograph w Chicago. Tymczasem filmy fabularne sprzedawano do tysięcy multipleksów.

Pellam, nie odczuwając żadnych wyrzutów sumienia, odparł: - Załatw mi spotkanie z McKennahem, a mój prawnik się z tobą skontaktuje. - W tym miejscu nastąpiła krótka przerwa, którą scenarzyści nazywają pauzą w dialogu, zwiększającą efekt dramatyczny. Niewykluczone, że będę musiał spalić za sobą parę mostów, ale mimo wszystko to zrobię. Dla ciebie.

-Kocham cię, Johnny. Naprawdę. Mówię to z głębi serca. A co do McKennaha, to wiesz, mam nadzieję, że ten facet to nic dobrego?

-Ja tylko chcę się wprosić do niego na imprezę, Lefty. Nie mam zamiaru z nim sypiać.

-Okej. To niech twój prawnik do mnie zadzwoni.

Rozłączyli się.

-Czy to był - zapytał z namaszczaniem Bailey - ktoś z Hollywood?

-W rzeczy samej.



-I naprawdę chcesz, żebym do niego zadzwonił?

-Nie zrobiłbym ci takiego świństwa, Louis. Ale mam jeszcze pytanie natury prawnej.

Bailey ponownie przechylił karton z winem nad swoim kubkiem.

-Jaki wyrok może grozić w Nowym Jorku za posiadanie nie zarejestrowanej broni? zapytał Pellam.

Z pewnością musiały istnieć pytania, które zaskakiwały starego prawnika albo zwyczajnie odbierały mu mowę, ale to najwyraźniej nie było jedno z nich. Odpowiedział tak, jakby Pellam spytał go właśnie o aktualną prognozę pogody: - To kiepski pomysł. W zasadzie w takim przypadku obowiązuje wyrok nakazany ustawą, ale sędzia ma pewną swobodę wyboru kary. Chyba że mamy do czynienia z recydywą - wtedy bankowo dostaje się rok na Riker's Island. Dodatkowo do wyroku dorzucają ci w pakiecie paru rosłych kochasiów, czy tego chcesz, czy nie. Ale chyba nie miałeś na myśli siebie, prawda?

-Pytałem czysto teoretycznie.

Prawnik zmrużył oczy.

- Czy jest coś, co powinienem wiedzieć?

-Nie. Zdecydowanie nic nie powinieneś wiedzieć.

Bailey odwrócił się do okna.

- A zresztą, po co ci tutaj broń? Wyjrzyj na zewnątrz, młody człowieku. Widzisz tam prerię? Albo kowbojów? A może Indian? Nie jesteśmy w Teksasie.

-Nie byłbym tego taki pewien, Louis.

## 8

Z któregoś z zakamarków budynku znowu dolatywała ta sama piosenka, głośna i agresywna. Niewątpliwie musiał to być numer jeden na listach przebojów muzyki rap.

...Otwórz w końcu oczy... bo życie cię zaskoczy...

U stóp Pellama piętrzyła się wysoka sterta kaset wideo, owoc siedmiomiesięcznej pracy. Taśmy nie zostały jeszcze zmontowane, nie były nawet porządnie opisane, jeśli nie liczyć tematów wywiadu oraz dat wypisanych jego własnym niechlujnym charakterem pisma na plastrach opatrunkowych naklejonych na każdą kasetę. Odszukał tę, o którą mu chodziło, i wsunął do taniego odtwarzacza, chwiejącego się niebezpiecznie na jeszcze tańszym telewizorze.

Zza ściany dobiegało rytmiczne, basowe dudnienie.

Tutaj rządzi biały człowiek... Tutaj rządzi biały człowiek...

Ekran tandetnego odbiornika motoroli zamigotał, niechętnie budząc się do życia, i ukazał się następujący obrazek:

Ettie Wilkes Washington siedzi wygodnie, zwrócona twarzą do kamery. Chciała być sfilmowana na swoim ulubionym bujaku, dębowym zabytku podarowanym jej jeszcze przez męża, Billy'ego Doyle'a. Ale nawet lekki ruch źle wypadł w ujęciu i w końcu Pellam przesadził ją na fotel z prostym oparciem (jako młody asystent pracował na planie „Szczęk” i dobrze pamiętał, jak podczas zdjęć w

plenerze Spielberg kazał operatorowi przytwierdzić kamerę do pokładu łodzi Roberta Shawa. W odpowiedzi stary wyga zasugerował, że lepiej będzie kręcić z ręki - w przeciwnym razie widzowie w całym kraju dostaną choroby morskiej i będą tłumnie opuszczać sale kinowe, udając się do toalety).

A zatem Pellam przesadził Ettie na pękaty fotel. Chciał sfilmować ją na tle okna i trwającej naprzeciwko budowy. W kadrze widoczny był jeszcze jeden antyk - stary sekretarzyk z żałuzjowym zamknięciem, pełen papierzyk i listów. Z tyłu na ścianie wisiał tuzin rodzinnych fotografii.

Pytałeś o Billy'ego Doyle'a, mojego męża... Powiem ci, że był najzabawniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałam. Zaczniemy od tego, jak wyglądał. Był przystojny, oj tak... Wysoki i... No wiesz, miał naprawdę jasną skórę. Kiedy szliśmy razem ulicą, zawsze nalegał, żebym wzięła go pod rękę. Nieważne, czy byliśmy akurat na przedmieściach, w pobliżu San Juan Hill, gdzie mieszkali sami czarni - a oni nie lubili mieszanych par - czy w Hell's Kitclien, gdzie każdy był biały. Tutejsi irlandzcy i włoscy chłopcy też nie lubili mieszanych par. Wszyscy rzucali nam gniewne spojrzenia. Ale on i tak chodził ze mną pod rękę. W dzień i w nocy.

A kiedy występowałam, zawsze odprowadzał mnie do klubu. Siadał przy stoliku ze szklaneczką whisky - wprost uwielbiał whisky - i siedział tam, jedyny biały w całym lokalu, ściągając na siebie wszystkie spojrzenia. W końcu przestawali zwracać na niego uwagę. Spoglądałam na niego ze sceny, a on siedział sobie, zajadając flaczki i posyłając mi uśmiechy, gawędząc z dwoma czy trzema innymi bywalcami, poklepując ich po plecach i chwając się, że jest moim facetem. Czasami widziałam, jak się z kimś kłóci, i już wiedziałam, że rozmawiają o Bil-He Holliday i Bessie Smith.

Problem w tym, że tak naprawdę nigdy nie odnalazł samego siebie, a to bardzo trudne dla mężczyzny. Nie ma nic gorszego dla faceta, jak nie wiedzieć, gdzie jest jego miejsce. Czasem nawet nie musi go wcale szukać. Czasem wystarczy, że zapuści korzenie tam, gdzie akurat rzucił go los - mija parę lat, a on jest tym, kim jest i jest mu z tym dobrze. Ale Billy wiecznie czegoś szukał. Najbardziej ze wszystkiego pragnął własnej ziemi. Chciał mieć coś swojego. To

zabawne, ale chyba właśnie dlatego nigdy tak naprawdę nie mieliśmy własnego domu. Billy wciąż tracił czas na snucie planów - a to, jak kupić jakiś budynek, a to, jak zdobyć kawałek ziemi... Tak bardzo mu na tym zależało, że raz nawet wylądował w więzieniu...

Dokumentaliści z zasady nie przerywają swoim rozmówcom, jednak tym razem zaskoczony Pellam nie mógł się powstrzymać. Zapytał spoza kadru:

- To Billy siedział?

Dokładnie w tym samym momencie Ettie poruszyła się w fotelu, podniosła głowę i odwróciła ją w stronę drzwi. Pellam przypomniał sobie teraz, że przeszkodził im niespodziewany gość - Florence Besserman, przyjaciółka Ettie z drugiego piętra. Kamera stanęła i ekran telewizora pociemniał. Tamtego dnia Ettie nie podjęła już opowieści o kryminalnej przeszłości Billy'ego Doyle'a, a Pellam zgodził się wrócić kiedy indziej wieczorem w dniu pożaru, jak się potem okazało - żeby nagrać jej zakończenie. Przewinął teraz taśmę do początku i znalazł to, czego szukał. Nie ujęcia Ettie, ale ładnej, korpulentnej Anity Lopez z mieszkania numer 2A, która wyrzucała z siebie słowa z szybkością karabinu maszynowego i gestykulowała jak szalona dłońmi o jaskrawoczerwonych paznokciach, głucha na nieustanne napomnienia Pellama, żeby trzymała ręce nieruchomo.

-Si, si, mamy tu mnóstwo gangów. Całkiem jak na filmach. Mają broń, awanturują się, piją, jeżdżą tymi swoimi brykami z wielkimi głośnikami na wierzchu. Ajajaj! Potwornie hałasują. Kiedyś to byli głównie Irlandczycy, ale teraz już ich tu nie ma. Teraz mamy Cubano Lords, to jest teraz największy gang. Mają własną melinę i nie przeszkadza im, że wszyscy wiedzą, gdzie przesiadują. Już panu to mówię. Przy Trzydziestej Dziewiątej, między Dziewiątą a Dziesiątą. I bardzo się ich boją. Niech pan nikomu nie mówi, że panu powiedziałam. Proszę...

Pellam wyłączył magnetowid. Przyklęknął i przejrzał uważnie zawartość swojej płóciennej torby, zawierającej wszystko, co przezorny dokumentalista zawsze powinien mieć przy sobie: kamerę, deck firmy Ampex, akumulator, dwie zapasowe taśmy, mikrofon kardoidalny z osłoną przeciwwiatrową z gąbki, notes i długopisy. Oraz colta peacemakera z ręcznie odciągany kurkiem. W pięciu z sześciu

komór magazynka tkwiły naboje kaliber 45. Kolba z palisandru była poobijana i nosiła ślady używania.

Przypomniał sobie słowa matki, zanim jeszcze w maju opuścił ciche miasteczko Simmons w stanie Nowy Jork i obrał kierunek na Manhattan:

- Nowy Jork to zwariowane miasto, Johnny. Miej zawsze oczy szeroko otwarte, bo nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć.

Pellam wystarczająco długo żył na tym świecie, żeby przyznać jej rację.

Ruszył na zachód Trzydziestą Dziewiątą. Z betonowych płyt chodnika buchał żar. Na progu jednego z budynków siedziała tęga kobieta. W jednym ręku trzymała długi, ciemny papieros, a drugą kołysała wózek dziecięcy w opłakanym stanie. Czytała el diario.

-Buenos dias - zagadnął Pellam.

-Buenas tardes. - Wzrok kobiety przesunął się po Pellamie; jednym spojrzeniem oceniła jego dzinsy, czarną kurtkę i biały podkoszulek.

-Może mogłaby mi pani pomóc?

Spojrzała na niego uważnie i wyduła usta tak, jakby wydmuchiwała dym.

-Kręcę film o Hell's Kitchen. - To mówiąc, pokazał jej torbę z kamerą. - O tutejszych gangach.

-No gangi agul

-Chodzi mi o grupy młodych ludzi. Nastolatków. Nie o prawdziwych gangsterów.

-Faltan gangi. Nie być gangi.

-Ktoś wspomniał mi o Cubano Lords.

-Es un klub.

-Klub. Mają tu w okolicy swój klub, prawda? Un apartamento? Podobno to gdzieś przy tej ulicy.

-Buenos mucliaclios. Złe nas omijać. Już oni o to dbać.

-Chciałbym z nimi porozmawiać.

-Nikt tu nie przychodzić, nie robić kłopotów. Ta dobre hombres.

-Właśnie dlatego chciałbym z nimi pogadać.

-Pan patrzy na las calles. - Kobieta machnęła ręką w stronę ulicy. - Czysto, nie?

-Mogłaby mi pani podać nazwisko tego, który tam jest

najważniejszy? W tym klubie?

-Ja nikogo nie znać. Pan nie gorąco w ta kurtka?

-Owszem, gorąco. Słyszałem, że gdzieś tutaj się spotykają...

Kobieta zaśmiała się i pochyliła nad gazetą.

Pellam zostawił ją w spokoju, a następnie przemierzył najbliższą okolicę wszerz i wzdłuż - do rzeki i z powrotem, omijając po drodze masywny, ciemny gmach centrum konferencyjnego Javitsa. Nie znalazł tego, czego szukał (czyli właściwie czego? Pół tuzina młodych mężczyzn stojących w szyku bojowym niczym George Chakiris i jego Rekiny z „West Side Story”?).

Z naprzeciwka zbliżała się młoda, latynoska rodzina - para w podkoszulkach na ramiączkach i szortach oraz nastolatka w krótkiej, obcisłej sukience. Taszczyli ze sobą turystyczną lodówkę, koce, zabawki i leżaki. Pellam domyślił się, że ojciec rodziny postanowił uczcić dzień wolny od pracy, zabierając rodzinę do Central Parku. Patrzył, jak znikają w wejściu do metra, a zaraz potem na dachu jednego z budynków zauważył mężczyznę.

Był mniej więcej w jego wieku, może parę lat młodszy. Latynos, ubrany w opięte dżinsy i olśniewająco biały podkoszulek. Stał na dachu kamienicy, spoglądając w dół ciemnymi oczyma, w których nawet z tej odległości wyraźnie widać było błysk niezadowolenia.

Przeskakując z dachu na dach, mężczyzna znalazł się dokładnie nad nim. Pellam widział już tylko zarys ciemnej sylwetki na tle nieba. Mężczyzna kierował się na wschód, pokonując dachy kolejnych kamienic.

Pellam zawrócił i podążył w tym samym kierunku. Na rogu przystanął, straciwszy tamtego z oczu. Nagle gdzieś w tłumie robotników przy Dziesiątej Alei mignęło mu coś białego. Pellam szybko przeciął ulicę i próbował gonić mężczyznę, ale tamten jakby zapadł się pod ziemię. Jak on to zrobił, u diabła? Zaczepił kilku robotników i spytał, czy kogoś nie widzieli, ale zaprzeczyli, chociaż ulica, przy wylocie której stali - jedyna możliwa droga ucieczki - kończyła się ślepym zaułkiem. Kraty w oknach, żadnych drzwi. Pułapka bez wyjścia.

Pellam poddał się i zawrócił na Trzydziątą Szóstą, zmierzając wolnym krokiem w stronę poczerniałych ruin kamienicy Ettie.

To nie nagły hałas go zaniepokoił, ale jego brak. Męczące uderzenia młotów dobiegające z placu budowy po przeciwnej stronie ulicy nagle przycichły, zupełnie jakby ciało i ubranie tamtego mężczyzny wchłaniało wszystkie inne dźwięki. Słyszając szybko zbliżające się kroki, Pellam nie tracił czasu. Nie oglądając się dookoła, postawił torbę na ziemi i sięgnął do środka. Nie zdążył jednak wymacać colta, kiedy coś metalowego - lufa pistoletu, jak się natychmiast domyślił - dotknęło jego karku.

-Uliczka na tyłach - powiedział czyjś głos z melodyjnym, hiszpańskim akcentem. - No, ruszaj się. Idziemy.

## 9

Gęste brwi były zrosnięte, a powieki lekko zmrużone, jakby mężczyzna był wiecznie z czegoś niezadowolony.

Zatrzymali się w uliczce na tyłach budynku Louisa Bailey'a, mając pod stopami oślizły bruk. W powietrzu wisiała ciężka woń zgniłych warzyw i zjełczałego tłuszczu. Pellam założył ręce i spojrzał w dół na maleńki, czarny pistolet automatyczny.

Po chwili ponownie przyjrzał się swojemu pogromcy. Przedramię mężczyzny przecinała różowa, błyszcząca blizna. Najwyraźniej świeża. Na dłoni, w zagłębieniu między kciukiem a palcem wskazującym, widniał niewyraźny tatuaż przedstawiający sztylet. Pellam mieszkał kiedyś w Los Angeles i potrafił rozpoznać symbolikę oznaczającą przynależność do gangu.

Zapytał tamtego:

- Habla ingles?

Mężczyzna spojrzał na jego torbę. Nie przestając celować z automatu w klatkę piersiową Pellama, pochylił się i podniósł leżącą na wierzchu kamerę.

-Byłbym wdzięczny, gdyby pan tego nie ruszał. To...

-Zamknij się.

Napastnik nie znalazł colta. Odłożył kamerę do torby i wyprostował się.



-Należysz do Cubano Lords - zauważył Pellam. Mężczyzna dorównywał mu wzrostem. Większość znanych Pellamowi Latynosów była zdecydowanie niższa.

-Szukałem was - oznajmił Pellam.

-Mnie?

-Któregokolwiek z was.

-Po co?

-Żeby pogadać.

Brwi mężczyzny drgnęły. Był zaskoczony.

- No to gadaj.

-Robię film o Hell's Kitchen. Chciałbym pogadać z członkami waszego gangu. A może powinienem powiedzieć: klubu?

-Czego tu wtedy szukałeś?

-Wtedy?

-Czego tu szukałeś, mówię? Gadałeś z ludźmi, tu na ulicy. Robiłeś zdjęcia. Po co?

Pellam milczał.

Młody człowiek z oburzeniem wypuścił z płuc powietrze.

- Może powiesz, że to nasza robota? Że to my zhajcowaliśmy tę starą ruderę?

-Ja tylko kręcę film...

Małomówny jak dotąd młody człowiek zmarszczył groźnie brwi.

- Mamy tu w mieście własną telewizję. Latynoską telewizję. Wiem, nigdy o niej nie słyszałeś. Mają taki slogan: Primero con la verdad. A ty - ty też w to wierzysz? Czy la verdad jest dla ciebie siempre primero? Prawda jest dla ciebie zawsze najważniejsza? - Skrzyżował ramiona, a następnie uniósł dłoń do brody i pokrytym odciskami kciukiem potarł krótką, głęboką bliznę tuż pod swoją dolną wargą. - A może jesteś reporterem? Jakimś nowym Geraldo?

Pellam skinął głową w głąb brukowanej uliczki. - To tu gracie w kosza? Urządzacie pikniki charytatywne? Przejażdżki na kucykach dla dzieciaków? Właśnie tym zajmuje się wasz klub?

-O co ci chodzi, człowieku?!

-Słyszałem, że paru waszych chłopców plątało się tutaj na krótko przed pożarem.

-Słyszałeś... I tylko dlatego to ma być prawda? Jakiś białas

twierdzi, że los Cubanos podpalili budynek, więc to musi być prawda. Albo jakiś czarnuch tak twierdzi, więc to też musi być prawda. - Pellam milczał, więc mężczyzna mówił dalej: - Nie wierzysz, że ta czarna starucha to zrobiła. Myślisz, że to ja jestem podpalaczem. A dlaczego? Bo wolisz czarnuchów od Latynosów...

Pellam nie spodziewał się, by serce jego młodego rozmówcy mogło pomieścić jeszcze więcej gniewu, lecz w tej samej chwili i tak już zagniewaną twarz mężczyzny wykrzywił nowy wściekły grymas. Przeniósł ciężar ciała na palce stóp obutych w drogie sportowe obuwie i przez ułamek sekundy Pellam miał poważne wątpliwości, czy jednak nie pociągnie za spust. Rozejrzał się szybko na boki, szukając miejsca na unik. Czy jeśli poturla się w stronę torby, zdąży w porę wyciągnąć colta? Uznał, że to niemożliwe.

Miał coraz mniej czasu na podjęcie decyzji: przeprosić czy dalej zgrywać twardziela? Zmarszczył brwi, pochylił się naprzód i warknął: - Przyszedłem tu, bo taką mam pracę. Do cholery, jeśli nie chcesz odpowiadać na moje pytania, to twoja sprawa. Ale nie mam zamiaru wysłuchiwać od ciebie żadnych pieprzonych kazań.

Ciemne oczy przypominały teraz dwie wąskie szparki.

Zaraz oberwę. A niech to diabli, trzeba było się podlizywać. Wiedziałem...

Mężczyzna jednak nie strzelił. Nie zamachnął się też na niego kolbą pistoletu, co było drugą opcją braną przez Pellama pod uwagę.

Zamiast tego schował broń i ruszył w stronę budynku Ettie, gestem nakazując Pellamowi, aby poszedł za nim. Zanurkował pod policyjną taśmą i wszedł po schodach do tego, co pozostało z wąskich drzwi wejściowych. A Pellam wymacał wreszcie w torbie colta i wsunął go za pasek dżinsów. Następnie chwycił torbę i wszedł na chodnik.

Młody Latynos jednym kopnięciem wyważył rozwalające się drzwi i pomagając sobie ramieniem, wcisnął się do środka. Osmalone drewno pozostawiło czarne smugi na jego podkoszulku. Pellam usłyszał dźwięk rozbijanego szkła i jakieś hałasy. Minutę później mężczyzna wyszedł na zewnątrz, dźwigając metalowy prostokąt. Rzucił go Pellamowi, który ugiął się pod ciężarem masywnej ramy. W rękach trzymał listę lokatorów.

Cubano Lord postukał długim palcem w jedno z nazwisk. C.

Ramirez.

- To moja ciotka, jasne? Mieszkała tu z dwoma ninos. To siostra mojej matki, rozumiesz? Tak czy nie?! Nigdy nie podpaliłbym kamienicy, w której mieszka moja rodzina. Ale to jeszcze nie wszystko, wiesz? Miesiąc temu moja ciotka Carmella widziała, jak jeden z Irlandczyków Jimmy'ego Corcorana rozbija jakiemuś gościowi łeb młotkiem, i zeznawała przeciwko niemu. Tamten teraz siedzi, a Jimmy... Jimmy wcale nie był zadowolony, jak się dowiedział o mojej ciotce. I co ty na to, przyjacielu? Jak ci się podoba prawda? Prawda o białasie Irlandczyku? A teraz wynoś się stąd. Wynoś się z Hell's Kitchen!

-Co to za jeden? Ten Corcoran? Jimmy Corcoran?

Mężczyzna otarł pot z czoła.

- Wracaj do swojej telewizji i powiedz im, że Cubano Lords nie robią takich rzeczy!

-Nie jestem reporterem.

-Teraz nie musisz już ze mną gadać. Znasz la verdad.

Pellam nie rezygnował.

- Nazywasz się Ramirez? A jak masz na imię?

Mężczyzna znieruchomiał. Przyłożył muskularny palec do ust Pellama, uciszając go, a następnie wycelował go prosto w jego twarz. - Powiedz im. - Jego spojrzenie przesunęło się w dół i zatrzymało na butach Pellama, po czym jeszcze raz omiotło całą jego postać, zupełnie jakby Latynos chciał go sobie dobrze zapamiętać. Potem mężczyzna wolnym krokiem wyszedł z cienia rzucanego przez wypalone ruiny prosto w ostre światło upalnego dnia.

Jimmy Corcoran okazał się być duchem.

Nikt o nim nie słyszał, nikt nie znał żadnych Corcoranów.

Pellam przemierzył całą dzielnicę, wstępując do portorykańskich winiarni i włoskich sklepów mięsnych, zatrzymując się przy koreańskich straganach z warzywami. Nikt tutaj nie znał Corcorana, ale wszyscy dziwnie intonowali swoje odpowiedzi - zaprzeczając, robili wrażenie zdesperowanych, aby im uwierzył.

Postanowił spróbować szczęścia w jednej z winiarni. - Podobno czasami się tu kręci? dodał zachęcająco.

Stojący za ladą wiekowy Meksykanin o niewiarygodnie

pomarszczonej twarzy zaciągnął się papierosem i lekko skinął głową, nie odrywając wzroku od upstrzonej przez muchy tacy z pasztecikami w tłustawym cieście. Nic jednak nie powiedział.

Pellam kupił napój kokosowy i wyszedł na ulicę. Swobodnym krokiem zbliżył się do grupki mężczyzn w podkoszulkach stojących wokół hydrantu i zadał im to samo pytanie. Dwóch z nich natychmiast odpowiedziało, że nigdy nie słyszeli o żadnym Jimmym Corcoranie. Pozostałych trzech do reszty zapomniało tych paru angielskich słów, jakie udało im się opanować.

Pellam postanowił przenieść swoje poszukiwania bardziej na zachód, bliżej rzeki. Akurat mijał szkołę parafialną przy Jedenastej, kiedy usłyszał głośne wołanie: - Siema!

-Siema - odparł Pellam.

Chłopak przyglądał mu się z góry, z wierzchołka kontenera na śmieci, podparłszy dłońmi kościste biodra. Miał na sobie workowate dżinsy i - pomimo upału - wiatrówkę w czerwone, zielone i żółte pasy. Pellam pomyślał, że miejscami jego fryzura to prawdziwe dzieło sztuki. Wygolone na skroniach łuki były przedłużeniem uśmiechu, który zdawał się wyryty na jego ciemnej twarzy.

- Jak leci?

-Wiesz co? Ty lepiej zejź tu do mnie na dół.

-A po co?

-Chcę z tobą pogadać. Tylko czasem nie zeskakuj, zsuń się powoli od tyłu. No nie...!

Chłopak skoczył. Cały i zdrowy wylądował na ziemi.

- Nie pamiętasz mnie, człowieku?

-Pewnie, że pamiętam. Twoja matka ma na imię Sibbie.

-Bingo! A ty jesteś ten gość z CNN. Facet z kamerą.

Za nimi na placu zabaw cztery bazy do baseballa straszły pustkami, podobnie jak dwa boiska do koszykówki. Bramę zamykał łańcuch. Co najmniej setka puszek farby musiała zostać zużyta do przyozdobienia asfaltu.

-Gdzie twoja matka i siostra?

-W schronisku.

-A ty, dlaczego nie w szkole?

-Nie ma szkoły. Są wakacje.

Pellam całkiem o tym zapomniał. Pomimo upałów i śnieżyc zmiany pór roku były w mieście praktycznie niezauważalne. Nie potrafił sobie wyobrazić, jak może wyglądać letnia przerwa w Hell's Kitchen. W dzieciństwie sierpniowe wakacje upływały mu zawsze na potajemnych wycieczkach do kina, wymienianiu się komiksami i okazjonalnej grze w softball. Pamiętał wiele letnich poranków, kiedy jak szalony pędził na rowerze, pokonując zygzakami gładką betonową nawierzchnię, którą znaczyły błyszczące w słońcu, śliskie ścieżki zdeorientowanych ślimaków.

-Jak tam ci na imię?

-Ismail. A tobie, człowieku?

-John Pellam, do usług.

-Kurczę, nie lubię imienia John. Znam jednego czarnego nieroba, który się tak nazywa. Nigdy nawet palcem nie kiwnie, kumasz? To już wolę mówić: Pellam.

Tak jakby mówienie „proszę pana” w ogóle nie wchodziło w rachubę.

-Jak ci się podoba w schronisku?

Uśmiech na twarzy chłopaka zbladł.

- Nie podoba mi się. Wszyscy ciągle tylko na siebie wrzeszczą. I wszędzie pełno narkusów. Czyli narkomanów. Najprawdopodobniej uzależnionych od kokainy.

Pellam pracował na planie paru filmów w południowej części Los Angeles i poznał wtedy sporo slangowych wyrażen, popularnych wśród tamtejszych gangsterów.

-Chyba wiesz, że to tylko na pewien czas - zauważył Pellam, ale pociecha wydała mu się naciągana; nie miał pojęcia, jak chłopak ją przyjął.

Oczy Ismaila rozbłysły entuzjazmem.

- A lubisz koszykówkę? Ja uwielbiam Patricka Ewinga. To debeściak, kumasz? Michael Jordan też jest niezły. A widziałeś kiedyś Byki w akcji?

-Jestem z Los Angeles.

-Lakersi! No tak! Magie jest w porzo. No, i szacun dla pana B. Barkleya! W czasie meczu dobrze mieć kogoś takiego za plecami. - Chłopak udawał, że kiwa wyimaginowanego przeciwnika. - A ty,

koleś? Lubisz grać w kosza, co? Pellam parę razy widział Lakersów na żywo, ale przestał chodzić na mecze z chwilą, gdy dotarło do niego, że znaczny odsetek widzów stanowią ludzie z branży, którzy kupują karnety na cały sezon tylko po to, żeby nawiązywać kontakty albo po prostu szpanować w towarzystwie. Skoro Jack Nicholson tak robi, wszyscy powinni go naśladować. Nieszczególnie - przyznał.

-No, jak to? A Shaq? Gość ma chyba ze trzy metry wzrostu. Co to za genialny czarnuch! Ja też chcę taki być!

Ismail wykonał na chodniku taniec i improwizowany wsad za trzy punkty.

Pellam spojrział na obszarpane buty do koszykówki chłopaka i przyklęknął, żeby zawiązać mu dyndające sznurówki. Ismail najwyraźniej poczuł się zakłopotany; szybko się cofnął i sam nieporadnie zawiązał buty.

Pellam podniósł się ociężale. - Kiedy się ostatnio widzieliśmy, chciałeś mi coś powiedzieć... Że to ludzie z gangu podpalili waszą kamienicę. Zacząłeś coś mówić, ale mama cię uderzyła. Teraz możesz dokończyć, nic jej nie powiem.

Chłopak popatrzył na niego zdziwiony, jakby zdążył już zapomnieć o tamtym siarczystym policzku.

-Dowiedziałem się, że gang Corcorana mógł mieć coś wspólnego z tym podpaleniem. Wiesz coś o nim i jego ludziach?

-Skąd znasz Corcorana?

-Nie znam. Ale próbuję go odszukać.

-Stary, chyba cię pogięło! Gość ma obstawę, naprawdę ostrych O.G.

Original gangstas. W gangsterskim slangu nazywano tak starszych rangą członków grupy, którzy zapracowali na swój status, osobiście kogoś zabijając.

Na młodej twarzy odmalowało się ożywienie zabarwione niepokojem. - Czarni, Latynosi, wszyscy o nim gadają. Nieważne kim jesteś, Corcoran może cię sprzątnąć. Nie spodobasz mu się i trach, już cię nie ma. Rozumiesz, koleś? - Ismail zamknął oczy. Po chwili oparł czoło o siatkę i zerknął spode łba na szkołę. - A właściwie to dlaczego tak mnie maglujesz?

Pellam zapytał:

- Wiesz, gdzie się dekują? Ludzie Corcorana?

Ismail musiał być pod wrażeniem specjalistycznego słownictwa Pellama, bo zaraz odparł: - Co ty, człowieku. Nie wiem, gdzie mają swoją hawirę. - Nie spuszczać wzroku z Pellama, zamarkował kilka rzutów kelnerskich. - Słuchaj no, a ty masz staruszka?

Pellam roześmiał się.

- Ojca? No pewnie.

Uśmiech znikł z twarzy chłopca.

- Ja nie mam.

Pellam uświadomił sobie, że znaczny odsetek czarnych rodzin cierpi na brak dorosłych mężczyzn i zawstydził się na myśl, że właśnie ten suchy cytat z wieczornych wiadomości przyszedł mu do głowy w odpowiedzi na słowa Ismaila.

Chłopak dodał rzeczowo:

- Zastrzelili go.

-Przykro mi, Ismailu. Naprawdę.

-Na ulicy stale płaczą się narkusy, nie? Handlują koksem. Mój tatko wyszedł do nich, a oni go rozwalili. Sam widziałem. Nic im nie zrobił, a oni normalnie go rozwalili. Pellam aż westchnął z wrażenia i pokręcił głową.

- Znaleźli tych, którzy to zrobili?

-Kto, mendy?

-Jakie mendy?

-No wiesz, pały. Psy, gliny, mundurowi. Po-li-cja. - Ismail zaśmiał się, a jego śmiech zabrzmiał niepokojąco dojrzałe. - Mendy głównie robią, człowieku, kumasz? A teraz mój tatko nie żyje, a matka ciągle śpi. Stale coś wciąga. W schronisku pełno jest towaru, jeśli tylko masz zielone. Głównie koks. Matka też leci na koksie. A faceci cały czas wywalają na nią gały. Chyba już tam nie wrócę. A gdzie jest twoja hawira, Pellam?

Winnebago, aktualnie w przechowalni. Bungalow z dwiema sypialniami w Los Angeles, aktualnie podnajęty. Ciasna klitka na trzecim piętrze bez windy, wynajmowana na czas określony.

-Właściwie to nie mam własnego domu.

-Kurczę, to tak jak ja! Choolera!

Pellam roześmiał się, ale już po chwili stwierdził, że porównanie

jest niepokojąco celne. John Pellam, samotny, niezależny producent filmowy i wędrowny dokumentalista, tęsknił czasami za życiem rodzinnym. Zaraz jednak zbywał to śmiechem i usiłował wyobrazić sobie siebie samego na zebraniu rodziców w jakiejś podmiejskiej szkole.

-To gdzie teraz pójdziesz? - zapytał chłopca.

-Nie wiem, koleś. Może zmontuję własny gang. Tu w okolicy nie ma żadnych czarnych gangów. Zadekujemy się przy Trzydziestej Szóstej i nazwiemy na przykład Trey Six Ghosts. Od tego rapera, Treya Sixa. Kurczę, ale będzie super. Nikt się nie domyśli, skąd taka nazwa. Mózg im się zlasuje.

-A jadłeś dziś lunch? - zapytał Pellam.

-Nie. Śniadania też nie jadłem - oświadczył Ismail z dumą. - Jak siedzisz w schronisku, ciągle zaczepiają cię jacyś goście, macają cię, klną i chcą, żebyś z nimi poszedł. Rozumiesz, człowieku?

Pellam pokręcił głową i chwycił pasek torby z kamerą. - To chodź, bo ja umieram z głodu. Widziałem tu niedaleko taką kubańską knajpę. Zjemy coś, chcesz?

-Ryż z fasolą. Super! A do tego Red Stripe!

-Żadnego piwa - zaznaczył Pellam.

Chłopak wyjął Pellamowi z ręki torbę i zarzucił ją sobie na ramię. Natychmiast ugiął się pod ciężarem, który musiał stanowić połowę tego, ile sam ważył.

-Daj, ja to poniosę - odezwał się Pellam. - To ciężkie.

-Akurat. Waży tyle, co nic.

-No dobra, to idziemy.

-Tam?

-Nie, bardziej z tyłu. Właśnie. No, tam! Dalej, mówię. Dalej!

Ismail pokazywał Pellamowi, gdzie jego zdaniem wybuchł pożar.

-Człowieku, poczułem dym i zobaczyłem płomienie. Właśnie tam.

A potem wielkie bum. Tak właśnie było.

-Bum.

-Wleciałem do mieszkania i mówię: „Musimy stąd wypruć! pali się!” A matka zaczęła wrzeszczeć.

-Czy przed samym pożarem widziałeś kogoś przy tym okienku?

-Tylko tę staruszkę. Mieszka nad nami, na samej górze.



-Nikogo więcej?

-No, nie wiem. Kręcili się tu tacy różni. Nie pamiętam.

Pellam popatrzył na to, co pozostało z tylnego wejścia do budynku. Drzwi do piwnicy były metalowe, opatrzone dwoma wielkimi zamkami. Ciężko byłoby je sforsować. Nachylił się i zajrzał przez piwniczne okienko. Zastanawiał się, czy jakiś piroman mógłby wrzucić ładunek zapalający przez te kraty. Od biedy zmieściłaby się między nimi butelka po piwie, ale na pewno nie szklany gąsior na wino. Ktoś musiał wpuścić tego typu do środka.

-Tylne wejście było zamknięte na klucz, zgadza się?

-Tak, zwykle je zamykają. Ale wiesz, koleś, jaki tu jest ruch? W tej uliczce na tyłach, o, tam. Widzisz, Pellam? Kombinuje tu taka jedna ciota. Też narkus. Obciąga facetom i takie tam.

Męska prostytutka... - Więc jego klienci wchodzą tylnymi drzwiami?

-No. Siadamy zawsze z koleżkami przed wejściem i jak ktoś wychodzi od tyłu, wołamy za nim: „Ciota, ciota...” A oni wtedy zwiewają. Kurczę, to dopiero jazda!

-I widziałeś tu ostatnio tego gościa?

-Nie, człowieku. Przepadł jak kamień w wodę.

Pellam podniósł z ziemi tablicę z listą lokatorów; leżała w tym samym miejscu, gdzie poprzedniego dnia rzucił ją Ramirez.

- Znasz tego Ramireza?

-Kurde, człowieku, czy znam Hectora Ramireza? To jeden z Cubano Lords. To też niezłe świrusy, ale nie czepiają się czarnuchów. Nie to, co Corcoran. Ten to jest dopiero porąbany. Normalny pojeb. Bo Ramirez to rozwała człowieka tylko wtedy, kiedy musi.

Ten dziesięcioolatek więcej wiedział o życiu na ulicy, niż śniło się Pellamowi. Zerknął jeszcze na widniejące na tablicy nazwisko „E. Washington”, po czym cisnął złom na ziemię.

Policyjny wóz patrolowy minął wolno pogorzelnisko i zahamował. Siedzący za kierownicą funkcjonariusz popatrzył w jego stronę. Gestem nakazał Pellamowi wycofanie się poza żółtą taśmę.

-Ismailu...

Chłopak zwyczajnie zniknął.

-Ismailu?

Samochód ruszył z miejsca i odjechał.

Przez parę minut Pellam szukał wszędzie Ismaila, lecz ten jakby zapadł się pod ziemię. Wieczorną ciszę zakłócił nagle odgłos spadającej i pękającej cegły oraz pusty brzęk metalu. Zaraz potem rozległo się ciche stęknienie.

-To ty, Ismailu? - Pellam wszedł w uliczkę biegnącą na tyłach kamienicy i zobaczył mniej więcej osiemnastoletniego wyrostka, blondyna w spranych dżinsach i brudnym, białym podkoszulku, który przykucnął przy stercie gruzu. Usiłował coś spod niej wygrzebać, powodując przy tym co jakiś czas małą lawinę. Odskakiwał wtedy na bezpieczną odległość niczym spłoszony szop, a gdy niebezpieczeństwo mijało, znowu zaczynał kopać. Miał cienkie, dziecięce włoski sięgające do ucha i noszące ślady własnoręcznego strzyżenia. Obowiązkowa kozia bródka pokolenia X była anemiczna i nierówna.

Chłopak zerknął na Pellama, zmrużył oczy, po czym podjął przerwana pracę.

-Muszę zdobyć trochę towaru, człowieku. Trochę towaru.

-Mieszkałeś tu?

Chłopak odparł z powagą:

- Tam z tyłu. - Ruchem głowy wskazał miejsce, gdzie kiedyś znajdowała się suterena. Mieszkaliśmy tam z Rayem. To tak jakby mój menadżer. Mieszkaliśmy tam z Rayem. To tak jakby mój alfons.

A więc to o nim opowiadał Ismail. Męska prostytutka. Wydawał się zbyt młody, żeby żyć na ulicy.

- A gdzie teraz jest Ray? - zapytał Pellam.

-Nie wiem.

-Mogę zadać ci parę pytań w związku z pożarem?

Stękając z wysiłku, chłopak wydobył spod sterty gruzu to, czego szukał, i przetał ręką okładkę książki. „Kurt Cobain - ostatni rok”. Przez chwilę przyglądał jej się z czułością, po czym podniósł wzrok.

- Ja też właśnie o tym miałem z tobą pogadać, człowieku. O pożarze. Nazywasz się Pellam, no nie? - Przerzucił kilka kartek.

Pellam aż zamrugał zaskoczony.

-Dobra, sprawa wygląda tak: mogę ci powiedzieć, kto podłożył ogień i kto go wynajął. Jeśli cię to oczywiście interesuje...

-Skąd wiesz, jak się nazywam?

-Wiem i już. - Brudną dłonią wyrostek pogładził pieśczośliwie okładkę książki.

-Skąd? - Nie ustępował Pellam, jednocześnie podejrzliwy i zaciekawiony.

-No, wiesz. Słyszysz się to i owo.

-To powiedz mi, co wiesz. Nie jestem żadnym gliną.

Głośny śmiech oznajmił mu, że chłopak już i to wiedział.

Uliczna poczta pantoflowa działała wyjątkowo sprawnie.

Chłopak zajął się teraz książką, której okładka przypominała popularne wydanie bajek dla dzieci - laminowany obrazek na sztywnej tekturze. Druk był duży i rzadki, a ilustracje okropne.

Pellam nie rezygnował.

- No, więc kto podłożył ten ogień? I kto go wynajął?

Młoda twarz zwróciła się ku niemu, błyszcząły w niej przymrużone, dziwnie postarzałe oczy. Nagle chłopak wybuchnął śmiechem.

Smarowanie to naprawdę kosztowny interes.

Pellam dokonał w myślach podsumowania stanu środków zgromadzonych na swoich obydwu rachunkach oszczędnościowych oraz na koncie anemicznego funduszu emerytalnego, odejmując od tego opłatę manipulacyjną za przedwczesne rozwiązanie umowy i dodając ewentualną zaliczkę, jaką miał nadzieję dostać wkrótce z telewizji. Wyszło mu coś około osiemdziesięciu pięciu tysięcy. W domu w Beverly Glen miał jeszcze parę akcji. Sfatygowany wóz kempingowy też musiał być coś wart. Ale to by było na tyle. Pellam prowadził swobodny tryb życia, gorzej było ze swobodnym przepływem gotówki.

Chłopak wytarł nos.

- Sto tysięcy.

Można by się spodziewać, że taki uliczny oberwaniec jak on będzie miał nieco niższe poczucie własnej wartości. Pellam nawet nie usiłował z nim negocjować. Zapytał za to: -A jak się dowiedziałeś, kim jest podpalacz?

-Tak się składa, że znam gościa, który to zrobił, nie? To pojeb. Wariat, rozumiesz? Kręci go podpalanie różnych rzeczy.

Piroman, o którym wspominał Bailey - ten sam, którego tak bardzo

chciała wytropić Lois Koepel, zastępca prokuratora okręgowego. Pellam odkrył, że ta kobieta budzi w nim niechęć.

-Powiedział ci, kto go wynajął?

-Właściwie nie, raczej sam to wykombinowałem. Z tego, co mówił.

-A jak ty się w ogóle nazywasz?

-Nie twój interes, koleś.

-Ale ty wiesz, jak ja się nazywam... koleś.

-Mógłbym ci podać nazwisko - ciągnął chłopak. - Tylko co ci z tego przyjdzie? Pewnie i tak jest fałszywe.

-Problem w tym, że nie mam przy sobie stu tysięcy dolców. Nie mam nawet połowy takiej sumy.

-Gówno prawda. Mówią, że jesteś jakimś słynnym reżyserem czy coś takiego. Robisz w Hollywood. Musisz mieć forszę.

Ulicą zbliżał się kolejny radiowóz. Pellamowi przyszło do głowy, że mógłby obezwładnić chudego wyrostka i zawołać gliny.

Jednak tamtemu wystarczył tylko jeden rzut oka na jego minę.

-Kiepski pomysł, dupku - zawołał i ściskając pod pachą swoją cenną książkę, puścił się biegiem w głąb uliczki.

Pellam na próżno machał, próbując zatrzymać patrol. Dwaj gliniarze w samochodzie nawet go nie zauważyli. Albo po prostu zignorowali. Rzucił się więc w pościg za uciekinierem; jego buty chrzęściły na nierównym bruku. Przemknęli przez dwie opustoszałe działki na tyłach kamienicy Ettie i wypadli na Dziewiątą Aleję. Pellam zobaczył, że chłopak skręca w prawo, na północ i błyskawicznie zwiększa tempo.

Zgubił go na rogu Trzydziestej Dziewiątej. Przystanął i oparłszy dłonie na biodrach, dyszał ciężko. Omiótł spojrzeniem place parkingowe, zjazdy prowadzące do tunelu Lincolna, rokokowe kamienice, winiarnie oraz sklep rzeźnika z usłaną trocinami podłogą. Zajrzał do pobliskich delikatesów, ale nikt tam nie widział wyrostka. Kiedy ponownie znalazł się na ulicy, pół przecznicy dalej zobaczył otwierające się gwałtownie drzwi. Wyskoczył z nich ten chłopak, tym razem objuczony plecakiem i zaraz zniknął w tłumie. Pellam nawet nie próbował go ścigać. W tłoku, jaki panował na ulicach, chłopak natychmiast stał się niewidzialny.

Drzwi, przez które się wymknął, stanowiły część zamalowanej na

czarno witryny. Pellam przypomniał sobie, że już wcześniej zwrócił uwagę na to miejsce. Ośrodek pomocy młodzieży. Wszedł i znalazł się w obskurnym, oświetlonym jarzeniówkami pomieszczeniu, ubogo umeblowanym niedobranymi biurkami i krzesłami. Na środku stały dwie kobiety i toczyły jakąś poważną rozmowę. Obie skrzyżowały ramiona na piersiach.

Gdy Pellam wszedł, szczuplejsza z kobiet uniosła ręce do góry w geście rezygnacji, po czym minęła swoją koleżankę i zniknęła za drzwiami prowadzącymi na tyły budynku.

Na twarzy drugiej kobiety, bladej i okrągłej, błyszczał lekki makijaż, ledwo skrywający obfite piegi. Rude włosy sięgały jej do ramion. Pellam domyślił się, że ma około trzydziestu pięciu lat. Miała na sobie starą bluzę od dresu i znoszone džinsy, które nie zdołały całkiem ukryć jej ponętnych kształtów. Rdzawoczerwona bluza miała długie rękawy, a na piersi wyszyte godło Harwardu i motto: Veritas.

Pellam natychmiast przypomniał sobie słowa członka Cubano Lords. Verdad, pomyślał.

Primero con la verdad.

## 10

Gdy wszedł do środka, kobieta obrzuciła go zaciekawionym spojrzeniem. Następnie zerknęła na torbę z kamerą. Przedstawił się, a ona odparła: - Jestem Carol Wyandotte, kierowniczka. W czym mogę pomóc? - Poprawiła zsuwające jej się z nosa grube okulary; pęknięta w jednym miejscu szylkretowa oprawa była sklejona białą taśmą. Pellam pomyślał, że jest ładna, urodą wieśniaczki albo córki farmera. Na jej szyi zauważył absurdalny dodatek: obrózkę z pereł.

-Przed minutą wybiegł stąd chłopak. Blondyn, obdarty.

-Alex? Właśnie o nim rozmawialiśmy. Wpadł, porwał swój plecak i wypadł. Zastanawialiśmy się, co mu się stało.

-Rozmawialiśmy na ulicy. W pewnej chwili po prostu uciekł.

-Rozmawiał pan z nim?

Pellam nie chciał mówić o tym, że chłopak wiedział o podpaleniu, dla jego własnego dobra. Uliczna poczta pantoflowa działała sprawnie. Dobrze pamiętał broń w ręku Ramireza i to, jak wszyscy wokół drżeli na sam dźwięk nazwiska Jimmy'ego Corcorana.

-Może pan - dodała sucho Carol - powiedzieć mi prawdę. - Znowu poprawiła zsuwające jej się z nosa okulary.

Pellam pytająco uniósł brew.

-Ciągle mamy z tym do czynienia. Któryś z chłopaków ściśnie komuś portfel albo coś innego. Potem ten ktoś przychodzi tutaj cały w pąsach i mówi: „Chyba któryś z państwa podopiecznych znalazł mój portfel”.

Pellam uznał, że jego rozmówczyni to bystra dziewczyna z zacięciem społeczniczy. Z takimi zawsze najtrudniej mu się rozmawiało.

-No cóż, może i jest świetnym złodziejem, ale mnie akurat nie okradł. Kręcę tutaj film i...

-Reporter? - W spojrzeniu Carol załśnił lód; wyglądało na to, że mniej by się zdenerwowała, gdyby oskarżył Alexa o „znalezienie” swojego portfela. Pellam pomyślał, że ma fascynujące oczy. Bardzo jasne, bladoniebieskie. Ich kolor niemal zlewał się z otaczającą ich bielą ścian.

-Właściwie nie. - Wyjaśnił, że „Na zachód od Ósmej” to dokument powstający z różnych wypowiedzi.

-Nie lubię dziennikarzy. - W jej głosie dał się słyszeć lekki irlandzki akcent i Pellam zrozumiał, skąd brała się ta jej zadziorność - cecha charakteru niewątpliwie niezwykle pożądana u kierowniczkę miejsca takiego jak to. A do tego odpowiedni temperament. Wszystkie te tanie sensacyjki o nastoletnich narkomanach, zbiorowych gwałtach i dziecięcych prostytutkach. Diabelnie ciężko jest zbierać pieniądze, kiedy członkowie zarządów różnych fundacji włączają popołudniowe wiadomości i dowiadują się z nich, że dziewczynka, którą próbuje się tu leczyć i resocjalizować, to dziwka, analfabetka z AIDS. A przecież takie jak ona najbardziej potrzebują naszej pomocy...

-Hola, proszę pani! - Pellam uniósł w górę otwartą dłoń. - Jestem tylko skromnym dokumentalistą.

Rysy Carol złagodniały.

- Przepraszam, bardzo pana przepraszam. Znajomi mówią, że ciągle pcham się na mównicę. Mówił pan coś o Aleksie. Przeprowadzał pan z nim wywiad?

-Przeprowadzałem rozmowy z mieszkańcami tej spalonej kamienicy. Okazało się, że on też tam mieszkał.

-Raczej pomieszkiwał - mruknęła Carol. - Ze swoim „opiekunem”. Ja i Ray...

Kobieta mówiła dalej:

- Słyszał pan o Juanie Torresie?

Pellam przytaknął.

- Podobno jest w stanie krytycznym.

Syn człowieka, który znał Jose Canseco.

Carol pokręciła głową.

- Nie mogę znieść myśli, że takie nieszczęścia z reguły dotyczą tych najlepszych. To taka straszna strata...

-A nie wie pani, dokąd Alex mógł pójść?

-Wpadł tu i wypadł. Nie mam zielonego pojęcia, dokąd poleciał.

-Ma jakiś stały adres zamieszkania?

-Twierdził, że pochodzi z Wisconsin. Niewykluczone, że...

Przepraszam, zapomniałam, jak się pan nazywa.

-Pellam.

-A imię?

-John Pellam. Ale wszyscy zwracają się do mnie po nazwisku.

-Nie lubi pan imienia John?

-Powiedzmy, że daleko mi do Jana Ewangelisty. Myśli pani, że on tu jeszcze wróci?

-Trudno powiedzieć. Chłopcy, którzy mają stałą pracę - rozumie pan, co mam na myśli, mówiąc „stałą pracę” - wpadają tu tylko wtedy, gdy zachorują albo szukają akurat nowego „opiekuna”. Jeśli coś mu grozi, najpewniej gdzieś się zaszyje, a wtedy może minąć i pół roku, zanim znowu go zobaczymy. O ile to w ogóle nastąpi. Pochodzi pan stąd?

-Nie, z Wybrzeża. Wynajmuję mieszkanie w East Village.

-W Village? Cholera, tamtejsze męty nie dorastają naszym do pięć. No dobra, niech mi pan zostawi swój numer i jeśli nasza zbłąkana duszyczka się odnajdzie, dam panu znać.

Pellam pożałował, że początkowo porównał ją do wieśniaczki. Teraz nie mógł opędzić się od tego skojarzenia. Wieśniaczki były czerstwe i lubieżne, szczególnie te rudowłose i piegowate. Przeprowadził w myślach szybkie obliczenia i stwierdził, że kiedy ostatnio spał z kobietą, w środku nocy obudził ich świst wiatru, a zacinający mokry śnieg chłostał boki jego przyczepy. Teraz jednak na zewnątrz panował prawie czterdziestostopniowy upał.

Spróbował odsunąć od siebie te myśli, ale nie odpłynęły zbyt daleko. Niestety.

Nastąpiła chwila krępującego milczenia. Ulegając nagłemu impulsowi, Pellam zapytał: - A może napijemy się razem kawy?

Podniosła rękę, żeby poprawić zsuwające się z nosa okulary, zmieniła zdanie i po prostu je zdjęła. Zaraz jednak zaśmiała się z zażenowaniem i ponownie je założyła. Następnie obciągnęła skraj swojej bluzy. Pellam widywał już ten gest wcześniej i domyślił się, że myśli kobiety zaczynają krążyć wokół jej największych kompleksów, najprawdopodobniej związanych z wagą i strojem.

Instynkt powstrzymał go przed stwierdzeniem: „Wyglądasz świetnie”. Zdecydował się na coś bardziej niewinnego.

- Od razu zaznaczę, że nie pijam kawy z ekspresu.

Poprawiła włosy krótkimi, grubymi palcami i roześmiała się.



Mówił więc dalej:

- Żadnej lury ze Starbucksa z francuskich prażonych ziaren.

Amerykańska albo żadna.

-No dobrze, Zaćynoamerykańska.

Carol zażartowała:

- I na pewno w nierecyklingowalnym styropianowym kubku.

-Mógłby być i z pianki w aerozolu, gdyby takie produkowali.

-Kawałek dalej jest takie miejsce - powiedziała. - Taki mały sklepik, do którego czasem wpadam.

-No, to chodźmy.

Carol odwróciła się w stronę drzwi na zaplecze.

- Będę za kwadrans! - zawołała.

Z drugiego pomieszczenia dobiegła ich jakaś odpowiedź po hiszpańsku, której Pellam nie zrozumiał.

Otworzył przed nią drzwi. Wychodząc, otarła się o niego ramieniem. Czyżby zrobiła to specjalnie?

Osiem miesięcy, pomyślał mimowolnie Pellam i nakazał sobie spokój.

Przysiedli na krawężniku w pobliżu kamienicy, w której mieszkała Ettie. Przed nimi stały dwa niebieskie kartonowe kubki z rysunkami przedstawiającymi roztańczonych Greków. Carol otarła czoło gratisową serwetką i nagle zapytała: - Kto to? - Pellam odwrócił się i spojrzał we wskazanym kierunku.

Ismail zmaterializował się w tajemniczy sposób wraz ze swoją trójkolorową wiatrówką. Bawił się obecnie w kabinie buldożera, który wcześniej wyrównywał działkę sąsiadującą z budynkiem Ettie.

- Tylko ostrożnie, kolego! - zawołał do niego Pellam. Opowiedział Carol o Ismailu, jego matce i siostrze.

-Mieszkają w schronisku przy szkole? To i tak jedno z lepszych - zauważyła Carol. - Za jakiś miesiąc powinni trafić do z.l.k. Zastępczego lokalu komunalnego. Rzecz jasna, jeśli będą mieli szczęście.

-Widzę, że dobrze znasz tę okolicę...

-Tutaj zdobywałam szlify jako pracownik socjalny.

-W takim razie musisz znać różne lokalne sekrety, rzeczy, o których nie mówi się touristas.

-Możesz mnie przepytąć. - Kątem oka Carol zerknęła na tłoczenia zdobiące znoszone kowbojki Pellama.

-No, to przestępczość zorganizowana - rzucił.

-Gangi? Wiem, że tu są, pewnie. Ale rzadko mam z nimi do czynienia. Dzieciak, który należy do gangu, nie musi szukać wsparcia poza nim, rozumiesz? Może trudno w to uwierzyć, ale jest im o wiele łatwiej, niż tak zwanym samotnym wilkom...

-Hej, kobieto - zawołał do niej Ismail. - Mój kumpel zabierze mnie do Los Angeles! Mówiąc to, wskazał ręką Pellama.

-Nie przypominam sobie, abyśmy coś podobnego ustalili, młody człowieku. - Pellam odwrócił się do Carol i znacząco uniósł brwi.

-Spoko, stary. Ja zabiorę się z tobą. Może uda mi się tam zahaczyć w którymś gangu. U Bloodsów albo Cripsów. Byłoby super, co nie? - Chłopak zniknął w uliczce.

-W takim razie poproszę cię o wykład - podjął temat Pellam. - 101 ulicznych gangów Hell's Kitchen.

Na nosie Carol znowu pojawiły się okulary; Pellam miał ochotę powiedzieć jej, że bez nich lepiej wygląda. Wiedział jednak, że to kiepski pomysł.

-Naprawdę interesują cię nasze gangi? Hm, od czego by tu zacząć? Od gangu Susłów? Carol uśmiechnęła się przekornie i wybuchła śmiechem zaskoczona, gdy Pellam odparł: -Słyszałem, że Curran Jedno Płuco\* wypadł ostatnio z branży.

-Widzę, że jesteś całkiem dobrze poinformowany.

Pellam przypomniał sobie rozmowę z Ettie Washington:

...Battle Row, albo Trzydziesta Dziewiąta, początek stulecia. Babka Ledbetter opowiadała mi, co to było za miejsce. Właśnie tam spotykali się Curran Jedno Płuco i jego bandziory z gangu Susłów - w tawernie Malleta Murpliy'ego. Babka wygrzebywała ze śmieci różne szmaty, a może czasem kości? W każdym razie musiała bardzo uważać, bo w tamtej okolicy wciąż zdarzały się strzelaniny między Susłami a policją. Dlatego ludzie zaczęli nazywać tę ulicę „Battle Row”. Bitewny Zaulek. Bywały tam regularne bitwy. I wyobraź sobie, że Susłom zdarzało się czasem wygrywać, a wtedy gliniarze nie pokazywali się w dzielnicy przez dobrych parę tygodni, dopóki wszystko nie przycichło.

Teraz zapytał Carol:

- Co wiesz o współczesnych gangach?

Zastanawiała się przez chwilę.

- Jakiś czas temu najważniejsi byli Irlandczycy i nadal można tu spotkać niektórych członków The Westies, ale kilka lat temu Departament Sprawiedliwości do spółki z policją na dobre złamali im kręgosłup. Ich miejsce zajął gang Jimmy'ego Corcorana. Ale to zwykłe szumowiny, nie mogą się równać ze starymi, dobrymi Susłami. Teraz okolicą rządzą Cubano Lords. Głównie Kubańczycy, ale jest też wśród nich paru Portorykańczyków i Dominikańczyków. Jeśli chodzi o czarne gangi, to nie znajdziesz tu nic ciekawego. Ci trzęsą Harlemem i Brooklynem. Jamajczycy i Koreańczycy zajęli Queens, Chińczycy Chinatown, a Rosjanie Brighton Beach.

Drzemiący w Pellamie reżyser aż drgnął na myśl o możliwości opowiedzenia barwnej historii nowojorskich gangów. Zaraz jednak pomyślał: „To już było” - trzy słowa posiadające w Fabryce Snów zabójczą siłę rażenia.

Carol przeciągnęła się, a jej pierś musnęła ramię Pellama. Przypadkiem albo i nie.

Ów wieczór sprzed ośmiu miesięcy był naprawdę niezapomniany. Śnieg walił o ściany przyczepy, wiatr nią kołysał, a jasnowłosa asystentka reżysera ścisnęła płatek ucha Pellama swoimi ostrymi ząbkami... Osiem miesięcy to strasznie dużo czasu. Prawie trzy czwarte roku. Niemal tyle, ile trwa ciąża.

-Gdzie dekują się ludzie Corcorana? - zapytał.

-Chodzi ci o ich melinę? - Carol pokręciła głową. - Te bandziory to praktycznie jaskiniowcy. Najczęściej spotykają się w takiej starej knajpie na północ stąd.

-Jak się nazywa?

Carol wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia.

Kłamała.

Pochwycił spojrzenie jej bladych oczu. Chciał, by wiedziała, że została przyłapana.

Ale w jej głosie nie usłyszał cienia skruchy, kiedy dodała: - Słuchaj, musisz zrozumieć, jak to jest z Corcoranem... To nie jest jeden z tych

gangsterów, których pokazują w filmach, ale autentyczny psychol. Jeden z jego ludzi zabił faceta, który próbował wymusić od nich haracz. Jimmy do spółki z paroma koleśkami pocięli zwłoki piłą tarczową, a potem utopili je w kanale w Bronksie. Jimmy zatrzymał sobie jedną rękę na pamiątkę i porzucił ją przy punkcie zbierania opłat przed wjazdem na autostradę w Jersey. To są tego rodzaju bandyci.

-Zaryzykuję.

-Liczysz na to, że gość uśmiechnie się do kamery i opowie ci historię swojego życia? Pellam nonszalancko wzruszył ramionami, choć niewiele brakowało, aby obraz zakrwawionej piły zastąpił w jego wyobraźni wizję namiętnej nocy w miotanej śnieżycą przyczepie.

Carol pokręciła głową.

- Zrozum, Pellam, Hell's Kitchen to nie przelewki. To nie to samo co południowy Bronx czy Brooklyn... Tutaj każdy zdaje sobie sprawę z zagrożeń. I unika kłopotów. W przeciwnym razie może być pewien, że oberwie i nic go przed tym nie uratuje. Tutaj wszystko jest postawione na głowie. W Hell's Kitchen znajdziesz szpanerskie lofty, dobre restauracje, morderców, dziwki, prezesów korporacji, psycholi, księży, homoseksualne prostytutki, aktorów... Przechodzisz sobie w samo południe obok ogródka przylegającego do frontu jakiejś kamienicy, myśląc sobie: „Jakie ładne kwiatki”, a w następnej sekundzie leżysz na ulicy z kulą w nodze albo szpikulcem do lodu wbitym w plecy. Albo nucisz w knajpie irlandzkie przyśpiewki, a tu nagle ktoś podchodzi do twojego sąsiada i strzela mu prosto między oczy. Nie wiesz jednak, kto ani dlaczego to zrobił.

-Do diabła - skrzywił się Pellam. - Słyszałem już, że Jimmy Corcoran pluje jadem i przechodzi przez zamknięte drzwi. To dla mnie nie nowina.

Carol roześmiała się i oparła głowę na ramieniu Pellama. Jej dotyk sprawił, że przeszył go prąd o sile wystarczającej, aby stopić wspomnienie styczniowego śniegu. Powiedziała: Okej, okej, przepraszam, że tak gładzę. Pouczanie turystów rzeczywiście nie należy do moich obowiązków. Ale nie mów potem, że cię nie ostrzegałam. Chcesz Jimmy'ego, dam ci Jimmy'ego. „488 Bar Grill” to knajpa na rogu Dziesiątej i Czterdziestej Piątej Ulicy. Bywa tam trzy, cztery razy w tygodniu. Ale jeśli już musisz tam iść, zrób to w ciągu

dnia. Aha, i jeszcze jedno. - Mocno ścisnęła jego ramię. - Dobrze byłoby, gdybyś poszedł tam z kimś znajomym.

-Ekstra! - wykrzyknął Ismail, wskakując nagle na schody obok nich.  
- Ja mogę z nim pójść!

-Na pewno na twój widok Corcoran obleje się zimnym potem.

-A pewnie, że tak, kurwa!

Ismail zostawił ich znowu - w poszukiwaniu innych maszyn służących do przekopywania ziemi.

Przez dłuższy czas Carol nie spuszczała wzroku z Pellama. Kiedy odwrócił wzrok, wstała. - Pora wracać na galery - oznajmiła. Śmiejąc się, zdjęła okulary.

W drodze powrotnej do ośrodka powiedziała:

- Wiesz, że nie jesteś pierwszym artystą, którego tu spotkałam? Jeden z naszych wychowanków jest teraz pisarzem.

-Naprawdę?

-Wydał bestseller - historię mordercy. Pech tylko chciał, że była to autobiografia... Zadzwoń do mnie kiedyś, Pellam. Tu masz moją wizytówkę.

Dannette Johnson rozejrzała się po Dziesiątej Alei. Szeroka arteria. Po obu jej stronach ciągnęły się niskie zabudowania, przez co sprawiała wrażenie jeszcze szerszej niż w rzeczywistości. Zachodzące nad New Jersey słońce wciąż jeszcze było jasne i mocno przygrzewało. Zatrzymała się w jednym z niewielu ocienionych miejsc - jak okiem sięgnąć, ulica tonęła w słonecznym blasku - pod markizą opuszczonego nocnego klubu, najwyraźniej reliktu lat osiemdziesiątych.

Raz za razem myślała: „O, nie, na pewno nie ten”, obrzucając krytycznymi spojrzeniami kierowców, którzy zwalniali i przyglądali jej się znacząco.

Nie. Na pewno nie ten dupek.

I ten też nie.

Stała w cieniu nie dlatego, że był upał - zaledwie kilka skrawków cienkiego materiału opinało jej niewiarygodne ciało - ale ze względu na ślady po trądziku młodzieńczym na policzkach, które jej zdaniem zdecydowanie ją szpecily.

Kolejny mijający ją samochód zwolnił i prawie się zatrzymał. Podobnie jak inne, również i ten miał tablice rejestracyjne z New Jersey; niedaleko stąd znajdował się przecież wylot tunelu Lincoln, główna trasa dojazdowa dla wszystkich mieszkających w Garden State.

Było to także miejsce, w którym dziewczyna z łatwością mogła zarobić pięć, sześć stów przez noc.

Ale nie z tym frajerem i nie dzisiaj. Odwróciła wzrok i mężczyzna odjechał.

Dannette pracowała na ulicy od ośmiu lat, od swoich dziewiętnastych urodzin. W jej mniemaniu zajęcie to niczym nie różniło się od innych zawodów. Większość jej klientów stanowili przyzwoici faceci, z nieciekawą pracą, szefem, który niespecjalnie za nimi przepadał, i żoną albo dziewczyną, która po urodzeniu pierwszego dziecka przestała robić im laskę.

Ona zaś świadczyła im niezbędne usługi. Zupełnie jak stenotypistka, którą zgodnie z życzeniem matki miała zostać.

Czerwony Chevrolet camaro skręcił w Dziesiątą i zbliżył się wolno do krawężnika, strzelając seksownie rurą wydechową. Za kierownicą siedział tłusty włoski chłopak w drogiej koszuli z monogramem. Miał starannie przystrzyżony wąsik i złotego rolexa na lewym nadgarstku. Wyglądał jak diler z salonu samochodowego na West Side. - Chcesz mnie przelecieć?

Uśmiechnęła się, wychyliła z cienia i odparła zmysłowym głosem: - Możesz mnie cmoknąć w mój czarny tyłeczek. Spływaj, koleś.

Samochód odjechał, zanim Dannette zdążyła schować się w cieniu.

Kilka minut później przy krawężniku zatrzymała się toyota. Wewnątrz siedział młody, szczupły, biały mężczyzna w czapce z daszkiem. Rozejrzał się nerwowo dokoła.

- Cześć - zagadnął. - Jak się masz? Gorąco dzisiaj, nie? Strasznie gorąco.

Dannette też się rozejrzała i podeszła do samochodu; jej wysokie obcasy wystukiwały głośny rytm na betonowych płytach chodnika.

-No. Gorąco.

-Wracam tędy z pracy - oznajmił mężczyzna. - Już wcześniej cię

widziałem.

-Tak? A gdzie pracujesz?

-Niedaleko stąd. Przy tej ulicy.

-Aha, a dokładnie?

-W biurze. To nudna robota. Widziałem cię już parę razy. To znaczy, tutaj. Na ulicy. Odchrząknął nerwowo.

Och, ten to już naprawdę przesada.

-Fakt, czasami się tu kręcę - odparła.

-Ładna jesteś.

Znowu się uśmiechnęła i zastanowiła - tak, jak to robiła setki razy każdego dnia - czy chirurg plastyczny byłby w stanie wygładzić jakoś jej policzki.

-No więc - rzucił on.

Dannette przyjrzała mu się uważnie.

- No więc - powtórzyła i dodała: - To jak, skarbie, masz ochotę się zabawić?

-Może. Masz bardzo ładne cycki. Nie masz mi za złe, że to mówię, prawda?

-Skarbie, wszystkim facetom podobają się moje cycuszki.

-A co właściwie robisz? - Chłopak otarł twarz. Obficie się pocił.

Wykonał ręką taki ruch, jakby chciał zdjąć czapkę, ale zmienił zdanie.

-Co robisz? - powtórzyła, marszcząc brwi.

-Gdybyś ze mną poszła, jak byśmy się mogli zabawić?

-A, już ci mówię. Robię absolutnie wszystko. Obciążam, pieprzę się, a jak chcesz, to możesz mi go też wsadzić od tyłu. Nie ma sprawy. I tak będziesz musiał założyć gumkę. A ja mam ze sobą swój czarodziejski żel.

-O kurczę. - Wyglądał na zażenowanego, ale widziała, że nie może oderwać od niej wzroku. - Podoba mi się, jak tak mówisz. Jak mówisz takie świństwa.

-W takim razie będę tak mówić przez całą naszą randkę.

-A niech mnie, gorąca z ciebie babka.

-Wiesz, skarbie, to dla mnie żadna nowina - odparła Dannette z kamiennym wyrazem twarzy.

-Jak masz na imię?

-Dannette. A ty?

-Joe. - Po drugiej stronie ulicy stał budynek magazynu. Jego frontową ścianę zdobiły sześciometrowe litery układające się w napis: „Joe Septimo - przewóz i składowanie”. Połowa facetów, którzy się przy niej zatrzymywali, miała na imię Joe.

-No, to jak będzie z tą naszą randką, Joe? - Nachyliła się do okna, żeby mógł lepiej ocenić cycki, które tak mu się podobały; niech zobaczy, że są prawdziwe, a ona to nie żaden pieprzony transwestyta.

-Wygląda na to, że będzie świetnie...

Wyszeptał coś jeszcze, czego nie dosłyszała. Nachyliła się niżej, opierając dłonie na ramie okna. Mężczyzna spojrzał na jej dziewięć pierścionków.

-Co tam mówiłeś, skarbie?

-Pytałem, ile to będzie kosztowało? Znaczy się, nasza randka.

-Dla takiego miłego chłopca jak ty? Zrobimy tak: za pięćdziesiąt ci obciążę. Za stówę możesz mnie mieć od przodu, a za dwie stowy od tyłu. I możemy to zrobić w twoim własnym samochodzie, na tylnym siedzeniu. Jest tu taka boczna uliczka. No, co ty na...

Wciągnęła gwałtownie powietrze, przestraszona. Oczy chłopaka złodowaciały; sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej kajdanki, a drugą ręką chwycił Dannette za nadgarstki. Jak na taką chudzinę był zaskakująco silny.

-Co ty wyprawiasz?! - wrzasnęła.

Kajdanki zatrzasnęły się ze szczękiem na jej szczupłych przegubach.

-Już ci mówię, Dannette. Aresztuję cię za oferowanie usług seksualnych z naruszeniem kodeksu karnego stanu Nowy Jork. A teraz staniasz grzecznie z tą panią, która już do ciebie podchodzi. - Chłopak zerwał jej z ramienia to rebkę.

-Co? - Dannette odwróciła się na pięcie, otwierając szeroko oczy.

Zza samochodu wyszła policjantka, zbliżyła się do Dannette i przeprowadziła ją na zacienioną część chodnika.

-O cholera! - wykrzyknęła zaskoczona. - Chyba nie jesteś gliną?

-Nieźle cię wykołowałem, co? Jestem w tym dobry.

-Cholera jasna, człowieku. Nie mogę w to uwierzyć. Dopiero co wyszłam z pudła! Cholera. Mogłabym przysiąc, że jesteś jeszcze jednym dupkiem z Jersey.



Usatysfakcjonowany tą pozytywną recenzją swojego występu policjant z obyczajówki skinął na policjantkę i powiedział: - Wsadź ją do suki i zabierz do centrum.

Przysadzista kobieta chwyciła Dannette za ramię, odprowadziła za róg - czekał tam nieoznakowany radiowóz marki Dodge Caravan - i pomogła jej wsiąść do środka. Siedziały tam już dwie inne prostytutki, spocone i znudzone jak mopsy.

-Kurwa mać, normalnie wybrali się na polowanie - wybuchła Dannette. - Chyba nie mają niczego lepszego do roboty. Cholera jasna. Nie macie nic lepszego do roboty, czy co?!

-Za dziesięć, piętnaście minut będziemy w centrum - oznajmiła policjantka. - Jak już ruszymy, powiem, żeby włączyli wam klimatyzację. A ciebie co tak śmieszy?

Dannette śmiała się tak bardzo, że nie była w stanie odpowiedzieć. Coraz bardziej się pocił. A teraz jeszcze trzęsły mu się te jego biedne ręce.

Powiedz mi, mamuśka, czy to naprawdę jest koniec?

Sonny przeciął plac budowy naprzeciwko spalonego budynku przy Trzydziestej Szóstej Ulicy, który - jak właśnie doszedł do wniosku - stawał się powoli najbardziej spektakularnym osiągnięciem w całej jego dotychczasowej karierze. Po prostu pokazowa robota. Pomimo obecności Pellama, tej cholernej cioty prosto z prerii, tego pieprzonego kowboja. A może właśnie ze względu na niego.

Znowu tkwię tu w Mobile i słucham bluesa z Memphis...

Sonny przystanął i rozejrzał się, szukając wzrokiem Pellama. Ani śladu gnoja. W jego uszach rozbrzmiewała ta melodia piosenki, a on myślał o matce, która umarła przed pięcioma laty. Przypominał sobie, jak chodziła po domu, słuchając Dylana na tym, jak mu tam, adapterze. A ile miała płyt! Czarnych winyli. Śmieszne były, trzeszczały i zacinały się, a kiedy je podpalał, topiły się, przybierając dziwne kształty. Matka na okrągło puszczała Dylana, całymi nocami, miesiąc w miesiąc.

Przez chwilę wydawało mu się, że rzeczywiście słyszy muzykę, i pomyślał, że jego matka wróciła. Odwrócił się na pięcie. Nie, nie było jej tutaj. Zobaczył tylko robotników w żółtych kaskach i sterty płyt gipsowo-kartonowych.

A tuż obok zbiorniki z olejem napędowym, benzyną i propanem. Pięknie...

Ruszył dalej na wschód i po jakimś czasie dotarł do kratki wentylacyjnej nad tunelem metra przy Ósmej Alei. Przykucnął za rzędem kontenerów na śmieci i drżącymi rękoma otarł pot z twarzy.

Czy to naprawdę jest koniec?

Jeszcze nie, ale już wkrótce. Koniec się zbliżał. Godzina jego śmierci była bliska i Sonny zdawał sobie z tego sprawę. Podczas gdy większość ludzi snuła plany dotyczące tego, jak mogłoby w przyszłości wyglądać ich życie - nieważne, jak bardzo egoistyczne i jak dalece w ostatecznym rozrachunku chybione - Sonny był wprost opętany wizją własnej śmierci.

Uważał, że był przez to podobny do Chrystusa. Zupełnie jak nasz Zbawiciel, urodził się, aby umrzeć. Święte Ciało i Krew, odliczający minuty dzielące Go od Kalwarii. Faktycznie przypominał Jezusa, a przynajmniej jego zatwierdzoną przez Watykan oficjalną podobiznę rodem ze sklepika z dewocjonaliami czy filmów Cecila B. de Mille'a: szczupła, pociągła twarz, rzadka bródka, długie jasne włosy, hipnotyczne spojrzenie błękitnych oczu. Chuderlak.

Hola, hola, tylko bez przesady, zmytygował się Sonny. Kiedy ktoś jest zakochany w ogniu, łatwo o apokaliptyczne wizje.

Jego wyobrażenie własnej śmierci było dosyć złożone i kształtowało się od czasów wczesnego dzieciństwa. Dręczony bezsennością leżał w domu swojej matki, cichym i pełnym bezruchu (w jej ramionach, które czasami były nieruchome, a czasami niespokojne) i malował przed oczyma obraz swego zgonu, upiększał go i poprawiał. Widział samego siebie w wielkim pomieszczeniu, otoczonego tysiącami ludzi wijących się w agonii, podczas gdy litry cudownego soku, jego lepkiej mieszanki, paliły ich ciała żywym ogniem. Znajdował się w samym centrum chaosu, wsłuchując się w rozpaczliwe krzyki, wciągając w nozdrza woń palonych ciał, obserwując ich kaźń, podczas gdy nieubłagane płomienie pieściły ich włosy, krocza, piersi i koniuszki palców. On zaś zmagął się ze swym wrogiem - Antychrystem, stworzeniem, które przybyło na ziemię, aby porwać z niej Sonny'ego. Milczącym, wysokim i całym odzianym na czarno.

Zupełnie jak Pellam. Wyobraził sobie ich obydwóch skutych łańcuchem, uwięzionych w ognistym kręgu płonącego soku. Silne, spocone, splątane ciała; płomienie odzierające ich najpierw z ubrań, potem ze skóry, krew mieszająca się ze sobą. Ich dwóch - i dziesięć tysięcy innych istnień. Wypchany po brzegi teatr na Broadwayu, hala sportowa, szkolna aula...

Przepelniała go energia i chęć działania. Musiał powiedzieć światu o nadciągającej pożodze.

I powiedział. Na swój sposób.

W chwili gdy pociąg wtoczył się na stację i z piskiem kół zatrzymał się tuż pod nim, Sonny rozejrzał się dokoła i opróżnił ośmiolitrowy kanister, wlewając jego zawartość przez kratkę wentylacyjną. Następnie podpalił świeczkę urodzinową - absolutna nowość na rynku, w ogóle nie można jej zdmuchnąć - i cisnął ją w dół zatkniętą w kawałek modeliny.

Ze stłumionym „szuuu” płonący płyn przeniknął przez otwory wentylacyjne do wnętrza wagonów.

-Happy birtliday to you - zanucił Sonny. Zaraz jednak pożałował swojej nonszalancji realizował jednak ważny projekt. Wstał i oddalił się niechętnie wolnym krokiem, żałując, że nie może zostać dłużej i posłuchać krzyków przebijających się przez chmurę czarnego dymu, krzyków tych, którzy właśnie umierali pod ziemią, kilka metrów pod jego stopami.

Powiedz mi, mamuśka, czy to naprawdę jest koniec?

Miał wrażenie, że zewsząd otacza go wycie syren. Było surowe, rozpaczliwe, beznadziejne. Sonny uznał jednak, że całe to zamieszanie jest po prostu głupie. On przecież dopiero się rozgrzewał; to miasto dopiero się przekona, na co go stać.

## 11

Hatake Imaham zwołała wiec w celi.

-A teraz posłuchajcie - zaczęła, gdy młode kobiety otoczyły ją ciasnym kręgiem. - Nie dajcie sobie wciskać byle czego. Korzeń wilca? Sadło nietoperza, magnetyt, świecek voodoo? Te wszystkie cudeńka, które ludzie usiłują wam sprzedać, są gównem warte. Chodzi im tylko o to, żeby wyciągnąć od was pieniądze. Powinnyście być mądrzejsze.

W drugim końcu celi Ettie Washington słuchała jednym uchem tej tyrady. Była teraz bardziej obolała niż zaraz po pożarze. Ręka pulsowała, a ból promieniował aż do szczęki. Tak samo kostka. Do tego jeszcze ten potworny ból głowy. Znowu próbowała poprosić o leki przeciwbólowe, ale strażniczki tylko spojrzały na nią tak, jak patrzyły czasami na myszy biegające po posadzce aresztu.

-Ale to przecież działa - zaprotestowała jakaś wychudzona kobieta. - Kiedyś mój stary mnie zdradzał, a ja wtedy...

-Posłuchaj mnie dobrze. Jeżeli ktoś ma moc, nie potrzebuje tych wszystkich olejków, świeczek i korzeni. A jeśli jej nie ma, to i tak nic mu nie pomoże. Przyjdiesz złożyć u mnie ofiarę, zostawisz parę centów dla Damballaha. I to wystarczy. A w Nowym Jorku większość kapłanów i kapłanek voodoo to zwykli naciągacze. - Hatake uniosła głos. - A co wy na to, matko Washington? Wierzycie w Damballaha?

-W co?

-W boga-węża? W santerię, voodoo?

-Nie, raczej nie - odparła Ettie. Nie miała siły tłumaczyć im, że jej babka Ledbetter, niech Pan czuwa nad jej duszą, doszczętnie wyprała ją z religijnych złudzeń swoimi płomiennymi kazaniami, w których katolicyzm mieszał się z surowymi dogmatami baptystów. Jak się temu lepiej przyjrzeć, wcale nie różniły się one tak bardzo od bzdur wygadywanych przez Hatake. Kadzidło i woda święcona zamiast korzenia wilca.

Ciągnąc się za ucho, w którego płatku widniały liczne dziury po kolczykach, Hatake kontynuowała swój wykład, demaskując głupotę zaklęć przyciągających mężczyznę i olejków chroniących przed

stróżami prawa. Liczy się to, co mamy w sercu, oznajmiła. Ettie przestała jej słuchać i kolejny raz pomyślała o Johnie Pellamie. Zastanawiała się, kiedy znowu przyjdzie ją odwiedzić. O ile w ogóle przyjdzie. W tej chwili powinien już być setki kilometrów stąd. Dlaczego u diabła ciągle jej pomaga? Z przerażeniem uświadomiła sobie, że sam omal nie zginął w płomieniach. Pomyślała też o małym Juanie Torresie i zmówiła w jego intencji modlitwę ateisty.

Nagłe zamieszanie przy wejściu do celi sprowadziło ją z powrotem na ziemię. Szczęk metalu uderzającego o metal. Kilka głosów głośno powitało nowo przybyłą.

-Kobietko, przecież dopiero wczoraj stąd wyszłaś! Tak szybko znowu cię zapuszkowali?

-Cholera, Dannette, ty jesteś jakaś pechowa. Trzymaj się z dala ode mnie, dziewczyno.

Ettie zobaczyła, że do celi wchodzi niepewnie młoda kobieta o ospowatej twarzy i wspaniałej figurze. Była to jedna z prostytutek, które zwolniono poprzedniego dnia. Tak szybko z powrotem? Ettie uśmiechnęła się do niej, ale nie zareagowała.

Dannette podeszła do kręgu kobiet otaczających Hatake Imaham, która powitała ją zdawkowym skinieniem głowy.

- Witaj, mała. Miło cię znowu widzieć.

Zabrzmiało to nieco sztucznie, zupełnie, jakby Hatake się jej spodziewała.

Zaraz też podjęła przerwany wywód na temat hoodoo; mówiła teraz o Damballahu, najwyższym bożku w hierarchii voodoo. Ettie słyszała o nim, bo parę lat wcześniej jej siostra uległa podobnemu wariactwu. Potem rosła kobieta zniżyła głos i więźniarki zaczęły szeptać o czymś między sobą. Jedna czy dwie zerkały przy tym na Ettie, nie włączając jej jednak do rozmowy. Nie miała im tego za złe. Była wdzięczna za tych kilka minut ciszy. Musiała wiele rzeczy przemyśleć, a Bóg - albo Damballah, dodała w myślach z rozbawieniem - raczy wiedzieć, kiedy znowu trafi jej się trochę spokoju.

Znowu to dziwne uczucie. Jakby ktoś mu się przyglądał.

Pellam stał na krawężniku przed kamienicą Ettie i ewidentnie marnował swój czas, wypytyując cierpiących na amnezję robotników z

budowy, czy tuż przed wybuchem pożaru nie byli przypadkiem w uliczce na tyłach budynku albo czy nie wiedzą, kto mógł tam wtedy być.

Odwrócił się gwałtownie. Bingo. Jakieś piętnaście metrów od niego, na placu budowy, dokładnie pod ogromnym billboardem, na którym nieznany artysta przedstawił barwnie swoją wizję ukończonego budynku, stała zaparkowana czarna, błyszcząca limuzyna. Pellam widywał mnóstwo takich billboardów na West Side; ktokolwiek był autorem tych malowideł, udało mu się sprawić, aby widniejące na nich wieżowce wyglądały równie atrakcyjnie i sztucznie, jak szkice modelek reklamujących bieliznę w gazetowych reklamach Saksa czy Lorda Taylora.

Pellam skoncentrował się na limuzynie. Jej szyby były przyciemnione, ale mimo to dostrzegł, że ktoś na tylnym siedzeniu - najprawdopodobniej mężczyzna - bacznie mu się przygląda.

Szybkim ruchem zarzucił sobie kamerę na ramię i wycelował obiektyw w limuzynę. Chwila spokoju, po czym na tylnym siedzeniu dał się zauważyć jakiś ruch. Kierowca wcisnął pedał gazu i długi wóz wypadł na podjazd, a następnie zniknął wśród samochodów zmierzających w stronę srebrzystej jak rybia łuska wstęgi rzeki Hudson.

Nie przestając filmować, Pellam zszedł z krawężnika na jezdnię. W ogóle nie zauważył innego samochodu, który niemal go staranował.

Pisk ostro wciskanych hamulców sprawił, że okręcił się jak fryga. Usiłując zejść z drogi pędzącego pojazdu, zrobił niepewnie krok do tyłu, potknął się o krawężnik i upadł. Zdarł sobie przy tym skórę na łokciach, ratując kamerę, która w tej chwili była warta więcej niż on sam.

Jak spod ziemi wyrósł przy nim jakiś człowiek, potężny mężczyzna. Jego dłonie jak imadło zacisnęły się na ramionach Pellama. Jednym szarpnięciem postawił go na nogi, wrywając mu jednocześnie kamerę z rąk. Pellam nie zdążył nawet zaprotestować, a już siedział na tylnym siedzeniu sedana. Pierwszą jego myślą było, że to Jimmy Corcoran dowiedział się, iż rozpytywał o jego gang i nadsłał na niego swoich chłopców...

Piły tarczowe... Po prostu nie potrafił odpędzić od siebie tej

koszmarnej wizji.

Szybko jednak zdał sobie sprawę, że nie ma do czynienia z gangsterami. Siedzący w aucie mężczyźni mieli około trzydziestu, czterdziestu lat i nosili garnitury. Przypomniał sobie też, gdzie widział już tego, który w epchnął go do samochodu, człowieka-niedźwiedzia o gładkiej skórze niemowlaka. Nie był więc zaskoczony, gdy zobaczył, kto siedzi obok kierowcy.

-Witam, oficerze Lomax.

Olbrzymi asystent wgramolił się za kółko i ruszył z miejsca.

-Nie jestem oficerem - mruknął Lomax.

-Nie?

-Nie.

-To jak mam się do pana zwracać? Inspektorze? Szanowny panie ekspercie od podpaleń? Panie porywaczu?

-Bardzo śmieszne. W takim razie może ja powinienem zwracać się do pana per Komik. Zamiast Szczęściarz. Niezły agent, co? - zagadnął swojego asystenta. Mężczyzna o posturze zapaśnika nie odpowiedział.

Nie zareagował także sąsiad Pellama, wymizerowany gliniarz - a może kolejny inspektor straży pożarnej? - facet chudy jak kurczak. Zdawał się w ogóle nie dostrzegać Pellama i nie odrywał wzroku od widoków przesuwających się za szybą.

-Jak się pan miewa? - zapytał Pellama Lomax. Na szyi miał łańcuszek z odznaką. Była złota, a u szczytu godła przysiadł orzeł o wrednym wyglądzie.

-Tak sobie.

Zwracając się ponownie do swojego asystenta, inspektor polecił: - Zabierz go tam, gdzie właśnie byliśmy. - I zaraz dodał: - Tylko tak, żeby nas nikt nie widział.

-Mam zaparkować na tyłach?

-Tak będzie najlepiej.

Ta wymiana zdań wyglądała na z góry przygotowaną. Pellam jednak nie miał zamiaru dać się zastraszyć. Przewrócił oczyma. Przecież ci trzej gliniarze - a może raczej inspektorzy straży pożarnej? - nie zastrzelą go w jakiejś ciemnej uliczce.

-Chcielibyśmy dowiedzieć się od pana jednej rzeczy - odezwał się

Lomax, spoglądając przez szybę na niedawno spalony budynek sklepu. - Tylko jednej rzeczy: gdzie znajdziemy tego gnoja, którego wynajęła pańska staruszka? To wszystko. Tylko tyle. Pan nam to powie, a my pójdziemy w jej sprawie na taki układ, że wam obojgu oko zbieleje.

-Ona nikogo nie wynajęła. I nie podpaliła kamienicy. Im dłużej będziecie się przy tym upierać, tym dłużej prawdziwy sprawca będzie przebywał na wolności.

Kolejny tekst z jednego z jego filmów. Prawdę mówiąc, lepiej brzmiał na papierze niż wypowiedziany na głos. Ale może wszystkiemu winne były okoliczności.

Lomax milczał przez parę minut, a potem zapytał:

- Wie pan, jaka jest różnica między kobietami a mężczyznami? Kobiety szybciej się załamują. Facet może nawet przez parę dni strugać twardziela. Ale wystarczy stanąć przed kobietą i głośniejsze na nią wrzasnąć, a z miejsca wybuchnie płaczem i powie: „Tak, tak, to ja, ja to zrobiłam, tylko nie róbcie mi krzywdy. Wcale tego nie chciałam, nie wiedziałam, że komuś coś się stanie, mój chłopak mnie do tego namówił”. Tak czy inaczej, załamię się.

-Przekażę to tej feministce Glorii Steinem, kiedy ją znowu zobaczę.

-Widzę, że żarty wciąż się pana trzymają. Cieszę się, że nawet w takiej sytuacji nie opuszcza pana dobry humor. Ale może powinien pan uważniej posłuchać tego, co mam panu do powiedzenia. Zamierzam złamać tę staruszkę, w ten czy inny sposób. Nie obchodzi mnie, jakimi metodami to osiągnę. Tommy, słyszałeś, co właśnie powiedziałem?

W odpowiedzi zwalisty asystent wyrecytował:

- Nie słyszałem ani jednego słowa.

Siedzący obok Pellama chudy, milczący gliniarz z zainteresowaniem przyglądał się dzieciakom odkręcającym hydrant. Wyglądało na to, że i on niczego nie słyszał.

Loznax dodał:

- Ja i tak powstrzymam tego przeklętego psychola, ale pan ma szansę załatwić Washington lżejszy wyrok i przy okazji ocalić życie wielu niewinnym ludziom. I lepiej, żeby pan z nią porozmawiał, o tak... Tak, panie Szczęściarzu. Powiedz mu, co się dziś rano stało, Tony.



-Pożar na stacji metra przy Ósmej Alei.

Lornax popatrzył na Pellama.

- Ilu rannych, Tony?

Ten odparł tonem ucznia powtarzającego dobrze wyuczoną lekcję:

- Szesnastu.

-Jak ciężko ranni?

-Bardzo ciężko, szefie. Cztery osoby w stanie krytycznym. Jedna prawdopodobnie nie przeżyje.

Lornax odwrócił się, spojrzał na chodnik i rzucił do kierowcy:

- Podjedź od tyłu. Nie chcę, żeby nas tu widziano.

Cała trójka miała strasznie ponure miny, a dwóch z nich ważyło o dobre dwadzieścia kilo więcej od Pellama. Zaczynało do niego docierać, że chociaż raczej go nie zastrzelą, absolutnie nic nie powstrzyma ich przed spraniem go na kwaśne jabłko. Zapewne sprawiłoby im to zresztą sporą frajdę. Mogą też rozbić wartą czterdzieści tysięcy dolarów kamerę, która niestety do niego nie należała.

-Wie pan, jak nazywamy łatwą do rozwiązania sprawę? Taką z wiarygodnymi świadkami i całą masą twardych dowodów? - spytał go naraz Lomax.

-Pewniak - podsunął Tony.

Lomax mówił dalej, nachylając się bliżej do Pellama. - A wie pan, jak mówimy na sprawę, której nie możemy rozgryźć?

-Twardy orzech? - zaryzykował Pellam.

-Taką sprawę nazywamy zagadką, panie Szczęściarz. I właśnie z czymś takim mamy tutaj do czynienia. Z cholernie wielką zagadką. Wiemy, że staruszka wynajęła podpalacza, ale nie możemy znaleźć żadnych pieprzonych tropów. A mnie już skończyły się pomysły, więc nie mam innego wyboru. Jedyne, co mogę teraz zrobić, to mocniej przycisnąć tę pańską staruszkę. Słyszałeś to, Tony?

-Niczego nie słyszałem.

-A jeśli to nie poskutkuje, panie Szczęściarz, wtedy będę zmuszony przycisnąć pana.

-Mnie.

-Właśnie tak, pana. Był pan na miejscu zdarzenia w momencie wybuchu pożaru - tak jakby miał pan zagwarantować alibi naszej

staruszcze. A teraz płacze się pan po okolicy, magluje świadków i wszędzie tacha ze sobą tę przekłętą kamerę. Na moje oko wygląda pan na kogoś, kto miał już do czynienia z glinami. Moim zdaniem spotykał pan ich częściej, niżby pan chciał. Zanim więc zacznę stosować rozwiązania siłowe wobec was obojga, oczekuję jasnej odpowiedzi: jaki ma pan w tym wszystkim interes?

-To proste. Aresztowaliście niewłaściwą osobę. Uświadomienie wam tego tak, żebyście to zrozumieli - to jest mój interes.

-Chce pan to zrobić, niszcząc dowody przestępstwa? Zastraszając świadków? Utrudniając mi dochodzenie?

Pellam zerknął na siedzącego obok mężczyznę. Wyglądał na słabeusza. Idealny kandydat, żeby obsadzić go w roli księgowego albo w ostateczności gliniarza z wydziału wewnętrznego.

Odparł:

- Ja też mam parę pytań. - Inspektor skrzywił się, lecz Pellam to zignorował. - Dlaczego Ettie miałyby spalić cały budynek, skoro polisa obejmowała tylko jej własne mieszkanie?

-Bo wynajęła do pomocy pieprzonego świra, który nie potrafił nad sobą zapanować.

-Ale dlaczego miałyby w ogóle kogokolwiek wynajmować? Nie mogła po prostu zaimprovizować nieszczęśliwego wypadku w kuchni?

-To byłoby zbyt podejrzane.

-I tak cały ten pożar jest podejrzany.

-Mniej, niż gdyby spaliła tylko swoje mieszkanie. Poza tym nie miała pojęcia, że istnieje coś takiego, jak baza danych oszustów ubezpieczeniowych.

-Straciła w pożarze cały swój dobytek.

-Jaki znów dobytek? Parę starych gratów wartych niewiele ponad tysiąc dolców?

Pellam nie poddawał się. - A jej odciski palców? Co z nimi? Myślicie, że zdecydowała się wynająć piromana tylko po to, żeby wręczyć mu butlę z własnymi odciskami palców? I czy to nie dziwne, że fragmenty butelki, na których były jej odciski, nie stopiły się jak wosk?

-I co ja mam z tym gościem zrobić, Tony? - zagadnął Lomax

siedzącego za kierownicą osiłka.

Ten zastanawiał się przez chwilę, po czym orzekł:

- Ciekawe, jak się dowiedział, że znaleźliśmy jakąś butelkę z odciskami palców.

- Ciekawe, co? - Lomax pytająco uniósł brew.

- Czyli szczęśliwy strzał - mruknął Pellam. - Zgodnie z moją nową ksywką.

- Skręć tutaj - polecił kierowcy Lomax. Samochód z poślizgiem wszedł w zakręt i zahamował. - Tony. - Inspektor dał znak asystentowi.

Osiłek odwrócił się i nieoczekiwanie Pellam ujrzał przed sobą wielką lufę pistoletu wycelowanego prosto w swoją skroń.

- Jezu...

- Mam dla pana jeszcze parę ciekawostek, panie Pellam. My, inspektorzy straży pożarnej, nie jesteśmy gliniarzami. Nie dotyczą nas policyjne przepisy. Możemy nosić przy sobie broń, jaka nam się żywnie spodoba. Powiesz nam, co w tej chwili trzymasz w ręce, Tony?

- Magnum kaliber 38. Załadowany ostrą amunicją.

- I dzięki temu możecie skuteczniej zastraszać niewinnych ludzi? - zapytał Pellam.

- O to tutaj chodzi?

Osiłek cofnął rękę z pistoletem. Pellam roześmiał się i pokręcił głową. Wiedział, że nie może oberwać. Ślady fizycznej przemocy były ostatnią rzeczą, jakiej ci ludzie by sobie życzyli. Tony zerknął ukradkiem na Lomaxa; ten wzruszył ramionami.

Magnum zniknęło w kieszeni wielkoluda. On i Lomax wygramolili się z wozu, stanęli tyłem do szyby.

Pellam myślał właśnie triumfalnie: „Przejrzałem ich”, kiedy jego chuderlawy sąsiad zamachnął się i koścista pięść, w której zaciskał rulon ćwierć-czy pięciocentówek trafiła go w głowę tuż za lewym uchem. Oślepiła go eksplozja bólu.

- O nie... Chryste Panie...

Kolejny cios. Twarz Pellama odbiła się od szyby. Na zewnątrz Lomax i Tony kiwali głowami, studiując uważnie stertę śmieci w bocznej uliczce.

Zanim zdolał unieść w górę rękę, chudzielec wyprowadził jeszcze

jeden potężny cios. Pellam zobaczył przed oczyma jaskrawożółte światło i znowu poczuł przeszywający ból za uchem. Półprzytomnie pomyślał, że sińce i opuchlizna będą tam praktycznie niewidoczne; znikną pod włosami.

To tyle, jeśli chodzi o możliwość obdukcji.

W końcu mężczyzna wrzucił rulon monet do kieszeni i rozsiadł się wygodnie. Pellam otarł z oczu łzy, które wycisnął ból, i odwrócił się ku swemu prześladowcy. Zanim jednak zdołał cokolwiek powiedzieć - nie mówiąc już o zamachnięciu się i rozwaleniu tamtemu szczęki - drzwiczki samochodu otworzyły się, a Lomax wraz z Tonym wywlekli go na zewnątrz i postawili na środku wąskiej uliczki.

Pellam dotknął ręką skóry głowy. Nie krwawiła.

- Nie zapomnę ci tego, Lomax.

-Czego?

Tony pociągnął go za sobą w głąb opustoszałej uliczki.

Pellam zdążył tylko pomyśleć: „Żadnych świadków”.

Lomax towarzyszył im kawałek drogi, jakieś dziesięć metrów.

Następnie dał znak

Tony'emu, który przygwoździł Pellama do muru, tak samo jak tamtego dnia w szpitalu, w sali, gdzie leżała Ettie.

Pellam wzdrygnął się. Lomax wsadził ręce do kieszeni i odezwał się ściszym głosem:

- Od dziesięciu lat jestem głównym inspektorem straży pożarnej. Widywałem już wcześniej różnych piromanów, ale nigdy nie spotkałem kogoś takiego. To zwyczajny terrorysta. Robi, co chce i dopóki go nie powstrzymamy, będzie coraz gorzej. Pomożesz nam wreszcie czy nie?

-Ona go nie wynajęła.

-Dobra. Skoro tego właśnie chcesz.

Pellam zacisnął pięści. Nie zamierzał poddawać się bez walki. Prawdopodobnie zatrzymają go za napaść na funkcjonariusza, ale wszystko wskazywało na to, że od początku chcieli go aresztować. W pierwszej kolejności zajmie się więc Tonym, spróbuje rozkwasić mu nos.

Naraz Lomax dał znak Tony'emu, a ten puścił Pellama. Następnie osiłek wrócił do wozu, gdzie wymizerowany facet z rulonem monet w

kieszeni siedział, czytając „The Post”.

Lomax stanął twarzą do Pellama, który przestępował z nogi na nogę, gotując się do wymiany ciosów.

Tymczasem inspektor gestem wskazał mu nieoznakowane szare drzwi. - Tędy. Trzecie piętro, sala trzysta trzynaście. Zapamiętasz?

-O czym pan mówi?

-Tędy. - Inspektor raz jeszcze skinął w stronę drzwi. - Sala trzysta trzynaście. No, jazda. Zabieraj się stąd. Rzygać mi się chce, kiedy na ciebie patrzę.

Wszedł do windy i wcisnął okrągły, wytłuszczony, plastikowy przycisk z cyfrą 3.

Budynek, za którym zaparkowali, okazał się szpitalem, tym samym, do którego trafił on sam i gdzie aresztowano Ettie Washington.

Przemierzył kilka korytarzy, zanim odnalazł niewielką salę, do której skierował go Lomax.

Przy drzwiach zawahał się, nie zwracając uwagi na stojącą w środku parę. Nie dostrzegł też nowoczesnego sprzętu medycznego ani pielęgniarki w białym fartuchu, która obrzuciła go nieuważnym spojrzeniem. Jedyne, co John Pellam ujrzał w tej sali, to kupka białych bandaży, pod którymi kryło się ciało dwunastoletniego chłopca. Małego Juana Torresa, najcięższej rannej ofiary pożaru przy Zachodniej Trzydziestej Szóstej Ulicy numer 458.

Syna człowieka, który znał Jose Canseco.

Dopiero po chwili rozejrzał się po sali, usiłując zrozumieć, dlaczego właściwie Lomax go tu przysłał. Nie potrafił tego pojąć.

W tym momencie odczuwał jedynie ogrom współczucia, które dzielił po równo między tego oto chłopca i Ettie Washington (czy była w tym jakaś sprzeczność? Po paru trudnych sekundach uznał, że tak - jeśli Ettie Washington rzeczywiście była winna).

Daj spokój, upomniał sam siebie. Ta kobieta jest niewinna. Wiem, że tak jest.

Jeszcze raz zadał sobie w myślach pytanie, dlaczego Lomax chciał, żeby tutaj przyszedł.

-La iglesia - powiedziała spokojnie kobieta. - El cura.

Do sali weszła energicznie inna pielęgniarka; potrafiła Pellama i

minęła go bez słowa przeprosin. Podała matce biały kubeczek. Może kobieta również na coś chorowała. Początkowo Pellam uznał, że ucierpiała podczas pożaru. Zaraz jednak przypomniał sobie, że sam pomógł jej wyjść z budynku, w ślad za dźwigającym jej syna strażakiem. Sprawiała wtedy wrażenie całej i zdrowej, teraz ręce jej drżały. Dwie małe, żółte pigułki wypadły ze styropianowego kubka i potoczyły się po podłodze. W tej samej chwili Pellam uświadomił sobie, że sala, w której się znajdują, zasadniczo różni się od innych, które mijał.

O co właściwie chodzi?

Coś dziwnego się tutaj działo.

Tak, to musi być to...

Monitor nad łóżkiem chorego milczał. Różne przewody zostały odłączone od rączki chłopca. A z ramy łóżka znikła karta choroby.

Cura. Po zamieszkaniu w Południowej Kalifornii Pellam przyswoił sobie kilka hiszpańskich słów. Teraz dotarło do niego, że chodzi o księdza.

Poparzony chłopiec nie żył. To dlatego Lomax go tu przysłał.

Jego matka, nie zwracając uwagi na rozsypane pigułki, szukała oparcia na ramieniu swego towarzysza. Ten zaś odwrócił głowę pokrytą gęstymi, krótko przyciętymi lokami i spojrzał na Pellama.

Mój tatuś zna Jose Canseco. Tego boksera. Naprawdę. Słowo honoru, że go zna!

Pielęgniarka znowu precyzyjnie się obok Pellama, tym razem rzucając krótkie: Przepraszam!

W sali zapadła niemal całkowita cisza. Jedyne dźwiękiem był biały szum, ledwo słyszalny syk, identyczny jak ten, który zarejestrowała jego kamera przy łożu śmierci Otisa Balma albo w pokoju Ettie, gdy w kadrze pozostał tylko pusty bujany fotel, a ona sama wstała, żeby otworzyć drzwi; była to jedna z ostatnich scen, jakie nakręcił z jej udziałem. Pellam trwał nieruchomo na środku sali, niezdolny do wypowiedzenia słów żalu, zdolny jedynie patrzeć i analizować.

Musiał minąć parę minut, zanim uprzytomnił sobie wszystkie konsekwencje smutnego wydarzenia, którego stał się mimowolnym świadkiem - między innymi to, że od tej chwili Ettie Washington jest

oskarżona również o morderstwo.

## 12

W wydziale kryminalnym Sądu Najwyższego stanu Nowy Jork panował spory ruch. John Pellam zajął miejsce w głębi brudnej, zatłoczonej sali rozpraw, tuż obok Nicka Flanagana, poręczyciela kaucji wynajętego przez Louisa Bailey'a - tęgiego, zmęczonego życiem mężczyzny o brudnych paznokciach i komputerowej pamięci, dzięki której potrafił obliczać procenty szybciej, niż Pellam zdołałby to zrobić z pomocą kalkulatora.

Po śmierci chłopca Bailey zrewidował swoje początkowe wyliczenia dotyczące kaucji obecnie wynosiła ona już sto tysięcy dolarów. Zgodnie z typową procedurą Ettie musiała wpłacić dziesięć procent tej kwoty w gotówce lub przedstawić jej równowartość w formie innego zabezpieczenia. Ostatecznie Flanagan przystał na pięć i pół procent. Uczynił to jednak niechętnie, ulegając swojej naturze albo - co bardziej prawdopodobne - spłacając w niewielkiej części jakieś potężne zobowiązanie wobec Bailey'a, o którym ten ostatni najwyraźniej nie zamierzał zapomnieć.

Ettie Washington miała wnieść w depozycie wszystkie swoje oszczędności - okrągłe dziewięćset dolarów. Resztę pożyczył Bailey, jak zwykle korzystając z pomocy jednego ze swoich bezimiennych „kontaktów”. Ettie nie pozwoliła Pellamowi wyłożyć ani jednego centa choć właściwie to nie miał jej zbyt wiele do zaoferowania.

Operatywność Bailey'a zrobiła na nim duże wrażenie; mimo to wciąż nie był pewien, czy na sali sądowej prawnik wykaże się takim samym sprytem i umiejętnością, jak podczas swoich dotychczasowych popisów w barach, urzędach i archiwach.

Co gorsza, Bailey odebrał raport grafologa i nie miał dla Pellama dobrych wiadomości. Okazało się, że ze względu na dręczący Ettie artretyzm trudno było jednoznacznie zanalizować charakter jej pisma. Zgodnie z ekspertyzą grafologiczną „istniało duże prawdopodobieństwo”, iż podpis na formularzu ubezpieczeniowym należał „do podejrzanej Washington”.

Pellam przyjrzał się teraz zastępcy prokuratora okręgowego, Lois Koepel, młodej kobiecie o ostro zarysowanej szczęce, zaciśniętych



ustach i bardzo nieprofesjonalnej burzy włosów. Sprawiała wrażenie pewnej siebie, szorstkiej i zdecydowanej za młodej, żeby zajmować się sprawą o morderstwo.

Urzędnik sądowy wymamrotał:

- Stan Nowy Jork przeciwko Ettie Wilkes Washington.

Bailey dał znak Ettie i oboje powstali - on ze wzrokiem utkwionym przed sobą, ona ze spuszczoną głową. Starszawy sędzia był wyraźnie znudzony; półleżąc w fotelu, podpierał palcami skroń oszpeconą wystającą, pulsującą żyłą widoczną nawet z ostatnich ławek sali sądowej.

Zastępca prokuratora okręgowego odezwała się:

- Akt oskarżenia został uzupełniony, wysoki sędzie.

Sędzia spojrzał z góry na młodą kobietę.

- Czyżby chłopiec umarł?

-Tak jest, wysoki sędzie. - Wystarczyły trzy syczące głoski, żeby słuchacze wzdrygnęli się, jakby przeszedł ich nagły dreszcz.

Sędzia przejrzał leżące przed nim dokumenty.

- Pani Washington - oznajmił monotonnym tonem. - Jest pani oskarżona o morderstwo drugiego stopnia, spowodowanie śmierci pierwszego stopnia, zaniedbanie karalne ze skutkiem śmiertelnym, podpalenie pierwszego stopnia, podpalenie drugiego stopnia, napaść pierwszego stopnia oraz zniszczenie mienia pierwszego i drugiego stopnia. Czy rozumie pani stawiane jej zarzuty?

Ku poruszeniu pierwszych kilku rzędów Ettie Washington zawołała mocnym głosem: - Nikogo nie zabiłam! To nie ja!

Zastępca prokuratora okręgowego natychmiast zareagowała. Jej głos był jak papier ścierny: - Wysoki sędzie!

Sędzia uciszył ją zniecierpliwiony.

- Pani Washington, wytłumaczono pani, czego dotyczą te zarzuty, tak czy nie?

-Tak jest.

-Czy się pani do nich przyznaje?

Bez dodatkowej podpowiedzi Ettie odparła:

- Jestem niewinna, wysoki sędzie.

-Dobrze. Jakiej kaucji żąda oskarżyciel?

-Wysoki sędzie, stan Nowy Jork wnosi, aby pani Washington

pozostała w areszcie do czasu zakończenia postępowania.

Bailey wymamrotał:

- Wysoki sędzie, moja klientka to siedemdziesięciodwuletnia kobieta bez środków do życia i bez paszportu, za to z licznymi obrażeniami. Nie ma obawy że ucieknie przed wymiarem sprawiedliwości.

Zastępca prokuratora przerwała mu wyuczoną formułką: - Jest oskarżona o morderstwo i podpalenie...

-Nigdy nie skrzywdziłabym tego chłopca! - wykrzyknęła Ettie. - Nigdy, przenigdy!

-Obrońca przywoła do porządku swoją klientkę... - Okrzyk Ettie wyrwał sędziego ze stanu letargu na tyle, aby zdołał ospale wyrecytować swoją kwestię.

Zastępca prokuratora okręgowego mówiła dalej:

- Mamy tu do czynienia z kobietą oskarżoną o to, iż jest autorką sprytnego spisku mającego na celu wyłudzenie znacznej kwoty z polisy ubezpieczeniowej. W grę wchodzi premedytacja oraz wynajęcie zawodowego podpalacza.

-Czy ten podejrzany również został ujęty?

-Nie, wysoki sędzie. Naszym zdaniem człowiek ten jest odpowiedzialny za całą serię podpałów w mieście, wskutek których wiele osób straciło życie lub doznało poważnych obrażeń. Wszystko wskazuje na to, że celowo sieje zniszczenie. Wysoki sąd z pewnością czytał doniesienia prasowe.

-Chodzi o te pożary ostatnio?

-Tak jest.

-Wysoki sędzie! - wtrącił Bailey pełnym oburzenia tonem.

-Obrona zachowa milczenie. - Sędzia zmarszczył brwi, co było pierwszym jak dotąd przejawem emocji.

-Trzy pożary w ciągu dwóch dni, ostatni na stacji metra. A tuż przed przyjściem na salę rozpraw dowiedziałam się, że zdarzył się kolejny, wysoki sędzie.

Bailey odwrócił się i popatrzył przeciągle na Pellama. Jeszcze jeden pożar? Koepel ciągnęła: - W domu towarowym przy Ósmej Alei.

-Co się stało? - zapytał sędzia.

Zastępca prokuratora okręgowego dysponowała najświeższymi

informacjami. - Znowu ta sama mieszanka zapalająca własnego wyrobu, wysoki sędzie. W damskim dziale odzieżowym. Na szczęście w chwili, gdy wybuchł pożar, jedna ze sprzedawczyń stała akurat w pobliżu gaśnicy i zdołała ugasić ogień, zanim wyrządził poważniejsze szkody. Mogło jednak dojść do prawdziwej tragedii...! - Zastępca prokuratora okręgowego na chwilę wypadła z roli. Jej głos brzmiał teraz niemal błagalnie. - Wysoki sędzie, policja już nie wie, co ma robić. Nie mogą znaleźć sprawcy. Nie ma żadnych świadków. A pożary wybuchają jeden po drugim. Jeśli mam być szczerą, wszyscy na West Side są cholernie przerażeni.

-Wysoki sędzie - odezwał się Bailey tonem gwiazdy melodramatu. - Oskarżenie dopuszcza się bezprzykładnej spekulacji. W końcu mamy sierpień. Jest gorąco, a temperamenty bywają rozbuchane...

-Dziękuję panu za raport pogodowy, mecenasie Bailey. Do czego pan zmierza?

-Te pożary to zwykły efekt naśladownictwa...

-Pani prokurator? - Sędzia spod uniesionej brwi rzucił pytające spojrzenie na zastępcę prokuratora okręgowego.

-Wątpię. Mieszanka zapalająca użyta w każdym z tych pożarów ma bardzo specyficzny skład. Jest niemal jak odcisk palca konkretnego podpalacza. Poza tym prasa współpracuje z nami i nie ujawniła dotąd, jakich dokładnie substancji użyto. Oskarżenie jest przekonane, że za wszystkimi pożarami stoi ten sam sprawca. Tymczasem oskarżona uparcie odmawia jego identyfikacji i...

-Odmawia - przerwał jej Bailey, wyrażając tym samym głośno myśli Pellama ponieważ nie wie, kim on jest.

-Jak już mówiłam, mamy do czynienia z bardzo przemyślanym spiskiem mającym na celu popełnienie odrażającego przestępstwa, na skutek którego życie straciło już jedno dziecko. A w świetle wcześniejszej karalności oskarżonej można...

-Co takiego? - zawołał prawnik.

-Czy zgłasza pan sprzeciw, mecenasie?

-Nie, wysoki sędzie, nie zgłaszam.

-Gdyby pan jednak zgłaszał sprzeciw, byłby to błąd proceduralny. Na tej sali nie ma ławy przysięgłych. Nie jesteśmy jeszcze w trakcie postępowania dowodowego.

-Nie zgłaszam sprzeciwu. Ale jaka to wcześniejsza karalność? - Bailey zerknął na milczącą Ettie, która spuściła niżej głowę.

Pellam w napięciu pochylił się do przodu.

-No cóż, przed sześcioma laty pani Washington została uznana za winną oszustwa i wymuszenia. Również i w tamtej sprawie była mowa o karalnej groźbie podpalenia, wysoki sędzie.

Ettie była notowana? Jaka groźba podpalenia? Pellam błyskawicznie odtworzył w myślach wszystkie rozmowy, jakie ze sobą odbyli. Nic takiego nigdy w nich nie padło; Ettie ani słowem nie zasugerowała, że była wcześniej skazana za przestępstwo. Nerwowo pocierał kciukiem o palec wskazujący.

Bailey odwrócił się w stronę swojej klientki, lecz ta nie podnosiła wzroku.

- Pierwszy raz słyszę o czymś takim, wysoki sędzie. - Szepnął jej coś na ucho, ale kobieta tylko potrząsnęła głową i nadal milczała.

-Ale to już nie jest zmartwienie oskarżenia. - Zastępca prokuratora okręgowego wzruszyła ramionami.

-To prawda, mecenasie Bailey - westchnął sędzia. Patrzący na niego mieli wrażenie, że nabrzmiała żyła na jego poczerwieniałej skroni zaczyna pulsować w odwrotnym kierunku.

Najwyraźniej chciał już przejść do kolejnej sprawy na dzisiejszej wokandzie. - Wiedza obrony na temat kryminalnej przeszłości klientki jest w tej sprawie nieistotna. Czy możemy to już zakończyć?

-Oskarżenie wnioskuje - zasyczała Koepel - aby podejrzana nie była zwolniona za kaucją i pozostała w areszcie.

Sędzia odchylił się do tyłu na swoim wysokim, czarnym fotelu. - Wniosek o kaucję został odrzucony. - Uderzenie sędziowskiego młotka zabrzmiało niczym huk wystrzału. Zaskoczyli nas...

Louis Bailey i Pellam stali na chodniku przed budynkiem Sądu Najwyższego. Upalne sierpniowe powietrze przesycone było dziwnym, kwaśnym zapachem.

Prawnik wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w swoje stopy. W granatowej skarpetce ziała spora dziura, ale druga, zielona, wyglądała niemal jak nowa. - Powinienem był to przewidzieć. Zastępca prokuratora okręgowego wycięła nam niezły numer. Wciąż prosiła o opóźnienie rozprawy. Dawała mi do zrozumienia, że jeśli ustąpię,

będzie skłonna pójść nam na rękę w sprawie obniżenia kaucji.

Pellam pokiwał głową.

- Słynna prawnicza strategia zwana inaczej łganiem w żywe oczy.

-Nic nowego pod słońcem. Najgorsze, że ewidentnie przeciągała sprawę, czekając na śmierć chłopca. Dzięki temu znalazła się w lepszej pozycji i mogła żądać odrzucenia wniosku o zwolnienie za kaucją.

Nasi wspaniali urzędnicy państwowi, pomyślał Pellam. Niech ich Bóg błogosławi. A głośno zapytał:

- Nie wiedziałeś, że była już wcześniej skazana?

-Nie. Nic mi o tym nie wspominała.

-Dla mnie to też spore zaskoczenie. Bardzo źle to wygląda?

-No cóż, na pewno nie mogą tego wykorzystać w procesie. Chyba że Ettie zechce zeznawać, na co jej oczywiście nie pozwolę. Tyle tylko, że to...

-Niepokojące - mruknął Pellam.

Bailey szukał w myślach lepszego słowa, ale szybko się poddał j powtórzył za Pellamem:

- Właśnie. Niepokojące.

Obaj popatrzyli na szaro-czarny gmach Sądu Okręgowego, wznoszący się po przeciwnej stronie ulicy. Ich uwagę zwrócili dwaj mężczyźni toczący właśnie poważną dyskusję - odziany w ciemny garnitur prawnik o przejętym wyrazie twarzy i jego ponury, tłustawy klient. Podczas gdy wzrok Pellama zatrzymał się na prawniku, Bailey bardziej zainteresował reprezentowany przez niego grubas. Po chwili obok nich na schodach przysiadło dwóch urzędników sądowych i zaczęło zajadać zimny makaron w sosie sezamowym. Zaledwie trzy przecznice dzieliły budynek sądu od Chinatown. To stąd ten zapach, uświadomił sobie Pellam. Zjełczały olej roślinny.

-Martwię się o nią, Louis. Może wystąpiłbyś o areszt zapobiegawczy?

-Nikt nie pójdzie mi teraz na rękę, przynajmniej dopóki nie złapią tego piromana. Pellam poklepał się po kieszeni, którą wypychał portfel.

-I nie mam też żadnych kontaktów w zarządzie więziennictwa. Jeśli mam cokolwiek zrobić, będę musiał użyć tradycyjnych metod.

Zawiadomić stronę przeciwną o zamiarze złożenia wniosku o wykazanie podstawy prawnej aresztowania. -Możesz to zrobić?

-Nie sędzę, aby na to poszli, ale mogę spróbować. - Oczy starego prawnika śledziły stado gołębi, które opadły szarą chmurą na niedojedzoną bułkę po hot dogu upuszczonym na chodnik przez jakiegoś biznesmena. - Bądź ze mną szczery - odezwał się naraz.

Pellam pytająco uniósł brew. -Ta cała sprawa z kaucją mocno tobą wstrząsnęła, prawda? Wyglądałeś na bardzo zmartwionego.

-Po prostu nie chcę, żeby wróciła do aresztu - odparł Pellam.

-Ja też nie, ale to jeszcze nie koniec świata. - Po chwili wahania Bailey spytał: - O co właściwie chodzi?

-O co...?

-Pytam, czego ty tu tak naprawdę szukasz, Pellam.

-Niewinna kobieta siedzi w więzieniu.

Bailey wzruszył ramionami.

- Powiedzmy, że niewinne jest jakieś dwadzieścia procent tych, którzy tam siedzą. Ruchem głowy wskazał na areszt. - To też nic nowego. Dlaczego zabawiasz się w detekty. wa? O co ci tak naprawdę chodzi?

Pellam popatrzył na ruchliwą ulicę Centralną: gmachy sądów, budynki rządowe... Aktywnie działający wymiar sprawiedliwości. Przyszło mu na myśl mrowisko. W końcu odpowiedział: - Jeśli Ettie trafi do więzienia, mój film nie będzie nic wart. Trzy miesiące pracy do wyrzucenia. A ja najprawdopodobniej zostanę z trzydziestoma, czterdziestoma tysiącami długów.

Prawnik pokiwał głową. Pellam domyślił się, że jego czysto materialistyczne motywy postępowania nie przypadły do gustu Baileyowi, który co prawda wręczał łapówki na prawo i lewo, ale sam był przyjacielem Ettie. Jednak w tej chwili Pellam tylko tyle był mu gotów na ten temat powiedzieć.

Bailey odparł:

- Wystąpię dla niej o areszt zapobiegawczy. Wejdiesz do mnie do biura?

-Nie mogę. Muszę się jeszcze z kimś spotkać w związku z tą sprawą.

-Z kim?

-Z najbardziej niebezpiecznym człowiekiem w Nowym Jorku.

## 13

Siedmiu mężczyzn wpatrywało się w niego w milczeniu.

Podkoszulki szare od popiołu z papierosów. Długie włosy, ciemne od brudu i potu. Czarne półksiężycy pod zdecydowanie przerośniętymi paznokciami. Pellamowi przyszło do głowy określenie z czasów jego młodości, używane w odniesieniu do odzianych w czarne skórzane kurtki jednostek uczęszczających do liceum imienia Walta Whitmana w Simmons w stanie Nowy Jork: greasers.

Na kolanach jednego z mężczyzn siedziała młoda dziewczyna. Osobnik ów, o pociągłej, kościstej twarzy i chudych, pająkowatych ramionach, na widok Pellama klepnął ją w krągły tyłeczek. Dziewczyna poderwała się z obrażoną miną, zaraz jednak chwyciła do ręki torebkę i oddaliła się szybkim krokiem.

Pellam omiótł wzrokiem twarze całej siódemki. Wszyscy odwzajemnili jego spojrzenie, ale tylko w oczach jednego - wątego facecika z kręconymi włosami, z wyglądu przypominającego małpę - udało mu się dostrzec coś na kształt trzeźwej inteligencji.

Pellam z góry postanowił, że nie zamierza tracić czasu na zbędne podchody i udawanie, że przypadkiem wpadł do baru na jednego. Wiedział, że można to załatwić tylko w jeden sposób, zapytał więc wprost, zwracając się do mężczyzny o pociągłej twarzy: - To ty jesteś Jimmy Corcoran?

Spodziewał się dosłownie każdej reakcji ze strony tamtego, tylko nie pytania, które właśnie padło: - Jesteś Irlandczykiem?

Tak się akurat składało, że mógł odpowiedzieć twierdząco - rodzina ze strony jego ojca rzeczywiście miała irlandzkie korzenie. Ale jak Corcoran się tego domyślił? Osobiście Pellam był zdania, że bardziej uwidoczniły się w nim cechy linii jego matki, wywodzącej się - jak głosiła rodzinna legenda - od samego Dzikiego Billa Hickoka, rewolwerowca, który po latach został szeryfem federalnym. To za jego sprawą płynęła w Pellamie krew holenderska i angielska z domieszką krwi Indian Arapaho, a może raczej Siuksów.

-Po części - przytaknął.

-Tak mi się właśnie wydawało.



-A ja chciałbym z tobą pogadać...

Na blacie sąsiedniego stolika jeżył się las butelek po piwie - Pellam nawet nie próbował ich policzyć - i stało siedem kieliszków do wódki.

Corcoran skinął głową i gestem wskazał mu wolny stolik w rogu.

Pellam zerknął na barmana, człowieka o rzadkiej umiejętności patrzenia na klientów, jakby byli powietrzem.

-Nie jesteś gliną - rzucił Corcoran siadając i nie było to pytanie. - Od razu wiedziałem. Mam w tych sprawach szósty zmysł.

-To prawda, nie jestem.

Corcoran huknął:

- Bushy!

Chwilę później wyrosła przed nimi butelka whisky Bushmills i dwie szklanki. W przeciwnym końcu baru sześć wielkich jak bochny dłoni chwyciło po butelce piwa i sześć głosów podjęło ożywioną dyskusję, z której Pellam nie był w stanie wyłapać ani słowa. Corcoran rozlał whisky. Stuknęli się szklankami, które wydały przy tym głuchy odgłos, i wychylili je jednym haustem.

-To ty jesteś tym hollywoodzkim filmowcem.

Wieści faktycznie szybko się rozchodziły.

Corcoran wyszczerzył zęby w uśmiechu i wlał w siebie kolejną szklaneczkę whisky. Następnie zaczął uderzać o blat swoimi ogromnymi dłońmi, rozcapierzając palce, jakby grał na irlandzkim bębnie bodhran, i zdradzając przy tym doskonałe wyczucie rytmu. - To skąd właściwie jesteś? - zapytał.

-Z East Village. Mam tam...

-Z jakiego hrabstwa Irlandii?

-Urodziłem się w Stanach - odparł Pellam - ale mój ojciec pochodził z Dublina.

Corcoran przestał bębnić palcami w stół i teatralnie zmarszczył brwi.

- Ja jestem z Londonderry. Wiesz, kim wobec tego jesteśmy, ty i ja?

-Śmiertelnymi wrogami. Skoro już wiesz, kim jestem, wiesz też, co mnie do ciebie sprowadza.

-Śmiertelnymi wrogami? Ma się ten refleks, co? Ale mylisz się: nie wiem dokładnie, czego chcesz. Wiem tylko tyle, że kręcisz w okolicy

jakiś film.

-Mówi się - zauważył Pellam - że wiesz o wszystkim, co się dzieje w Hell's Kitchen...

Siedzący przy stoliku w kącie zwalisty drab o twarzy tępaka rzucił Pellamowi zaczepne spojrzenie. Zza paska spodni wystawała mu czarna, plastikowa kolba pistoletu, a wielkolud zaciskał na niej prowokująco swoje grube paluchy.

Pellam dodał:

- A ja wiem, że dowodzisz gangiem.

Przy stoliku w kącie buchnął gromki śmiech.

-Gangiem - powtórzył Corcoran.

-A może powinienem powiedzieć: klubem?

-Nie, może być gang. Nie mamy nic przeciwko gangom. Prawda, chłopaki?

-Sie wie, Jimmy - padła jednogłośnie odpowiedź.

Corcoran zaczął manipulować przy metalowej puszcze z tytoniem. Wyciągnął spory kawałek i wsadził sobie do ust, wypychając policzek i tym samym jeszcze bardziej deformując rysy swojej końskiej twarzy. - Powiedz mi lepiej, jak ci się podoba w Hell's Kitchen - zwrócił się do Pellama.

W ciągu tych wszystkich miesięcy, jakie spędził w Hell's Kitchen, żadna z trzydziestu osób, z którymi robił wywiady, nigdy nie zapytała go, co myśli o tej okolicy. Po chwili namysłu odrzekł: - To jedyne znane mi miejsce, w którym jest coraz czystiej, bezpieczniej i mieszka się coraz lepiej, ale nikomu z zasiedziałyłch mieszkańców się to nie podoba.

Corcoran skinął głową z aprobatą i uśmiechnął się.

- Dobrze powiedziane, kurwa. - Ponownie zabębnił dłońmi o blat i po raz kolejny napełnił szklanki. - Napij się jeszcze gorzały. - Wyjrzał przez szybę, a na jego kościstej twarzy odmalowała się melancholia. - Masz rację, stary. Hell's Kitchen nie jest już taka jak dawniej, to pewne. Mój ojciec przyplłynął tu w latach czterdziestych z za wielkiej wody. „Zza wielkiej wody”, tak się wtedy mówiło. Cholernie ciężko było mu znaleźć robotę. Dawniej robiło się głównie w dokach. Teraz to tylko pieprzona atrakcja turystyczna, ale dawniej cumowały tam wielkie statki, towarowe i pasażerskie. Żeby dostać etat, trzeba się

było opłacić szefom. Taki okup. Kosztowało to kupę szmalu. Mojego tatki nie było stać na wpisowe do związku, więc najmował się za dniówkę. Ciągłe gadał o zamieszkach, o tym, co się działo w Belfaście i Londonderry. No wiesz, o polityce. Mnie to nie interesowało. Twój tato należał do Sinn Fein, był republikaninem? Czy lojalistą?

-Nie mam pojęcia.

-A ty co myślisz o niezależności?

-Jestem za. Nigdy nie pracowałem na etacie.

Corcoran roześmiał się.

- A ja wylądowałem kiedyś w więzieniu w Kilmainham. Wiesz, gdzie to jest?

-Tam, gdzie powiesili przywódców Powstania Wielkanocnego.

-Strasznie dziwne uczucie, wiesz? Chodzić po tych samych kamieniach co oni. Popłakałem się i wcale się tego nie wstydzę. - Corcoran uśmiechnął się blado i pokręcił głową. Pociągnął łyk whisky, po czym odchylił się lekko na krzesło.

Instynkt i tylko instynkt ocalił potem Pellamowi nadgarstki.

Corcoran poderwał się bowiem na równe nogi, chwycił stojące obok krzesło i tnąc ze świstem powietrze, opuścił je z impetem na blat stolika w tym samym momencie, gdy Pellam gwałtownym ruchem wbił plecy w ścianę.

-Ty skurwysynu! - wrzasnął Corcoran. - Ty pieprzony skurwielu! - Znowu walnął krzesłem w stolik. Przy drugim zderzeniu z dębowym blatem nogi krzesła pękły z hukiem, który zabrzmiał jak Podwójny wystrzał. W powietrze wzbily się okruchy rozbitego szkła i mgielka rozlanego alkoholu.

-Przychodzisz do mojego domu, żeby mnie szpiegować... - Słowa bulgotały mu w gardle, zlewając się we wściekły ryk. - Chcesz wycisnąć ze mnie moje pieprzone sekrety, ty cholerny włóczęgo...

Pellam skrzyżował ramiona na piersi i ani drgnął. Ze spokojem odwzajemnił rozjuszone spojrzenie Corcorana.

-Daj spokój, Jimmy - zawołał z kąta sali jakiś głos. Słowa te padły z ust człowieka, na którego Pellam zwrócił uwagę zaraz po wejściu do baru, najbardziej niepozornego z całego towarzystwa. Człowieka-małpy.

-Jimmy...

-Gorzała przez niego przemawia... - zasugerował jeden.

-Słuchaj pan, lepiej będzie - zaczął inny.

Ale Corcoran wszystkich ich zignorował.

- Włazisz do mojego pieprzonego domu, do mojej dzielnicy i wypytujesz o mnie ludzi. Dobrze wiem, o co ci chodzi. Wiem, wszystko wiem. Myślałeś, że nie? Pojechało cię, czy co? Właśnie takie kutasy jak ty zniszczyły to miejsce. To przez was Hell's Kitchen przestała istnieć. Byliśmy tutaj pierwsi, a potem zjawiliście się wy, złamasy z kamerami i patrzyliście na nas jak na jakieś cholerne robactwo.

Pellam wstał i strzepnął z koszuli okruchy szkła.

Corcoran zamachnął się po raz trzeci i z wściekłością połamał ocalałe dotąd nogi krzesła. Następnie pochylił się do przodu i wrzasnął: - Kto dał wam prawo?!

-On nie chciał, Jimmy - wtrącił uspokajająco człowiek-małpa. - Na pewno nie miał nic złego na myśli. Chciał tylko zadać ci parę pytań, to wszystko.

-Kto dał mu do tego prawo?! - ryknął Corcoran i cisnął połamanym krzesłem przez całą salę. Barman na poczekaniu znalazł sobie jakieś szklanki do polerowania.

-Napij się, Jimmy - rzucił ktoś pojednawczym tonem. - Wyluzuj.

-Ani słowa więcej, wy pieprzone głaby! - W dłoni Corcorana znienacka pojawił się pistolet. Wyglądał jak gotowy do ataku grzechotnik.

Stolik w kącie ucichł. Nikt się nie poruszył, zupełnie jakby ciała kumpli Corcorana były połączone jakimś tajemniczym mechanizmem ze spustem broni.

-Jimmy, daj spokój - wyszeptał człowiek-małpa. - Lepiej siadaj, zanim zrobisz coś głupiego.

Corcoran znalazł na podłodze całą szklankę, podszedł do baru i chwycił nową butelkę whisky. Postawił ją z hukiem na stoliku przed Pellamem i napełnił szklankę po same brzegi. Wciąż rozwścieczony warknął: - A teraz się ze mną napije i przeprosi. Jeśli to zrobi, puszcze go wolno.

Pellam pojednawczo uniósł w górę dłonie, uśmiechając się przy tym życzliwie. Rzucił w stronę barmana: - Okej. Tylko niech to będzie

coś gazowanego.

Zupełnie jak w „Jeźdźcu znikąd”: Alan Ladd zamawia napój gazowany dla Joeya. Pellam uwielbiał ten film, widział go ze dwadzieścia razy. Podczas gdy wszyscy w szkole chcieli być Mickeyem Mantle, Pellam marzył, żeby być reżyserem Georgem Stevenssem.

-Gazowanego? - syknął Corcoran.

-Może być pepsi. Albo jeszcze lepiej pepsi dietetyczna.

Barman zrobił krok w kierunku lodówki. Corcoran okręcił się jak fryga, celując z pistoletu w przerażonego mężczyznę.

- Ani się waż, kurwa. Ten pedał wypije ze mną whisky, a potem...

Nagle wszystko się zakotłowało. W ułamku sekundy ramię w skórzanej kurtce przecięło powietrze i już po chwili Corcoran leżał jak długi na podłodze, twarzą do ziemi, z prawą ręką wyprostowaną do góry, a na jego nadgarstku oraz pistolecie jak kleszcze zaciskały się dłonie Pellama.

Nieźle, do diabła. Pellam nie był pewien, czy dobrze zapamiętał ten manewr, ale w ostatniej chwili wszystko do niego wróciło. Wspomnienie czasów, gdy przed piętnastoma laty jako kaskader występował w scenach walk na planie jakiejś indochińskiej produkcji. Choreograf układów kaskaderskich nauczył go wtedy paru ciekawych sztuczek.

Teraz Pellam uniósł dłoń Irlandczyka i wycelował pistolet w grupę sześciu skamieniałych bandziorów. Cały czas trzymał w żelaznym uścisku nadgarstek Corcorana.

Nikt się nie poruszył.

-Ty skurwysynu - wydyszał Corcoran. Na co Pellam wzmocnił uścisk. - O kurwa. Już nie żyjesz, człowieku. Jesteś...

Jeszcze trochę mocniej.

-Dobra, skurwielu! Wystarczy!

Pellam zwolnił uścisk i wykręcając Irlandczykowi nadgarstek, przycisnął mu lufę do czoła.

-Strasznie jesteś pyskaty - zauważył. - Udzielny król Hell's Kitchen, co? Wiesz o wszystkim, co się tu dzieje? W takim razie Powinieneś też wiedzieć, że chciałem zapłacić ci pięćset dolców za informację, kto podpalił budynek przy Trzydziestej Szóstej. To dlatego tu dzisiaj

jestem. I co mnie spotyka? Przepychanki, kto więcej wypije, z gówniarzem, który zdecydowanie za długo się nie kąpał. - Lufą dał znak człowiekowi-małpie, który natychmiast podniósł ręce do góry. - Czy teraz mogę wreszcie dostać moją pepsi?

Mężczyzna zawahał się, ale podszedł do baru, gdzie zaraz zmaterializował się barman wyglądający jak żywy trup. Rzucił pytające spojrzenie spurpurowiałemu z wściekłości Corcoranowi, który wycharczał: - Nalej mu, czego chce, ty cholerny durniu.

Trzęsącym się głosem barman wydukał:

- Ale ja... tego... To znaczy, akurat chyba nie mamy...

- W takim razie może być cola - odparł łaskawie Pellam i tym razem wycelował lufę Smitha Wesson w siedzącego przy stoliku grubasa. - Rzuć no tego gnata na podłogę, dobrze?

-Rób, co mówi - warknął Corcoran.

Broń ze szczękiem upadła na posadzkę. Pellam kopnięciem posłał ją w jak najdalszy kąt.

Barman zwrócił się do niego drżącym głosem:

- Życzy pan sobie tę dietetyczną czy...

-Wszystko jedno.

-Tak jest. - Barman z pośpiechem otworzył puszkę, niemal ją upuszczając. Człowiek-małpa spokojnie przelał colę do szklanki i przyniósł Pellamowi.

-Dziękuję. - Wypił wszystko aż do dna i odstawił pustą szklankę na stół. Następnie cofnął się do wyjścia, ocierając usta serwetką, którą wraz ze szklanką usłużnie podał mu człowiek-małpa.

Corcoran zebrał się w sobie, wstał i odwracając się plecami do Pellama, wrócił do stolika. Usiadł, zginając swoje patykowate odnóża, chwycił butelkę piwa i zaczął gadać jak nakręcony, śmiejąc się przy tym jak wariat. Dla większego efektu walił butelką o blat, snując barwną opowieść o Powstaniu Wielkanocnym, brytyjskich żołnierzach terroryzujących irlandzką ludność i strajku głodowym w osiemdziesiątym pierwszym - tak jakby Pellam dawno już sobie poszedł.

Pellam rozładował broń, rzucił naboje na tackę do lodu, którą dojrzał pod barem, a pistolet cisnął w kąt, w ślad za poprzednim. Potem wyszedł na zewnątrz prosto w oślepiający upał. Sierpień w

Nowym Jorku, pomyślał. Psiakrew.

## 14

Stał na brzydkim, betonowym parkingu naprzeciwko centrum konferencyjnego Javitsa. Zastanawiał się, czy tamten się pokaże.

A raczej, czy mnie nie zastrzeli, zanim się pokaże - zreflektował się.

Czujnym wzrokiem uważnie badał ten zakątek Hell's Kitchen, gdzie nawet oślepiające słońce nie było w stanie zatrzeć wrażenia wszechobecnej szarości. W miejscu, w którym stał głębokiej dolinie między centrum konferencyjnym Javitsa a górującym po przeciwnej stronie szarym lotniskowcem „Nieustraszony”, przekształconym obecnie w pływające muzeum wojny - zaniedbane, zarośnięte działki sąsiadowały z niską, jednopiętrową zabudową, dawno opuszczonymi czy wręcz spalonymi ruinami i cmentarzyskiem wraków samochodowych. Gdzie nie spojrzeć, ogrodzenia zakończone drutem kolczastym, przerośnięte chwasty, stare bojłery i rdzewiejące trupy fabrycznych urządzeń.

Po dziesięciu minutach śledzenia jak w transie ruchu statków i barek na rzece Hudson, Pellam usłyszał wreszcie radosny okrzyk: - Ej, ty pieprznięty świrze!

A więc jednak się pokazał.

I póki co nie padły żadne strzały.

Mężczyzna zbliżał się w drżącym powietrzu; z betonowej nawierzchni parkingu unosiły się w górę fale żaru. Pomimo upału miał na sobie czarną skórzaną kurtkę. I nadal z wyglądu przypominał Pellamowi małą.

Teraz wsunął trzymanego w palcach papierosa do ust i przedstawił się niewyraźnie: - Jacko Drugh.

-John Pellam.

Uścisnęli sobie dłonie.

- Masz jaja, Pellam. Żeby dać mi taki cynk tuż pod nosem Jimmy'ego C. - Powiedział

to z hałaśliwą brawurą urodzonego nieudacznika. Drugh należał do tego gatunku miejskich szumowin, na jaki Pellam miał nadzieję natknąć się w knajpie firmującej się szyldem „488 Bar Grill”. Celem,



jaki mu przyświecał podczas całej tej wyprawy, nie było wcale wydobyć informacji od Jimmy'ego Corcorana, który okazał się dokładnie takim drobnym cwaniaczkiem, za jakiego miał go Pellam, może tylko trochę bardziej stukniętym. O, nie. Pellam szukał kapusia.

- Wyglądałeś na kogoś, komu można zaufać.

Czytaj: kogo można kupić.

-A pewnie. Jacko to człowiek, któremu można zaufać. Ale tylko do pewnego stopnia, stary. Tylko do pewnego stopnia. Pellam uśmiechnął się lekko i wcisnął mu do ręki pięć stów - dokładnie tyle, na ile się umówili, gdy Pellam oznajmił głośno w barze, ile wynosiła oferta, a Drugh razem z colą podał mu wilgotną serwetkę z wypisaną na niej nazwą parkingu, gdzie się obecnie znajdowali.

Drugh nawet nie spojrzał na pieniądze. Zamiast tego wsunął zwitek banknotów do kieszeni z miną kogoś, kto rzadko - o ile w ogóle - daje się oszukać.

-I co teraz robi twój szef? Spróbuje mnie zabić? - zapytał Pellam.

-A niby skąd mam to wiedzieć? Dawniej już pływałbyś w kanale East River, zapakowany w kilka worków na śmieci. Ale ostatnimi czasy stary J.C. zrobił się ostrożny. Nie ryzykuje już tak jak kiedyś. Nie mam pojęcia, dlaczego. Najpierw podejrzewałem, że chodzi o jakiegoś kociaka, ale Jimmy zwykle aż tak nie głupieje z powodu kobity. A już na pewno nie oszalałby dla takiej dupy jak Kate, którą dziś z nim widziałeś. No więc sam już nie wiem. Może o tobie zapomni. A przynajmniej mam taką nadzieję - dla twojego własnego dobra. Ale jeśli zechce cię zabić, to zginiesz, i nikt nic na to nie poradzi. Mógłbyś co prawda wyjechać do innego stanu, ale to wszystko.

Przysiedli na ławce. Rozgrzane oparcie paliło go w plecy, więc Pellam pochylił się i oparł łokcie na kolanach. Drugh tymczasem zgasił jednego papierosa i zapalił następnego.

Pellam postanowił przejść do ataku.

-Więc tak naprawdę to ty tu rządysz, mam rację?

Drugh wzruszył ramionami.

-Tak jakby.

-Fajniejszy z ciebie gość od Corcorana.

Spuszczony wzrok i ukradkowy uśmiezek wyraźnie świadczyły o

rodzącym się w szeregach gangu buncie. Pellam pomyślał, że najdalej w ciągu pół roku ktoś tutaj zginie - albo Drugh, albo Corcoran. Uznał, że rozsądny gracz stawiałby raczej na Corcorana jako na tego, który przeżyje.

-U nas nie ma żadnych kapo, funkcyjnych ani nic w tym rodzaju. Ale faktycznie, jestem tutaj numerem dwa. I często zastępuję Jimmy'ego, zwłaszcza kiedy traci głowę. Jego rodzony brat to kretyn. No cóż, nie każdy może być orłem. - Reflektując się, Drugh dodał: Ale jestem ostrożny. Znam swoje miejsce. Widzisz, stary - Jimmy'emu często odbija, ale kiedy jest sobą, to dba o swoich ludzi. No i ma cholernie dużo znajomości. - Drugh przyjrzał mu się badawczo. - Mówisz bez akcentu. Nie przyjechałeś stamtąd.

-Nie. Urodziłem się w Stanach.

-Wiesz, co to jest „szmaragdowa pajęczyna”?

-Nie.

-Kiedy ktoś przyjeżdża z Irlandii, może liczyć, że nasi tutaj pomogą mu stanąć na nogi. Jimmy jest jednym z takich pośredników. Załatwia rodakom pracę i kwaterunek, zanim jeszcze przejdą przez cło na lotnisku. Faceci zwykle lądują na budowie, dziewczyny w barach albo restauracjach. Z tego jest całkiem przyzwoita kasa! Jimmy organizuje też śluby za zieloną kartę i pośredniczy przy pożyczkach.

-Zatrzymując odpowiedni procent dla siebie.

-O, w końcu to prawdziwy biznesmen, no nie?

Drugh utkwiał wzrok w budynku centrum konferencyjnego Javitsa - funkcjonalnym, pudełkowatym gmachu przypominającym wyglądem nie rozpakowany kontener. Nagle roześmiał się. Po chwili śmiech przeszedł w kaszel, który najwyraźniej przypominał mu, że czas przypalić następnego papierosa, co też niezwłocznie uczynił.

-Naprawdę kręcisz tutaj film?

-Tak.

-Nigdy dotąd nie spotkałem żadnego filmowca. Ale lubię kino. Widziałeś „Stan łaski”?

-Sean Penn, Gary Oldman i Ed Harris. Dobry film.

-O nas - podkreślił z dumą Drugh.

-Który z nich grał ciebie? - zapytał żartem Pellam. Film opowiadał co prawda o gangu z Hell's Kitchen, ale historia była najzupełniej

fikcyjna.

-Gość, o którym nigdy wcześniej nie słyszałem - odparł Drugh śmiertelnie poważnie.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Obaj wiedzieli już, że czas towarzyskich pogawędek dobiegł końca. Pora przejść do interesów. Pellam odezwał się pierwszy, zniżając głos: - No dobra, pogadajmy o tym pożarze przy Trzydziestej Szóstej. Ludzie mówią, że stał za tym Jimmy... - Przypomniał sobie słowa Hectora Ramireza.

-Jimmy? - powtórzył Drugh. - A kto ci nagadał takich bzdur? Gdzie tam, Jimmy nie puszcza z dymem starych ruder!

-Podobno mieszkała tam pewna kobieta, świadek. Mówi się, że Jimmy chciał jej odpłacić za to, że przeciw niemu zeznawała.

Drugh pokiwał głową bez przekonania.

- A więc o to chodzi? O to, że Pała Driscoe sprzątnął Bobby'ego Frinka, a ta latynoska dziwka wszystko widziała? Carmella Ramirez? Fakt, była potem za świadka i zeznawała w sądzie. Ale Driscoe był tak uchłany Black Jackiem, że zakatrupił Bobby'ego na wprost delikatesów w sobotni wieczór. Na miejscu było z dziesięciu świadków. Nawet gdyby tamta Latynoska trzymała gębę na kłódkę, Pała i tak dostałby dziesięć do piętnastu i tańczyłby z czarnuchami w kiciu.

Pellam nie poddawał się tak łatwo.

- Słyszałem też, że Corcoran podpalał już wcześniej budynki w tej okolicy.

-A pewnie. Ale nie takie stare rudery, tylko same nówki. Wszyscy tak robią. W końcu odbierają nam, kurwa, domy, nie? To czego się potem dziwią? Razem z Cubano Lords zhajcowaliśmy ten nowy biurowiec przy Piętnastej.

-Ramirez brał w tym udział?

-Jasne. To była chyba jedyna rzecz, co do której się dogadaliśmy. Ja też tam byłem, stary. O, Jacko potrafi wymieszać niezły koktajl. Ale to było w porządku. - Drugh był obojętnie, szczery. - Dawniej należała do nas cała zachodnia dzielnica, od Dwudziestej Trzeciej aż do Pięćdziesiątej Siódmej. To był nasz teren. A teraz, stary, zostaliśmy z niczym. My tylko bronimy swojego rewiru, to wszystko. Przed Latynosami, czarnuchami i tymi dupkami z agencji

nieruchomości. Przed wszystkimi, którzy mieszkają na wschód od Ósmej. Drugh zaciągnął się dymem. - Gdzie tam, Jimmy nie spaliłby tamtej kamienicy. Ja to wiem.

-Jak możesz być tego taki pewien?

-Jacko już tam swoje wie. J.C. kręci teraz inne lody.

-Lody?

Drugh wyjaśnił mu, że Jimmy Corcoran i jego brat zakupili pewną nieruchomość i mają teraz na oku jakiś grubszy biznes. - Jimmy mówi, że to coś przyniesie mu milion dolców. Ostatnią rzeczą, na jaką miałby teraz ochotę, byłoby zwracanie uwagi całego miasta na Hell's Kitchen przez jakieś durne pożary. J.C. osobiście załatwiłby każdego, komu przyszłoby do głowy podkładać ogień w okolicy. On i Tom, znaczy się, jego brat, nie chcą żadnych, no wiesz... Tych, jak im tam... - W tym miejscu człowieka-małą najwyraźniej zawiodła elokwencja.

Pellam podsunął mu brakujące słowo.

-No wiem. Nie chcą żadnych komplikacji.

Pellam był skłonny mu uwierzyć. Odezwał się:

- Powiedzmy zatem, że to nie Jimmy jest podpalaczem. W takim razie kto?

-A co, jeszcze nie wiesz? Skądżeś się urwał, człowieku? Przecież gliniarze przyskrzynili już tę czarną staruchę.

-Zapomnij o niej na moment. O nikim innym nie słyszałeś?

-Fakt, ludzie gadają różne rzeczy. Jacko kręci się po okolicy, słyszy to i owo.

-Co na przykład?

-Jest taki jeden świrnięty gówniarz. Puści z dymem absolutnie wszystko, jeśli mu się zapłaci - kościół, szkołę, dla niego to żadna różnica. Dzieciaki, kobitki, guzik go obchodzi, kto zginie, kapujesz? Przez ostatnich parę tygodni kręcił się po Trzydziestej Szóstej. Pellam pokręcił głową.

- Słyszałem o nim. Wiesz, jak się nazywa?

-Nie.

Pellam westchnął zrezygnowany.

- Szukam jeszcze jednego chłopaka. Blondyn, siedemnaście, osiemnaście lat. Męska dziwka, przedstawia się jako Alex, ale to nie jest jego prawdziwe imię. Znasz kogoś takiego?

-Będzie ich tutaj z tysiąc. - Drugi zmrużył swoje stare-młode oczy i utkwiał wzrok w ciągnącej się aż po horyzont płaskiej równinie Jersey. - Ty posłuchaj lepiej Jacko. To robota Ramireza. Hectora Latynosa. Na sto procent.

-Ale przecież tam mieszkała jego ciotka.

-E, pewnie i tak miała się wyprowadzić. Albo prędzej mieli ją eksmitować. Ci Latynosi zawsze zalegają z czynszem. To święta prawda. Założę się, że już ją zadekował w jakimś bezpiecznym miejscu.

Miał rację. Pellam przypomniał sobie, że słyszał coś takiego od Ramireza.

-Wiem, że to on. W końcu to Ramirez wykurzył z Hell's Kitchen Johnny'ego O'Neila.

-A to co za jeden?

-Gość, z którym czasami robimy interesy. Johnny wynajmuje w mieście mieszkania i przechowuje tam różne rzeczy. - Drugi zniżył głos: - Rozumiesz, o czym mówię?

-Do tego fragmentu o wynajmie mieszkań, owszem.

-Ciiiicho, stary. Ani słowa więcej. Jacko wierzy, że nie zawiedziesz jego zaufania...

-Słowo honoru.

-O'Neil handluje bronią, kapujesz? W tamtej kamienicy miał melinę. - Wyciągnął rękę w kierunku miejsca, gdzie stała kamienica Ettie. - Tak jest, stary, zawodową dziuplę. Powiedział to takim tonem, jakby każdy nowojorczyk miał dysponować podobnym lokalem.

Pellam przypomniał sobie uszkodzoną przez ogień broń, którą inspektorzy znaleźli w piwnicy.

-Ramirez doprowadził kiedyś jedną z ciężarówek O'Neila, a jemu samemu wsadził glocka w gębę. Kazał mu się wynosić ze swoimi pukawkami z tej części Hell's Kitchen.

-A co na to O'Neil?

-A co miał powiedzieć? Odparł: „Już się robi, panie ładny”. A co ty byś powiedział, jakbyś poczuł w gardle lufę kaliber dziewięć? Stawiam, że Ramirez dowiedział się o pukawkach od swojej ciotki, ciśnienie mu skoczyło i wynajął tamtego świra, żeby puścił całą chałupę z dymem.

Pellam pokiwał głową. A więc Ramirez nie powiedział mu wszystkiego.

- Zrobisz coś dla mnie? Rozpuść wici, że szukam Alexa. Muszę z nim pogadać.

-O, Jacko będzie miał oczy szeroko otwarte. Popytam w okolicy. Ludzie mówią mi różne rzeczy. Jeśli tylko mi się to opłaca, wiem, jak wycisnąć z nich to, co trzeba...

Pellam ponownie sięgnął po portfel.

Ale Drugh pokręcił głową. Sprawiał wręcz wrażenie skrępowanego.

- Nie, nie o to mi chodziło! Zresztą już mi dałeś kasę. Chodzi o to, żebyś o mnie pamiętał, jak będziesz robił ten swój film, okej? Dryndniesz, a Jacko stawia się w trymiga. Szkoda, że nie zadzwonili do mnie, jak kręcili tamten film, „Stan łaski”. Jak chcą wykorzystać czyjś życiorys, to powinni go chyba zapytać o zdanie, no nie? Powinien być na to jakiś paragraf, kurwa. Nie, żeby od razu chciał być jakimś gwiazdorem, czy coś. Chciałem tylko zagrać w tym pieprzonym filmie. Byłbym dobry, wiem, że tak.

Powstrzymując uśmiech, Pellam odparł z powagą:

- Jeśli kiedykolwiek zorganizujemy casting, możesz być pewien, że do ciebie zadzwonię, Jacko.

Ettie Washington wpatrywała się w okno aresztu.

Znajdowało się wysoko nad jej głową, a przez brudne szyby nie było absolutnie nic widać. Mimo to przepuszczały światło dzienne, a to przynosiło jej ulgę. Rozmyślała o Billym Doyle’u, wspominając, jak bardzo oboje lubili przebywać na zewnątrz, spacerować po okolicy, witać się z sąsiadami. Jej drugi mąż, Harold Washington, też nie był typem domatora, chociaż od spacerów wolał przesiadywanie na świeżym powietrzu. Kiedy akurat przebywał w domu i był mniej więcej trzeźwy, siadali z butelką na schodach przed wejściem do kamienicy. Dopiero kiedy została na świecie sama, Ettie odkryła przyjemność, jaką dawał dobry fotel bujany ustawiony w pobliżu okna. Teraz jednak miała wrażenie, że utraciła tę radość na zawsze...

Błędy. Nie mogła przestać myśleć o błędach, jakie w całym swoim życiu popełniła. O wszystkich sekretach i kłamstwach... Niektóre z nich miały większe znaczenie, inne mniejsze. Uderzyło ją jednak, jak pewne drobne przewinienia urosły nagle do rangi zbrodni. I to, że

wszystkie jej dobre uczynki rozwiały się jak dym.

Myślała też o wyrazie twarzy Pellama w momencie, gdy tamta zdzira w sądzie powiedziała wszystkim na sali o jej wyroku. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek jeszcze przyjdzie ją odwiedzić. Podejrzewała, że nie. Dlaczego miałby to robić? Na tę myśl serce jej się krajało. Czuła ból, ale nie zaskoczenie. Od dawna wiedziała, że kiedyś Pellam zniknie w końcu z jej życia. Był przecież mężczyzną, a mężczyźni zawsze odchodzili. Ojcowie, bracia, mężowie... Nieważne zresztą, kto. Mężczyźni odchodzili i już.

Za jej plecami rozległy się kroki.

-Matko - zagruchała Hatake Imaham - jak się czujecie? Dobrze? Ettie odwróciła się.

Za roślą więźniarką stało kilka innych kobiet. Zbliżały się do niej powoli. Sześć innych zostało w drugim końcu celi i wyglądało na korytarz. Ettie nie mogła zrozumieć, dlaczego stoją w rzędzie, jedna obok drugiej. Potem dotarło do niej, że w ten sposób zasłaniają strażniczkom widok na to, co dzieje się w celi.

Przeszedł ją lodowaty dreszcz, taki sam jak wtedy, gdy w drzwiach jej mieszkania stanęło dwóch gliniarzy z ponurymi minami i pytaniem, czy Frank Washington nie jest przypadkiem jej synem. Czy mogliby wejść do środka? Mają jej do przekazania pewną smutną wiadomość...

Hatake powtórzyła spokojnym tonem:

- Dobrze się czujecie, matko?

-Nie najgorzej - odparła Ettie, popatrując nerwowo od jednej kobiety do drugiej.

-Założę się, że i tak jest wam teraz lepiej niż tamtemu chłopcu.

-Jakiemu chłopcu?

-Temu, którego zabiłaś. Juanowi Torresowi!

-To nie ja - wyszeptała Ettie. Cofnęła się pod ścianę. - To kłamstwo, to nie ja... Zerknęła na drzwi do celi, ale nie dostrzegła ich za murem kobiet.

-Ja wiem, że to ty, ty stara krowo. To ty zabiłaś tamtego chłopczyka.

-Nieprawda!

-Okno za okno. - Wielka Murzynka zrobiła krok w jej stronę. W ręce

miała zapalniczkę. Stojąca obok niej więźniarka, Dannette, trzymała drugą. Skąd je zdobyły? Nagle Ettie wszystko zrozumiała. Dannette celowo dała się ponownie aresztować, żeby przeszmużlować zapalniczki do aresztu.

Hatake podeszła bliżej.

Ettie skuliła się, po czym niespodziewanie skoczyła naprzód, uderzając Hatake w twarz swoim zagipsowanym ramieniem. Rozległ się głośny trzask, gdy twardy gips trafił tamtą w nos. Potężne babsko wrzasnęło i przewróciło się na plecy. Jakaś inna kobieta głośno wciągnęła powietrze. Przez chwilę nikt się nie poruszył.

Potem Ettie otworzyła usta, żeby głośnym krzykiem wezwać pomoc, i natychmiast poczuła w nich kwaśny smak starej szmaty. Któraś z więźniarek zaszła ją od tyłu i zakneblowała. Tymczasem Hatake zdążyła już podnieść się z podłogi, wycierając krew z nosa i wykrzywając wargi w okrutnym uśmiechu.

-Spokojnie, matko, spokojnie. - Dała znak Dannette, która zapaliła papierosa i rzuciła go na koszulę nocną Ettie. Ta próbowała kopać, żeby strącić go z siebie, ale dwie inne kobiety trzymały ją tak mocno, że nie mogła nawet drgnąć. Żarzący się czubek powoli przepalał materiał jej więziennej sukienki.

Hatake prychnęła śmiechem.

- Nie powinniście palić w celi, matko. To zabronione. Może się zdarzyć nieszczęście. Zapalniczki czasami przeciekają, a wtedy cały ten syf ze środka, cały płynny gaz wylewa się na was. Można sobie osmalić włosy, poparzyć twarz. A czasem nawet zginać od ognia...

Hatake zrobiła jeszcze jeden krok w jej stronę i Ettie poczuła na policzku i skórze głowy lodowaty prysznic kropel butanu. Zaciśnęła powieki i jeszcze raz spróbowała się wyrwać przytrzymującym ją kobietom.

-Daj, ja to zrobię - warknęła Hatake i wyrwała Dannette zapalniczkę z dłoni. Wymamrotała coś jeszcze, czego Ettie nie dosłyszała. Wszystko zagłuszały jej własne krzyki i stłumione błagania o litość. Rozległ się trzask i syk. Zwalista Murzynka szła ku niej, dzierżąc w dłoni zapalniczkę niczym ognistą pochodnię. Z każdą chwilą była coraz bliżej.

Kasowa gwiazda może zapewnić filmowi otwarcie.



Otwarcie.

Rzeczownik będący w powszechnym użyciu w Hollywood i oznaczający mniej więcej tyle, że w pierwszy weekend po premierze filmu wystarczająco duża liczba widzów decyduje się wydać swoje ciężko zarobione dolary, żeby go zobaczyć. Dzięki temu w poniedziałek rano producenci filmowi nie muszą się tłumaczyć przed swoimi żonami, kochankami, szefami i dziennikarzami „Daily Variety”, dlaczego wyłożyli nie swoje miliony na coś, co okazało się kompletną klapą.

Kasowa gwiazda może zapewnić filmowi otwarcie.

Podobnie jak powalająca na kolana akcja.

W dzisiejszych czasach mogą to nawet zagwarantować efekty specjalne, zwłaszcza jeśli w grę wchodzi spektakularne eksplozje. Ale nie ma takiej rzeczy, która zapewniłaby otwarcie dokumentowi. Dokumenty mogą być pouczające, wzruszające albo inspirujące. Mogą reprezentować najwyższą formę sztuki filmowej. Ale brakuje im tego, co oferuje widzowi fabuła i co przede wszystkim przyciąga publiczność do kina.

Nie dają bowiem ludziom możliwości ucieczki od rzeczywistości, szansy, aby choć na parę godzin zapomnieli o swoim nudnym życiu i dobrze się bawili.

Pellam przemierzał centrum Manhattanu, kierując się w stronę poczerniałego od smogu zagłębia sądów i aresztów, a jego myśli biegły takim oto torem: wyreżyserował dotąd cztery niezależne filmy; wszystkie należały obecnie do kanonu klasyki filmowej, dwa zdobyły prestiżowe nagrody. Ukończył studia reżyserskie na Uniwersytecie Nowojorskim i Kalifornijskim. Spod jego pióra wyszły dziesiątki artykułów publikowanych w takich pismach branżowych, jak „Cineaste” czy „Independent Film Monthly”. Poza tym znał na pamięć większość dialogów Hitchcocka i miał doskonałe referencje.

A jednak osiemnaście wytwórni, do których zgłosił się z pomysłem nakręcenia swojego ostatniego dokumentu, solidarnie go odrzuciło.

Rzecz jasna wszyscy prześcigali się w pochwałach i entuzjastycznych komentarzach odnośnie jego projektu „Na zachód od Ósmej: historia Hell’s Kitchen oczyma jej mieszkańców”. Jednak poza tymi uprzejmościami żadna duża wytwórnia nie zaproponowała

mu choćby dolara wsparcia.

Przedstawiając swój pomysł producentom, Pellam niezmordowanie podkreślał, że to jedyna dzielnica Nowego Jorku, gdzie można znaleźć absolutnie wszystko: zbrodnię i bohaterstwo, zepsucie i piękno.

-To wszystko są wielkie słowa, Pellam - usłyszał wówczas od znajomego wiceprezesa działu nowych produkcji wytwórni Warner Brothers. - Ale wielkie słowa nie przekładają się na wielkie filmy.

Tylko jeden Alan Lefkowitz okazał mu cień zainteresowania, chociaż nie miał zielonego pojęcia, o czym właściwie ma być jego film.

imo wszystko Pellam pokładał w tej produkcji wielkie nadzieje, wierząc, że dokument ma realną szansę na Oscara. Wiarę tę opierał w znacznej mierze na pewnym spotkaniu, do którego doszło przed rokiem, w czerwcu, na Zachodniej Trzydziestej Szóstej Ulicy.

-Przepraszam - zagadnął wtedy. - Mieszka pani w tej kamienicy?

-Owszem, młody człowieku - odparła starsza Murzynka. Jej spojrzenie było pewne siebie, nieco rozbawione, ale na pewno nie nieufne.

Rozejrzał się po ulicy. - To chyba najstarszy budynek w okolicy tutaj...

-Dawniej stały tu same czynszówki. Ja przez czterdzieści lat mieszkałam tam, gdzie teraz jest ta pusta działka. O, widzi pan? Tutaj mieszkam od jakichś pięciu lat, czy coś koło tego. I co pan na to? Przeżyłam prawie pół wieku przy jednej ulicy. Psiakrew, to dopiero przerażająca myśl!

-Mieszka pani w tej dzielnicy od urodzenia?

Kobieta odstawiła na chodnik plastikową torbę na zakupy, w której znajdowały się dwie puszki, dwie pomarańcze i karton taniego wina.

-A jakże. Mój dziadek Ledbetter przeniósł się tu z Raleigh w 1862 roku. Jego pociąg przyjechał o dziesiątej wieczorem. Dziadek wyszedł ze stacji, zobaczył w ciemnej uliczce gromadę chłopaków i zapytał: „A wy dlaczego jeszcze nie w domach, na litość boską?!”. Na co oni ze śmiechem: „O czym ty gadasz, stary? To jest nasz dom. Spływaj!” Dziadkowi żal ich się zrobiło, że muszą sypiać na ulicy. Tysiące dzieciaków zmuszone były żyć w ten sposób. Ulica była ich jedynym domem.

Mówiła bez śladu obcego akcentu, głębokim, melodyjnym głosem, głosem śpiewaczki, jak się później okazało.

-Czy to był ładny budynek? - pytał dalej Pellam, spoglądając na opustoszałą, zachwaszczoną działkę, gdzie - jak twierdziła kobieta - stała niegdyś kamienica.

-Ten, w którym wcześniej mieszkałam? Ten stary? - Zaśmiała się. - Ohydna rudera! Ale mimo wszystko ciekawy. A przynajmniej ja tak uważałam. Kiedy go burzyli, zebrał się wielki tłum ludzi, wie pan, żeby zaprotestować. „Nie odbierajcie nam domów!” - skandowali. „Nie odbierajcie nam domów!” Oczywiście nie zauważyłam wśród nich nikogo, kto by mieszkał w tej okolicy. Domyślałam się, że zbiegli się tam głównie studenci z Morningside Heights albo z Village. Zwąchali okazję do demonstracji. Rozumie pan, o czym mówię? Tego typu ludzie... Tak czy inaczej, kogo nagle dojrzały moje piękne oczy? Znajomą sprzed wielu, bardzo wielu lat. Już wtedy musiała mieć z dziewięćdziesiątkę na karku. Wyszła za mąż za człowieka znacznie starszego od siebie, wspólnie prowadzili stajnię i sprzedawali konie wojsku. Bo Hell's Kitchen dostarczała niegdyś konie mieszkańcom całego Nowego Jorku. Nadal można tu wynająć dorożkę. A wracając do kobiety, o której zaczęłam mówić: urodziła się właśnie w kamienicy, którą tamtego dnia burzyli. Ineeda Jones. Żadna tam Anita, nic podobnego! Ineeda. Ineeda. Imię z Południa, z samego serca Karoliny. Przez lata mieszkała w Harlemie, a potem wróciła do Hell's Kitchen tak samo biedna jak ja. Od kołyski do grobu, rozumie pan? Od kołyski do grobu. Ejże, nie to, żebym się zaraz miała obrażać, ale czemu się pan śmieje, hę?

-Mogę spytać, jak się pani nazywa?

-Ettie Washington.

-W takim razie, pani Washington, proszę pozwolić, że się przedstawię: John Pellam. Czy nie zechciałaby pani wystąpić w moim filmie?

-W filmie? A niech mnie... To może zajdzie pan do mnie na górę? Mam w domu trochę wina.

Od następnego tygodnia zaczęli regularnie nagrywać swoje rozmowy. Pellam wdrapywał się na trzecie piętro, włączał kamerę i pozwalał Ettie Washington mówić.

A ta miała gadane! Mówiła o swojej rodzinie, dzieciństwie, o całym swoim życiu...

O tym, jak w wieku sześciu lat siadywała przy oknie na kawałku skradzionej z domu towarowego wykładziny i słuchała, jak jej matka i babka przerzucają się opowieściami o Hell's Kitchen z przełomu wieków, o Owneyu Maddenie i jego Susłach, najstłynniejszym gangu w mieście.

-...Dziadek Ledbetter używał wielu slangowych wyrażeń, które w młodości podchwycił na ulicy. Na policjanta mówił „buldog”. „Blotką” nazywał człowieka łatwowiernego, którego łatwo było oszukać, jak w grze w karty. Dżin ochrzcił „błękitną klątwa”, a pieniądze „żetonami”. Mój brat Ben śmiał się: „Dziadku, nikt już dzisiaj tak nie mówi!” Ale nie miał racji. Dziadek zawsze nazywał mieszkanie „hawirą”, wie pan? A teraz młodzi znowu tak mówią...

W wieku dziesięciu lat Ettie podjęła swoją pierwszą pracę, polegającą na zamiataniu trocin i pakowaniu mięsa u miejscowego rzeźnika.

Jako dwunastolatka odkryła, że ma talent do liczb i antytalent do słów, ale i tak dostawała w szkole prawie same oceny celujące. Na lunch wykradała resztki z restauracyjnych śmietników. Jej klasa przerzedzała się w miarę, jak potrzeba zarabiania na życie stopniowo wygrywała z potrzebą nauki.

Mając czternaście lat, patrzyła, jak jej ukochana, budząca respekt babka Ledbetter umiera, siedząc obok niej na kanapie, w pewne upalne, niedzielne popołudnie na tydzień przed swoimi dziewięćdziesiątymi urodzinami.

W wieku piętnastu lat i ona w końcu rzuciła szkołę, żeby zarabiać dwadzieścia centów na godzinę przy ostrzeniu noży i dłut na długich, obracających się z zawrotną prędkością skórzanych paskach w wytwórni opakowań kartonowych. Czasami robotnicy dorzucali jej dodatkowo parę centów, bo widać było, że przykłada się do swojej pracy. Niektórzy wywoływali ją do magazynu na tyłach, gdzie dotykali jej piersi i zabraniali komukolwiek o tym mówić. Kiedyś któryś dotknął ją między nogami i zanim zdążył powiedzieć: „Nie mów nikomu”, w udzie utkwiał mu głęboko jego własny nóż. Robotnik został opatrzony i dostał dzień bezpłatnego urlopu; Ettie straciła posadę.

Jako siedemnastolatka wymykała się potajemnie do klubów, żeby posłuchać Bessie Smith przy Pięćdziesiątej Drugiej.

-...Jeśli chodzi o rozrywkę, w Hell's Kitchen nigdy nie było zbyt wielkiego wyboru. Ale jeśli mamie czy papie trafił się dodatkowy dolar albo dwa, szli jak w dym do „Bowery” na East Side, gdzie organizowane były „pokazy”, ale nie takie, jak myślisz. To było coś jak połączenie gabinetu osobliwości z variété i tańcami. Wodewil. Ale żeby się naprawdę zabawić, rodzice chadzali do „Marshall's” na Pięćdziesiątą Trzecią. Niewiele kto słyszał o tym miejscu. Mieścił się tam hotel i klub nocny dla czarnych. To dopiero było coś. Ada Overton Walker tam występowała. I Will Dixon.

W wieku trzydziestu ośmiu lat, po niemal dekadzie występów w kabaretach, będąca u kresu kariery estradowej, Ettie zakochała się w przystojnym Irlandczyku, Billym Doyle'u, czarującym mężczyźnie z - jak się potem okazało - kryminalną przeszłością (Pellam nie tracił nadziei, że usłyszy jeszcze zakończenie jego historii).

Czterdzieści dwa lata i nieudane małżeństwo. Ettie nie mogła znaleźć sobie miejsca, nadal tęskniła za sceną. Billy'ego też nosiło; marzył mu się sukces, znalezienie własnego miejsca na ziemi. Ostatecznie oznajmił jej, że wyjeżdża w poszukiwaniu lepszej pracy i że kogoś po nią przyśle. Oczywiście nigdy już się nie pokazał i to zламаło jej serce. Skontaktował się z nią tylko jeden jedyny raz, kreśląc krótki liścik, któremu towarzyszyło orzeczenie rozwodowe sądu w Newadzie.

Jako czterdziestoczwolotka wyszła za mąż za Harolda Washingtona, który parę lat później utopił się po pijanemu w rzece Hudson. Pod wieloma względami był dobrym człowiekiem i ciężko pracował, a mimo to jak na kogoś, kto nigdy nie obstawiał na wyścigach, zostawił po sobie nieprzyzwoite długi.

Opowieści Ettie snuły się taśma za taśmą. Pięć godzin, dziesięć, dwadzieścia...

-Chyba niemożliwe, żeby to wszystko cię interesowało? - zagadnęła go kiedyś Ettie.

-Nie przerywaj, Ettie. Kamera pracuje. - Pellam strofował się w duchu, że powinien w końcu wyjść na ulicę i porozmawiać z innymi mieszkańcami tej niesławnej dzielnicy. Raz czy dwa razy nawet mu

się to udało. Jednak Ettie Washington nigdy nie przestała być główną bohaterką „Na zachód od Ósmej”. Billy Doyle, Ledbetterowie, Wilkesowie, Washingtonowie, prohibicja, związki zawodowe, gangi, epidemie, Wielki Kryzys, druga wojna światowa, handel bydłem, transatlantyki, wynajem mieszkań, właściciele czynszówek...

Jeśli chodzi o zasób informacji, Ettie była niczym studnia bez dna. Albo źródło, które nigdy nie wysychało.

Aż do dnia, kiedy aresztowano ją za zabójstwo i podpalenie.

A teraz, w oślepiającym żarze popołudnia, umundurowany strażnik wręczył Johnowi Pellamowi przepustkę i poprowadził zimnymi, wilgotnymi korytarzami, na których ostra woń lizolu mieszała się ze smrodem uryny. Musiał jeszcze przejść przez wykrywacz metalu, aby następnie wejść do sali odwiedzin, usiąść i czekać na swoją kolej.

Tego dnia w areszcie panował chaos. Z oddali słyhać było jakieś krzyki. Raz czy dwa rozległo się też głośnie zawodzenie.

-Me duele la garganta!

-Ej, ty tam...

-Estoy enfermo!

-Zamknij się, dziwko, albo uciszę cię na dobre!

Pięć minut później zielone metalowe drzwi stanęły otworem, wydając przy tym dwudźwiękowe skrzywienie. Strażniczka, która weszła, rzuciła mu zdziwione spojrzenie. - Pan do Washington? Nie ma jej.

Pellam zapytał, gdzie w takim razie ma jej szukać.

-Niech pan idzie na górę.

-Czy wszystko z nią w porządku?

-Pierwsze piętro.

-Nie odpowiedziała pani na moje pytanie.

Ale strażniczka już zniknęła.

Zawrócił i tak długo przemierzał mroczne korytarze, aż trafił do ciemnego

pomieszczenia, dokąd go skierowano. Było tu tak samo brudno, jak gdzie indziej, ale nieco chłodniej i spokojniej. Inna strażniczka zerknęła na jego przepustkę i otworzyła przed nim kolejne drzwi. Wszedł do środka i ku swemu zaskoczeniu ujrzał Ettie siedzącą na stole ze złożonymi na podołku rękoma. Jej twarz ginęła pod szerokim

opatrunkiem.

-Ettie, co ci się stało?! Dlaczego cię tu przenieśli?

-To izolatka - wyszeptała. - Próbowaly mnie zabić.

-Kto?

-Kobiety z celi na dole. Dowiedziały się o chłopcu Torresów. Nieźle mnie nabrały. Myślałam, że jesteśmy kumpelkami, a one tymczasem kombinowały, jak się mnie pozbyć. Louis załatwił jakiś nakaz sądowy i zorganizował mi przeniesienie. Strażniczki nadeszły akurat, gdy tamte chciały mnie podpalić. Rozpyliły na mnie jakieś świństwo, chciały poparzyć mi twarz, John. To coś uszkodziło mi skórę.

-A jak się teraz czujesz?

Nie odpowiedziała. Westchnęła tylko ciężko.

- Nigdy bym nie przypuszczała, że ten chłopczyk umrze. Ale się porobiło... Biedactwo, był takim kochanym dzieckiem. Gdyby siedział u babci, tak jak powinien, żyłby teraz... Modliłam się za niego, naprawdę się modliłam! A przecież znasz mnie - normalnie szkoda mi czasu na takie zabobony.

Pellam dotknął zdrowego ramienia Ettie. Kusiło go, żeby powiedzieć coś w rodzaju „Na szczęście nie cierpiał” albo: „To nie trwało długo”, ale oczywiście nie miał zielonego pojęcia, ile bólu musiał znieść tamten chłopiec ani jak szybko odszedł z tego świata.

Ettie spojrzała na jego kamienną twarz. - Patrzyłam na ciebie w sądzie, kiedy usłyszałeś, że byłam już kiedyś aresztowana... Założę się, że chciałbyś o tym posłuchać.

-Co się właściwie stało?

-Pamiętasz, jak opowiadałam ci, że razem z Priscillą Cabot pracowałyśmy w fabryce? Tej, co szyła ubrania?

-I zwolnili cię. Przed paroma laty.

-To był dla mnie bardzo trudny czas, John. Moja siostra chorowała, a ja nie miałam złamanego centa przy duszy. Byłam zrozpaczona. Razem z nami dwiema wyrzucili też takiego jednego faceta i to on wpadł na pomysł, żeby postraszyć trochę firmę, to może skapnie nam wtedy co nieco. Uważaliśmy, że są nam winni odszkodowanie, rozumiesz? Zgodziłam się jak głupia. Nie powinnam była. Tak naprawdę wcale tego nie chciałam. Krótko mówiąc, było tak: tamci dwoje zadzwonili do właściciela i zagrozili, że uszkadzimy mu

ciężarówki, jeśli nam nie zapłaci. Wcale nie zamierzaliśmy zrobić niczego podobnego. A przynajmniej ja nie zamierzałam. Nie wiedziałam też, że grozili gościowi podpaleniem. Ja do niego nie dzwoniłam, tylko oni. Priscillą i tamten gość... Tak czy owak, szef zgodził się nam zapłacić, ale zaraz potem zawiadomił policję. Aresztowali nas, a tamci zeznali, że to ja wszystko obmyśliłam. Policjanci nie uwierzyli, że przewodziłam całej szajce, ale i tak wsadzili mnie do pudła. Nie jestem z tego dumna, o nie. Przeciwnie, bardzo mi wstyd... Przepraszam, John, że nie powiedziałam ci całej prawdy. Powinnam była to zrobić.

-Nie masz obowiązku mi się zwierzać.

-Nieprawda, John. Przecież byliśmy przyjaciółmi. Nie powinnam była cię okłamywać. Powinnam też była powiedzieć o wszystkim Louisowi. Atak tylko zaszkodziłam mu wtedy w sądzie.

Gdzieś w pobliżu wybuchł histeryczny śmiech, który narastał i narastał, aż zmienił się w stłumiony krzyk. Potem zapadła cisza.

-Ty masz swoje tajemnice, ja swoje - podjął Pellam. - Ja też nie o wszystkim ci powiedziałem.

Przyjrzała mu się bacznie. Życie w wielkim mieście wyrabia refleks i oko. - O czym ty mówisz, John?

Milczał, rozważając w myślach wszystkie za i przeciw.

-Chcesz mi o czymś powiedzieć, prawda? - zapytała.

Wreszcie zebrał się na odwagę.

- To było nieumyślne spowodowanie śmierci.

-Słucham?

-Siedziałem za nieumyślne spowodowanie śmierci.

Jej spojrzenie znieruchomiało. Nie miał najmniejszej ochoty opowiadać jej tej historii i samemu przeżywać jej na nowo. Uznał jednak, że powinien się tym z nią podzielić. I tak też uczynił. Opowiedział jej o gwieździe swojej ostatniej fabuły - filmu, którego nigdy nie ukończył (cztery puszki taśmy wciąż leżały na strychu w jego kalifornijskim domu), zatytułowanego „Czas środkowoamerykański”. Tommy Bernstein był uroczym wariatem, którego nikt nie mógł upilnować. Do nakręcenia zostało im jeszcze tylko sześć ujęć i cztery sceny kaskaderskie, które miała zrealizować druga ekipa. Zabrakło tygodnia. Tylko jednego. Daj mi trochę, John. Żebym jakoś dociągnął



do końca zdjęć...

Tyle że Pellam nie dał mu trochę. Dał mu bardzo dużo, tak dużo, że tamten przez bite dwa dni nie wychodził z kokainowego ciągu. Wyglupiał się, śmiał, pił i rzygał. W końcu dostał zawału na planie i umarł. A prokurator okręgowy z Miasta Aniołów wziął się na Pellama za to, że to on dostarczył zmarłemu kokainę. To on ponosił całkowitą winę za tę śmierć, oznajmił, a przysięgli mu przyklasnęli, podpisując wyrok skazujący Pellama na odsiadkę w San Quentin.

-Tak mi przykro, John. - Nagle roześmiała się. - To dobre, nie uważasz? Ty, ja i Billy Doyle. Sami wyrokowcy! - Przyjrzała mu się jeszcze raz, mrużąc przy tym oczy. - Wiesz, kogo mi przypominasz? Mojego syna Jamesa.

Pellam oglądał wcześniej zdjęcia młodego człowieka, najstarszego syna Ettie, jedyne dziecko, jakie miała z Doylem. Fotografie przedstawiały przystojnego, szczupłego dwudziestoparolatka o bladej cerze; Doyle miał bardzo jasną skórę. Przed kilkunastu laty James rzucił szkołę i wyruszył na zachód w poszukiwaniu zarobku. Ostatnią wiadomością od niego była kartka oznajmiająca, że zamierza pracować w „branży ekologicznej”.

To było ponad dziesięć lat temu.

Strażniczka zerknęła znacząco na zegarek, więc Pellam szepnął:

- Nie mamy wiele czasu, a ja muszę ci zadać parę pytań. Na polisie, którą, jak mówią, wykupiłaś, był twój numer rachunku bankowego i twój odręczny podpis. Jak ktoś mógł je zdobyć?

- Numer mojego rachunku? Nie mam pojęcia. O ile wiem, nikt obcy nie zna numeru mojego rachunku.

- Nie zgubiłaś ostatnio przypadkiem żadnego czeku?

- Nie.

- A na kogo je zwykle wystawiasz?

- Czy ja wiem... Płacę rachunki, jak wszyscy. Moja mamusia mnie tego nauczyła. Zawsze mi powtarzała: nie pozwól, żeby zjadły cię długi. Płać w terminie, jeśli tylko masz pieniądze.

- Nie pamiętasz, czy nie wypisałaś czeku na kogoś innego niż zwykle?

- Nic mi nie przychodzi do głowy. Chociaż... Zaczekaj. Parę miesięcy temu musiałam zapłacić rządowi. Przez pomyłkę wypłacili mi

za wysoki zasilek. Jeden czek był na trzysta dolarów więcej, niż powinien być. Od razu się zorientowałam, ale siedziałam cicho. Po jakimś czasie odkryli pomyłkę i kazali mi zwrócić pieniądze. To wtedy wynajęłam Louisa. On się wszystkim zajął. Ostatecznie musiałam zwrócić tylko połowę tego, co byłam im winna. Dałam mu czek, a on wysłał go razem z formularzem. A może to rząd chce mnie załatwić, John? Ci z ubezpieczeń społecznych mogą współpracować z policją...

Zdenerwowała go ta gorączkowa paplanina i snucie spiskowych teorii, ale nie dał nic po sobie poznać. W tych okolicznościach Ettie miała prawo ulegać lekkiej paranoi.

-A co z próbką twojego pisma? Jak ktoś mógł ją zdobyć?

-Nie wiem.

-Nie pisałaś ostatnio do kogoś, do kogo zwykle nie piszesz?

-Chodzi ci o listy? Nic takiego nie pamiętam. Zwykle pisuję do Elizabeth i czasami wysyłam kartki do córki mojej siostry we Fresno. Posyłam im po parę dolarów na urodziny. Ale to wszystko.

-Nikt nie włamał się do twojego mieszkania?

-Nie. Zawsze dokładnie zamykam okno i drzwi. Nigdy o tym nie zapominam. W Hell's Kitchen nigdy za wiele ostrożności. To pierwsza rzecz, jakiej się tu człowiek uczy. - Bawiąc się swoim gipsem, odszukała autograf Pellama.

Jej odpowiedzi miały sens, ale nie były przekonujące. Ława przysięgłych może je równie dobrze uznać za prawdziwe, jak i za podejrzanę. Tak jak w przypadku tylu innych rzeczy w Hell's Kitchen, Pellam sam już nie wiedział, w co ma teraz wierzyć.

Wsunął notes do kieszeni i zapytał:

- Zrobisz coś dla mnie?

-Wszystko, co każesz, John.

-Opowiedz mi, jak skończyła się historia Billy'ego Doyle'a.

-Która? Ta o jego odsiadce?

-Właśnie.

-No cóż, biedny Billy... To było tak: mówiłam ci już wcześniej, że jego życiowym celem było mieć własną ziemię. Jak na włóczykija przystało, stale kręcił się po okolicy i nie potrafił przejść obok budynku oznaczonego tablicą „Na sprzedaż”, żeby go nie obejrzeć, nie zadzwonić do właściciela i nie zadać mu paru pytań...

Oczy Ettie rozbłysły. To jest jej powołanie, pomyślał Pellam - wyszukiwanie w pamięci wspomnień i tkanie z nich barwnych historii. On sam również dał się uwieść czarowi snucia opowieści, był w końcu reżyserem filmowym. Tym, co ich różniło, był fakt, że jej historie były prawdziwe i nie oczekiwała za nie niczego w zamian. Żadnych pochwał krytyki. Żadnego udziału w zyskach.

-Pamiętasz, mówiłam ci o moim bracie; Benie. Był mniej więcej w wieku Billy'ego, może rok czy dwa młodszy. Jednego dnia Ben przyszedł do Billy'ego i oznajmił mu, że ma pomysł, jak zdobyć pieniądze potrzebne na przedpłatę za ziemię. Potrzebował tylko współnika. Tyle że to nie był żaden pomysł, tylko zwyczajny przekręt. Ben znał paru ludzi w siedzibie związku zawodowego. Spisał parę lipnych umów i przemycił je do biura, kiedy szefostwa nie było w pobliżu. Nasłuchiwał się zbyt wielu opowieści dziadka Ledbettera o Susłach i innych gangach. Strasznie chciał być gangsterem, chociaż ani wtedy, ani teraz nie uświadczyłbyś w Hell's Kitchen żadnego czarnego gangu. Mimo to był niesamowicie dumny z tego swojego przekrętu...

Kłopot w tym, że Ben nic nie powiedział Billy'emu o swoich machlojkach, więc ten myślał, że chodzi o prawdziwe umowy przewozowe czy coś w tym rodzaju. Był szczerze przekonany, że należy im się prowizja za pośrednictwo. Billy zawsze żył na granicy prawa, ale nie był głupi. Oszukałby wielu ludzi, ale przecież nie związek! Po pewnym czasie Lemmy Collins, wiceprezes dokerów, zorientował się, że w kasie brakuje pewnej kwoty pieniędzy. Od razu zaczął podejrzewać Bena. Wiedział, że Billy jest z nim w dobrej komitywie. Nigdy by nie pomyślał, że Irlandczyk może okraść swoich, ale nie miał żadnych wątpliwości, że czarny bez mrugnięcia okiem okradnie Irlandczyka. Dlatego też zjawił się u mojego brata z dwoma innymi ludźmi ze związku i z kijem baseballowym...

Już mieli go zatłuc, kiedy zadzwonili do nich ze związku. Dostali wiadomość z policji, że Billy przyznał się do wszystkiego. Powiedział, że od początku to był wyłącznie jego pomysł. Skoro w sprawę wchodziła policja, Lemmy nie mógł już bezkarnie zabić Bena, chociaż o niczym innym nie marzył. Związek odzyskał pieniądze, a Billy przesiedział rok za kratkami. Wiedział, że jako biały i na dodatek

Irlandczyk ocali skórę. Gdyby to Bena skazali, z pewnością by nie przeżył. Jeśli nie wykończyliby go w Hell's Kitchen, to zrobiliby to w SingSing.

-Wziął na siebie cudzą winę - zauważył w zamyśleniu Pellam.

-Wziął na siebie winę mojego rodzzonego brata - odparła Ettie.

-Zrobił to dla ciebie. Chyba o tym wiesz? - dodał łagodnie.

-Wiem - westchnęła ze smutkiem Ettie. - Ale myślę, że ten rok go zmienił. Zachowałam brata, ale chyba z jego powodu straciłam męża. Rok po tym, jak wyszedł z więzienia, pewnego wieczoru wróciłam do domu i znalazłam list...

-Przepraszam pana - przerwała im grzecznie strażniczka. - Obawiam się, że czas widzenia się skończył.

Pellam skinął głową.

- Jeszcze tylko jedna rzecz. Pani Washington, proszę tutaj popatrzeć...!

Rozległo się pstryknięcie, a potem cichy szum silniczka.

Ettie zamrugła oślepiona światłem flesza, gdy Pellam zrobił jej zdjęcie swoim polaroidem.

-Co ty wyprawiasz, John? Chyba nie chcesz mnie taką zapamiętać? Daj mi przynajmniej poprawić włosy.

-To nie dla mnie, Ettie. I o nic się nie martw. Twojej fryzurze niczego nie brakuje.

## 15

Lefty w końcu do niego oddzwonił.

Pellam siedział bosy w swojej kuchnio-łazience na desce ze sklejki, która zmieniała wannę w kuchenny stół, i odsłuchiwał nagrane wiadomości. Jeden pusty sygnał, potem drugi. Wreszcie z automatycznej sekretarki popłynął głos Alana Lefkowitza, który z prędkością karabinu maszynowego oznajmił mu, że Roger McKennah wydaje dzisiaj przyjęcie i wystarczy, że Pellam powoła się na jego, Lefty'ego, nazwisko, a uzyska dostęp do „głównego sanktuarium nowojorskiego biznesu” - ten ostatni tekst producent wyrecytował akurat bez cienia ironii w głosie. Pellam słuchał jego radosnego bełkotu, przewracając oczyma i kopiąc bosą stopą w ścianę, żeby przepłoszyć bezczelnego gołębia, który usadowił się na parapecie za oknem.

Przydługie nagranie zawierało wszystkie niezbędne szczegóły, w tym wskazówki dotyczące obowiązującego na imprezie stroju.

Godzinę później Pellam, stosownie ubrany (w nowe czarne dżinsy i wypastowane kowbojki) wyszedł wolnym krokiem na zalaną słonecznym żarem ulicę i metrem dojechał do wieżowca Citicorp Building. Stamtąd zaś udał się pieszo pod wskazany adres przy Piątej Alei i zanurkował w obrotowe drzwi. Gdy tylko znalazł się w środku, nikt nie domyśliłby się, że w przeciwieństwie do większości zaproszonych gości nie zajechał na miejsce bentleyem, rollsroycem albo - jak ci biedniejsi - statecznym lincolnem.

Popatrzcie, jeszcze jeden...

Kobieta aż stęknęła z wrażenia, a przez zebrany na najwyższym piętrze trypoziomowego apartamentu tłum przeszedł pomruk lęku raczej niż uznania.

-Cholera. Popatrzcie tylko! Nawet stąd widać płomienie.

-Gdzie?

-O, tam. Widzisz?

-Ronnie, idź zapytać, czy ktoś ma aparat... Joan, patrz!

Pellam przepchnął się bliżej okna znajdującego się jakieś dwieście metrów ponad poziomem chodnika, przy którym Cartier, Tiffany i

Henri Bendel frymarczyli swoimi błyskotkami. Spojrzał na zachód. Jeszcze jeden pożar, zauważył z niesmakiem. Kolejna kamienica gdzieś w głębi Hell's Kitchen, na północ od ulicy, przy której znajdowało się biuro Louisa Baileya. Co pewien czas widać było języki ognia przebijające się przez gęstą chmurę dymu, który wznosił się setki metrów w górę w młecznobiałe niebo i rozpościerał szeroko niczym grzyb atomowy.

-O Boże - jęknął jakiś damski głos. - To szpital! Manhattan Hospital.

Ten sam, w którym po pożarze opatrywano jego i Ettie, pomyślał. I gdzie umarł mały Juan Torres.

-Myślicie, że to on? No, gdzie jest ten aparat? Muszę koniecznie strzelić fotkę! Wiecie, o kim mówię? O tym świrze, o którym pisali dziś rano w „Timesie”.

-To już chyba piąty jego pożar? A może szósty?

Płomieni było coraz więcej i były już całkiem wyraźne.

Żaden aparat jakoś się nie zmaterializował i po upływie kolejnych pięciu minut pożar stał się już tylko częścią miejskiego krajobrazu. Samotnie albo grupkami liczącymi po dwie, trzy osoby, goście wracali na przyjęcie.

Pellam jeszcze przez kilka chwil obserwował niemy balet płomieni i szarą chmurę dymu wiszącą wysoko ponad Manhattanem.

-Siemanko. - Męski głos rozległ się nagle tuż obok niego, zabarwiony twardym akcentem z Long Island. - Wyglądasz mi na artystę. Jesteś artystą?

Pellam odwrócił się i zobaczył przed sobą pijanego, nabitego młodego człowieka w smokingu.

-Nie.

-Aha. Fajny lokal, co? - Niepewnym ruchem głowy wskazał dwupoziomowy salon luksusowego, trzypoziomowego apartamentu przy Piątej Alei. - Roger uwił sobie skromne gniazdko pod gwiazdami.

-Całkiem, całkiem.

W tym samym momencie w drugim końcu salonu Pellam dojrzał swój cel. Rogera McKennaha we własnej osobie. Zaraz jednak deweloper ponownie zniknął w tłumie.

-Znasz tę historię? - Nowy znajomy Pellama zaniósł się pijackim

rechotem i pociągnął z kieliszka łyczek martini.

-Historię? - powtórzył Pellam.

Młody człowiek pokiwał głową z entuzjazmem, ale nic więcej nie powiedział.

-Tę o księdzu, rabinie i zakonnicy? - podsunął Pellam.

Mężczyzna zmarszczył czoło, pokręcił głową, po czym zaczął mu bełkotliwie tłumaczyć, że cały apartament składa się z labiryntu pomieszczeń, które McKennah określa mianem gabinetów, saloników, pokojów muzycznych oraz bawialni.

-Aha - przytaknął Pellam nieuważnie, usiłując ponownie wypatrzeć w tłumie gospodarza.

-A tak naprawdę to są tylko zwykłe sypialnie, rozumiesz? - dodał młody człowiek, rozlewając alkohol na swoje pantofle z lakierowanej skóry. - Jest ich aż piętnaście, a Roger nie ma nawet jednego znajomego - nie mówiąc już o piętnastu - który tak bardzo lubiłby jego towarzystwo, żeby zostać u niego na noc!

Mężczyzna trząsł się ze śmiechu. Po chwili pociągnął kolejny łyk alkoholu, jakby chciał zatuszować wrażenie mizernej puenty swojego dowcipu. Minęła ich jakaś blondynka w głęboko wyciętej sukni. Jej wzrok skrzyżował się na ułamek sekundy ze spojrzeniami Pellama i jego chwiejącego się na nogach rozmówcy; ten ostatni natychmiast zakręcił się na pięcie i podążył w ślad za kobietą, zupełnie jakby ona była psem, a on jej ogonem.

Pellam jeszcze raz spojrział przez okno na kotłujące się w oddali kłęby dymu.

W ciągu godziny, jaką tu spędził, zdołał dowiedzieć się tego i owego o Rogerze McKennahu. Większość komentarzy była równie uszczypliwa, jak to, co przed chwilą usłyszał, lecz same w sobie nie przedstawiały dla niego większej wartości. Deweloper miał czterdzieści cztery lata, był krępy, ale wysportowany. Z wyglądu przypominał Roberta Redforda, z tym że jego twarz była młodsza i bardziej nalana. Wieść niosła, że majątek dewelopera wynosi około dwóch miliardów dolarów. Pellam zdążył też zaobserwować, że wyraz jego twarzy potrafi się zmieniać w ułamku sekundy; jak w kalejdoskopie odmalowywała się na niej to chłopięca swawola, to demoniczna chciwość, to lodowata obojętność.

Właściwie najbardziej znaczący był fakt, że nikt tak naprawdę nie potrafił mu o tym bogaczu zbyt wiele powiedzieć. Pellam doszedł do wniosku, że Roger McKennah musi mieć w sobie coś, co trudno byłoby nazwać, a co sprawia, że ludzie tacy jak obecni tu goście atrakcyjni, posiadający władzę albo mający obsesję na punkcie swoich atrakcyjnych i posiadających władzę bliźnich - modlą się, aby otrzymać zaproszenie na któreś z wydawanych przez niego przyjęć, gdzie mogliby w spokoju sączyć alkohol gospodarza i obmyślać sprytne sposoby obrażania go za jego plecami.

Pellam przysunął się nieco bliżej biznesmena, który zdążył tymczasem zmienić swoją pozycję i krążył obecnie wolno po zatłoczonym salonie.

Jakieś młode małżeństwo osaczyło go przy bufecie z kawiozem.

-Przyjemny lokal, Roger - zauważył mężczyzna, rozglądając się dokoła. - Bardzo przyjemny. Wiesz, co mi to przypomina? Willę w Cap d'Antibes. Tę na cyplu, L'Hermitage. Tę, gdzie zawsze zatrzymujemy się z Beth.

-Znasz to miejsce, Roger? - Kobieta, zapewne Beth, zwróciła się z pytaniem do McKennaha. - Tam jest po prostu przepięknie.

McKennah skrzywił się lekko. - Obawiam się, że nie - odparł, ku ich wyraźnej satysfakcji. I zaraz dodał: - Zwykle, kiedy tam jestem, zatrzymuję się u księcia Monako. Tak jest wygodniej, sami rozumiecie.

-Oczywiście - przytaknął mężczyzna, całkowicie ogłuszony. Oboje przywołali na twarze sztuczne uśmiechy, będące dobitnym dowodem na to, jak bolesny był cios zadany im przez pulchnego Rogera McKennaha.

Gęsty tłum gości przetaczał się wte i wewte, przystając przy stolikach uginających się pod zaspami czarnego kawioru i przyozdobionych białymi klejnotami sushi, podczas gdy odziany w smoking pianista przygrywał kawałki Fatsa Wallera.

-Ależ on wcale nie skończył żadnego prywatnego uniwersytetu - dobiegł Pellama czyjś podekscytowany szept. - Przeczytaj uważnie. Daje im forszę, wygłasza wykłady, ale tak naprawdę nigdy tam nie studiował. Chodził do jakiejś szkółki parafialnej na West Side. W swojej dawnej dzielnicy.



-W Hell's Kitchen? - upewnił się Pellam, przystając przy grupce plotkarzy.

-O, właśnie tam! - przyklasnęła kobieta po zaskakująco udanym liftingu twarzy.

A więc McKennah był jeszcze jednym szczeniakiem z Hell's Kitchen. Musiało minąć sporo czasu, zanim nabrał ogłady.

Wystarczył ułamek sekundy, aby Pellam z myśliwego sam stał się zwierzyną. Tłum gości rozstał się nagle jak Morze Czerwone, ukazując stojącego jakieś piętnaście metrów od niego McKennaha, który bacznie mu się przyglądał. Pellamowi stanął przed oczyma zapamiętany wcześniej obraz limuzyny zaparkowanej przed kamienicą Ettie. Istniało duże prawdopodobieństwo, że auto należało do biznesmena.

Ten jednak nie wykonał wobec Pellama żadnego powitalnego gestu. Gdy tłum ponownie zwarł swoje szeregi, McKennah odwrócił się i wmieszał w grupę gości, skupiając na nich całą swoją uwagę niczym reflektor punktowy na planie zdjęciowym. Po chwili ruszył dalej, cały czas świadom odgrywanej przez siebie roli, zadając niezliczone pytania, badając, sondując...

Ambicja to straszne przekleństwo.

Pellam już miał ruszyć tropem dewelopera, gdy za jego plecami rozległ się kobiecy głos. Głos ten zagadnął go z silnym, północno-wschodnim akcentem: - Co nowego na prerii, kowboju?

Odwrócił się i zobaczył atrakcyjną blondynkę po czterdziestce, stojącą przed nim z kieliszkiem szampana w dłoni. Miała zamglone spojrzenie, ale przyczyną tego było zmęczenie, a nie alkohol. Czubkiem ozdobionego cekinami pantofelka trąciła jego but, jakby dla uzasadnienia swojej zaczepki.

-Cześć - odparł.

Jej wzrok spoczął już na gospodarzu przyjęcia. Pellam podążył za jej spojrzeniem. Wtedy zapytała: - To która?

-Słucham? - nie zrozumiał Pellam.

-Lubisz hazard?

Odpowiedział z uśmiechem:

- Parafrazując Marka Twaina, są tylko dwie sytuacje, kiedy człowiek nie powinien uprawiać hazardu: kiedy go na to nie stać i

kiedy go na to stać.

-Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

-Owszem, jestem hazardzistą - przytaknął Pellam.

-Widzisz tamte dwie kobiety? Brunetkę i rudą?

Pellam z łatwością wyłowił je z tłumu. Stały przy szerokich schodach, gawędząc w najlepsze z Rogerem McKennahem. Obie pod trzydziestkę, o świetnych figurach, bardzo atrakcyjne. Ruda była jednak zdecydowanie bardziej ponętna i seksowna; brunetka miała zimną twarz i sprawiała wrażenie roztargnionej, a może nawet znudzonej.

-Za jakieś pięć minut Roger pójdzie na górę. Tam znajdują się sypialnie. Pięć minut później podąży za nim jedna z tych kobiet. Jak myślisz, która?

-Czy on zna którąś z nich?

-Prawdopodobnie nie. Obstawiasz?

Pellam przyjrzał się lepiej rudowłosej dziewczynie: wyjątkowo śmiały dekolt odsłaniał górne zarysy jej krągłych piersi. Włosy opadały bujną falą na jej ramiona. A do tego uwodzicielski uśmiech i piegi, Pellam uwielbiał piegi.

-Ruda - oświadczył, myśląc: „Osiem miesięcy. Osiem cholernych miesięcy”.

Stojąca obok kobieta roześmiała się.

- Pudło.

-O co się zakładamy?

-O kieliszek szampana naszego gospodarza. Jak przy innej okazji powiedział Mark Twain, zawsze lepiej jest grać cudzymi pieniędzmi niż własnymi.

Stuknęli się kieliszkami.

Na imię miała Jolie i wyglądało na to, że przyszła na przyjęcie sama. Pellam poszedł za nią do okna w rogu salonu, gdzie było trochę spokojniej.

-Nazywasz się John Pellam...

Pellam uśmiechnął się z zakłopotaniem.

-Usłyszałam, jak ktoś wymienia twoje nazwisko.

Kto? Bardzo był tego ciekaw. Nie podejrzewał, aby poczta pantoflowa działająca na ulicach Hell's Kitchen docierała aż tak

daleko, na wyższy poziom stratosfery.

-Widziałam jeden z twoich filmów - dodała. - Ten o alchemiku. Bardzo dobry. Nie powiem, żebym wszystko zrozumiała. Ale to jest akurat komplement.

-Naprawdę? - spytał, zaglądając w jej spokojne, zielone oczy.

Jolie mówiła dalej:

- Weźmy na przykład „Odyseję kosmiczną“ Kubricka. To wcale nie był dobry film, więc dlaczego trafił do kanonu klasyki kina? Motyw „Nad pięknym modrym Dunajem” i statek kosmiczny? Każdym mógł na to wpaść. Walczące ze sobą małpy? Nie. Efekty specjalne? Na pewno nie. Chodziło o zakończenie. Nikt nie miał zielonego pojęcia, o co reżyserowi chodziło. Zapominamy o tym, co oczywiste, a zapamiętujemy to, co niejasne.

Pellam roześmiał się.

- Uwielbiam dwuznaczności - rzucił, nie odrywając wzroku od McKennaha. - W takim razie rzeczywiście potraktuję twoją uwagę jak komplement.

-Kręcisz w mieście jakiś film?

-Tak.

W przeciwległym końcu salonu McKennah rozejrzał się, usiłując wyglądać naturalnie, po czym podreptał schodami na górę.

Może tylko chce się wysikać, pomyślał Pellam. Nie wzięli pod uwagę możliwości remisu, ale Pellam miał to gdzieś; póki co cieszył się towarzystwem Jolie. Jej głęboko wycięty dekolt mógł śmiało konkurować z dekoltem rudej. Zdawało mu się nawet, że w miejscu, gdzie biała skóra niknęła pod czarnymi cekinami, dostrzegł kilka bladych piegów.

-O czym on będzie? - zapytała. - Twój nowy film?

-Tym razem to nie fabuła, tylko dokument. O Hell's Kitchen.

-Ogień to ciekawa metafora, nie uważasz? - Skinęła w stronę okna. Na jej wargach zagościł lekki uśmiech. - Byłby z tego naprawdę niezły motyw przewodni. - I dodała tajemniczo: - Bez względu na to, o czym ten film jest naprawdę.

-Skąd znasz McKennaha? - zapytał. Dopiero po chwili dotarły do niego jej słowa: o czym jest naprawdę...

W drugim końcu salonu znużona brunetka zgasiła papierosa i

unosząc o kilka centymetrów krawędź seksownej sukni, rozejrzała się dyskretnie. Następnie weszła na schody i podążyła w ślad za deweloperem.

-Zgadłaś - pogratulował jej Pellam.

-Wcale nie musiałam zgadywać - odparła Jolie. - Dobrze znam swojego męża. A teraz poproszę o szampana, jesteś mi to winien. Sobie też nalej. A potem poszukamy sobie jakiegoś zacisznego miejsca, żeby napić się w spokoju. - Ruchem głowy wskazała niewielkie pomieszczenie przylegające do głównego salonu. I uśmiechnęła się, kiedy pianista zagrał pierwsze akordy „Stormy Weather”.

Wiesz, że jedna z naszych sprzątaczek sprzedaje władzom co ciekawsze rzeczy, które znajdzie w naszych śmieciach? Urzędowi podatkowemu, komisji papierów wartościowych i giełd. Na pewno również konkurencji. Roger zabawia się nawet, wtykając rozmaite fałszywki między zużyte tampony i prezerwatywy.

-I urząd podatkowy za to płaci? - spytał z niedowierzaniem Pellam.

-Owszem.

-A więc tak wydawane są moje pieniądze z podatków?

-Chyba ich tak naprawdę nie płacisz? - Wyglądała na autentycznie zaskoczona. - W takim razie będę musiała dać ci numer do mojego księgowego.

Usiedli w wyłożonym tekową boazerią gabinecie; zza ściany dobiegały ich stłumione odgłosy przyjęcia i dźwięki muzyki. Pellam wziął do ręki oprawioną w ramki fotografię McKennaha obejmującego wielką Myszkę Miki.

-Zrobione kilka lat temu - poinformowała go Jolie, wpatrując się jak zahipnotyzowana w śmigające wewnątrz kieliszka bąbelki. - Był strasznie nakręcony na Eurodisneyland. Dostał wtedy mocno po kieszeni. Mówiłam mu, że to kiepski pomysł. Jakoś nie potrafiłam wyobrazić sobie Francuzów z mysimi uszami na głowie.

-A dlaczego jesteś taka spokojna? Nie obchodzi cię, co się przed chwilą stało? Twój własny mąż...

-Jesteś z Hollywood, więc zakładam, że potrafisz odróżnić, kiedy ktoś jest spokojny, a kiedy tylko udaje.

-Touclie. Jak się domyśliłaś, że to będzie brunetka?

-Była twardsza. Stanowiła dla niego większe wyzwanie. Roger nie lubi, kiedy coś zbyt łatwo mu przychodzi. Jego biuro znajduje się na siedemnastym piętrze tego budynku, a on każdego ranka wdrapuje się tam po schodach...

-Co za widok - zauważył Pellam, podchodząc do ogromnego, sięgającego od podłogi do sufitu okna. Nad Manhattanem powoli zapadał zmierzch. Jolie pokazała mu kilka budynków, na których widniało nazwisko McKennaha, oraz parę innych, starszych, które - jak wyjaśniła - były własnością jego firm lub były przez nie zarządzane.

Pellam uniósł ręce i przycisnął dłonie do chłodnej szyby. Ze względu na panujący wewnątrz półmrok jego odbicie wydawało się unosić za oknem na podobieństwo anioła, którego palce stykały się koniuszkami z palcami Pellama.

-Przyznaj się, kręcisz film o Rogerze, prawda?

-Nie. O dawnej West Side.

-To dlaczego go szpiegujesz?

Nie odpowiedział.

Jolie dodała obojętnie:

- Rozwodzimy się, Roger i ja.

Pellam nadal wpatrywał się w światła rozciągającego się w dół miasta. Czy to wszystko zostało ukartowane? A może to ona szpiegowała jego? Hollywood generowało w człowieku obsesję na punkcie pracy, Hell's Kitchen kazała mu na każdym kroku drzeć o własne życie.

Coś mu jednak mówiło, że może jej zaufać. Przypomniawszy sobie wyraz jej oczu w chwili, gdy obserwowana przez nich brunetka uniosła krawędź sukni i zaczęła wchodzić po schodach. Pellam miał do czynienia z wieloma aktorkami, wśród których było nawet kilka wybitnych, ale tylko nieliczne na tyle opanowały metodę Stanisławskiego, żeby w ułamku sekundy przywołać na twarz wyraz tak autentycznego bólu -Mówi się tu o tobie - oznajmiła Jolie McKennah. Pożar na West Side został już prawie ugaszony Mimo to w oddali wciąż widać było setki świateł wozów służb ratowniczych, migoczących niczym tandetne lasery w podrzędnej dyskotecie.

-On też coś mówił? - Pellam nie miał pewności, czy wskazanie

ruchem głowy sufitu, gdzie McKennah posuwał właśnie zapewne chłodną brunetkę, nie było przypadkiem nietaktem.

-Nie, ale wie o tobie. Obserwuje cię.

-To o co chodzi? Dlaczego mnie tu przyprowadziłaś?

Pociągnęła łyk szampana i uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Roger i ja nigdy nie mieliśmy przed sobą żadnych tajemnic.

Nigdy. Doszło do tego, że znałam rozmiary staników jego kolejnych dziewczyn. Ale w pewnym momencie coś we mnie pękło.

-Zmęczenie materiału?

-Właśnie tak, Pellam. Trafiłeś w sedno. Powoli, stopniowo różne rzeczy się między nami psuły. Od dawna nic do siebie nie czuliśmy - prawdę mówiąc, to już od wieków - ale byliśmy ze sobą blisko, przyjaźniliśmy się. Nagle i to się zmieniło. Mam na myśli przyjaźń. Zaczął mnie okłamywać, co było wbrew naszym regułom. Dlatego podjęliśmy decyzję o rozwodzie.

Chciała powiedzieć, że to on podjął decyzję o rozwodzie.

-Ale mimo to czujesz się zdradzona.

Przez chwilę miał wrażenie, że zaprzeczy, ale potwierdziła:

- Tak, czuję się zdradzona.

Popatrzył w dal przez okno, poza swoje odbicie w szybie.

- A słyszałaś o pożarze przy Trzydziestej Szóstej? Zanim wybuchł ogień, przy kamienicy kręcili się ludzie Rogera...

To ją zainteresowało.

-Aha, obrońca uciśnionych.

-Pomyłka. Ja chcę się tylko dowiedzieć, kto stał za tym podpaleniem.

-Nie sądzę, aby Roger mógł zrobić coś takiego.

-Zastanów się.

Widział, że się waha. Podniosła kieliszek do nosa i wciągnęła zapach szampana.

- Podobam ci się?

-Tak. - Była to szczerza prawda, nie mająca nic wspólnego z ośmiomiesięcznym postem.

-Chciałbyś się ze mną kochać?

-Owszem, ale nie tutaj i nie teraz.

Ta odpowiedź najwyraźniej ją usatysfakcjonowała. Jakże krucha

jest nasza próżność i jak nierozważnie wystawiamy ją na ciosy innych.

-Jeśli powiesz mi, czego naprawdę szukasz, może będę mogła ci pomóc.

A może wbijesz mi nóż w plecy?

-Widzę, że się wahasz - ciągnęła Jolie. - Myślisz, że mu doniosę. Podejrzewasz, że wysłał mnie na przeszpiegi?

-Niewykluczone.

-Sądziłam, że jesteś hazardzistą.

-W tym wypadku stawka jest naprawdę wysoka.

-Jak bardzo? Miliard? Dwa miliardy?

-Dziesięć lat życia starszej kobiety.

Zawahała się.

- Nie mam już nad nim żadnej władzy. Nie tak, jak dawniej. -

Gestem wskazała mu kłębiący się obok w salonie tłum gości; jej palec był niczym lufa karabinu snajpera wycelowana we wszystkie znajdujące się tam brunetki, rude i blondynki. - I nigdy już jej nie odzyskam. Wygrał, i to bezapelacyjnie, w sypialni, w naszym domu... W tej sytuacji mogę go pokonać już tylko na jednym polu - w interesach. I zrobię to.

Pellam odrzekł:

- Kobieta, o której wspomniałem, mieszkała w kamienicy, która wtedy spłonęła. Aresztowali ją za podpalenie, chociaż jest niewinna.

-Nazywa się Washington - odparła Jolie. - Czytałam o niej. Próba wyłudzenia odszkodowania, czy coś takiego.

Pellam skinął głową.

- Czy to twój mąż spalił ten budynek?

Przez dłuższą chwilę Jolie zastanawiała się nad odpowiedzią, ze wzrokiem ponownie utkwionym w roztańczonych bąbelkach.

- Jeśli chodzi o starego Rogera... Nie, nie zrobiłby tego. A nowy Roger? Mogę tylko powiedzieć, że stał się dla mnie całkiem obcym człowiekiem. Już wcale ze sobą nie rozmawiamy. To zupełnie inny człowiek niż ten, za którego wyszłam za mąż. To prawda, że ostatnimi czasy kilka razy wychodził z domu w nocy. Nigdy wcześniej tego nie robił, a przynajmniej nie bez uprzedzenia. I nigdy mnie w tej kwestii nie okłamywał. A teraz dzwoni telefon i on zaraz wychodzi.

-Wiesz, kto do niego dzwoni?

-Zaprogramowałam telefon w taki sposób, żeby po wybraniu gwiazdki 69 można było oddzwonić pod numer, z którego dzwoniło.

Okazało się, że telefonowali z kancelarii prawniczej. Takiej, o której nigdy przedtem nie słyszałam.

-Jak się nazywa?

-Pillsbury, Millbank i Hogue - odparła. Pellam wychwycił nerwowe drżenie w opanowanym dotąd głosie kobiety. Jolie mówiła dalej: - Nasz szofer mówi, że wysadza go zawsze na rogu Pięćdziesiątej i Dziewiątej. Tam Roger się z kimś spotyka, z jakimś mężczyzną. Robią to zawsze w wielkiej tajemnicy.

-Czy ten szofer - zapytał delikatnie Pellam - mógłby mi coś więcej na ten temat powiedzieć?

-Nie miałby nic przeciwko temu - odrzekła. - Niestety, Roger odsyła go z powrotem zaraz, jak tylko wysiądzie z samochodu.

Pellam zanotował na kartce nazwę kancelarii oraz adres.

Jolie dodała:

- Wiesz, on ma też swoje zalety. Przekazuje pieniądze na cele dobroczynne.

Zapewne czynią to również niektórzy seryjni mordercy, a przynajmniej ci, którym zależy na odpisie od podatku.

Jolie wzięła ze stolika jego kieliszek i pociągnęła łyżeczkę. Jej był już pusty. Pellam zauważył: - To, o czym mi właśnie powiedziałaś, może go sporo kosztować. I ciebie też.

-Mnie?

-Zapomniałaś o rozwodzie? Chyba będzie ci płacił jakieś odszkodowanie czy alimenty? Śmiech.

- Mój drogi, ty chyba naprawdę płacisz podatki jak na praworządnego obywatela przystało! Powiedzmy, że zdążyłam się odpowiednio zabezpieczyć. Cokolwiek się stanie z Rogerem, w najmniejszym stopniu nie wpłynie to na moją sytuację finansową.

Pellam zerknął w dół na jędrną, opaloną skórę jej dekoltu. Osiem miesięcy to kawał czasu.

-Wypijmy za „nie tutaj i nie teraz” - powiedziała, unosząc w górę kieliszek.

Chwilę stał jeszcze przy oknie, spoglądając na rozświetlone wieżowce Manhattanu, po czym ruszył w stronę wyjścia. Na zewnątrz,



odbijający się w szybie anioł Pellama także się odwrócił, opuścił swoje przezroczyte ramiona i rozplynął się w mroku spowijającym nocne miasto.

## 16

Pięć punktów w górę zamiast w dół.

Ogień też wspina się, a nie opada.

Sonny spojrzał na rozłożony przed sobą plan.

Pożar w szpitalu okazał się udany, ale daleko mu było do mistrzostwa. Zbyt wielu przykładnych obywateli wykazało się wzmożoną czujnością. Zbyt wielu policjantów i inspektorów straży pożarnej kręciło się w pobliżu, wtykając wszędzie swoje ciekawskie nosy. A wszyscy jak jeden mąż gotowi byli dzwonić pod 911 albo porwać w dłonie gaśnice i rozpylać wokół dwutlenek węgla.

Wszyscy potraktowali to tak cholernie poważnie!

Poza tym Sonny nie był w stanie się skupić, jego głowę wypełniały myśli o tym kowboju -Antychryście, Pellamie. Miał wrażenie, że wszędzie go widzi; w ciemnościach, w mroku bocznych uliczek. Śledził go...

To przez niego tak się pocę. To przez niego trzęsą mi się ręce.

Pot lał się z czoła Sonny'ego, mocząc mu włosy. Jego kosmyki, zwykle koloru bladej cytryny, dziś były wprost ciemne od wilgoci. Jego oddech stał się szybki, urywany, a od czasu do czasu różowy niczym węgorz język wysuwał mu się z ust i zwilżał spierzchnięte wargi.

Kino było następne na jego liście. Długo zastanawiał się, czy puścić z dymem budynek, gdzie wyświetlano pornosy dla pedałów, czy zwyczajne kino. W końcu zdecydował się na to ostatnie.

Pomyślał, że przede wszystkim musi zrobić nowe zapasy.

Podpalacze mają sporo szczęścia, bo w przeciwieństwie do snajperów czy tych, co podkładają bomby, mogą najzupełniej legalnie kupić wszystkie narzędzia potrzebne im do pracy. Mimo to muszą rzecz jasna zachować odpowiednią ostrożność i właśnie dlatego Sonny nieustannie zmieniał miejsca, w których kupował niezbędne mu składniki. Nigdy nie zjawiał się na tej samej stacji benzynowej częściej niż mniej więcej raz w miesiącu. Na Manhattanie mieściło się jednak zaskakująco niewiele stacji benzynowych, ulokowanych głównie w Jersey i na Long Island, a ponieważ nie miał samochodu, zakupów mógł dokonywać wyłącznie na tych, do których mógł dojść na

piechotę ze swojego mieszkania.

W tej chwili był w drodze do East Village, na stację, której nie odwiedzał już od ponad roku. To był długi, męczący spacer, a będzie jeszcze dłuższy, kiedy przyjdzie mu dźwigać z powrotem dwadzieścia litrów benzyny. Ale Sonny bał się kusić los, dokonując zakupu bliżej domu.

Zastanawiał się, ile słoików soku będzie potrzebował do spalenia tego kina.

Jeden powinien wystarczyć.

Zdarzało się, że Sonny, przykucnąwszy, godzinami obserwował z zewnątrz wybrany budynek, obmyślając najbardziej skuteczną metodę działania. Ponieważ był bardzo szczupły, wręcz przeraźliwie wychudzony, to kiedy tak siedział w kucki, powiedzmy przed dworcem Grand Central, bawiąc się jak zwykle w zgadywanek pod tytułem „Ile słoików”, ludzie czasami rzucali mu monety, biorąc go za bezdomnego czy chorego na AIDS albo zwyczajnie myśląc współczująco: „Biedaczysko...i do tego taki chudzina”. On tymczasem przez cały ten czas miał w kieszeni tysiąc dolarów, był zdrow jak ryba i siedząc na krawężniku, rozkoszował się myślą o tym, jak wspaniale będzie zmieść z powierzchni ziemi ten barokowy dworzec, i to przy minimalnej liczbie ognisk pożaru.

Doszedł do wniosku, że do zniszczenia dworca Grand Central potrzeba będzie siedmiu ognisk.

Do zburzenia Centrum Rockefellera szesnastu. Empire State Building powinien się poddać po czterech. Wieże World Trade Center wymagały pięciu ognisk każda (te walnięte Arabusy najzwyczajniej w świecie pokpiły sprawę!).

Sonny minął stację benzynową nonszalanckim krokiem, rozglądając się uważnie w poszukiwaniu policji i inspektorów straży pożarnej. Już poprzedniego dnia zauważył znaczny wzrost liczby wozów patrolujących ulice w pobliżu stacji benzynowych. Ale tutaj nie dostrzegł żadnego, wrócił więc na stację i podszedł do najbardziej oddalonego od okienka dystrybutora. Zdjął nakrętkę z kanistra i zaczął go napełniać.

Słodkawa woń zawsze przywodziła mu na myśl dziesiątki wspaniałych wspomnień.

Od pierwszej godziny pierwszego dnia swojego pobytu w tym mieście przed ośmiu laty Sonny wiedział, że tutaj zamieszka i umrze. Nowy Jork! Jak mógłby mieszkać gdzie indziej? Asfaltowe ulice buchały żarem, skłębiona para jak dym unosiła się z tysięcy studzienek kanalizacyjnych i każdego dnia dochodziło do mnóstwa pożarów, które najwyraźniej nikogo nie obchodziły. Było to jedyne miasto na świecie, gdzie można było podpalić kontener na śmieci, samochód i opuszczony budynek, a przechodnie tylko rzucali okiem na ogień i szli dalej, tak jakby płomienie stanowiły naturalny element miejskiego krajobrazu.

Przyjechał tu zaraz po zwolnieniu z poprawczaka i przez pewien czas miał się różnych zajęć biurowych - pracował jako kurier, sortowacz poczty, operator kserokopiarki. Lecz na każdą godzinę spędzaną w biurze albo w gabinecie kuratora przypadały dwie godziny, kiedy to Sonny doskonalił swoje rzemiosło, biorąc zlecenia od właścicieli i agentów nieruchomości, a od czasu do czasu nawet od mafii. Benzyna, gaz ziemny, azotany, nafta, aceton. No i oczywiście jego cudowny sok, którego recepturę Sonny samodzielnie opracował, praktycznie opatentował i darzył niemal tak wielkim uczuciem jak Bach swoją klawiaturę.

Magiczny sok. Żywy płomień, który całuje skórę i przylega do niej na zawsze. W początkowych latach swojego życia w mieście, jeszcze na West Side, Sonny nie był tak samotny jak teraz. Spotykał w pracy różnych ludzi, umówił się nawet z kilkoma, ale szybko się nimi znudził. Zwykle już od początku randki panowała niezręczna atmosfera, a po kilku godzinach obie strony łączyło jedynie uporczywe pragnienie, aby uwolnić się od nieznośnego towarzystwa. W restauracjach Sonny częściej wpatrywał się w płomienie świec niż w oczy partnera.

Koniec końców uznał, że sam jest dla siebie najlepszym towarzystwem. Mieszkał sam, wybierając niewielkie, schludne mieszkanie. Doprowadził do perfekcji sztukę prasowania ubrań, robił miesięczny bilans wydatków, chodził na filmy o sztuce oraz wykłady na temat dziewiętnastowiecznej historii Nowego Jorku, oglądał w telewizji „Ekipę remontową”, programy edukacyjne i seriale komediowe.

I żył tylko po to, aby patrzeć, jak płomień trawi różne rzeczy,

zamieniając je w doskonały, martwy popiół.

Podczas gdy kanister wypełniał się z wolna cennym, różowawym płynem, myśli Sonny'ego znowu zaczęły kręcić się wokół Pellama, tego wysokiego, spowitego w czerń anioła śmierci. Antychrysta. Ómy skwierczącej na rozpalonej żarówce, której światłu nie potrafiła się oprzeć.

Ach, Pellam... Czy to nie zaskakujące, że nasze losy tak się ze sobą splątały? Zupełnie jak nitki tworzące knot świecy. Czy to nie dziwne, że przeznaczenie pchnęło nas ku sobie? Teraz ty szukasz mnie, a ja ciebie... Czy chcesz złączyć się ze mną na wieki? Spoczniemy razem na łożu z ognia, staniemy się czystym światłem, będziemy nieśmiertelni...

Jedenaście litrów. To był zupełny przypadek, że jego spojrzenie, utkwione dotąd w liczydło, minęło dystrybutor i spoczęło na pracowniku stacji, który w tym samym momencie cofnął się szybko do swojego ciasnego kantorka.

Dwanaście i pół litra...

Sonny zostawił końcówkę węża w otworze kanistra, przeszedł się parę kroków w stronę kantorka obsługi i zobaczył, że mężczyzna rozmawia z kimś przez telefon. Wrócił do dystrybutora. Himn. Mamy problem. Poważny problem.

I co teraz?

Gdy chwilę później na stację zajechały cicho trzy wozy patrolowe, policjanci zastali Sonny'ego stojącego nieruchomo jak głaz przy dystrybutorze i popatrującego niepewnie to na pracownika obsługi, to na trzymaną w rękę końcówkę węża.

Mamy problem...

-Halo, proszę pana - zawołał jeden z gliniarzy. - Czy mógłby pan to odwiesić i podejść tutaj?

Policjanci wysiedli z samochodów. Pięciu czy sześciu gliniarzy opierało dłonie na kolbach pistoletów.

-O co chodzi, panie władzo?

-Niech pan to odwiesi, okej? W tej chwili.

-Oczywiście, panie władzo, już się robi.

Sonny odwiesił wąż paliwowy, zahaczając króciec o górny uchwyt dystrybutora.

-Ma pan przy sobie jakieś dokumenty?

-Nie zrobiłem nic złego. Nawet nie mam samochodu. Za co chcecie mi dać mandat? Sonny zaczął przeszukiwać kieszenie spodni.

-Proszę pana, proszę natychmiast tutaj podejść. I chcielibyśmy zobaczyć jakiś dowód tożsamości.

-Okej, pewnie. Czy zrobiłem coś złego? - Sonny nie ruszał się z miejsca.

-W tej chwili, proszę pana. Proszę natychmiast tutaj podejść.

-Tak jest, panie władzo. Z przyjemnością.

-Chryste, nie! - wykrzyknął za jego plecami czyjś głos z silnym akcentem. Sonny był autentycznie zdziwiony, że facet z obsługi stacji tak późno zorientował się w sytuacji. Benzyna! Z drugiego węża cieknie benzyna!

Sonny rozciągnął wargi w uśmiechu. Gdy tylko dostrzegł zbliżające się wozy patrolowe w szybie liczydła, upuścił na ziemię dolny wąż paliwowy, a chwycił górny, który następnie posłusznie odwiesił na rozkaz policjanta. W tym czasie co najmniej siedemdziesiąt pięć litrów benzyny wyciekło na wysepkę dystrybutora i płynęło teraz szeroką, niewidoczną na czarnym asfalcie strugą w kierunku policjantów oraz ich aut.

W mgnieniu oka, zanim którykolwiek z funkcjonariuszy zdążył dobyć broni, Sonny wyłowił z kieszeni zapalniczkę i przycisnął przycisk. Błysnął niewielki płomyk. Sonny przykucnął.

-Tylko spokojnie - powiedział jeden z policjantów, unosząc w górę otwarte dłonie. Niech pan to odłoży. Nikt tu nie chce pana skrzywdzić.

Na moment wszyscy zamarli. A potem, w ułamku sekundy, dotarło do nich, co się za chwilę wydarzy. Może wyczytali to z oczu Sonny'ego, może z jego uśmiechu... a może coś jeszcze ich ostrzegło. Tak czy inaczej, sześciu gliniarzy jak jeden mąż odwróciło się nagle i zaczęło uciekać przed pędzącą ku nim strugą.

Sonny sam stał na suchym kawałku asfaltu, a mimo to gdy tylko przytknął płomień do wartkiego strumienia benzyny, odskoczył w tył jak karaluch. Rozmiary kuli ognia zaskoczyły nawet jego samego. Chwycił do ręki kanister i umknął.

Płomień z głośnym szumem błyskawicznie dotarły pod policyjne

auta, które natychmiast się zajęły. Rycząc głucho, rzeka ognia płynęła tymczasem dalej, w dół ulicy Houston, śląc w niebo obłoki gęstego, czarnego dymu. Wszędzie wokół rozbrzmiewały krzyki, klaksony, odgłosy tłuczonego szkła i miażdżonej karoserii. Samochody zatrzymywały się gwałtownie, a następnie próbowały wycofywać przed ogarniającą wszystko pożogą.

Sonny, który w tym momencie był już pół przecznicy dalej, nie mógł się powstrzymać. Przystanął i spojrzął za siebie, z lubością ogarniając wzrokiem cały ten chaos. W pierwszej chwili poczuł rozczarowanie, widząc, że główny zbiornik paliwa ocalał, ale zaraz się zreflektował i już z przyjemnością obserwował pożar.

Ogarnął go filozoficzny nastrój.

Myślał: Ogień to nie energia, ale istota, która żyje, rośnie i się rozmnaża; rodzi się i umiera. Potrafi każdego przechytrzyć. Ogień jest zwiastunem zmian. Słońce to też ogień, a przecież wcale nie jest szczególnie gorące. Ogień pochłania ludzkie brudy. Ogień to ideał ślepej sprawiedliwości. Ogień wskazuje ludziom drogę do Boga.

Panie, wynajęłeś pan najlepszego prawnika w Nowym Jorku! Pozwał nawet zarząd portowy i wygrał. Słyszał pan kiedy, żeby ktokolwiek wygrał z władzami miasta?

Mężczyzna siedzący przy biurku Louisa Baileya poderwał się na widok wchodzącego Pellama. Był to ten sam specjalista od wyścigów konnych w zielonej marynarce, którego spotkał tu poprzedniego dnia. Gość od dawania cynku.

-Cleg, daj spokój - strofował go Bailey, rumieniąc się skromnie.

-Opowiedz mi o tym, jak pozwałeś Rockefellera.

-Cleg, proszę...

Wyglądało na to, że chudzina wybaczył już Pellamowi brak zainteresowania wyścigami konnymi. Zwracając się teraz do niego, oznajmił z przejęciem: - Rockefeller ukradł takiemu jednemu jego wynalazek, więc Louis go pozwał. I nawet on pękł. Louis napędził mu porządnego stracha. Panie, wyglądasz pan jak prawdziwy kowboj. Nikt panu tego nie mówił? A jeździłeś pan kiedyś na wałachu? Co to właściwie jest ten wałach? Wiem tylko, że O.J. nazwał tak swoją białą ciężarówkę.

-To wykastrowany koń.

-A niech mnie - gwizdnął zdumiony Cleg, specjalista od wyścigów, który właśnie odkrył nowy gatunek konia. Odebrał od Bailey'a plik kolejnych kopert służących do „smarowania” i wyszedł z biura.

-Ciekawa postać. - Był to jedyny komentarz, jaki przyszedł Pellamowi do głowy.

-Zdziwiłbyś się - odparł tajemniczo Bailey. Rozłożył aktualną gazetę i uderzył w nią otwartą dłonią. - Popatrz no tylko. - Całą pierwszą stronę zajmowała relacja na temat pożaru na stacji benzynowej w Village. - Oto i nasz gagatek.

-Ten piroman? - upewnił się Pellam.

-Nikt już nie ma wątpliwości. Prawie go mieli, ale udało mu się zwać. Przy okazji poważnie ranił dwóch gliniarzy i trzech przechodniów. Straty szacowane są na blisko milion dolarów.

Pellam obejrzał uważnie fotografię przedstawiającą obraz zniszczeń.

Bailey przełknął solidny łyk wina. - To już prawdziwy koszmar. Ludzie się burzą. Są silne naciski na policję i prokuratora generalnego, żeby złapać w końcu tego faceta. Wszyscy myślą, że oszalał. Zupełnie, jakby Ettie go rozkręciła i teraz gość już nie potrafi przestać. Całe miasto rusza przeciwko niemu na krucjatę.

Pellam ze znużeniem pochylił się nad gazetą. Z boku artykułu zamieszczono ramkę, w której znajdowała się między innymi mała mapka Hell's Kitchen. Rysunki miniaturowych płomieni znaczyły miejsca kolejnych pożarów, układając się najwyraźniej w pewien wzór półokrąg rozpościerający się na północ od kamienicy Ettie.

Bailey wyszukał wśród swoich szpargałów jakiś wycinek i podał go Pellamowi. - To ta firma ubezpieczeniowa, w której Ettie rzekomo wykupiła polisę. Kobieta, która ją obsługiwała, nazywa się Florence Epstein.

-Powiedziała coś ciekawego?

Bailey posłał Pellamowi znaczące spojrzenie, którego tamten za nic nie był w stanie rozszyfrować.

-Tak? - mruknął zachęcająco.

-Przecież nie wolno mi z nią rozmawiać. Jestem obrońcą Ettie.

-Ach, rozumiem. Jednak ja mógłbym...

Bailey westchnął.



- W zasadzie tak, ale...

-Ale co?

-No wiesz... Czasami... No cóż, w tym czarnym stroju wyglądasz trochę groźnie. I do tego rzadko się uśmiechasz.

-Będę uosobieniem czaru i ogłady - obiecał Pellam. - O ile tylko nie spróbuje mnie okłamywać.

-Gdyby stwierdzono próbę zastraszenia...

-Czyja wyglądam na człowieka, który mógłby kogoś zastraszyć?

Na twarzy Bailey'a w mgnieniu oka odmalowało się skrępowanie.

Szybko zmienił temat. - Przeszedłem się do biblioteki. Zerknij na to. - Rozłożył przed Pellamem kilka wycinków prasowych.

-Sam się pofatygowałeś!? Nie przekupiłeś żadnej bibliotekarki, żeby przyniosła ci to do biura?

-Aha. - Bailey był zbyt zaaferowany odkorkowywaniem kolejnej butelki wina, żeby się choćby uśmiechnąć. - I znalazłem parę ciekawostek na temat Rogera McKennaha.

Pellam przejrzał wycinki.

„Business Week” pisał: Najlepszym okresem minionej dekady był dla McKennaha koniec lat osiemdziesiątych, gdy rynek się załamał, skończył się boom ekonomiczny, a wielu z pracujących na Wall Street „spłynęło z bessą” (jedno z popularnych powiedzeń autorstwa McKennaha). A jednak to właśnie wtedy jego gwiazda błyszczała najjaśniejszym blaskiem.

„New York Magazine” dodawał: ...Roger McKennah, zdeklarowany megaloman, wdarł się przebojem do nowojorskiego „trzeciego świata”, mnożąc w nim przystępne cenowo (a zarazem zyskowe) osiedla mieszkaniowe. Jemu też zawdzięcza się rewitalizację towarzystw inwestycyjnych w branży budowlanej, jak również wydarcie licznych śródmiejskich terenów z rąk kapitału zagranicznego i zwrócenie ich lokalnym deweloperom. Znany tak ze swego ciętego dowcipu, jak i reprezentacyjnego stylu życia oraz niezawodnej smyślności do interesów McKennah ukuł termin „sępienie”, określający taktykę wyszukiwania nierokujących inwestycji i przejmowania ich od syndyków oraz powierników.

Z kolei „People” donosił w kwiecistym, barokowym stylu: Ktokolwiek - byle jaki Trump, Zeckendorf czy Helmsley - mógłby

wypłynąć na fali prosperity, ale tylko taki geniusz jak Roger McKennah potrafił właściwie wykorzystać moment, gdy fala dopiero się tworzyła, i wpłynąć w wodny tunel na rozpędzonej desce.

Pellam odłożył wycinki na bok.

-Z tego wynika, że facet jest chciwym cwaniakiem, ale raczej nie podpalaczem zauważył Bailey.

-W takim razie powinienem ci chyba powiedzieć, z kim się wczoraj spiknąłem.

-Na przyjęciu u McKennaha?

-Kawior był trochę za ciepły. Ale napiłem się szampana z jego żoną.

Bailey był wniebowzięty. Spoufalanie się z wrogiem było zapewne jedną z ważniejszych metod służących „wsadzaniu kija w szprychy”.

- No i?

-Chce puścić gościa z torbami.

Opowiedział prawnikowi o potajemnych spotkaniach McKennaha i gorącej linii z pewną kancelarią prawniczą.

-Pillsbury i Millbank? - powtórzył z zadumą Bailey.

-Dałbym głowę, że tak właśnie powiedziała.

Bailey ściągnął z półki grubaśny spis prawników i zaczął go kartkować. Znalazł odpowiedni wpis i przeczytał go uważnie, kiwając głową.

- Chyba mógłbym dotrzeć do kogoś od nich.

Mógłbym.

Pellam sięgnął po portfel.

-Nie tym razem. Mam pewien pomysł. Aha, ale to jeszcze nie koniec dobrych wiadomości. Zapomniałem ci o czymś powiedzieć. Znajomy mojego znajomego grywa w karty z pewnym starszym inspektorem straży pożarnej. Dziś wieczorem mają partię pokera i mój znajomy ma poprosić swojego znajomego, żeby hojnie uraczył faceta szkocką. Powinniśmy w ten sposób zdobyć parę poufnych informacji.

-Ilo letnia?

-Co? - nie zrozumiał Bailey.

-Ilo letnia będzie ta szkocka?

-Nie wiem. Pewnie dwunastoletnia. Albo starsza...

-Tak sobie myślę, Louis - rzucił Pellam. - Może powinienem

nakręcić o tobie dokument? Zatytułowałbym go „Tryby miejskiej maszyny”. Naprawdę pozwałeś do sądu Rockefellerów?

-Ojej, no... Rzeczywiście tak było. - Bailey spuścił skromnie wzrok, a potem wzruszył ramionami. - Ale to nie był nikt z tych Rockefellerów.

Kroki z tyłu szybko się zbliżały.

Pellam obrócił się na pięcie, sięgając jednocześnie do tyłu za pasek spodni, gdzie przytulony do jego krzyża tkwił ciężki, rozgrzany colt.

Na linii jego wzroku nikogo nie było. Spojrzał w dół.

-Siema, stary. Gdzie cię nosiło? - Ismail szczerzył się do niego w uśmiechu, wsparłszy dłonie na swoich rachitycznych biodrach. Pot łał się z niego strumieniami, ale mimo to wciąż miał na sobie ukochaną wiatrówkę Afrykańskiego Kongresu Narodowego.

-Tu i tam. A co u ciebie?

-Kurde, ty masz gnata! Normalnego gnata.

-Nieprawda.

-Akurat! Chyba widziałem. Chciałeś mnie kropnąć. Pokaż no tę spluwę, Pellam. Co tam masz? Glocka, browninga? Trzysta pięćdziesiątkę siódemkę? Ja, stary, chciałbym mieć Desert Eagle. Odstrzeliłbym ci tyłek jak nic! Pieprzony kaliber pięćdziesiąt.

-Sięgałem po portfel. Wziąłem cię za złodzieja.

-No co ty, koleś, nigdy bym cię nie skroił. - Ismail wyglądał na autentycznie urażonego.

-To gdzie się podziewałeś? - zagadnął go Pellam.

-Rewiowałem, stary.

Pellam roześmiał się. - Bez ścierny, chłopcze. Założę się o dychę, że nie pokażesz mi żadnego z gangsterskich tajnych znaków.

Chłopak nie dał się jednak zapędzić w kozi róg i natychmiast zaczął z rozmachem gestykulować. Pellam nie miał pojęcia, co jego gesty oznaczają, ale na oko robiły wrażenie autentycznych. Na ulicach Los Angeles raz-dwa uznano by Ismaila za idealnego „mg” małego gangstera. Wcisnął mu w garść dziesięciodolarowy banknot, mając nadzieję, że chłopak kupi sobie coś do jedzenia.

-Dzięki, stary.

-Jak mama?

-A bo ja wiem? Nie ma jej. Siostry też.

-Jak to? Co ty mówisz?

Dzieciak wzruszył chudymi ramionkami.

- Nie ma ich, mówię. W schronisku, znaczy się.

-To co z tobą będzie?

-No, nie mam gdzie kimać... Ej, czego się tak lampisz, Pellam?

Czego ode mnie chcesz?

-Chodź. Chciałbym, żebyś kogoś poznał.

-Taaa? A kogo?

-Jedną panią.

-Laseczkę?

-Mnie się podoba. Zobaczymy, co ty powiesz.

-Dlaczego chcesz mnie zapoznać z tą suką. Pellam?

-Uważaj, co mówisz.

-Dobra, już dobra...

-Ismailu!

-Ni chuja - wymamrotał mały pod nosem.

Pellam zacisnął dłoń na jego ramieniu i pociągnął za sobą do ośrodka pomocy młodzieży.

-Ismailu, masz natychmiast przestać przeklinać.

-Słuchaj, stary, ja wiem, czego ta suka chce. Będzie się do mnie dobierać...

-Jak mu na imię? - spytała Carol Wyandotte, na której najwyraźniej nie robił wrażenia stojący przed nią wściekły kłębek nerwów.

-Ismail.

-Witaj, Ismailu. Mam na imię Carol i jestem tu kierowniczką.

-Puszczaj, ty stara ruco, ja tu nie zostanę...

-Dosyć tego, młody człowieku - warknął Pellam.

Chłopak odparł ponuro:

- Niech ta biała suka trzyma się z daleka ode mnie.

Pellam postanowił spróbować łagodniej. Opanował się i powiedział:

- Posłuchaj, Ismailu, wiele osób uznałoby to określenie za bardzo niegrzeczne.

-Dobra, już dobra. - Chłopak wyglądał na skruszonego. - Nie powiem już więcej „biała”.

-Bardzo śmieszne.

-On nie używa słowa „suka” w tym znaczeniu - wtrąciła rzeczowo Carol, kołyszając się na piętach i mierzając Ismaila badawczym spojrzeniem. - To tylko taki ozdobnik stylistyczny.

-Nie mów mi, co chcę powiedzieć, suko.

-Chcesz być moim kumplem czy nie? - zdenerwował się Pellam. - Jeśli tak, to uważaj na to, co mówisz.

Chłopak gniewnym ruchem skrzyżował ręce na piersiach i z ponurą miną opadł na niski parapet.

-Jego matka i siostra zniknęły - poinformował Carol Pellam.

-Zniknęły?

-Ze schroniska - wyjaśnił.

-Ismailu, co się stało?

-Nie wiem. Wróciłem i już ich nie było. Nie wiem, gdzie się wyniosły.

Chłopiec dostrzegł w kącie stertę komiksów i zaczął przeglądać jakiejś stare wydanie „X-Men”.

-Możesz cokolwiek dla niego zrobić? - spytał Pellam.

Carol wzruszyła ramionami.

- Moglibyśmy zadzwonić do opieki społecznej. W ciągu dwudziestu czterech godzin umieszczą go w rodzinie zastępczej, skąd zaraz ucieknie. Moim zdaniem powinniśmy potrzymać go tutaj przez parę dni, na wypadek, gdyby jego matka jednak się znalazła... Ismailu?

Chłopak podniósł głowę znad komiksu.

-Masz babcię?

-Pogięło cię, czy jak? Każdy ma babkę.

-Pytam o to, czy ty ją masz.

Wzruszenie ramion.

-Wiesz, gdzie mieszka?

-Nie.

-Ani jedna, ani druga? A jakieś ciotki? Ktoś z rodziny?

-Nie wiem.

Pellam był wstrząśnięty odkryciem, że dzieciak nie zna żadnych swoich krewnych. Carol odparła jednak spokojnie: - Podobają ci się te komiksy? Mamy ich tutaj sporo.

Ismail prychnął i rzucił buńczucznie:

- Jakbym kurde chciał, to bym sobie skroił z tysiąc pieprzonych

komiksów. Pellam podszedł do niego i przykucnął.

- Jesteśmy kumplami, ty i ja? Co?

- Pewnie tak. Nie wiem.

- Zostaniesz tu na jakiś czas? I nie będziesz rozrabiał?

- Pomożemy ci odszukać mamę - dodała Carol.

- Wcale jej nie chcę. To stuknięta suka. Ciągłe wciąga koks.

Puszczą się z tymi wszystkimi facetami, żeby załapać trochę hajsu. Sukinsyny, psia ich mać.

- Zostań tu na trochę, dobrze? Zrób to dla mnie - poprosił Pellam. Ismail odłożył komiks.

- Dobra, ale tylko dla ciebie, stary. - Obejrzał sobie Carol od stóp do głów. - Ale pamiętaj, suko...

- Ismail! - krzyknął Pellam. - Jeszcze raz tak powiesz, a z nami koniec.

Chłopak aż zamrugnął powiekami. Wybuch Pellama zrobił na nim wrażenie. Niepewnie kiwnął głową.

Carol zagadnęła go:

- Chcielibyśmy, żebyś z nami został. Są tu inne dzieci, z którymi będziesz mógł się bawić. Idź teraz na zaplecze i spytaj o pannę Sanchez. Ona wyszuka ci łóżko w sypialni dla chłopców.

Ismail zerknął na Pellama.

- Zobaczymy się jeszcze?

- To nie więzienie - odparła Carol. - Przychodzisz i wychodzisz, kiedy chcesz.

Chłopiec wpatrywał się w Pellama, nie zwracając na nią uwagi.

- Będziemy znowu razem łązić po dzielnicy, stary?

- Pewnie, że tak.

Spojrzenie ciemnych, zmrużonych oczu szybko obiegło ponure pomieszczenie.

- Dobra - mruknął wreszcie Ismail. - Ale lepiej niech nikt mnie nie próbuje gnoić, jasne?

- Nikt cię nie będzie gnoił - zapewniła go Carol.

Ismail zwrócił na Pellama swoje przedwcześnie postarzałe oczy i mruknął pojednawczo: - To nara, stary.

- Nara.

Chłopiec pchnął drzwi z rozmachem wpadającego do saloonu

rewolwerowca i zniknął na zapleczu.

Carol roześmiała się:

- Co cię właściwie sprowadza w te szemrane okolice? To znaczy, poza zabawą w siostrę miłosierdzia. - Zerknęła w dół na swoją bluzę z logo Harwardu i strzepnęła niewidoczny pyłek kluskowatymi palcami. Ten gest sprawił, że wydała się Pellamowi jednocześnie silna i niezwykle krucha.

-Łażę to tu, to tam. Szukam ciekawych ujęć i ludzi, z którymi mógłbym pogadać. Masz jakieś wiadomości o Aleksie?

-Niestety nie. Od tamtej pory się nie pokazał, nikt go nie widział. Popytałam trochę w sąsiedztwie...

Przez dobrą minutę żadne z nich nic nie mówiło. W holu pojawiła się nastolatka w bardzo zaawansowanej ciąży, tuląca w ramionach pluszowego dinozaura.

Carol podsunęła zsuwające jej się z nosa okulary i zamieniła kilka słów z dziewczyną. Gdy ta odeszła, Pellam zagadnął: - Co powiedziałaabyś na jeszcze jedną politycznie niepoprawną kawę?

Chwila wahania. Pellam miał wrażenie, że na twarzy Carol odmalował się wyraz miłego zaskoczenia. Ale równie dobrze mogło to być coś innego.

-Okej, zgoda.

-Jeśli jesteś zajęta...

-Nie. Tylko się przebiorę. Dasz mi dwie minuty? Cały dzień tachałam ciężkie pudła dodała przepraszająco i jeszcze raz strzepnęła kurz z rękawów bluzy.

-Nie ma sprawy.

Zniknęła na zapleczu. W recepcji pojawiła się tymczasem młoda Latynoska. Skinęła głową Pellamowi i zajęła się swoimi obowiązkami.

Carol wróciła kilka chwil później; miejsce bluzy zajęła luźna zielona bluzka, czarne obcisłe spodnie zastąpiły dżinsy. Zamiast adidasów założyła czarne botki o krótkiej cholewce. Dziewczyna w recepcji obrzuciła jej strój zdumionym spojrzeniem i wymamrotała coś niezrozumiałego, gdy Carol oznajmiła jej, że wychodzi.

Gdy znaleźli się na ulicy, zapytała:

- Nie miałbyś nic przeciwko temu, żebyśmy wstąpili do mnie? To tylko cztery ulice stąd. Rano zapomniałam nakarmić Homera.

-Kota, boa dusiciela czy twojego chłopaka?

-Syjamczyka. Nazwałam go Homer Simpson. Ale nie na cześć tego, o którym myślisz.

-Pomyślałem o bohaterze „Dnia szarańczy” - odparł Pellam.

-No proszę - zdziwiła się Carol. - Znasz to?

Pellam przytaknął.

-Mój kot był pierwszy. Potem zaczęli nadawać w telewizji tę okropną kreskówkę, a ja zaczęłam żałować, że nie nazwałam go inaczej.

Pellam poczuł w żołądku znajomy skurcz, który pojawiał się zawsze, gdy trafiał na kogoś, kogo wzruszało to samo zapomniane dzieło sztuki. On sam widział „Dzień szarańczy” już dwanaście razy i był gotowy na kolejnych dwanaście. Carol okazała się więc jego bratnią duszą. - Słynna rola Donalda Sutherlanda. Świetny film. Waldo Salt napisał scenariusz.

-O, to zrobili z tego film? Ja tylko czytałam książkę.

Pellam nigdy nie zdołał zmusić się do jej przeczytania. No dobrze, w takim razie Carol była jego dość odległą pokrewną duszą. Ale to też było coś.

Zawrócili na południe. Ulica stała zakorkowana, jak zwykle w godzinach szczytu; żółte taksówki tkwiły nieruchomo między poobijanymi ciężarówkami i samochodami osobowymi. Wokół rozlegało się uporczywe trąbienie. Upał podgrzał temperamenty kierowców, którzy wybuchali jak gejzery, gestykulując co chwila wściekle jeden do drugiego. Najwyraźniej jednak nikt nie miał ochoty na rękoczynny i stosowanie fizycznej siły.

Pomimo późnej pory z czystego nieba wciąż lał się nieznośny żar. Ulicę przed nimi przecinały jednak pasy ożywczego cienia. Dwie przecznice dalej wieżowiec McKennah Tower chwycił ostatnie promienie zachodzącego słońca, lśniąc niczym lakierowany heban. Spod palników spawaczy leciały w niebo iskry; wyglądało to tak, jakby promienie słoneczne rozpryskiwały się po zderzeniu z taflami czarnego szkła.

-Znalazłeś w końcu tego Corcorana? - zapytała Carol.

-Ucieliśmy sobie pogawędkę, jak mawiała moja mamusia.

-Po której uszedłeś z życiem.



-W głębi duszy to bardzo wrażliwy człowiek. Po prostu nikt go nie rozumie.

Carol wybuchnęła śmiechem.

-Nie wydaje mi się, żeby to była jego sprawka - rzucił Pellam. - Mówię o podpaleniu.

-Naprawdę wierzysz w to, że ta staruszka jest niewinna?

-Owszem.

-Wiem z doświadczenia, że niewinność nie zawsze daje się obronić. A przynajmniej nie tutaj, w Hell's Kitchen.

-Właśnie widzę.

Szli wolnym krokiem wzdłuż ruchliwej Dziewiątej Alei, przeciskając się przez tłumy pracowników wylewających się z gmachu Poczty Głównej, sklepów, magazynów odzieżowych i tanich jadłodajni. W godzinach szczytu ulice Los Angeles były zupełnie nieprzejezdne - w Nowym Jorku dotyczyło to chodników.

-Ten Ismail wygląda mi na bystrego dzieciaka - zauważyła Carol po chwili milczenia. Ma charakter. Co za szkoda, że już dla niego za późno.

-Za późno? - roześmiał się Pellam. - Przecież ma dopiero dziesięć lat.

-O wiele, o wiele za późno.

-Nie macie jakiegoś programu, na który mógłby się załapać?

Carol musiała chyba uznać jego słowa za żart, bo wybuchnęła śmiechem. - Programu?

Niestety, Pellam. Nie mamy żadnego programu, nic nie mamy. - Zatrzymali się przed wystawą sklepu sprzedającego egzotyczne, cygańskie sukienki. Carol, w swoich botkach tuszujących grubość łydek, ogarnęła tęsknym spojrzeniem stroje prezentowane na anorektycznych manekinach. Potem ruszyli dalej. - Jego ojciec nie żyje albo zostawił rodzinę, prawda?

-Nie żyje.

-A matka? Mówił, że jest narkomanką. Domyślam się, że uzależnioną od kokainy. Chłopak nie ma żadnych innych krewnych. Okazałeś mu trochę zainteresowania, więc się do ciebie przywiązał. Ale ty nie dasz mu tego, czego potrzebuje. Nikt mu tego nie da. Nie teraz. To już niemożliwe. Teraz mały usiłuje wkręcić się do jakiegoś

gangu. Za trzy lata pewnie mu się to uda. Za pięć będzie już ulicznym dilerem, a za dziesięć będzie odsiadywał wyrok.

Pellama wkurzył jej cynizm.

- Moim zdaniem nie jest aż tak źle.

-Wiem, jak się teraz czujesz. Chciałbyś go przy sobie zatrzymać, mam rację? Skinął głową.

-Ja też byłam kiedyś optymistką. Ale nie zdołasz ich wszystkich przygarnąć. Nawet nie próbuj, bo tylko najzwyczajniej zwariujesz. Ratuj tych, którym możesz pomóc - trzy-, czterolatków. Resztę musisz spisać na straty. To smutne, ale nic na to nie poradzisz. Nie mamy na to żadnego wpływu. Kwestie rasowe wykończą to miasto.

-No, nie wiem - mruknął Pellam. - Kręcąc ten film, stale obserwuję wiele gniewu. I nie mam tu na myśli wściekłych czarnych czy białych, ale po prostu wściekłych ludzi. Ludzi, którzy nie mogą opłacić rachunków ani znaleźć dobrej pracy. Dlatego są tacy wściekli.

Carol pokręciła głową ze współczuciem.

- Mylisz się, niestety. Irlandczycy, Włosi, Polacy, Antylczycy, Latynosi... w swoim czasie każda z tych narodowości była pogardzaną mniejszością. Ale między nimi a czarnymi jest jedna różnica nie do przeskoczenia - ich przodkowie może i byli pasażerami drugiej kategorii w drodze do Nowego Świata, ale jednak zapłacili za bilet, a nie przybyli tu z transportem niewolników.

Pellam nie był wcale przekonany, ale postanowił odpuścić. To był jej świat, nie jego.

Będę twoim kumplem...

Był zakoczony tym, jak wielką przykrość odczuwał na myśl o Ismailu.

-Wszędzie słyszy się tę nowomowę - ciągnęła gniewnie Carol. - „Gettocentryczny”, „niepełne gospodarstwa domowe”. Cholerne bzdury. Trzeba ludzi, którzy weszliby w te środowiska i byli z tymi dziećmi. Chodzi o to, żeby dotrzeć do nich już w żłobku, bo kiedy osiągną wiek Ismaila, to jakby orać na ugorze.

Popatrzyła na niego i jej lodowate spojrzenie złagodniało.

-Przepraszam, wybacz... Mój biedaku, musiałeś wysłuchać jeszcze jednego wykładu. Sedno sprawy polega na tym, że nie jesteś stąd. Masz prawo do pewnej dawki optymizmu.

-Założę się, że i tobie trochę go jeszcze zostało. Mam na myśli to, że wciąż tutaj jesteś i robisz to, co robisz.

-Naprawdę nie uważam, że robię zbyt wiele.

-O, co innego twierdzą twoi sąsiedzi.

-Co takiego? - zaśmiała się Carol.

Pellam naprędce spróbował sobie coś przypomnieć. Przyszło mu do głowy pewne nazwisko. - Znasz Jose Garcíę-Alvareza?

Carol pokręciła głową.

-Robiłem z nim wywiad do mojego filmu. Nie dalej jak tydzień temu. W każde popołudnie przesiaduje w parku Clintona, dzieląc się chlebem z tysiącami gołębi. Wspomniał mi o tobie.

-Pewnie powiedział, że wredna ze mnie suka.

-Jest ci dozgonnie wdzięczny. Uratowałaś jego syna.

-Ja?

Powtórzył jej usłyszaną historię. Carol znalazła nieprzytomnego szesnastolatka na haju w kamienicy, która miała być właśnie wyburzana pod budowę McKennah Tower. Gdyby w porę nie wezwała policji i karetki, chłopak zginąłby zmiażdżony przez buldożery.

-Ach, to o niego chodzi? Jasne, że go pamiętam. Ale nie nazwałabym siebie bohaterką... - Wyglądała na zażenowaną, chociaż wyraźnie widział, że jednocześnie pęka z dumy.

Nagle chwyciła go za rękę i osadziła na miejscu przed wystawą sklepu obuwniczego.

Sprzedawali tam buty z wyższej półki, w związku z czym w środku nie było ani jednego klienta. Marki takie jak Joan and David czy Kenneth Cole - jedna para kosztowała prawdopodobnie tyle, ile wynosił tygodniowy zarobek większości tutejszych przechodniów.

Właściciel z pewnością modlił się, żeby do dzielnicy zaczęli ściągać zamożniejsi mieszkańcy; gołym okiem widać było, że w obecnym stanie interes długo nie pociągnie.

-Może w następnym życiu - westchnęła Carol. Pellam nie był pewien, czy miała na myśli zakup wysmukłych, nabijanych sztrasami szpilek, na które zwróciła uwagę, czy raczej możliwość wbicia się w pasującą do nich sukienkę.

W połowie drogi Carol zapytała go:

- Jesteś żonaty?

-Rozwiedziony.

-Dzieci?

-Nie mam.

-Spotykasz się z kimś? - Nie rezygnowała.

-Od dłuższego czasu już nie.

A dokładnie od ośmiu miesięcy. O ile, rzecz jasna, namiętą noc spędzoną w przysypanej śniegiem przyczepie można było nazwać „spotykaniem”.

-A ty? - Nie wiedział, czy powinien o to pytać. Nie wiedział nawet, czy chce.

-Rozwódka.

Natknęli się na ulicznego handlarza, który rozłożył swój kram przed sklepem z przecenionymi kosmetykami.

- Ej, piękna, chodź, zrobię cię na bóstwo!

Carol roześmiała się, zarumieniła i wyminęła go, przyspieszając kroku. Przecznicę dalej wskazała mu ruchem głowy obskurną czynszówkę podobną do tej, w której sam mieszkał.

-Oto moje królestwo - oznajmiła.

Dała ćwierć dolara żebrakowi, do którego zwróciła się po imieniu: Ernie. Weszli jeszcze do niedużych delikatesów, zamienili parę słów ze sprzedawcą i przeszli w głąb sklepu.

Carol podniosła puszkę kawy i sześciopak piwa.

- Co wolisz? - zapytała bezgłośnie, poruszając ustami.

Pellam wskazał na piwo i zauważył, że to był także jej wybór.

Jednak nie tak odlegle bratnie dusze...

Mieszkała tuż obok, w wałącym się budynku bez windy, którego ściany pokrywały niezliczone warstwy łuszczącej się beżowej i brązowej farby. Weszli na górę. Uderzył go zapach starego drewna, rozgrzanych tapet, oleju i czosnku. Kolejna tykająca bomba, pomyślał przelotnie.

Dotarłszy do podestu, Carol zatrzymała się gwałtownie; stał teraz o stopień niżej od niej. Cisza. Najwyraźniej nad czymś się zastanawiała. Potem odwróciła się do niego. Ich twarze znajdowały się na tym samym poziomie. Pocałowała go głęboko. Przesunął dłonie w dół jej ramion, ku nasadzie kręgosłupa, czując wewnątrz znajome drżenie. Przyciągnął ją bliżej do siebie.

-Turiam pog - wyszeptała, całując go namiętnie.

Roześmiał się, unosząc w górę jedną brew.

-Po gaelicku. Zgadnij, co to znaczy.

-Wolę nie.

-„Pocałuj mnie” - powiedziała.

-Okej. - Zrobił to, o co prosiła. - No, więc co to znaczy?

-Och nie, nie. - Śmiała się, uradowana. - To właśnie znaczy „pocałuj mnie”.

Zachichotała jak mała dziewczynka i podeszła do drzwi znajdujących się najbliżej klatki schodowej. Znow się pocałowali. Zaczęła szukać kluczy.

Pellam przyłapał się na tym, że ją obserwuje. Gdy pochyliła się do przodu, mrużąc swoje krótkowzroczne oczy i usiłując wsunąć klucz bez zakładania okularów, przed oczyma stanął mu obraz Carol Wyandotte tak uderzająco inny od energicznej, poważnej pracownicy społecznej z Times Square. Ujrzał smutny sznur pereł, sportową bluzę, bawełniany stanik i drugi podbródek, którego nie zdołały zmniejszyć kosmetyki i kuracje odchudzające. Ujrzał kobietę, której noce wypełniała telewizja oglądana w pokoju zasłanym starymi wydaniem „Atlantic Monthly” i pustymi puszkami po dietetycznej pepsy, z komodą, w której bawełniane skarpety przeważały nad czarnymi rajstopami. Wyobraził sobie, jak zapraszając gości do kuchni, automatycznie usuwa z pola widzenia opakowania po krakersach - typowa reakcja osoby z nadwagą.

Nie rób tego z litości, przestrzegł sam siebie. I koniec końców nie zrobił tego z litości. Wcale nie. Osiem miesięcy to jednak, jak by nie było, osiem miesięcy. Pocałował ją z całej siły, a kiedy odskoczyła ostatnia zasuwka, otworzył drzwi jednym silnym kopnięciem buta.

## 17

W zachodniej części Manhattanu, tuż nad rzeką, mieściło się wymarłe skupisko siedmiu czy ośmiu budynków, któremu sąsiednie ulice nadawały kształt trójkąta.

Patrząc w stronę zachodzącego słońca, widziało się opuszczone, porośnięte zielskiem działki, autostradę, a za nią bure rozlewisko rzeki Hudson. Ku wschodowi, po obu stronach brukowanej ulicy, ciągnęły się rzędem niskie budynki mieszkalne, z którymi sąsiadowały bar dla gejów i winiarnia. Na wystawie tej ostatniej schły smętne, przykurzone paszteciki i plastry wieprzowiny w sosie. To tutaj biło serce nowojorskiej dzielnicy zwanej Chelsea, przywiędłej, niegroźnej kuzynki Hell's Kitchen, która otwierała swe podwoje zaledwie kawałek dalej ku północy.

Najbardziej na północ wysunięty kraniec osiedla zajmowała trójkątna kamienica, której ściana szczytowa kończyła się ostro niczym dziób okrętu. Budynek trudno byłoby nazwać przytulnym, ale jego mieszkańcy rzadko skarżyli się na warunki lokalowe, całkowicie nieświadomi istnienia jednego, za to bardzo poważnego zagrożenia, które wiązało się z rażącym naruszeniem przepisów przeciwpożarowych. Nie wiedzieli oni mianowicie, że w suterenie kamienicy przechowywane są dziesiątki litrów benzyny, oleju napędowego, nafty i acetonu. W przypadku zaprószenia ognia siła wybuchu tych substancji wystarczyłaby, aby zrównać cały budynek z ziemią i zgotować jego mieszkańcom nadzwyczaj niemiły koniec.

Lokal, o którym mowa, urządzono po spartańsku przy pomocy najniezbędniejszych sprzętów. Znajdowało się tam krzesło, łóżko polowe, dwa stoliki oraz sfatygowane biurko zarzucone narzędziami i brudnymi szmatami. W suterenie nie było klimatyzacji ani nawet wentylatora. Tym bardziej zaskakiwał widok trzydziestodwucalowego telewizora marki Trinitron z dwudziestopięciocentymetrowym pilotem. W tej chwili na ekranie leciał teledysk emitowany przez MTV. Dźwięk był wyłączony.

Przed migoczącym ekranem, nie poświęcając mu większej uwagi, siedział Sonny i powoli splatał w warkocz swoje długie, jasne włosy. Z

powodu braku lustra zajęcie to zajmowało mu więcej czasu, niżby sobie życzył. Niech to szlag, pomyślał gniewnie. Przydałoby się pieprzone lustro. Ale prawdziwy problem stanowiły jego drżące dłonie. Cholernie spocone drżące dłonie.

W pewnej chwili podniósł wzrok - patrzył teraz przed siebie, obok ekranu telewizora - i znieruchomiał. Pochylił się, wyciągnął rękę w kierunku ponaddwustulitrowej beczki acetonu i kilka razy zastukał w jej metalową ścianę, nasłuchując głuchego, przypominającego echo sonaru dźwięku. Trochę go to uspokoiło.

Ale niewystarczająco.

Nikt nie chciał mu pomóc!

Incydent na stacji benzynowej napędził mu stracha, a było to dla niego całkiem nowe uczucie. Z punktu widzenia przestępcy podpalenie to najłatwiejsza zbrodnia pod słońcem anonimowa, dokonywana potajemnie, a dzięki stworzonym przez samego Boga prawom fizyki nie pozostawiająca żadnych śladów. Teraz jednak wszyscy już wiedzieli, jak Sonny wygląda. Na dodatek dowiedział się, że ten zasrany pedałek Alex widział go i próbował sprzedać tę informację glinom. A przecież do wielkiego finału zostały mu jeszcze trzy pożary. Z tylnej kieszeni spodni wyjął postrzępiony już mocno plan i wbił weń niewidzący wzrok.

Tak, tamta stacja benzynowa to był kiepski pomysł. Ale jeszcze bardziej niepokojąca była sprawa pożaru w szpitalu. To, że nie sprawił mu on żadnej przyjemności. Pożary zawsze go uspokajały, ale nie tamten. Ani trochę. Gdy przysłuchiwał się krzykom, przechylając w bok głowę i nasłuchując, jak ludzkie głosy mieszają się z poszumem, a następnie rykiem płomieni, ręce nawet na moment nie przestawały mu się trząść, a wysokie czoło obficie spływało potem. Zastanowił się, dlaczego tak się działo. No, dlaczego?! Może dlatego, że pożar przybrał zbyt małe rozmiary. Może dlatego, że w tej chwili liczył się dla niego już tylko jeden pożar, ten, w którym główne role odegrają on sam i ten przekłuty kowboj, pedałek Joe Pellam. A może dlatego, że miał wszystkich przeciwko sobie.

Przeczuwał jednak, że za tym niepokojem i nerwowym poceniem się musi stać coś jeszcze. Coś zupełnie innego.

Serce załomotało mu w piersi, gdy zrozumiał, że odtąd zamiast

poświęcać każdą wolną chwilę na planowanie wielkiego finału - swojego ostatecznego tańca z Antychrystem - będzie zmuszony tracić jeszcze więcej czasu na zacieranie tropów i wyprowadzanie w pole tropiącej go zgrai.

Stuk, brzdęk, stuk, brzdęk. Zupełnie jak sonar w jakimś filmie o łodzi podwodnej.

Sonny przerwał zaplatanie włosów i oparł głowę o beczkę z acetonem. Jeszcze raz zapukał kłykciami w jej metalową ścianę. Stuk, brzdęk.

Czy teraz był już spokojniejszy? Chyba tak. Może. Tak.

Skończył zaplatać włosy i przez kolejne pół godziny mieszał mydło w płynie z olejem napędowym. Opary były tak silne - i równie niebezpieczne jak ogień zrodzony z jego magicznego soku - że był w stanie pracować tylko przy małych porcjach, w przeciwnym razie z pewnością by zemdlał. Kiedy skończył, wziął kilka żarówek i położył je na stole. Piłą z diamentowym ostrzem przeciął gwintowany trzonek w miejscu, w którym szklana bańka dotykała krążka izolacji. Usłyszał syk powietrza wypełniającego żarówkę. Wykonał tam nacięcie - nie za duże, ale wystarczające, żeby wlać do środka swój magiczny sok. Byle tylko nie przesadzić z ilością. Był to błąd często popełniany przez podpalaczy amatorów. Wewnątrz żarówki musiało pozostać trochę powietrza. Utlenianie było niezbędne; ogień jak każde zwierzę potrzebował tlenu, żeby żyć. Następnie zalepił nacięcie w kształcie litery V szybkowiązującym klejem. W ten sam sposób przygotował jeszcze dwie żarówki.

Pieścił palcami gładkie szkło, tak gładkie, jak skóra na tyłku młodego chłopaka...

Jego dłonie znowu zaczęły drżeć, pot lał mu się po twarzy jak woda z odkręconego prysznica.

Wstał od stołu i zaczął nerwowo przechadzać się po mieszkaniu.

Dlaczego nie mogę się uspokoić? Dlaczego, dlaczego, dlaczego, dlaczego? Myśli wirowały mu w głowie. Wszyscy są przeciwko niemu. Chcą go zabić, powstrzymać, związać, odebrać mu ogień! Alex, inspektor straży pożarnej Lomax, ten stary pedał prawnik, którego nasłał na niego Pellam. I wreszcie Pellam we własnej osobie. Antychryst.



Czy życie zawsze musi się komplikować?

Położył się na połówce i siłą woli zmusił do rozmyślenia o swoim ostatnim pożarze. Jaki będzie? Gi-gan-tycz-ny. Wyglądało na to, że w tej chwili tylko ta jedna myśl może go odprężyć i sprawić jakąkolwiek przyjemność.

Wyobraził to sobie: olbrzymia przestrzeń wypełniona dziesięcioma, dwudziestoma tysiącami ludzi. To będzie najgorszy pożar w historii tego miasta, które przeżyło ich już przecież tak wiele. Gorszy niż pożar w fabryce odzieży przy Placu Waszyngtona, gdy uwięzione w budynku pracownice zginęły, bo właściciele zamykali je na klucz, nie życząc sobie, aby w godzinach pracy korzystały z toalety. Gorszy niż pożar w Crystal Palace. Gorszy niż pożar parowca „General Slocum” na East River, w którym zginęło ponad tysiąc imigrantów - podróżujących statkiem kobiet i dzieci; po tym wydarzeniu cała niemiecka populacja Nowego Jorku, uciekając przed bolesnymi wspomnieniami, wyemigrowała masowo do Yorkville na Upper East Side.

Jego pożar przewyższy je wszystkie.

Sonny wyobraził sobie płomienie przetaczające się obok na podobieństwo fal ognistego przypływu, osaczające tłumy, liżące im stopy.

Płomienie sięgające najpierw kostek, potem łydek.

Och, czy widzicie te cudowne języki ognia? Czy je czujecie?

Jego myśli wciąż krążyły wokół tych dwóch pytań, gdy naraz uświadomił sobie, że wcale nie jest spokojniejszy. Zrozumiał, że już nigdy się nie uspokoi.

Koniec był bliższy, niż przypuszczał.

Poczołgał się do salonu i przycisnął czoło do jednej z beczek.

Stuk, brzdęk. Stuk, brzdęk.

Został u niej na noc.

Postępował według dobrze sobie znanego protokołu. Gdy obudzili się o dziesiątej wieczór, spragnieni i głodni jak wilki, najpierw zjedli po omlecie w „Empire Diner” przy Dziesiątej, a potem Pellam zabrał ją z powrotem do jej mieszkania, gdzie kochali się po raz drugi; potem wyczerpani leżeli w łóżku, nasłuchując odgłosów nocnego miasta: syren, krzyków i wystrzałów z rur wydechowych, które zdawały się

przybierać na sile w miarę, jak robiło się coraz później.

Do głowy mu nie przyszło, że mógłby wyjść od niej bez słowa pożegnania.

To Carol okazała się tą, która złamała zasady.

Gdy się obudził, wybity ze snu głośnym zawodzeniem syjamczyka Homera Simpsona, już jej nie było. Chwilę później zadzwonił telefon i z maleńkiej automatycznej sekretarki Carol popłynął jej głos. Spytała, czy jeszcze u niej jest, i wyjaśniła, że musiała być wcześniej w pracy. Obiecała zadzwonić do niego do domu. Zanim zdołał odnaleźć i podnieść słuchawkę, już się rozłączyła.

Boso, w samych dżinsach, pomaszerował po pokrytej liszajami drewnianej podłodze do łazienki, uważając przy tym, żeby nie nadepnąć na wystające z desek drzazgi. Myślał o tonie jej głosu, który przez telefon brzmiał raczej szorstko. I bądź tu człowieku mądry. Jeśli chodzi o wieczory takie jak ostatni, konsekwencje bywały całkiem nieprzewidywalne. Może Carol zdążyła już przekonać samą siebie, że Pellam nigdy więcej do niej nie zadzwoni. Może dręczyło ją katolickie poczucie winy. A może najzwyczajniej w świecie, kiedy do niego dzwoniła, przy jej biurku siedziała akurat rośła osiemnastoletnia morderczyni.

Pellam odkręcił na próbę prysznic, ale woda okazała się lodowato zimna. Obejdzie się dzisiaj bez kąpeli. Ubrał się i wyszedł z mieszkania prosto w lepkie, smrodliwe powietrze upalnego nowojorskiego poranka. Zatrzymał taksówkę i pojechał do siebie, na Dwunastą. Kiedy wchodził na schody, minęło go na deskorolkach dwóch energicznych nastolatków z imionami wygolonymi na krótko ostrzyżonych głowach.

Doszedł do wniosku, że przydałaby mu się kąpiel i kubek bardzo gorącej, bardzo mocnej kawy. Miał ochotę po prostu położyć się w wannie i zapomnieć na chwilę o podpaleniach, piromanach, latynoskich zbirach, irlandzkich gangsterach i tajemniczych kochankach.

Wspinał się wolno na górę po tonących w półmroku schodach. Jego myśli krążyły wokół czekającej go kąpeli, rozkosznej, mydlanej piany... Powoli ta mantra zaczynała działać. Odkrył, że jest w stanie zapomnieć - wymazać z umysłu wszystko, co dotyczyło Hell's Kitchen.

No, prawie wszystko. Wszystko z wyjątkiem Ettie Washington.

Pomyślał o tych wielu stopniach, które Ettie przez lata pokonywała w drodze do domu. Nigdy nie mieszkała w budynku z windą, zawsze musiała wdrapywać się po schodach. Robiła to codziennie przez siedemdziesiąt lat! Dźwigając na rękach swoją młodszą siostrę Elizabeth. Pomagając babce Ledbetter wchodzić i schodzić ciemną klatką schodową. Taszcząc jedzenie, najpierw dla swoich mężczyzn - dopóki pierwszy jej nie zostawił, a drugi nie utopił się po pijanemu w czarnych odmętach Hudson - potem dla swoich latorośli - najpierw dzieci, potem nastolatków - dopóki jednego jej nie odebrano, a pozostałych dwoje nie wyjechało z miasta, wreszcie dla siebie samej.

-...O takich jak my tutaj w Hell's Kitchen mówi się „anonimowi mieszkańcy”. Chryste. Chyba raczej „olewani”. Nikt już nie zwraca na nas uwagi. Weź takiego Ala Sharptona. Od czasu do czasu jedzie do Bensonhurst albo do Crown Heights narobić hałasu. Wtedy ludzie zaczynają o nas mówić. Ale nikt już nie zagląda do Hell's Kitchen. W Dzień Świętego Patryka parada omija naszą dzielnicę, chociaż mieszka tu tyłu Irlandczyków. Mnie to nie przeszkadza. Lubię ciszę i spokój. Żeby wszyscy trzymali się ode mnie z daleka. A zresztą, czy ten świat kiedykolwiek coś dla mnie zrobił? No, sam powiedz...

Ettie Washington wyznała połyskliwemu oku kamery Pellama, że zdarzało jej się marzyć o życiu w innych miastach. Marzyła, żeby mieć modne kapelusze, złote naszyjniki i jedwabne suknie. Żeby śpiewać w kabarecie. I być bogatą żoną Billy'ego Doyle'a, dumnego właściciela ziemskiego.

Zdawała sobie jednak sprawę, że te marzenia to zwykłe mrzonki, które od czasu do czasu można wyciągać z ukrycia na światło dzienne i oglądać niczym dawne pamiątki, z przyjemnością, smutkiem albo pogardą. Nie oczekiwała od życia wielkich zmian. Cieszyła się, że mieszka w Hell's Kitchen, gdzie większość ludzi nauczyła się przykrawać swoje marzenia do rzeczywistości. Wydawało mu się rażącą niesprawiedliwością, że miałyby teraz stracić nawet tę maleńką niszę, w której na starość znalazła schronienie.

Oddychając ciężko, dotarł wreszcie na swoje trzecie piętro.

Kąpiel. O, tak. Gdy ktoś spędza połowę życia w przyczepie kempingowej, gorące kąpiele nabierają całkiem nowego uroku. A już

szczególnie kąpiele w pianie, choć tego akurat sekretu nikomu dotąd nie zdradził.

A zatem kąpiel i kawa. Czysta rozkosz.

Pellam wydobył klucze z kieszeni swoich czarnych dżinsów i podszedł do drzwi. Mrużąc powieki, przyjrzał się dobrze zamkowi. Sprawiał wrażenie przekrzywionego. Pchnął lekko drzwi. Były otwarte.

Włamanie. Przeszło mu przez myśl, że powinien obrócić się na pięcie, zastukać do

sąsiada i zadzwonić od niego na 911. Ale gniew zagłuszył w nim resztki rozsądku. Kopnięciem otworzył drzwi na całą szerokość. Mieszkanie świeciło pustkami. Jego dłoń automatycznie powędrowała do włącznika światła najbliżej drzwi.

W tej samej chwili go olśniło. Cholera, tylko nie to! Nie zapalaj światła! Ale palec dotknął włącznika, nim Pellam zdążył go cofnąć.

Co za głupota, pomyślał.

Wyciągnął colta zza paska spodni i przykucnął.

Włączając światło, uprzedził tylko włamywacza o swoim powrocie. Lepiej było tego nie robić.

Przez dłuższą chwilę tkwił nieruchomo na progu, nasłuchując odgłosów kroków, odbezpieczanej broni. Ale niczego takiego nie usłyszał.

Przeszedł ostrożnie przez splądrowane mieszkanie, otwierając drzwi szaf i zaglądając pod łóżko. Przeszukując każdą potencjalną kryjówkę. Włamywacza nigdzie nie było.

Ocenił straty w kolejnych pokojach. Kupione na przecenie magnetowid i telewizor wciąż stały na swoim miejscu. Podobnie jak kamera i deck, leżące na widoku. Nawet najbardziej niezorientowany technologicznie złodziej musiałby się domyślić, że kamera jest warta ładnych parę dolców.

Dopiero kiedy zobaczył kamerę, dotarło do niego, co się stało. Szok i wściekłość były niczym fala ognia, który zniszczył kamienicę Ettie. Pellam aż zadrżał pod jej uderzeniem. Padł na kolana, jednym ruchem otwierając płócienną torbę, w której trzymał oryginały taśm „Na zachód od Ósmej”.

O, nie...

Przetrzęsnał torbę i nacisnął przycisk „wyrzuć kasetę” na

podłączonym do kamery decku. Potem oszacował straty. Dwie kasety zniknęły. Obie z najnowszymi nagraniami - ta z kamery i ta z materiałami nakręconymi w ostatnim tygodniu oraz tydzień wcześniej.

Kasety... Kto o nich wiedział? Praktycznie wszyscy, z którymi rozmawiał o aresztowaniu Ettie, i ci, którzy widywali go z kamerą na ulicach Hell's Kitchen. Ramirez, nieuchwytny Alex. McKennah. Corcoran. Do diabła, nawet Ismail i jego matka, Carol i Louis Bailey. Poza tym inspektor Lomax i wszyscy jego współpracownicy. Na dobrą sprawę cała West Side.

Uliczna poczta pantoflowa. Szybsza niż Internet.

„Kto?” - to było jedno pytanie. Drugie, równie interesujące, brzmiało: „Dlaczego?”. Czyżby Pellam nieświadomie sfilmował samego podpalacza? A może tego, kto go wynajął? A może na którejs z taśm znajdował się dowód, który umknął wcześniej uwadze Lomaxa i innych śledczych?

Nie potrafił odpowiedzieć na żadne z tych pytań. Ale chociaż skradzione taśmy miały przede wszystkim kluczowe znaczenie dla sprawy Ettie, z ich zaginięciem wiązały się dodatkowe, poważne konsekwencje. W produkcji filmów fabularnych wszystkie nakręcone materiały chroniło ubezpieczenie obliczane nie według wartości celuloidowej taśmy, ale kosztów realizacji i obróbki sięgających nawet tysiąca dolarów za pół metra filmu. W ten sposób gdy pożar trawił całodzienny urobek filmowców, muzy mogły sobie łkać do woli, ale producenci nie tracili przynajmniej zainwestowanych pieniędzy. Pellam nie mógł sobie jednak pozwolić na ubezpieczenie swojej produkcji „Na zachód od Ósmej”. Nie potrafił sobie przypomnieć, co dokładnie było na tych dwudziestu z okładem godzinach taśm; niewykluczone, że nagrane tam wywiady były kluczowe dla jego filmu.

Usiadł na trzeszczącym krześle i przez chwilę wpatrywał się w okno. Potem ospale wystukał w telefonie numer 911 i zgłosił włamanie dyspozytorce. Ton kobiety uświadomił mu szybko, że tego rodzaju przestępstwa nie zajmowały wysokich pozycji na liście policyjnych priorytetów. Dyspozytorka zapytała, czy życzy sobie wizyty funkcjonariuszy.

Czy sami nie powinni mu tego zaproponować? Odparł jednak:

- Nie trzeba. Nie chciałbym nikomu sprawiać kłopotu.

Kobieta nie wyczuła ironii w jego głosie.

-Przyjadą, jeśli pan chce - wyjaśniła.

-Wie pani co? - mruknął Pellam. - Dam wam znać, jeśli wlamywacz tu wróci.

-Proszę koniecznie to zrobić. Miłego dnia.

-To się dopiero okaże.

Nieduże, zakurzone biuro znajdowało się na West Side, w okolicach Pięćdziesiątej Ulicy, niedaleko miejsca, gdzie Pellam zwykł siadywać przy Otisie Balmie i słuchać, jak ten stutrzylatek opowiada mu o Hell's Kitchen sprzed lat.

Czasy prohibicji były chyba najbarwniejszym okresem w historii Hell's Kitchen. Wiele razy widywałem wtedy Owneya Maddena. Pochodził z Anglii. Ludzie tego nie wiedzą. Chodziliśmy za nim z chłopakami. A wie pan, dlaczego? Wcale nie dlatego, że był gangsterem. Liczyliśmy na to, że coś powie, a my usłyszymy, jak mówią Anglicy. Nie było to zbyt mądre z naszej strony, bo nazywali go przecież Owneyem Zabójcą i wielu z tych, którzy się przy nim kręcili, ginęło od kuli. Ale my byliśmy jeszcze bardzo młodzi, a jak pan zapewne wie, trzeba żyć na tym świecie przynajmniej jakieś dwadzieścia, trzydzieści lat, żeby śmierć zaczęła mieć dla człowieka znaczenie.

Pellam omiół spojrzeniem mroczne pomieszczenie, powtórzył w myślach swoją kwestię i wszedł do środka. Całe biuro wypełniała stęchła woń papieru. Zabłąkana mucha obijała się o szybę z regularnością wahadła, usiłując uciec przed panującym wewnątrz upałem; pracujący tu klimatyzator był bliźniaczą kopią sprzętu Louisa Baileya.

-Szukam Flo Epstein - odezwał się Pellam. Do kontuaru podeszła kobieta o wystających kościach policzkowych i włosach spiętych do tyłu w ciasny koczek. - To ja. - Niemożliwością było odgadnąć jej wiek.

-Możemy porozmawiać? - zapytał grzecznie Pellam.

-Jasne, proszę.

John Pellam, ubrany w swój jedyny garnitur - dziesięcioletni Armani, relikwinię minionego życia - wyciągnął z kieszeni sfatygowany portfel z odznaką starszego inspektora policji, podbarwioną na złoty kolor i sprzedawaną w pasażu handlowym przy Czterdziestej Drugiej

Ulicy jako zabawny nowojorski gadżet, i pozwolił kobiecie do woli się w nią wpatrywać. Nie trwało to zbyt długo. Flo Epstein rzuciła mu zaciekawione spojrzenie; widać było, że występowanie w roli świadka sprawia jej olbrzymią frajdę. Pellam zdążył się już przekonać, że sława uzależnia bardziej niż jakikolwiek chemiczny środek odurzający.

-Poprzednio był tu inny detektyw, Lomax. Podobał mi się. Bardzo suwerenny. Chciałam powiedzieć: sumienny.

-To inspektor straży pożarnej - poprawił ją Pellam. - Oni nie są policjantami.

Chociaż mają prawo dokonywać aresztowań, nosić wielkie pukawki i prać ludzi na kwaśne jabłko przy pomocy rulonu amerykańskich monet.

-Tak, tak, oczywiście. - Czoło pani Epstein zmarszczyło się, gdy uświadomiła sobie swoją pomyłkę.

-Kiedy razem przesłuchujemy podejrzanych - dodał Pellam - zwykle ja odgrywam rolę dobrego gliny, a on, to znaczy inspektor, gra tego złego. Dzisiaj to będzie już tylko rozmowa uzupełniająca. To pani zidentyfikowała podejrzaną, prawda?

-Musi pan wyrażać się bardziej precyzyjnie.

-Nie rozumiem?

-Wiem już tyle o prawie, że sama mogłabym być prokuratorem okręgowym. - Tu pani Epstein wyrecytowała: - Inspektorowi Lomaxowi powiedziałam tylko, że do naszego biura przyszła ciemnoskóra kobieta w wieku około siedemdziesięciu lat i poprosiła o wniosek na polisę ubezpieczeniową. Potwierdziłam, że to ona, kiedy pokazali mi jej zdjęcie z kartoteki. I to wszystko. Nie identyfikowałam żadnych - cytuję - podejrzanych. Już to parę razy przerabiałam.

-Właśnie widzę. - Pellam skinął głową. - Doceniamy takich inteligentnych świadków jak pani. Ile czasu spędziła tutaj ta kobieta?

-Trzy minuty.

-Tylko tyle?

Epstein wzruszyła ramionami.

- Uplłynęły dokładnie trzy minuty. Kiedy się człowiek kocha, to tyle, co nic, kiedy rodzi dziecko, to już cała wieczność.

-Domyślałam się, że wszystko zależy od partnera i od dziecka. - Pellam nabazgrał coś w notesie. - Widzę, że wpłaciła zaliczkę

gotówką.

-Tak. Przesłaliśmy wszystko do firmy, a oni wystawili polisę.

-Powiedziała coś jeszcze?

-Nie.

Pellam zatrzasnął swój notes.

- Bardzo nam pani pomogła. Dziękuję, że poświęciła mi pani swój czas. - Na kontuarze pojawiła się znieczarna fotografia wykonana polaroidem. - Jeszcze się tylko upewnię, że to właśnie ta kobieta panią odwiedziła.

-Ale to nie jest zdjęcie z kartoteki.

-Nie. Zrobiono je w areszcie.

Pani Epstein rzuciła okiem na fotkę i otworzyła usta, żeby coś powiedzieć.

Pellam powstrzymał ją, unosząc w górę dłoń.

- Proszę się nie spieszyć. Musi być pani pewna.

Kobieta przyjrzała się uważnie gładkiej, ciemnej twarzy, więziennej koszuli, złożonym na podołku dłoniom. Sztywnym szpakowatym włosom.

- To ona.

-Jest pani pewna?

-Całkowicie. - Zawahała się i zaraz roześmiała. - Chciałam powiedzieć, że jestem gotowa przysiąc na Biblię. Ale przecież tak właśnie będzie, prawda? Będę musiała przysiąc w sądzie na Biblię?

-Na to wygląda - odparł Pellam, zachowując kamienny wyraz twarzy, jak na dobrego stróża prawa przystało.



## 18

Wieczór - upalny i parny - zastał Pellama w alejce naprzeciwko ceglanej kamienicy. W rękę trzymał numer „New York Posta”. Nie poświęcał jednak większej uwagi gazecie. W głowie miał tylko jedną myśl: „Czy to możliwe, żeby to było geranium?”

Nijaki, płowózółty budynek nie różnił się swoim wyglądem od tysięcy innych w Nowym Jorku. Rosnące przed nim kwiaty, ogniście pomarańczowoczerwone, pasowałyby do każdego innego miejsca.

Ale tutaj?

Stał tu już od godziny, kiedy w końcu drzwi otworzyły się i ukazała się w nich ciemna postać. Rozejrzała się i zaczęła schodzić w dół po schodach. Był to młody człowiek, niosący sporych rozmiarów pudło po butach. Pellam rzucił gazetę na ulicę i tak cicho, jak tylko potrafił, ruszył za nim po rozgrzanym asfalcie. Wreszcie udało mu się z nim zrównać.

Nie odwracając się za siebie, Ramirez rzucił zaczepnie: - Sterczysz tu od pięćdziesięciu minut, to teraz nie dziw się, że masz dwie lufy wycelowane w plecy. Więc lepiej nie rób niczego, no wiesz, głupiego.

-Dzięki za radę, Hector.

-Co ty tu, kurwa, robisz, człowieku? Odbiło ci?

-Co masz w tym pudle?

-A co mam mieć w pudle na buty? No, jak myślisz? Buty. Pellam szedł teraz ramię w ramię z Ramirezem. Musiał nieźle przebierać nogami, żeby dotrzymać mężczyźnie kroku.

-No, więc czego tu szukasz? - powtórzył tamten.

-Chcę się dowiedzieć, dlaczego mnie okłamałeś.

-Ja nigdy nie kłamię, stary. Nie jestem taki jak białasy. Wy, dziennikarze, wciskacie nam ten swój kit białasów.

Pellam roześmiał się.

- A co to za. gówno? Nawijka Cubano Lords? Musisz tak gadać, żeby cię przyjęli do gangu?

-Odwal się. Miałem ciężki dzień.

Dotarli do alei biegnącej z północy na południe. Ramirez rozejrzał

się w obie strony i skręcił na północ. Po jakiejś minucie odezwał się: - Nie ufam ci. Wszędzie cię pełno, kurwa.

-Że co?

-Kręcisz się przy naszej hawirze, stary. Nikt tego nie robi, nawet gliny.

-Sam zasadziłeś to geranium?

-Odwal się. Masz klamkę?

-Broń? - upewnił się Pellam. - Nie, nie mam.

-Człowieku, tobie naprawdę odwaliło. Zjawiasz się w naszej melinie nieuzbrojony. Tak tu giną ludzie. O co ci chodziło z tym, że cię okłamałem?

-Opowiedz mi o swojej ciotce, Hector. O tej, której chałupa poszła z dymem pod numerem 458. Słyszałem, że ma już nowe lokum.

Ramirez wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Mówiłem ci, że potrafię się zatroszczyć o swoją rodzinę.

-Kiedy się przeprowadziła?

-A niby skąd mam to wiedzieć?

-Przed pożarem?

-Jakoś tak. Nie wiem dokładnie.

-Nie pamiętasz?

-Nie, kurwa, nie pamiętam. Stary, jestem zajęty. Czemu nie pójdziesz pogadać z Corcoranem?

-Już to zrobiłem.

Ramirez uniósł w górę jedną brew, starając się ukryć wrażenie, jakie zrobiła na nim ta nowina.

Pellam ciągnął:

- Zapomniałeś mi też powiedzieć, że twoja ciotka była tylko jednym z - ilu ich tam było? - ośmiuset naocznych świadków, którzy widzieli, jak Joe Zabijaka załatwił tego gościa z gangu Corcorana.

-To byli Spear Driscoe i Bobby Frink.

-A więc zgadzamy się co do tego, że Corcoran nie podpalił kamienicy z powodu twojej ciotki? To już nie jest kit białasa, co?

-Mówię ci, człowieku, odczep się. Jestem zajęty.

-A jak ci się układa z facetem o nazwisku O'Neil?

-Nie znam nikogo, kto by się tak nazywał.

-Nie? Dziwne. On ciebie zna.

Ramirez warknął:

- Po jaką cholere z nim gadałeś? - Wcześniej tylko zgrywał zdenerwowanego; teraz był już autentycznie wkurzony.

-A kto mówi, że z nim rozmawiałem? - Pellam dotknął swojego ucha. - Ja też słyszę różne rzeczy. Słyszałem na przykład, że ten O'Neil ma do czynienia z bronią. Może nawet nią handluje.

Ramirez zatrzymał się gwałtownie i chwycił go za ramię.

- Co dokładnie słyszałeś?

Pellam wyszarpnął rękę.

- Że tydzień temu przegoniłeś go z Hell's Kitchen, bo sprzedawał towar Corcoranowi. Ramirez zamrugał powiekami. Nagle wybuchnął gromkim śmiechem.

- A niech mnie.

-To prawda czy kłamstwo?

-I jedno, i drugie, stary.

-To znaczy?

-Prawda i nieprawda. - Znów zaczął iść przed siebie. - Słuchaj, wyjaśnię ci wszystko pod warunkiem, że zachowasz to dla siebie. W przeciwnym razie będę musiał cię zabić.

-Mów.

Ramirez odrzekł:

- O'Neil i ja robimy razem interesy. Dostarcza mi towar pierwsza klasa: glocki, MAC10, steysy.

-I dlatego publicznie pobiłeś swojego dostawcę.

-A jak, kurwa. Sam to wymyślił. On jest Irlandczykiem, ja Latynosem. Wiesz, jak długo by pociągnął, gdyby Jimmy dowiedział się, że ze mną handluje? Paru chłopców od Corcorana zaczynało już nabierać podejrzeń, więc urządziliśmy mały sparing i O'Neil dał się znokautować. - Ramirez przyjrzał się uważnie Pellamowi i ryknął śmiechem.

-Co cię tak bawi?

-Masz to wypisane na twarzy, stary. Prawie mi uwierzyłeś. - I zaraz dodał: - Mogę to udowodnić. Fakt, w budynku była broń. Zapłaciłem za towar, a O'Neil zostawił go w piwnicy, skąd miałem go odebrać. Tyle że nie zdążyłem tam nikogo posłać, a chałupa poszła z dymem. Były tam glocki, browningi i parę zgrabnych taurusów, które sobie

szczególnie upatrzyłem. W sumie dwanaście, trzynaście sztuk, stary. Możesz pogadać z którymś ze swoich kumpli reporterów. Dowiesz się, co chłopcy z policji znaleźli na pogorzeliisku. A wtedy zrozumiesz, że ja niczego nie podpaliłem.

Pellam wyciągnął z tylnej kieszeni spodni kartkę papieru.

- Trzy glocki, cztery taurusy i sześć browningów.

-Dobry jesteś, człowieku.

Minęli Czterdziestą Drugą, niegdyś najbardziej szemraną ulicę w Nowym Jorku, obecnie równie niebezpieczną - i ciekawą - jak podmiejskie centrum handlowe. Pellam zagadnął: - Dokąd idziemy?

-Mam interes do zrobienia. I nie chcę, żebyś się przy mnie pałętał.

-Twój gang robi tu interesy?

-To żaden gang, człowieku, tylko klub.

-A co to za interesy?

Ramirez uchylił wieko pudełka, ukazując parę nowiutkich butów do koszykówki.

-Mam tego całą ciężarówkę.

-Kupujesz je i odsprzedajesz, tak? - zapytał sceptycznie Pellam.

-Właśnie, kupuję i sprzedaję. Tak robię interesy.

-A jak to jest z tym kupowaniem? Wpłaciłeś pieniądze i odebrałeś transport butów? Masz faktury, listy przewozowe i tak dalej?

-Tak, kupiłem te buty - warknął Ramirez. - Tak samo, jak wasi cholerni dziennikarze kupują od ludzi informacje. Ty też tak robisz? Płacisz ludziom, żeby coś ci opowiedzieli?

-Nie, ale...

-„Nie, ale”. Kurwa mać. Kradniesz ludziom ich życie, piszesz o nich i nawet im za to nie zapłacisz. - Udając oburzenie, zakpił: - Na Boga, jak tak można?

Przy kolejnej przecznicy minęli koreański stragan z warzywami. Pellam zagadnął: Możesz coś dla mnie zrobić?

-No?

-Wczoraj ktoś włamał mi się do mieszkania. Mógłbyś się dowiedzieć, kto to był?

-Dlaczego mnie pytasz, myślisz, że to też moja robota?

-Gdybym tak myślał, to nie prosiłbym cię o pomoc.

Ramirez zastanawiał się przez chwilę.

- Nie mam dobrych kontaktów w Village.

-Skąd wiesz, że mieszkam w Village?

-Powiedziałem, że nie mam dobrych kontaktów, ale to nie znaczy, że nie mam żadnych.

-Popytaj po ludziach.

-Okej.

-Gracias.

-Nada.

Tymczasem przeszli już kawał drogi; znajdowali się teraz na dalekim, północnym odcinku Dziewiątej Alei, niemalże na granicy Hell's Kitchen. Pellam oparł się o słup latarni na rogu ulicy, podczas gdy Ramirez zniknął w drzwiach maleńkiego baru. Po jakimś czasie wyszedł stamtąd z grubą kopertą, którą zaraz wsunął do kieszeni obcisłych dżinsów.

W sąsiedniej uliczce coś się nagle poruszyło.

-Cholera. - Ramirez okręcił się na pięcie, sięgając ręką do kieszeni.

Pellam automatycznie przykucnął, szukając schronienia za zaparkowanym w pobliżu samochodem.

-Coś ty, kurwa, za jeden? - zawołał wtedy Ramirez.

Pellam zmrużył oczy, próbując przeniknąć mrok wąskiej uliczki. Intruzem okazał się nie kto inny, jak mały Ismail.

-Siemka, stary - odezwał się chłopak, zerkając niepewnie na Latynosa, i ostrożnie zrobił krok naprzód.

Ramirez popatrzył na niego jak na karalucha.

- Cholera, gówniarzu! Tak się podkradać do uczciwych ludzi... Powinienem rozwalić ci tyłek.

Czujne spojrzenie Ismaila omiotło chodnik.

-Znasz go? - zagadnął Ramirez Pellama.

-Tak. To mój przyjaciel.

Przez twarz chłopca przemknął słaby uśmiech.

-Przyjaciel? - warknął Ramirez. - Po co miałbyś się przyjaźnić z takim moyeto?

-Dzieciak jest w porządku.

-W porządku? - powtórzył Ramirez. - Jeśli ten twój przyjaciel dalej będzie się tak skradał, to marnie skończy, osobiście ci to gwarantuję.

-Słuchaj no, Ismailu, dlaczego nie jesteś w ośrodku?

-E, tak tylko łązę.

-Dowiedziałeś się czegoś o mamie i siostrze?

Mały pokręcił głową, przenosząc spojrzenie z nachmurzonego oblicza Ramireza na twarz Pellama. Przez tę krótką chwilę wyglądał jak dziecko, którym przecież był, nieśmiałe, zahukane, rozdarte między obawą a tęsknotą. Pellamowi zrobiło się przykro na widok jego bezradności. Jakoś łatwiej było mu znieść bezczelną pozę małego ulicznika. Przypomniały mu się słowa Carol Wyandotte. Ta kobieta nie miała racji. Dla Ismaila wcale nie było za późno. Musiała być jeszcze jakaś nadzieja...

Pellam przykucnął.

- Zrób coś dla mnie, okej? Wróć teraz do ośrodka. Prześpij się trochę. Jadłeś coś?

Chłopak wzruszył ramionami.

-Jadłeś czy nie? - powtórzył Pellam.

-Obaliłem jedno piwko - odparł z dumą mały. - Chlapnęliśmy sobie razem z takim jednym ziomem.

Pellam nie wyczuł jednak w jego oddechu alkoholu. Dziecinne przechwałki.

Dał chłopakowi pięć dolarów.

-Idź do McDonalda.

-Super! Wpadniesz do mnie potem, Pellam? Pokażę ci niezłe numery. Gramy w kosza, a ja znam wszystkie triki!

-Pewnie, że wpadnę.

Chłopak odwrócił się, żeby odejść.

Ramirez zawołał za nim szorstko:

- Ej, ty tam! Gnojku!

Ismail zatrzymał się w pół kroku i odwrócił niepewnie głowę.

-Duże masz giry?

Oczy w okrągłej, czarnej twarzy patrzyły bez wyrazu.

-Zadałem ci pytanie. Duże masz giry?

-A bo ja wiem? - Dzieciak zerknął na swoje sfatygowane trampki.

-Trzymaj. - Ramirez rzucił mu pudło z butami do koszykówki.

Chłopak chwycił je niezgrabnie. Ostrożnie zajrzał do środka.

Aż wytrzeszczył oczy z wrażenia.

- O kurczę. Prawdziwe Nike Air Jordan! Cholercia.

- Teraz są za duże, nie będą na ciebie pasować - mruknął Ramirez.

- Ale może, jeśli nie będziesz się podkradać od tyłu do przyzwoitych ludzi, pożyczysz na tyle długo, żeby do nich dorosnąć. A teraz rób, co ci powiedział. - Ruchem głowy wskazał Pellama. - Spadaj stąd, ale już!

Gdy Ismail pomknął przed siebie w radosnych podskokach, Ramirez zwrócił się do Pellama.

- Chodź, oblejemy mój sukces. - Poklepał się po kieszeni, z której wystawała wypchana, biała koperta. - Lubisz tequilę?

- Piję tylko mezcal i sauzę. Margarity przygotowują mnie o mdłości.

Ramirez prychnął pogardliwie, jak zwykł robić zawsze, kiedy słyszał coś oczywistego. Ruszył w dół ulicy, dając niecierpliwe znaki Pellamowi, żeby za nim poszedł. Najwyraźniej ten wieczór obaj mieli już zaplanowany.

Podzielili się robakiem.

Ramirez przepołowił biedaka starym, dobrym nożem sprężynowym, jakby żywcem wziętym z planu „West Side Story”. Siedzieli w małej, zadymionej, kubańsko-chińskiej knajpie przy Rondzie Kolumba.

Pellam opowiedział mu, jak kiedyś, szukając w Meksyku plenerów do filmu, godzinami przesiadywał z oświetleniowcami i pracownikami obsługi planu, którzy akurat mieli wolne, wysłuchując ich przechwałek na temat psychodelicznych doświadczeń po spożyciu tłustych, białych larw wyłowionych z mezcalu. - Ale ja sam nigdy niczego takiego nie przeżyłem.

- No co ty, stary - zaprotestował Ramirez. - Goście wciskali ci zwykły kit. - I połknął połówkę robaka.

Potem każdy z nich pochłoniął po dwa talerze meksykańskich pierożków, a kiedy wyszli na ulicę, Ramirez wstąpił jeszcze do monopolowego i kupił małą butelkę mezcalu.

Skierowali się w stronę centrum, a Ramirez mruknął ponuro:

- Sobotni wieczór, stary, a ja nie mam kobiety. Mówię ci, kicha.

- A tamta kelnerka z baru? Flirtowała z tobą.

- Która?

- Tamta Hispano.

- A ta? - Ramirez prychnął pogardliwie. Nagle zmarszczył czoło. -

Słuchaj no, Pellam, dam ci teraz dobrą radę. Nigdy nie mów: Hispano.

-Nie?

-Tak się już nie mówi.

-W takim razie oświeć mnie, co jest teraz politycznie poprawne. Bardzo chciałbym się tego dowiedzieć, zwłaszcza od kogoś, kto co drugie słowo mówi „czarnuch” albo „irlandzki złamas”.

-To co innego, stary.

-Czyżby?

-Tak.

-A to dlaczego?

-Bo tak i już - uciął Ramirez. Po chwili podjął jednak temat: - Teraz ważne jest, z jakiego kraju się pochodzi. Mówisz „Dominikańczyk”, „Portorykańczyk”. Ja jestem Cubano. Jeśli już musisz używać jednego określenia, mów po prostu „Latynos”. - Ramirez pociągnął łyk z butelki, po czym wyrecytował: -Apostoł de la independencia de Cuba guia de los pueblos... Americanos y paladin de la dignidad liumana. Znasz hiszpański?

-Co nieco. Ale nie na tyle, żeby zrozumieć, co właśnie u diabła powiedziałaś.

-Te słowa znajdziesz na pomniku Jose Marti przy Szóstej Alei. W Central Parku. Widziałeś go kiedyś?

-Nie.

-Niemożliwe - zdziwił się Ramirez z szerokim uśmiechem. - Jak mogłeś go nie zauważyć? Ma prawie dziesięć metrów wysokości! Jego koń stoi na dwóch nogach, a Marti patrzy prosto w Szóstą Aleję. Trochę komicznie wygląda, jakby do nikogo nie miał zaufania.

-Co to za jeden, ten Marti?

-Nie wiesz?

Pomijając kino artystyczne, historia w Hollywood sprowadzała się głównie do bardzo niehistorycznych westernów i filmów wojennych.

-Walczył, żeby przegonić Hiszpanów z Kuby. Był poetą. Kiedy miał piętnaście czy szesnaście lat, musiał wyemigrować i odtąd podróżował po całym świecie, walcząc o kubańską niepodległość. Długo mieszkał tutaj, w Nowym Jorku. To był wielki człowiek.

-Ty wróciłeś kiedyś na Kubę?

-Wróciłem? Nigdy tam nie byłem!



-Żartujesz! Nigdy?

-Skąd, człowieku. A po co miałbym się tam pchać? W Hawanie są korki, slumsy i syf, las muchachas i la cerueza. Są hombres embalaos na gandzi. A teraz pewnie i na cracku. Identycznie jak w Nowym Jorku. Kiedy chcę wypocząć, jadę z jakąś laską na wakacje do Nassau i gram w kasynie. W Club Medzie.

-Przecież to twoja ojczyzna.

-Nie moja, stary - odparł zdecydowanie Ramirez. - Ojczyzna mojego dziadka, ale nie moja... W jednym z naszych magazynów pracuje taki gość, Sehor... - Latynos przeciągał samogłoski, nadając temu słowu pogardliwy ton. - Bunello. Ten viejo jest zupełnie loco. Chce, żeby wszyscy mówili do niego „señor”, rozumiesz? Na razie muszę zostać w Estados Unidos, ale jestem Cubano, mówi. Zostałem wypędzony z własnego kraju! Rzygać się chce. Jak jeszcze raz to od niego usłyszę, to chyba mu przywalę. Powtarza: „Kiedyś wszyscy tam wrócimy. Będziemy siedzieć na naszych plantacjach trzciny cukrowej, będziemy się bogacić, a los moyetos, no wiesz, czarnuchy, będą na nas pracować”. Puto. Mówię ci, stary, mój ojciec nie mógł się doczekać, kiedy stamtąd pryśnie.

-Był rewolucjonistą?

-Mi padre? Skąd. Przyjechał tu w pięćdziesiątym czwartym. Wiesz, jak na nas wtedy mówili? Gorące chłopaki w zimnym kraju. Był jeszcze dzieciakiem, kiedy wyemigrował. Zamieszkali z rodziną w Bronksie. On też był w gangu.

-Chciałeś powiedzieć: w klubie.

-W tamtych czasach było inaczej. Kiedy ktoś nowy wprowadzał się do dzielnicy, szef gangu wyzywał go na pojedynek. Wiesz, jeden na jednego, na pięści. Dopóki nie stanąłeś do walki, byłeś nikim. Więc kiedy na Kubie fidelistos puszczali z dymem plantacje i strzelali do batistianos, chłopaki z gangu utworzyli krąg na Sto Osiemdziesiątej Szóstej, a mój stary musiał stanąć pośrodku i bić się z takim jednym wielgachnym puto. Sprął go do nieprzytomności. A potem poszli razem na cervezas i rum i mój tatuś został przyjęty do gangu. Nazywali go Manomuerto. Tego dnia udowodnił, że ma odwagę w sercu. Tak na to mówili: „udowodnić, że ma się serce”. Su corazón.

-Co się teraz dzieje z twoim ojcem?

-Odszedł jakieś sześć, siedem lat temu. Pewnego ranka poszedł do pracy, przysłał mojego brata Piri do domu z połową wypłaty w kopercie i powiedział, że jeszcze zadzwoni. Ale oczywiście nigdy tego nie zrobił. - Hector Ramirez wybuchnął głośnym śmiechem. - Kto wie? Może teraz siedzi w Hawanie.

Setki maleńkich, tęczyowych robaczków wirowały Pellamowi przed oczami. A przecież nie wypił więcej niż pięć czy sześć kieliszków.

No dobrze, może trochę więcej.

I może faktycznie te małe gnojki wywoływały psychodeliczne halucynacje.

Zagłębiali się coraz bardziej w mroczne serce Hell's Kitchen. W pewnym momencie Pellam zdał sobie sprawę, że Ramirez coś do niego mówi.

-Co?

-Pytam, co ty tu właściwie robisz, stary?

-Co robisz? Popijam tequilę z przestępcą.

-Ej, naprawdę myślisz, że jestem przestępcą? A byłem chociaż raz skazany?

-Tak mówią.

Ramirez zadumał się na chwilę.

- Gdzie to słyszałeś?

-Uliczna poczta pantoflowa - zamruczał złowroźbnie Pellam.

-Nie odpowiedziałeś mi na pytanie. Czego tutaj szukasz?

-Mojego ojca - wymamrotał Pellam, zaskoczony własną szczerością.

-Swojego ojca. A gdzie on jest? Mieszka tutaj?

-Już nie. - Pellam popatrzył na północ, gdzie migotało bez mała milion świateł o różnym natężeniu. Wziął od Ramireza butelkę. - Parę lat temu pracowałem przy takim jednym filmie. „Zasnąć w płytkim grobie”.

-Pierwsze słyszę.

-Opowiadał o kobiecie, która wraca do rodzinnego domu i dowiaduje się, że jej ojciec mógł wcale nim nie być. Zajmowałem się dokumentacją plenerów, ale zrobiłem też parę poprawek do scenariusza.

-Matka tej kobiety, to była zwykła putal

-Nie, po prostu miała romans. Czuła się samotna.

Ramirez odebrał mu butelkę, pociągnął solidny łyk i ruchem głowy dał znak Pellamowi, żeby mówił dalej.

-Moja matka mieszka na północy stanu, w miasteczku, które nazywa się Simmons. Na pewno nigdy o nim nie słyszałeś. Dwa lata temu pojechałem ją odwiedzić. Na Boże Narodzenie.

-Kupiłeś jej prezent?

-Oczywiście. Ale daj mi skończyć.

-To dobrze, że o tym pamiętałeś. O takich rzeczach nie wolno zapominać, stary.

-Daj mi skończyć! Pojechaliśmy na grób ojca, jak zawsze, kiedy u niej jestem. - Jeszcze jeden łyk. I jeszcze jeden. - Stajemy nad grobem, a ona nagle zaczyna płakać...

Zawędrowali daleko w ciemne wnętrze Hell's Kitchen i skręcili w brukowaną uliczkę prowadzącą do meliny Ramireza.

-Mówi, że musi mi się do czegoś przyznać. Po tych wszystkich latach nie jest pewna, czy jej mąż był rzeczywiście moim ojcem.

-Cholera, człowieku, a to dopiero niespodzianka.

-Jej mąż, Benjamin - człowiek, którego zawsze uważałem za swojego ojca - często był poza domem. Ciągle gdzieś wyjeżdżał. Pewnego razu pokłócili się o te jego podróże i znowu ruszył w drogę. Wtedy moja matka wzięła sobie kochanka. Po jakimś czasie się rozstali, a Ben wrócił do domu. Pogodzili się, a potem wyszło na jaw, że ona jest w ciąży. Nie wiedziała, kiedy dokładnie to się stało, no wiesz, ale była prawie pewna, że to nie jest dziecko Bena. Od jego śmierci cały czas rozmyślała, czy powinna mi o tym powiedzieć. Aż wreszcie pękła i to zrobiła.

-Musiałeś być niezłe skołowany. Ale dlaczego przyjechałeś akurat tutaj?

-Chciałem się czegoś więcej o nim dowiedzieć. O moim prawdziwym ojcu. Nie myślałem o tym, żeby się z nim spotkać, raczej dowiedzieć się, kim był, jak zarabiał na życie, może znaleźć jakieś jego zdjęcie...

-Nadal tu mieszka?

-Już od dawna nie. - Opowiedział, jak odszukał ostatni znany adres, pod którym tamten mieszkał, ale okazało się, że wyprowadził

się stamtąd przed wieloma laty. Trop urywał się w Hell's Kitchen. Pellam skontaktował się z najważniejszymi urzędami statystycznymi w pięciu gminach miasta oraz w przylegających doń hrabstwach stanów Nowy Jork, New Jersey oraz Connecticut. Nie mieli o nim żadnych informacji.

-Kamień w wodę, co? Całkiem jak mój padre. Pellam przytaknął.

-Wtedy przyszło mi do głowy, że nakręcę film o Hell's Kitchen. O jego dzielnicy. Mieszkał tu przecież przez jakiś czas. - Pellam uniósł w górę butelkę. - Za twojego padre, cholernego sukinsyna. - Napił się.

-Za obu naszych tatuśków. Gdziekolwiek ci dranie są. Pellam podał mu niemal opróżnioną butelkę. Sekundę później, drugi raz w ciągu ostatnich kilku dni, poczuł na karku chłodny dotyk metalu. I tym razem również była to lufa pistoletu.

Ramirezem zajęło się aż trzech opryszków, Pellamem tylko jeden.

-Kurwa mać - warknął wściekle Latynos, gdy dwaj z nich chwycili go za ramiona, a trzeci starannie przeszukał, konfiskując nóż i pistolet automatyczny. Któryś z bandziorów wyrwał mu butelkę mezcalu i cisnął w głąb uliczki.

-Tylko latynoskie pedały piją to gówno. Pellam usłyszał brzęk tłuczonego szkła.

W odpowiedzi Ramirez wyszczerzył zęby i wskazując ruchem głowy zbira, który to powiedział, rzucił do Pellama: - To Sean McCray. Nie mam pojęcia, co tutaj robi o tej porze. W sobotę wieczorem zwykle ma randkę - ze swoim własnym fiutem.

Cios w szczękę był tak silny, że aż zatoczył się do tyłu. Pellam rozpoznał teraz McCraya; widział go już wcześniej przy stoliku w knajpie Corcorana, siedział w pobliżu Jacko Drugha.

-Pamiętam go - odparł.

Z jakiegoś powodu ten komentarz też zasłużył na karę, choć tym razem cios pięścią został wymierzony w brzuch. Pellam zgiął się wpół i stęknął, z trudem łapiąc oddech. Jego „opiekun”, zwalisty zbir w czarnym, skórzanym płaszczu podobnym do tego, jaki miał na sobie Drugh, zaciągnął go na środek uliczki i rzuciwszy na ziemię jak kupę szmat, wrócił do Ramireza.

Młody Latynos próbował się wyrwać i kopać, ale napastnicy okazali się silniejsi. Zaczęli go bić. Kiedy na chwilę przestali, Ramirez

wysapał: - Pieprzone irlandzkie durnie. Wydawał się być bardziej wkurzony niż przestraszony ich zachowaniem.

-Stul pysk.

McCray nachylił się nad nim.

- Pogadałem sobie z O'Neilem. Powiedział, że kręciliście razem jakieś lody. Nie mogę powiedzieć, żebym był zaskoczony.

Inny odezwał się:

- Powiedz mu, co go spotkało. O'Neila.

-Mówisz o kąpielu? - podsunął „opiekun” Pellama.

-Właśnie.

McCray odparł:

- Zafundowaliśmy O'Neilowi kąpiel w rzece, tuż obok „Queen Elizabeth II”. Jak dotąd jeszcze nie wypłynął.

Ramirez pokręcił głową.

- No, po prostu genialnie. Załatwiliście jedyne handlarza bronią w Hell's Kitchen... Chyba wiecie, że Jimmy też od niego kupuje? Teraz wszyscy będziemy dygać po spluwy do Harlemu albo East New York i czarnuchy puszczą was z torbami. Strasznie mądre posunięcie, kurwa. Założę się, że Jimmy nic o tym nie wie. Tym razem naprawdę macie przesrane. Splunął krwią.

Opryszkom na chwilę odebrało głos. Jeden z nich zerknął niepewnie na McCray'a.

-Cholera - warknął Ramirez. - Wiecie, co będzie, jeśli mnie zabijecie? Interesy przejmie Sanchez i rozpieprzy was w drobny mak. Mamy MAC-10, uzi, mamy desert eagles...

-Już się, kurwa, boimy.

-A jak Corcoran się dowie, że rozpętaliście wojnę, to sam skopie wam tyłki, jeśli wcześniej nie zrobi tego Sanchez. Lepiej stąd spływajcie, do kurwy nędzy.

-Ależ ty masz niewyparzoną gębę, Ramirez.

-Ty pieprzony irlandzki...

McCray zamachnął się i wymierzył Ramirezowi kolejny miażdżący cios prosto w szczękę. Pellam spróbował się podnieść i zarobił kopniaka w same bebechy. Upadł na ziemię, trzymając się za brzuch i pojękując.

Irlandczycy parsknęli śmiechem.

-Hector, ta twoja dziewczyna coś kiepsko się czuje...

„Opiekun” Pellama chwycił go mocno za kołnierz, a cała trójka pchnęła go brutalnie w zagłębienie muru.

-Może by na niego naszczać? - zapytał jeden.

-Przymknij się - warknął McCray. - To nie zabawa.

Pellam zdołał uklęknąć. Wstrząsały nim torsje.

-Zaraz się porzyga - zawołał ze śmiechem jego „opiekun”.

Szybko się nim jednak znudzili i znowu zaczęli okładać Ramireza.

Latynos walczył jak lew, ale nie miał żadnych szans w konfrontacji z trzema krzepkimi Irlandczykami i w końcu osunął się na kolana.

McCray rozejrzał się dokoła i skinął na swojego przybocznego, który odbezpieczył pistolet i wycelował go w Ramireza. Pozostali dwaj napastnicy cofnęli się. Jeden z nich zmrużył oczy.

Ramirez westchnął i przestał się wyrywać. Spokojnie odwzajemnił spojrzenie zabójcy i pokręcił głową.

- Cristos... Okej, zróbcie to wreszcie. - Uśmiechnął się do McCraya.

Nie mam wyboru, pomyślał Pellam, usprawiedliwiając samego siebie. Żadnego wyboru. Przestał symulować torsje i ostrożnie przykucnął. Odtrącił rękę przytrzymującego go „opiekuna”, a następnie szybkim ruchem wyszarpnął zza paska swojego colta peacemakera, odciągając kurek kciukiem. Strzelił, celując w nogę uzbrojonego zbira, która ugięła się, gdy trafił w nią potężny pocisk. Napastnik wykonał coś w rodzaju gwałtownego kopnięcia w bok, upuścił broń, skulił się i krzycząc z bólu, upadł na bruk.

„Opiekun” Pellama sięgnął po pistolet, ale lufa peacemakera trafiła go w nasadę nosa. Rozległ się głuchy trzask. Pellam wyrwał glocka z dłoni wrzeszczącego faceta, który cofnął się, unosząc ręce do góry. - Stary, nie wygłupiaj się! Błagam, nie strzelaj!

McCray w poszukiwaniu schronienia skoczył za pobliski kontener na śmieci. Irlandczyk stojący najbliżej Ramireza właśnie zamierzał się odwrócić, gdy jego klatki piersiowej dosięgła pięść Latynosa. Trzy szybkie ciosy. Zbir krzyknął i przewrócił się na plecy, wymiotując i z trudem chwytając powietrze.

Pellam umknął za róg najbliższego budynku i ponownie wystrzelił, tym razem celując w bruk u stóp McCraya. Myśl o kulach

świszczących w gęsto zamieszkałej okolicy przyprawiała go o dreszcze. Na odgłos strzału Irlandczyk wycofał się głębiej za kontener.

Zbir z przestrzeloną nogą darł się:

- O Boże! Psiamać, moja noga! Moja noga!

Nikt nie zwracał na niego uwagi. „Opiekun” Pellama poderwał się do biegu i zniknął w bocznej uliczce. McCray i pozostały na placu boju Irlandczyk strzelali na oślep do Ramireza, który przypadł do ziemi i nie mogąc ruszyć się z miejsca, bez powodzenia próbował znaleźć schronienie za górą worków ze śmieciami.

-Trzymaj! - zawołał do niego Pellam, uchylając się jednocześnie przed kulą, którą posłał w jego stronę McCray. Rzucił Ramirezowi czarny automat. Ten złapał broń jedną ręką, odbezpieczył i wystrzelił parę osłaniających serii. Ranny mężczyzna zawodził z bólu, zakrywając twarz rękoma i czołgając się centymetr po centymetrze w stronę swoich kamratów.

Ramirez wydał triumfalny okrzyk i zaśmiał się głośno. Był doskonałym strzelcem; Irlandczycy mieli jedynie sekundę czy dwie, żeby wychylić się zza kontenera i posłać na oślep parę niecelnych strzałów, a już kolejna seria zmuszała ich do ponownego wycofania się.

Strzelanina nie trwała dłużej niż trzydzieści sekund. Pellam już nie pociągnął za spust. Był przekonany, że lada chwila usłyszy wycie syren i zobaczy migające światła wozów patrolowych, a spod ziemi wyrośnie nagle setka gliniarzy. Jednak nocne ulice milczały.

Fakt, byli przecież w Hell's Kitchen. Co tu znaczyło parę strzałów?

Zza węgła wychynęła czyjaś ręka i pociągnęła rannego w głąb uliczki. Kilka minut później po bruku zatupotały buty trzech Irlandczyków. W oddali rozległ się odgłos zapuszczanego silnika i pisk opon samochodu.

Pellam wyprostował się; wciąż z trudem chwytął oddech. Ramirez zrobił to samo, zanosząc się przy tym śmiechem. Zabezpieczył broń, wsunął ją do kieszeni i odszukał swój własny automat.

-Skurwysyny - zaklął.

-Lepiej stąd...

Ogłuszył ich huk wystrzału. Pellam poczuł gorąco i przeszywający ból w policzku.

Ramirez okręcił się na pięcie i strzelił z biodra - trzy, cztery razy - trafiając napastnika - „opiekuna” Pellama - który najwyraźniej podkraść się z powrotem pod osłoną mroku i strzelił do nich z bocznej uliczki. Po strzale Ramireza mężczyzna runął na wznak.

Pellam patrzył, jak ciało tamtego drga i Irlandczyk umiera. Trzęsły mu się ręce.

Ramirez zawołał do niego:

- Jezu, chłopie, nic ci nie jest?

Pellam dotknął dłonią policzka. Poczul otwartą ranę, na palcach miał krew.

Bolało go jak jasna cholera. To dobrze. Z czasów, gdy pracował jeszcze jako kaskader, pamiętał, że najgorszy jest brak czucia, a ból to dobry znak. Zawsze gdy coś na planie szło nie tak, jak powinno, a kaskader narzekał na odrętwienie, koordynatorzy scen kaskaderskich wpadali w panikę.

W oddali zawyła pierwsza syrena.

-Posłuchaj - odezwał się Pellam zrozpaczony. - Nie mogą mnie tu znaleźć.

-Człowieku, przecież to była samoobrona.

-Nic nie rozumiesz! Nie mogą mnie tu znaleźć z bronią.

Ramirez zmarszczył brwi i skinął głową ze zrozumieniem. Potem spojrzał w kierunku Dziewiątej Alei. - Zrobimy tak. Wyjdiesz teraz na ulicę, jakby nigdy nic, i pójdiesz wolno przed siebie. Jakbyś szedł po zakupy. I zakryj to. - Wskazał zakrwawiony policzek Pellama. Kup jakieś plastry albo co. Trzymaj się Ósmej albo Dziewiątej i kieruj się na północ. Tylko pamiętaj: masz iść wolno. Kiedy chcesz być niewidzialny, idziesz wolnym krokiem. Daj mi spluwę. Zabunkruję ją dla ciebie w bezpiecznym miejscu.

Pellam podał mu colta.

Ramirez uśmiechnął się.

- Podobno nie nosisz przy sobie broni.

-Kłamstwo białasa - szepnął Pellam, po czym szybko zniknął w uliczce.



## 19

-Louis... - Pellam pchnął drzwi kancelarii. - Mam coś dla ciebie. Był późny poranek, koło dziesiątej i Bailey prawie trzeźwy adwokat nie zdążył się jeszcze zmienić w Bailey'a ululanego domatora. Światła były wygaszone w biurowej części jego mieszkania, a on sam wytoczył się właśnie z sypialni w szlafroku, powłócząc stopami obutymi w dwa różne kapcie.

Stękający niemiłosiernie klimatyzator był jedynie w stanie miesić gęste powietrze w zakurzonej gabinecie.

-Co ci się stało w twarz?

-Goliłem się - odparł Pellam.

-Spróbuj to robić żyletką. Jest bardziej poręczna niż maczeta. - Po chwili adwokat dodał: - Słyszałem, że w nocy była strzelanina. Zginął któryś z chłopców Corcorana.

-Naprawdę?

-Pellam...

-Nic na ten temat nie wiem, Louis.

-Podobno było w to zamieszanych dwóch ludzi - biały i jakiś Hispano.

-Latynos - poprawił go Pellam. - Tak się teraz powinno mówić. - Rzucił na biurko zdjęcie. - Zerknij na to.

Baczny wzrok adwokata jeszcze przez chwilę nie opuszczał jego twarzy.

-Pokazałem je wczoraj Flo Epstein. Tej z agencji ubezpieczeniowej. - Pellam uniósł w górę ręce obronnym gestem. - Nie było mowy o żadnym zastraszaniu. Oglądaliśmy tylko tę fotkę.

Bailey wziął zdjęcie do ręki.

- Napijesz się wina? Nie? Na pewno?

Pellam ciągnął:

- Zrobiłem Ettie zdjęcie w areszcie. Potem pokazałem je tej Epstein i zapytałem, czy ją poznaje.

-No i?

-Potwierdziła, że to ta sama osoba.

-No cóż. - Bailey przyjrzał się fotografii. Zmrużył oczy. Przysunął ją

bliżej i nagle roześmiał się. - A to dopiero. Niezłe, Pellam, naprawdę niezłe. Jak to zrobiłeś?

-To się nazywa „morfining”. Pobawiłem się programem graficznym w moim laboratorium poprodukcyjnym.

Zdjęcie zostało zrobione przez Pellama w areszcie i widać było na nim Ettie - a raczej jej ciało, włosy, dłonie i sukienkę. Twarz należała do Elli Fitzgerald. Pellam połączył komputerowo obie fotografie i utrwalił efekt końcowy na polaroidzie.

-To dobra wiadomość - zauważył prawnik. Pellam odniósł jednak wrażenie, że entuzjazm w jego głosie jest trochę naciągany.

Otworzył miniaturową lodówkę. Kartony taniego wina. Ani jednej butelki wody, żadnych napojów gazowanych czy soków. Popatrzył na adwokata. - Co cię trapi, Louis?

-Pamiętasz, jak mówiłem ci o tej partyjce pokera? Tej z inspektorem straży pożarnej?

-Nie odbyła się?

-A jakże.

Niepewną dłonią podał Pellamowi świstek papieru.

Drogi Louisie,

Tak jak się umawialiśmy, zorganizowałem partyjkę pokera ze Stanem, Sobiem, Fredem i Myszą, pamiętasz go? Nie widzieliśmy się kopę lat. Przegrałem na twoje konto sześćdziesiąt dolców, ale Stan pozwolił mi zabrać prawie pełną butelkę szkockiej, podrzucę ci ją za jakiś czas, jak już nie będzie taka pełna.

Dowiedziałem się czegoś, co chyba ci się nie spodoba. Lomax dotarł do książeczki oszczędnościowej Washington, o której nikomu nie wspomniała. W sumie miała na niej ponad dziesięć tysięcy dolców. Nie uwierzysz, ale w przeddzień pożaru wypłaciła z niej dwa kawałki! Podobno mają cię za skończonego fiuta, bo pominąłeś ten drobiazg w oświadczeniu finansowym dołączonym do wniosku o wyznaczenie kaucji. Generalnie jednak się cieszą, bo to właściwie zamyka sprawę.

Joey

Dziesięć tysięcy?

Pellam był w szoku. Skąd u diabła Ettie wytrzasnęła taką sumę? Nigdy nie wspominała, że ma jakieś oszczędności. Gdy Bailey zapytał, ile byłaby w stanie dołożyć do kaucji, odparła, że osiemset,

góra dziewięćset dolarów. Pamiętał też inną sytuację, kiedy to oświadczyła, że nie mogłaby sobie pozwolić na wykupienie polisy ubezpieczeniowej od Flo Epstein, bo zwyczajnie nie miała na to pieniędzy.

Podszedł do okna i przez chwilę patrzył, jak buldożer równa z ziemią to, co zostało z kamienicy Ettie. Jeden z robotników wbijał młotem dłuto w spękaną od ognia figurę kamiennego buldoga, usiłując rozbić ją na kawałki.

Wydawało mu się, że słyszy głos Ettie mówiący:

...właśnie próbuję sobie przypomnieć, ile na tym odcinku stało kamienic, ale nie jestem pewna. Same czynszówki, takie jak nasza. Prawie żadna się nie ostała. Ta, w której teraz mieszkam, została zbudowana w 1876 przez niemieckiego imigranta, Heinrika Deutera. Kojarzysz te kamienne buldogi przed wejściem? Po jednym po każdej stronie frontowych schodów. Specjalnie ściągnął tu kamieniarza, żeby wyrzeźbił je w kamieniu, bo w dzieciństwie miał w Niemczech buldoga. Parę lat temu poznałam jego wnuka. Ludzie mówią, że szkoda burzyć te stare kamienice pod budowę nowych. Ale właściwie dlaczego? Sto lat temu wyburzyli inne budynki, żeby postawić te tutaj, mam rację? Coś się zaczyna i coś się kończy. Ludzie przychodzą i odchodzą. Tak to już w życiu jest...

Przez dłuższą chwilę milczał. Podniósł z biurka Baileya wielki, mosiężny klucz uniwersalny, obejrzał go dokładnie i odłożył na miejsce. - Jak policja dowiedziała się o tej książeczce?

-Nie mam zielonego pojęcia.

-A kasjer potwierdził, że to Ettie wypłaciła pieniądze?

-Mam dojście do kogoś w tym wydziale, dowiem się. Na razie zablokowali jej dostęp do rachunku.

-Źle to wygląda, co?

-Uhm. Bardzo źle.

Zadzwoił telefon. Staroświecki sygnał dzwonka nieprzyjemnie przewiercał uszy. Bailey podniósł słuchawkę.

Spojrzenie Pellama powędrowało za samochodem, który wolno sunął ulicą. Znowu dobiegły go znajome basowe rytmy hip-hopowej piosenki. Najwyraźniej był to numer jeden na raperskich listach przebojów. On ma wiadomość, specjalnie dla ciebie, że miejsce dla

twoich szykują już w niebie...

Muzyka umilkła w oddali. Kiedy znowu spojrzął w stronę biurka, zobaczył, że Louis Bailey wpatruje się przed siebie niewidzącym wzrokiem. W rękę nadal trzymał słuchawkę. Po chwili chciał ją odłożyć. Musiał dwa razy powtarzać, zanim udało mu się trafić na widełki. Dobry Boże - wyszeptał. - Dobry Boże.

-Co się stało, Louis? Coś nie tak z Ettie?

-Pół godziny temu na Upper West Side wybuchł pożar. - Zaczepnął powietrza. - W agencji ubezpieczeniowej. Zginęły dwie pracownice. Jedną z nich była Flo Epstein. To był on, Pellam. Ktoś go rozpoznał. To był tamten chłopak ze stacji benzynowej. Użył tego swojego napalnu. Spalił je obie żywcem. Jezu Chryste...

Pellam głośno wypuścił powietrze z płuc, zaszokowany wiadomością, którą właśnie usłyszał. Pomyślał: „Ten przeklęty piroman śledził mnie, kiedy byłem w agencji. Wcześniej odkrył, gdzie mieszkam, włamał się i ukradł taśmy. Potem poszedł za mną aż na Upper West”. Pewnie dlatego nie zabił go wtedy w mieszkaniu - wykorzystywał go, żeby eliminować kolejnych świadków.

„Upłynęły dokładnie trzy minuty. Kiedy się człowiek kocha, to tyle, co nic, kiedy rodzi dziecko, to już cała wieczność.”

A kiedy płonie się żywcem?

Bailey dodał:

- Epstein złożyła pisemne oświadczenie potwierdzające tożsamość Ettie. To mocny dowód, który przejdzie w sądzie. A to, co ci powiedziała o zmanipulowanym zdjęciu, to tylko tak zwany dowód ze słyszenia.

Pellam popatrzył na kwadrat ziemi rozciągający się za oknem w pobliżu miejsca, gdzie stała niegdyś kamienica Ettie, oświetlony promieniami słońca, które stało wysoko, czerstwe i rumiane, na błękitnym niebie. Przyszło mu do głowy, że teraz, gdy budynku już nie ma, światło słoneczne dotrze do miejsc, które od ponad wieku były go pozbawione. Owa odzyskana jasność zdawała się odmieniać zarówno teraźniejszość, jak i przeszłość, tak jakby znów coś groziło duchom tysięcy mieszkańców Hell's Kitchen, dawno temu uśmierconych przez zabłąkane kule, choroby i trudne warunki życia.

-Chcesz, żeby się przyznała, prawda? - zapytał otwarcie prawnika.

Ten skinął głową.

Pellam dodał:

- Od początku tego chciałeś, mam rację?

Bailey złączył koniuszki palców; spod przyszarzałych mankietów niegdyś białej koszuli ukazały się blade nadgarstki. - W Hell's Kitchen ugoda z prokuratorem to niemal tyle, co wygrany proces.

-A co z tymi, którzy są niewinni?

-Wina albo niewinność nie ma tu absolutnie nic do rzeczy. Tak samo jest z ubezpieczeniem społecznym czy oddawaniem krwi za pieniądze, za które później kupuje się alkohol albo jedzenie - to tylko jeszcze jeden sposób, żeby ułatwić sobie życie tutaj w Hell's Kitchen.

-Gdybym się w to nie wmieszał - rzucił Pellam - zrobiłbyś to od razu, prawda? Namówiłbyś ją, żeby przyznała się do winy?

-Pół godziny po tym, jak ją aresztowali - przytaknął Bailey.

Pellam skinął głową. Nic już nie powiedział, po prostu wyszedł z kancelarii i ruszył przed siebie pustym chodnikiem. Koparka nabrała pełną szufłę gruzu, jaki pozostał po kamienicy Ettie - głównie szczątki rzeźbionego kamiennego buldoga - i bezceremonialnie zrzuciła je do stojącego przy krawężniku kontenera.

„Coś się zaczyna i coś się kończy. Tak to już w życiu jest...”

Nie pozostało mu nic innego, jak ją o to zapytać. Prosto z mostu.

Pellam patrzył, jak Ettie wchodzi sztywnym krokiem do sali odwiedzin aresztu dla kobiet. Jej powitalny uśmiech zaraz zbladł i zapytała: - John, co się stało? - Zmrużyła oczy na widok szramy na jego policzku. - Co ci... - Urwała, zaskoczona wyrazem jego twarzy.

-Policja odkryła twój rachunek oszczędnościowy.

-Rachunek...?

-Ten w banku w Harlemie. Ten, na którym miałaś dziesięć tysięcy. cy dolarów.

Kobieta gwałtownie pokręciła głową, przykładając zdrową rękę do skroni; dawno złamany palec serdeczny krzywo się zrósł i lekko odstawał. Na ułamek sekundy na jej twarzy odmalowała się skrucha. Potem wybuchła: - Nikomu nie mówiłam o swoich oszczędnościach. Jak to u diabła odkryli? - Po tych słowach umilkła i jakby zapadła się w sobie.

-Tak, nikomu nie powiedziałaś. Nie przyznałaś się sądowi ani

poręczycielowi kaucji. Nie wspomniałaś nawet Louisowi. To bardzo źle wygląda, Ettie.

-Nie ma powodu, żeby cały świat musiał wszystko wiedzieć o biednej, starej kobiecie warknęła. - Facet zabiera jej pieniądze, dzieci zabierają jej pieniądze, wszyscy nic, tylko biorą i biorą! Jak się o tym dowiedzieli?

-Nie wiem.

Ettie spytała z goryczą:

- No dobrze, mam pieniądze. I co z tego?

-Ettie...

-To moja cholerna sprawa. Nikogo innego nie powinno to obchodzić.

-Mówią, że ktoś - ty albo ktoś inny - dokonał wypłaty w przeddzień pożaru.

-Co takiego? Nie wzięłam z tej książeczki ani centa. - Jej oczy rozszerzyły się, rozbłysły gniewem i strachem.

-Ktoś wypłacił z konta dwa tysiące dolarów.

Ettie zerwała się z miejsca i utykając, zaczęła się obracać to w jedną, to w drugą stronę, jakby miała zamiar wybiec zaraz na ulicę w poszukiwaniu złodzieja. - Ktoś mnie okradł? Ktoś zabrał moje pieniądze! Ktoś się o nich dowiedział! Jakiś Judasz!

Jej przemowa wydawała się jednak wyreżyserowana, jakby przygotowała ją dawno temu na wypadek, gdyby ktoś odkrył istnienie jej książeczki oszczędnościowej. Kolejne tajemnice, pomyślał ze znużeniem Pellam. Ettie zmarszczyła czoło; pod jej niespokojnym spojrzeniem Pellam odwrócił twarz i wbił wzrok w okno. Zastanawiał się, czy to właśnie jego oskarża. Czy to on okazał się Judaszem? Wreszcie zapytał: - Gdzie była ta książeczka?

-U mnie w mieszkaniu. Pewnie się spaliła. Jak ktoś mógł tak po prostu wypłacić moje pieniądze? Co ja teraz zrobię?

-Policja zablokowała rachunek.

-Co?! - wykrzyknęła Ettie.

-Nikt nie będzie miał do niego dostępu.

-Nie odzyskam swoich pieniędzy? - wyszeptała. - Ale ja ich potrzebuję! Potrzebuję każdego centa!

Dlaczego? Po co? Pellam nie potrafił odpowiedzieć sobie na te

pytania.

Powiedział więc tylko:

- Nie skorzystałaś z tych oszczędności, żeby zapłacić kaucję. Nie patrz tak na mnie, Ettie. Powtarzam ci tylko to, co sam słyszałem. To podejrzanie wygląda.

- Myślą, że opłaciłam tego podpalacza? - Ettie parsknęła gorzkim śmiechem.

- Na to wychodzi - odparł Pellam po chwili wahania.

- I ty też tak uważasz.

- Nie. Ja nie.

Ettie podeszła do okna.

- Ktoś mnie zdradził. Ktoś mnie zwyczajnie wyrolował. - W jej słowach była gorycz, a wypowiadając je, kobieta odwróciła wzrok. Nie potrafiła spojrzeć mu w oczy. Znieruchomiała i po chwili uniosła lekko głowę - tylko na tyle, aby na linii jej wzroku znalazł się tonący w półmroku parapet. - Zostaw mnie teraz samą, proszę. Nie chcę nikogo widzieć. Nie, nic już nie mów, John. Proszę cię, po prostu stąd wyjdź.

Tym razem dokładnie go przeszukali.

O rany, tylko nie to. To ostatnia rzecz, jakiej mi trzeba.

Zdażył właśnie wejść do holu budynku w East Village, gdzie wynajmował mieszkanie, zatopiony w niewesołych rozmyślaniach na temat Ettie i jej ukrytych oszczędności, gdy sześć mocnych dłoni pochwyciło go od tyłu i cisnęło nim o ścianę.

Ostatnio, podczas rozróby z Ramirezem, Irlandczycy ograniczyli się w jego przypadku do ciosu w brzuch i nie zawracali sobie głowy przeszukiwaniem go pod kątem posiadania kowbojskich rewolwerów. Teraz jednak wywrócili mu wszystkie kieszenie i - zadowoleni, że nie ma przy sobie broni - obrócili nim jak kukłą.

Mały Jacko Drugh był tym razem w towarzystwie wysokiego faceta, przypominającego nieco z wyglądu Jimmy'ego Corcorana, i jeszcze jednego rudzielca. Hol nie był zbyt przestronny, ale trzem zbirom z pewnością wystarczy miejsca, żeby spuścić mu porządny łomot.

Z oczu Drugh'a wyczytał, że cała ta historia to nie jego pomysł. Pej. lam poczuł nawet dla chłopaka coś na kształt współczucia.

No dobrze, pomyślmy. Co to będzie za scena? Końcówka aktu

drugiego w sztamowym scenariuszu hollywoodzkiego filmu akcji. Dobry rewolwerowiec zostaje zaskoczony przez sługusów potentata w handlu bydłem. Bohaterski dziennikarz trafia w ręce ochroniarzy koncernu naftowego. Dzielny komandos wpada w pułapkę i zostaje uprowadzony.

Punkt dla czarnych charakterów, którzy szykują grunt pod triumfalny powrót naszego bohatera. Widzowie uwielbiają, kiedy ich faworyt walczy o życie. Ważne, żeby tanio nie sprzedał skóry.

-Zaprosiłbym was na górę - rzucił, krzywiąc się z bólu; na ramionach czuł stalowy uścisk wielkich łap. - Ale w zasadzie wcale nie mam na to ochoty.

Wyższy zbir - zapewne brat Corcorana - zamachnął się, żeby go uderzyć, ale Drugh pokręcił głową i zwrócił się do Pellama: - Jimmy dowiedział się, co zaszło wczoraj w nocy. O tym, że Seany McCray na własną rękę próbował sprzątnąć Ramireza, a ty robiłeś u Latynosa za przybocznego... Tak czy owak, jak już chyba wiesz, Jimmy nie chce rozgłosu. Nie życzy sobie, żeby ktoś zaczął się za bardzo interesować Hell's Kitchen. Nie zabije ciebie ani Ramireza, chociaż pewnie powinien, ale załatwiliście jednego z naszych, więc kazał nam coś z tym zrobić. Musicie jakoś, no wiesz, zapłacić za to, co się stało.

-Zaraz, zaraz, ale dlaczego ja? - zaprotestował Pellam. - A co z Ramirezem?

-Chodzi o to, że Jimmy nie chce kłopotów, żadnej wojny gangów ani nic w tym rodzaju, więc wymyślił, że wszyscy będą zadowoleni, jeśli zrobimy z ciebie worek treningowy.

-Nie wszyscy - wymamrotał Pellam. - Ja nie jestem tym pomysłem szczególnie zachwycony.

-Trudno, klamka już zapadła, no nie? To nie Jacko ustala zasady gry. I ja dopiero co zapłaciłem temu gościowi pięć stów? Niech to szlag trafi.

-Słuchajcie, jeśli chcecie, to was przeproszę. Bardzo mi przykro. Rudzielec prychnął pogardliwie:

- Możesz se wsadzić to swoje „przepraszam”. - Zrobił krok w kierunku Pellama. Ten odwrócił się. gotów do walki, ale Drugh powstrzymał wojowniczego kumpla, podnosząc w górę dłoń.

-Zaczekaj. Ten gość należy do Jacko, no nie? - Mierzący niecały



metr sześćdziesiąt Drugh stanął twarzą do Pellama, który wyraźnie się odprężył. W końcu zrozumiał. To dlatego Jacko zgłosił się na ochotnika. Będzie tak, jak z O'Neilem i Ramirezem. Lipna przepychanka. Drugh wymierzy mu parę ciosów, Pellam upadnie jak długi i w trzy minuty będzie po sprawie. Pellam potrafił symulować bójkę, nauczył się tego, pracując na planie jako kaskader. Teraz strącił z siebie pozostałych dwóch Irlandczyków i wystąpił naprzód. - Okej, prosisz i masz. Uniósł w górę zaciśnięte pięści i przybrał odpowiednią postawę.

Pierwszy cios Drugha niemal pozbawił go przytomności. Koścista pięść wbiła się z impetem w jego podbródek. Pellam zamrugał oszołomiony i zatoczył się do tyłu, uderzając głową o metalowe skrzynki na listy. Kolejny lewy sierpowy człowieka-małpy trafił go w żołądek. Pellam osunął się na kolana, wstrząsany torsjami.

-Cholera jasna...

-Stul pysk, kurwa - mruknął Drugh. Złączył razem dłonie i opuszczył je z całej siły na kark Pellama. Po dwóch sekundach Pellam leżał na wznak na brudnych płytach posadzki.

Coup de grace Drugha - kopniak ciężkim butem prosto w nerkę i bok - ostatecznie go powalił. Jezu Chryste...

-Już po tobie, frajerze - wyrecytował Drugh takim tonem, jakby uczył się swojej roli przez cały boży dzień. Był o wiele gorszym aktorem, niż Pellam przypuszczał. - Zadarłeś z niewłaściwymi ludźmi.

Pellam zebrał się w sobie, uklękł i zamachnął się. Cios chybił celu, a on zarobił dodatkowo trzy silne uderzenia w brzuch.

Tamten szepnął mu do ucha:

- No i jak mi idzie?

Pellam nie był w stanie odpowiedzieć. Zbierało mu się na wymioty.

Drugh ponaglił go szeptem: - Uderz mnie. To jest za bardzo naciągane.

Pellam odczołgał się w bok i spróbował stanąć na nogi. Zakręcił się i zamachnął; jego zaciśnięta pięść ledwo musnęła policzek napastnika.

Drugh zamrugał zaskoczony i wrzasnął:

- Ty pieprzony złamasie! - Rudzielec i drugi Irlandczyk przytrzymali Pellama, podczas gdy Drugh zasypał jego głowę i brzuch gradem

morderczych ciosów. Pellam po prostu się poddał, zasłonił twarz rękoma i osunął się na podłogę.

-Już nie jest taki ważny - zauważył ze śmiechem rudy.

-Dobra robota, Jacko.

Drugh wyciągnął pistolet i przystawił Pellamowi lufę do twarzy. Ten zaś był w stanie myśleć wyłącznie o tym, że nigdy nie miał zaufania do ręcznie odciąganych kurków. Zbyt często zawodziły. Mały gangster pochylił się nad nim i szepnął: - Widzisz, dzięki tobie mam wreszcie swoją rolę w filmie. Sam walczę we wszystkich scenach i tak dalej. Nie potrzeba mi kaskadera. I mam własną broń.

Pellam jęknął.

-Strzel mu w stopę albo w kolano, albo coś, Jacko.

-Właśnie. Rozwał mu rękę. Bum, bum.

Drugh udał, że się zastanawia.

- Nie, ma już dosyć. Te pieprzone cioty z Hollywood mają strasznie miękkie tyłki.

Potem nachylił się po raz ostatni i wyszeptał:

-A tego Alexa, co go szukałeś, znajdziesz w hotelu Eagleton przy Dziewiątej Alei. Pokój 434.

Pellam wybełkotał coś, co Drugh uznał za podziękowanie, chociaż w rzeczywistości było to coś całkiem innego.

Na pożegnanie dał mu jeszcze przyjacielskiego kopniaka pod żebra i zniknął, a wraz z nim jego kolesie. Pellam usłyszał jeszcze, jak mówi do rudzielca: - Ej, Tommy, pamiętasz tamtą scenę? W tym filmie, o którym ci mówiłem...? W którym? Ajak, kurwa, myślisz...?

Drzwi zatrzasnęły się za nimi. Pellam wypluł złamany ząb, który z brzękiem upadł na kamienną posadzkę i wirował tam jeszcze całą wieczność, zanim w końcu znieruchomiał i w holu zapadła cisza.

## 20

Dokładnie w chwili gdy gromada wyczerpanych francuskich turystów kończyła meldować się w podrzędnym hotelu na West Side, ściągnięta wcześniej winda zatrzymała się na parterze, a jej drzwi rozsunęły się szeroko.

-Mon dieu! Płonący wewnątrz kabiny płyn zdążył już przepalić plastikowy pojemnik, w którym się znajdował, i niczym ognista fala przyplitwu wtargnął do hotelowego holu.

-Jezu Chryste! - ktoś krzyknął.

-Co u diabła...?

Płomienie pojawiały się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wszędzie tam, dokąd dotarł zabójczy płyn, podpalając wykładzinę, fotele, tapetę w złoty wzorek, sztuczne plastikowe drzewa i stoliki.

W kolejnych pomieszczeniach uruchamiały się alarmy przeciwpożarowe; przenikliwe, staroświeckie dzwonki w barytonowej tonacji przywodziły na myśl zdecydowanie przestarzałe systemy ostrzegawcze. Tandetnie urządzone korytarze zatrzęsły się od krzyku. Ludzie zaczęli uciekać.

Jeszcze bardziej przerażający od ognia był dym, który w ułamku sekundy wypełnił hotel, jakby ktoś pompował go do środka pod ciśnieniem. Urządzenia elektryczne po prostu przestały działać i w holu oraz na korytarzach zapadły ciemności, potęgowane jeszcze przez kłęby czarnego dymu. Nie było nawet widać podświetlonych na purpurowo oznakowań wyjść awaryjnych.

Ponad ludzkie krzyki i dzwonki alarmów wzbił się jeden głuchy, przerażający dźwięk wycie rozszalałego ognia.

Hotel Eagleton umierał.

Płomienie błyskawicznie strawiły tanią wykładzinę, w ciągu kilku sekund zmieniając jej kolor z zielonego na czarny. Zwęgląły plastik równie szybko, jak ludzką skórę. Wspinały się po ścianach, topiąc gips jak masło. Płyły dymem gęstym jak smoła, który w okamgnieniu zadusił pół tuzina zagranicznych turystów uwięzionych we wnęce bez wyjścia.

Ogień całował i zabijał.

-Merde! Mon dieu! Allez, allez! Giselle, ou es tu?

W sali bankietowej na dole, gdzie schroniło się trzech kelnerów w białych kurtkach, nastąpił nagły wybuch - pomieszczenie nagrzało się do tego stopnia, że w jednej chwili całe stanęło w płomieniach jak gigantyczna pochodnia.

Piętro wyżej pewien młody człowiek wskoczył w ubraniu do pełnej wody wanny, sądząc, że w ten sprytny sposób ocali życie. Dwie godziny później wstrząśnięci ratownicy odkryli to, co z niego pozostało, wciąż zanurzone w gotującej się wodzie.

Jedna z kobiet w panice otworzyła na całą szerokość drzwi do swego pokoju; nagły dopływ świeżego powietrza sprawił, że pochłonęła ją kula ognia. Z jej otwartych do ostatniego krzyku ust zamiast dźwięku wydobyły się płomienie.

Inny mężczyzna, uciekając przed rozżarzoną ścianą ognia, rzucił się z okna na czwartym piętrze. Spadał w milczeniu, obracając się wokół własnej osi, i wylądował elegancko na dachu stojącej na dole żółtej taksówki. Wszystkie sześć okien wozu natychmiast zmatowiało, jakby je pokrył szron.

Jeszcze inny człowiek wydostał się na zewnętrzne schody ewakuacyjne; rozgrzane do czerwoności metalowe szczeble w kilka sekund stopiły gumowe podeszwy jego sportowych butów. Wrzeszcząc jak opętany, mężczyzna zdołał jednak wdrapać się na okrwawionych stopach aż na dach budynku.

Niektórzy z gości zajmujących pokoje na wyższych piętrach sądzą, że ogień im nie zagraża; jedyne, co zauważyli, to lekką mgiełkę dymu. Spokojnie zapoznali się więc z instrukcją postępowania w przypadku pożaru, po czym zgodnie z jej klarownymi zaleceniami zmoczyli ręczniki i zasłonili nimi nosy i usta. Następnie równie spokojnie usiedli na podłodze, żeby poczekać na pomoc, i umarli w półśnie, zaczadzeni dwutlenkiem węgla.

Na dole w holu doszło do kolejnego rozgorzenia. Sofa eksplodowała, stając w pomarańczowych płomieniach. To samo stało się z ciałem leżącego na podłodze turysty. Mężczyzna zwinął się do pozycji embrionalnej: kolana podciągnięte pod brodę, zaciśnięte pięści, ramiona ugięte w łokciach. Naprzeciwko niego automat sprzedający pepsi stopił się i nagle w całym holu pociemniało od

eksplodujących puszek; ich zawartość zmieniała się w parę, zanim jeszcze aluminiowe opakowanie dotknęło posadzki.

Sonny miał okazję przelotnie podziwiać wszystkie te obrazki; gdy już umieścił pojemnik płonącego soku w windzie na piątym piętrze, miał jeszcze czas, żeby spokojnie wydostać się z hotelu schodami ewakuacyjnymi. Po drodze przystawał i patrzył. Powtarzał sobie w myślach, że powinien uciekać, być bardziej ostrożny, ale zwyczajnie nie mógł się powstrzymać. Ręce przestały mu wreszcie drżeć i już się nie pocił.

Pod budynek zajęchały pierwsze wozy straży pożarnej. Sonny przemknął obok nich i ukrył się w bocznej uliczce, skąd mógł dalej z przyjemnością obserwować swój „totalny” pożar. Tym razem miał być z czego dumny. Pod hotelem pojawiły się drabiny i wozy gaśnicze różnych jednostek. Dobry Boże, przysłali tu chyba cały batalion! Od miesięcy nie wzniecił takiego pożaru. Włączył nasłuch na częstotliwości dyspozytora i dowiedział się, że wezwanie zakwalifikowano jako 10-45, kod 1.

Ofiary śmiertelne.

Jakby jeszcze tego nie wiedział.

Pod hotelem przybywało nowego sprzętu. Dziesiątki wozów strażackich z węzami i

drabinami. Niektóre czerwone, inne żółto-zielone, fosforyzujące. Porykiwanie klaksonów. Karetki. Samochody policyjne, oznakowane i nie. Kobiety i mężczyźni w kombinezonach chroniących przed wysoką temperaturą, w maskach tlenowych i z butlami na plecach, wbiegali do płonącego budynku. Kolejne karetki. I coraz więcej policyjnych radiowozów. Światła i hałas, kaskady lejącej się wody. A wszystko to w obłokach pary unoszącej się wokół na podobieństwo duchów ofiar pożaru. Nielegalnie zaparkowane samochody przecinano na pół, żeby utworować drogę węzom strażackim.

Tłumy wyległy na ulice, szabrownicy oceniali swoje szanse. Budynek hotelu zmienił się w olbrzymi, pomarańczowy słup ognia; płomienie sięgały już najwyższego, siódmego piętra.

Gdy sytuację z grubsza opanowano, ratownicy zaczęli wynosić na zewnątrz ciała. Niektóre były sine z powodu niedotlenienia, inne purpurowe jak raki od ognia i wysokiej temperatury. Jeszcze inne,

spalone na węgiel, w niczym nie przypominały istot ludzkich, którymi niegdyś były.

Pękały kolejne szyby. Na ulicę sypał się deszcz czarnych, szklanych odłamków, a jednocześnie z potężnych węży strzelały w górę pióropusze wody, która następnie opadała na dogasające płomienie, zmieniając się w gorącą parę.

Sonny oglądał cały ten spektakl z pobliskiej uliczki.

Patrzył i patrzył, aż w końcu wypatrzył tego, na kogo czekał.

Matka opowiadała mu często, że jego ojciec bardzo lubił polować. Zawsze zabierał ze sobą niesfornego labradora o imieniu Bosco, który wystawiał mu ptaki. Ojciec Sonny'ego był dobrym myśliwym - całymi godzinami doskonalił się w swojej sztuce, chociaż, jak doszedł do wniosku Sonny, był to z jego strony poważny błąd, jako że kiedy on i Bosco polowali, jego szanowna małżonka puszczała się z kim popadnie.

Dla odmiany ostatni kochanek matki nigdy niczego nie upolował; nie udało mu się nawet wydostać z płonącej sypialni, o co postarał się już Sonny, wykorzystując w tym celu kawałek mocnego drutu.

Teraz zaś w obłokach dymu i pary spowijających umierający hotel Eagleton Sonny dostrzegł ptaszka, którego osobiście wypłoszył z kryjówki (posługując się ogniem w zastępstwie wesołego, czarnego psiaka): był to Alex, pedalek z wyszczerbionym zębem i znamieniem w kształcie listka na prawej łopacie.

Chłopak stał oparty o latarnię i z trudem chwytał oddech, wpatrywał się w dopalający się właśnie budynek. Prawdopodobnie myślał teraz to samo co wszyscy w podobnej sytuacji: „Mogłem tam zostać. Mogłem tam zginąć. Mogłem...”

-To prawda, ty cioto - szepnął Sonny. - Mogłeś. - Jego wargi znajdowały się tuż przy uchu chłopaka.

Alex odwrócił się gwałtownie.

- Ty... ja...

-A co to ma niby znaczyć? - Sonny zmarszczył brwi. - „Ty... ja...”  
To jakaś pedalska gadka?

Chudy jak szczapa Alex chciał uciekać, ale Sonny rzucił się na niego jak modliszka na swoją ofiarę. Przystawił mu pistolet do skroni, rozejrzał się i wciągnął chłopaka głębiej w wymarłą uliczkę.

-Stary, posłuchaj!

Sonny przesunął lufę za ucho chłopaka i wyszeptał:

- Już nie żyjesz.

Pellam stanął jak wryty i dysząc po długim biegu, oparł się rękoma o siatkę okalającą plac budowy naprzeciwko hotelu Eagleton.

O, nie... Tylko nie to...

Z hotelu została już tylko wypalona skorupa. Przez okna na wyższych piętrach prześwitywało niebo, a szarobrązowy dym wciąż sączył się z martwego serca budynku. Pellam zaczepił mijającego go właśnie ratownika, okrągłego mężczyznę o spoconej, poplamionej sadzą twarzy: - Szukam nastolatka. Blondyn, bardzo szczupły. Mieszkał w tym hotelu. Mógł się przedstawić jako Alex.

Wyczerpany ratownik odparł:

- Przykro mi, proszę pana. Nie opatrywałem nikogo takiego. Ale mamy osiem NDZtów.

Pellam nie zrozumiał. Pokręcił głową.

-Nie do zidentyfikowania - wyjaśnił mężczyzna.

Pellam nie rezygnował i torując sobie drogę przez otumaniony tłum, nadal rozpytywał o chłopaka. Komuś wydawało się, że widział, jak ktoś podobny wydostaje się z płonącego budynku schodami ewakuacyjnymi, ale nie miał stuprocentowej pewności. Ktoś inny, przygodny turysta, poprosił Pellama, żeby ten zrobił mu zdjęcie na tle ruin hotelu i wyciągnął rękę z aparatem. Pellam popatrzył na mężczyznę z niedowierzaniem i minął go bez słowa.

Podszedł bliżej do pogorzeliska, odbił nieco w bok i wydostawszy się z tłumy, niemal wpadł na inspektora Lomaxa. Ten rzucił mu wrogie spojrzenie, ale nic nie powiedział. Po chwili jego wzrok spoczął na czterech leżących na ziemi ciałach. Wszystkie miały kolana i łokcie ugięte i przyciągnięte do klatki piersiowej; na każde narzucono niedbale prześcieradło. Naraz krótkofalówka Lomaxa zatrzeszczała i inspektor podniósł ją do ust.

- Dowódca batalionu melduje, że pożar został ugaszony punktualnie o godzinie osiemnastej.

-Powtórz, inspektorze.

Lomax powtórzył wiadomość i dodał:

- To mi wygląda na podpalenie. Przyślijcie tu zaraz ekipę

techniczną do zabezpieczenia miejsca przestępstwa.

-Zrozumiałem.

Lomax wsunął krótkofalówkę z powrotem za pasek spodni. Człowiek, który na co dzień sprawiał wrażenie wymiętego, teraz przedstawiał sobą obraz nędzy i rozpacz. Przepocona, poplamiona sadzą koszula, podarte spodnie. Do tego rozcięte czoło. Inspektor założył lateksowe rękawiczki, pochylił się, szybkim ruchem zerwał prześcieradło z jednej z ofiar i rozpoczął oględziny zwłok. Pellam odwrócił wzrok, nie mogąc znieść makabrycznego widoku. Nie podnosząc głowy, Lomax odezwał się beznamiętnym tonem: - Opowiem coś panu, panie Szczęściarz.

-Ale...

-Parę lat temu pracowałem w Bronksie. Przy Bulwarze Południowym był taki klub, świetlica. Wie pan, co to jest świetlica, prawda? Miejsce, gdzie schodzą się ludzie, żeby spotkać znajomych, wypić drinka, potańczyć. Nazywało się to „Happy Land”. Pewnej nocy w środku była jakaś setka mężczyzn i kobiet, którzy świetnie się bawili. To była honduraska dzielnica i mieszkali tam dobrzy ludzie. Ciężko pracujący na swoje utrzymanie. Żadnej broni czy narkotyków; chcieli się po prostu trochę zabawić...

Pellam milczał. Spuścił głowę i patrzył na rozgrywający się przed jego oczyma koszmarny spektakl. Choć próbował, nie był w stanie ponownie odwrócić wzroku.

-Był tam taki jeden facet - ciągnął Lomax niesamowitym, głuchym tonem. - Chodził wcześniej z szatniarką, ale go rzuciła. Wtedy upił się, kupił benzyny za okrągłego dolara, a potem wrócił, rozlał ją w holu, podpalił i poszedł do domu. Tak po prostu: podłożył ogień i wrócił do domu. Może poszedł oglądać telewizję, nie wiem. A może najzwyczajniej w świecie chciał zjeść kolację. Nie mam pojęcia.

-Mam nadzieję, że go złapaliście i poszedł siedzieć - wtrącił Pellam.

-Ależ tak, jak najbardziej. Ale nie o tym chcę mówić. Chodzi o to, że w tamtym pożarze zginęło osiemdziesiąt siedem osób. To był największy mord spowodowany przez podpalacza w całej historii Stanów Zjednoczonych. A ja byłem jednym z tych, którzy identyfikowali zwłoki. Niestety, był jeden podstawowy problem



związany z tym, że wszyscy ci ludzie tańczyli.

-Tańczyli?

-Właśnie. Większość kobiet nie miała przy sobie torebek, a mężczyźni zostawili marynarki wraz portfelami na oparciach krzesel. Nie wiedzieliśmy, kto jest kim. Wynieśliśmy więc wszystkie ciała na zewnątrz, ułożyliśmy je w rzędzie i dopiero wtedy nas olśniło: Chryste Panie, przecież nie możemy pozwolić, aby osiemdziesiąt siedem rodzin defilowało po ulicy i oglądało coś podobnego. Zrobiliśmy więc ofiarom zdjęcia polaroidem, po kilka ujęć każdego ciała, i włożyliśmy do albumu, żeby rodziny mogły je obejrzeć. I to ja byłem tym, który potem podsuwał ten album matkom, ojcom, braciom i siostram dzieciaków bawiących się tamtej nocy w „Happy Land”. Może mi pan wierzyć, że nigdy tego nie zapomnę... - Lomax zakrył ciało i popatrzył na Pellama. - A wszystko to z winy jednego człowieka. Jednego świra z kanistrem benzyny za dolara. Ale do czego zmierzam - chcę, żeby pan wiedział, że wystąpię z wnioskiem do zastępcy prokuratora okręgowego, aby Ettie Washington została z powrotem przeniesiona do zwykłego aresztu.

Pellam chciał coś powiedzieć, ale Lomax już pochylał się nad kolejnym ciałem. Z jego ruchów przebijało skrajne zmęczenie.

-Zabiła dziecko - dodał. - W tym momencie wie o tym już każda z zatrzymanych. Daję jej dzień, góra dwa.

Po tych słowach przykucnął i uniósł prześcieradło.

## 21

W kancelarii Louisa Baileya rolety były opuszczone.

Pewnie dlatego, żeby powstrzymać lejący się do środka żar, pomyślał Pellam. Dopiero po chwili zrozumiał, że zaciemnienia dokonano na prośbę niespokojnego człowieka, który przycupnął na skraju rozklekotanego fotela po drugiej stronie biurka. Osobnik ten kręcił się nieustannie i rozglądał po pokoju, zupełnie jakby czuł na sobie spojrzenie snajpera ukrytego w budynku naprzeciwko.

Pellam postanowił go zignorować i zwrócił się do prawnika: - Znalazłem Alexa, ale tamten był ode mnie szybszy.

-Pożar w hotelu Eagleton? - zapytał Bailey, kiwając domyślnie głową.

-Aha.

-Nie żyje?

Pellam wzruszył ramionami. - Być może. A może tylko zwiął, nie wiem. Kilku ofiar dotąd nie zidentyfikowano.

-O mój Boże - jęknął tajemniczy gość. Pellam pomyślał, że mężczyzna załamałby ręce, gdyby nie fakt, że zaciskał je kurczowo na krawędzi siedzenia.

Powtórzył prawnikowi, czego dowiedział się od Lomaxa odnośnie przenosin Ettie.

-O, nie! - wyszeptał Bailey zafrasowany. - To byłoby fatalnie. W ogólnej celi nie przeżyje nawet godziny.

-Cholerny szantażysta - mruknął Pellam. - Możesz go jakoś powstrzymać?

-Jedyne, co mogę zrobić, to grać na zwłokę. Ale prędzej czy później i tak ją przeniosą. Prokurator okręgowy zgodzi się natychmiast, jeśli tylko uzna, że w ten sposób zdoła ją zmusić, żeby wydała im podpalacza. - Zanotował coś na kawałku wypłowiałego papieru kancelaryjnego i przeniósł spojrzenie na swojego niespokojnego gościa. Był to chudy mężczyzna w średnim wieku z komiczną peruczką na głowie, ubrany w spodnie z lekkim połyskiem. Wypisz, wymaluj bywalec dyskotek z lat siedemdziesiątych. Prawnik przedstawił ich sobie.

Newton Clarke uniósł się nieco w fotelu i podał Pellamowi swoją miękką dłoń, po czym natychmiast opadł z powrotem na siedzisko pokryte spękany skajem. Pellam zauważył, że tamten nie patrzył mu w oczy dłużej niż sekundę.

-Newton ma dla nas ciekawe informacje. Zacznij od początku, dobrze? Wina, Pellam? Nie? Jak Boga kocham, żyjesz jak mnich. No dobrze, Newton, mów. Powiedz nam, gdzie pracujesz.

-W kancelarii Pillsbury, Milbank i Hogue.

-To kancelaria Rogera McKennaha. Ta, o której wspominała jego żona.

-Ta sama.

Jak się okazało, do obowiązków Newtona należało prowadzenie biura. Bailey wyjaśnił:

-Umawiają spotkania, pilnują terminów składania wniosków i tak dalej, rozumiesz? Sami nie są prawnikami, chociaż Newton mógłby być prawnikiem, prawda, Newton? Tak dobrze zna się na prawie. - Rzut oka na Pellama. - Ale on woli wykonywać jakiś uczciwy zawód.

Clarke uśmiechnął się nerwowo. Jego spojrzenie poszybowało ku zakurzonemu roletom w oknie, za którymi przemknął jakiś samochód.

Bailey wlał w siebie kolejną porcję wina. - Powiedz nam, co ci wiadomo o Rogerze McKennahu.

-Po pierwsze, ten facet wie o wszystkim, co dzieje się w Hell's Kitchen.

-Zupełnie jak święty Mikołaj, prawda? Patrzy i ocenia... Nie bój się, Newton, nikt się nie dowie o twojej wizycie. Jak będziesz wychodził, przyprawimy ci sztuczny nos i krzaczaste brwi.

Clarke zmusił się do wyprostowania przygarbionych pleców. Z jego warg wyrwał się urywany, bezbarwny śmiech. - Kurczę, Louis, gość jest właścicielem budynku naprzeciwko! Mogliśmy się umówić w jakimś bezpieczniejszym miejscu.

-W Zurychu? A może na Kajmanach? - spytał Bailey kwaśno; Pellam po raz pierwszy słyszał z jego ust podobny ton. - No, mów dalej. Co z tym McKennahem?

Mężczyzna rozkręcił się. Niewątpliwie miał charakter kancelisty - zorganizowany, precyzyjny, konkretny. Doskonały materiał na bohatera dokumentu, pomyślał Pellam - tyle że jego relację trzeba by

widzom dawkować. Przy całej swojej buchalteryjnej dokładności Clarke opowiadał w sposób całkowicie bezbarwny i beznamiętny. A przecież publiczność woli krwiste kłamstwa od banalnej prawdy. Pellam był o tym święcie przekonany.

-Czy mam...?

-Zacznij od początku - poprosił Bailey. - Od samego początku.

-Okej, okej. No, więc tak: pan McKennah wychował się tutaj, w Hell's Kitchen. Był nieokrzesanym chamem, kiedy nagle w wieku dwudziestu kilku lat postanowił odmienić swoje życie. Rzucił dziewczynę, z którą był zaręczony, tylko dlatego, że była Żydówką. - Clarke rzucił okiem na rysy Pellama, najwyraźniej niepewny, czy nie popełnił gafy. Po czym mówił dalej: - Zatrudnił specjalistę od wymowy i ubioru, żeby ten pomógł mu poprawić jego wizerunek i powoli zaczął piąć się w górę na rynku nowojorskich nieruchomości. W wieku dwudziestu trzech lat kupił swoją pierwszą kamienicę we Flatbush, potem następną w Prospect Park, później w Astorii i jeszcze po jednej w Heights i Park Slope. Miał dwadzieścia dziewięć lat i był właścicielem dziewięciu budynków.

-Następnie zastawił wszystkie dziewięć i przeniósł się na Manhattan. Kupił tam kamienicę przy Dwudziestej Czwartej. Nikt jeszcze wtedy nie inwestował w tej części miasta, to były zwyczajne slumsy. Miasto - a dokładnie eleganckie dzielnice handlowe - rozciągało się na południe, aż do Empire State Building i kończyło na linii Wall Street. On jednak kupił tamten budynek i odsprzedał nie komu innemu, jak samej New York Life, słynnej agencji ubezpieczeniowej. To była szybka transakcja za gotówkę. McKennah zgarnął forszę i kupił kolejne dwa budynki, potem trzy, a potem jeszcze sześć. Następnie zbudował swój pierwszy wieżowiec. I dokupił jeszcze dwa. I tak to szło. W tej chwili jest właścicielem sześćdziesięciu czy siedemdziesięciu nieruchomości na północy i wschodzie miasta.

Pellam zaczynał tracić cierpliwość. W końcu nie wytrzymał: - Czy McKennah był kiedykolwiek zamieszany w podpalenie?

-Brawo, chłopcze - mruknął Bailey, kiwając Pellamowi głową. - Widać, że z ciebie prawdziwy filmowiec, od razu przechodzisz do kulminacyjnej sceny.

Clarke zająknął się:

- No cóż...

Umilkł jednak i Bailey musiał go ponaglić: - Śmiało, Newton.

Pellam to swój gość.

-Dobra już, dobra... W dzisiejszych czasach trzeba być ostrożnym. Ciężko jest cokolwiek udowodnić. Tak czy inaczej, ostatnio w mieście miało miejsce kilka nieszczęśliwych wypadków. Paru związkowców... Jeden spadł z trzydziestego piętra wieżowca przy Lexington, a inny, inspektor budowlany, który nie chciał wziąć w łapę, został przygnieciony przez stertę gipsowych płyt. Żaden z tych wypadków oczywiście nie wydarzył się na placu budowy pana McKennaha, ale wszystkie nici i tak prowadzą do niego. Dostawcom, którzy próbowali go przycisnąć, ktoś uprowadził ciężarówki. I faktycznie w kilku miejscach doszło do podpaień - ucierpieli sprzedawcy, którzy ustalali absurdalnie wysokie ceny, ludzie, którzy nie chcieli z nim negocjować. To był podstawowy problem pana McKennaha. Nie ma nic przeciwko negocjacjom, nie przeszkadza mu nawet, jeśli ktoś jest w nich lepszy od niego. Ale nie znosi, kiedy przeciwnik nie chce nawet usiąść z nim do gry.

To się dla niego liczy przede wszystkim. Nie musisz grać czysto, ważne, żebyś grał.

Pellam przypomniał sobie stalowe spojrzenie brunetki z przyjęcia u dewelopera twardy przeciwnik, znający zasady gry.

- Skąd pan to wszystko wie?

-Pellam ma prawo być podejrzliwy, Newton. - Bailey rzucił Pellamowi uspokajające spojrzenie: -Ale nie ma powodów do niepokoju. Źródła Newtona są całkowicie pewne. Kolejna szklanka wina. - Po prostu bez skazy. Podobnie jak motywy, które skłoniły go, żeby nam pomóc, prawda?

Pellam powtórzył zatem wszystko, czego dowiedział się od Jolie, i zapytał: - Jak dokładnie wygląda jego sytuacja? Rzeczywiście jest aż tak źle?

-Jego kasyna generują olbrzymie straty. McKennah jest o krok od bankructwa. I to całkowitego bankructwa. Mam tu na myśli totalną apokalipsę.

-Wreszcie dochodzimy do sedna sprawy, prawda, Newton?

Mężczyzna poprawił peruczkę; skóra głowy musiała go niemiłosiernie swędzieć. - Pan McKennah rozpaczliwie liczy na sukces Tower. - Ruchem głowy wskazał zasłonięte okno, za którym po przeciwnej stronie ulicy wznosił się w górę nowy wieżowiec. - To jego ostatnia deska ratunku - dodał obojętnie.

Następnie wyjaśnił, że już w momencie ukończenia budowy McKennah otrzymał kilkanaście ofert od potencjalnych najemców, ale tak naprawdę interesowała go tylko jedna propozycja agencji reklamy i public relation RAS, która planowała połączyć swoje dotychczasowe oddziały i ulokować je w jednym miejscu. W grę wchodził dziesięcioletni leasing piętnastu pięter, a do tego rok w rok sowite wyrównania z powodu wzrostu kosztów utrzymania. RAS miałyby w sumie płacić McKennahowi roczny czynsz w wysokości ponad 24 milionów dolarów.

Niestety, pracownicy agencji nie byli zachwyceni pomysłem przenosin; niepokoiła ich zwłaszcza perspektywa niebezpiecznych dojazdów ulicami Hell's Kitchen. RAS gotowa była podpisać umowę leasingową z McKennahem pod warunkiem, że ten na własny koszt wybuduje długi na cztery przecznice tunel łączący nowy budynek z kolejową linią dojazdową z Long Island na Penn Station, gdzie mieściła się dodatkowo stacja metra.

Umowę ostatecznie podpisano, a firma deweloperska McKennaha niczym pirania rzuciła się na prawa do gruntów pod budowę tunelu.

Udało im się wynegocjować warunki służebności z właścicielami wszystkich budynków leżących ponad planowaną trasą, oprócz jednego. Chodziło o niewielki spłachetek ziemi przy Trzydziestej Siódmej Ulicy, dokładnie na tyłach działki, na której stała kamienica Ettie.

-Przyznasz, John, że to interesujący zbieg okoliczności - zauważył sucho Bailey. - Ktoś wykupił ten teren dosłownie na trzy dni przed tym, jak firma McKennaha złożyła ofertę kupna dotychczasowemu właścicielowi.

-Krótko mówiąc, ktoś dowiedział się, że McKennah będzie próbował przejąć ten teren. Tylko kto?

-Jimmy Corcoran - odparł Bailey. - I co na to powiesz?

-Corcoran? - Jacko Drugh wspominał mu, że Jimmy i jego brat

mają na oku jakiś grubszy interes. Pellam przypomniał sobie też, jak Jolie mówiła mu o tajemniczych nocnych spotkaniach swojego męża.

A więc Corcoran próbuje się układać z Rogerem McKennhem...  
To dopiero niespodzianka.

Bailey mówił dalej:

- Jimmy praktycznie go szantażuje. Wie, że bez praw do tej działki McKennah nie zbuduje tunelu. A jeśli nie będzie tunelu, całą umowę z RAS diabli wezmą i McKennah będzie zmuszony ogłosić bankructwo.

-Sprawa wygląda tak - wtrącił Clarke, okazując wreszcie jakieś ożywienie. - Corcoran wykupił teren, na którym zależało McKennahowi. Oczywiście, był skłonny zgodzić się na leasing - tyle że nie zamierzał poprzestać na zwykłej opłacie. Zażądał od McKennaha udziału w zyskach, a dokładnie jednego procenta przychodów generowanych przez tę nieruchomości! Genialnie to sobie wykombinował, bo wygląda na to, że McKennah Tower będzie rocznie przynosić blisko sto dwadzieścia milionów zysku z samego tylko czynszu.

-Ten irlandzki świr zainkasuje rocznie milion dwieście tysięcy - dodał Bailey.

Clark ciągnął:

- Jak dotąd pan McKennah nigdy nie dopuścił nikogo do udziału w zyskach. Wyraźnie widać, jak bardzo jest zdesperowany.

Pellam przetrwał przez chwilę tę informację. Potem odezwał się:

-A kamienica Ettie - ta, która spłonęła - stała dokładnie pomiędzy Tower i działką Corcorana?

-Zgadza się - przytaknął Bailey.

-McKennah musi dokończyć budowę tunelu. Żeby to zrobić, potrzebuje tego ostatniego kawałka układanki.

-Na to wygląda.

-Więc może sprawy potoczyły się tak? - zadumał się Pellam. - McKennah dogadał się z właścicielem - Fundacją Świętego Augustyna - i dostał od nich zgodę na budowę tunelu. Ale okazało się, że nie można kopać pod budynkiem. Może był zbyt stary, może jego konstrukcja groziła zawaleniem. W każdym razie McKennah zapłacił piromanowi, żeby ten puścił kamienicę z dymem i upozorował wszystko tak, żeby obciążyć winą Ettie. Teraz on może spokojnie

budować swój tunel, a fundacja ma za co postawić nowy budynek.  
Clarke wzruszył ramionami.

- Wiem tylko to, co już wam powiedziałem. Jeszcze nigdy nie widziałem go tak zdesperowanego.

Pellam zapytał go:

- Co się właściwie stanie, jeśli ta umowa z agencją nie wypali?

- Tuzin banków zacznie się domagać od McKennaha spłaty kredytów. Wszystkie mają zabezpieczenia hipoteczne - szepnął z przejęciem Clarke, zupełnie jakby zdradzał sekret czyjejś wstydlivej choroby. - McKennah zbankrutuje. Już w tej chwili jest zadłużony na półtora miliarda, którego nie ma z czego spłacić.

- Fatalna sytuacja - mruknął Pellam.

Bailey zwrócił się do Clarke'a: - Dowiedziałeś się może czegoś na temat przejęcia praw do działki pod spaloną kamienicą?

- Niestety nie. McKennah nie zdradza swoich atutów. Jego wspólnicy ciągle narzekają, że o niczym ich nie informuje.

Bailey skrzywił się.

- Ciężka sprawa, co? No, nic, Newton, wracaj do kieratu.

Clarke zawahał się, wbijając wzrok w zakurzoną wykładzinę.

- Coś jeszcze? - zainteresował się Pellam.

Kiedy Clarke w końcu się odezwał, nie patrzył na niego, tylko na Baileya.

- On krzywdzi ludzi. Mówię o panu McKennahu. Wrzeszczy na nich i wyrzuca z pracy, jeśli nie robią dokładnie tego, co im każe - nawet jeśli później okazuje się, że jednak nie miał racji. Zdarza mu się wpadać w szał. I potrafi się mścić. - Jego spojrzenie spoczęło przelotnie na twarzy Pellama. - Niech pan... na siebie uważa. To bardzo mściwy człowiek. Prawdziwy tyran.

Pod pozorem ostrzeżenia kryło się coś jeszcze. Wyraźna prośba: zapomnij, że kiedykolwiek słyszałeś nazwisko Newton Clarke.

Potem mężczyzna wstał i pośpiesznie wyszedł, stąpając niemal bezgłośnie w swoich dyskotekowych pantoflach po brudnym linoleum.

- No, to mamy motyw - zauważył Pellam.

- Chciwość. Najstarszy z motywów. I najlepszy. - Bailey po raz kolejny dolał sobie wina. Uchylił nieco roletę i zerknął na plac budowy.

Pellam dodał: - Musimy się dowiedzieć, czy McKennah przejął



prawa do działki pod kamienicą Ettie. Dyrektor fundacji powinien to wiedzieć. Ojciec... jak mu tam? Oddzwonił, tak jak obiecał?

-Nie.

-No, to spróbujmy jeszcze raz go namierzyć.

Bailey pokręcił głową.

- Chyba nie powinniśmy mu ufać. Ale sprawdzić mogę.

-Cleg? - podsunął Pellam. Chudy jak patyk, uzbrojony w niezawodny arsenał butelek koniarz.

-Nie tym razem - odparł Bailey. - Sam się tym zajmę. Możemy się tu spotkać, powiedzmy, o ósmej?

-Jasne.

Bailey podniósł wzrok znad biurka i napotkał spojrzenie Pellama. - Myślisz, że zbyt gruboskórnie się z nim obszedłem? Mówię o Newtonie.

Pellam wzruszył ramionami.

- Nareszcie odkryłem twój sekret, Louis. Już wiem, na czym on polega.

-Czyżby?

-Akumulujesz długi.

Prawnik pociągnął łyk wina i chichocząc, pokiwał głową.

- Już dawno przekonałem się o wartości długów. Co daje władzę człowiekowi, prezydentowi, królowi, prezesowi firmy? To, że ludzie coś mu zawdzięczają - swoje życie, stanowisko, wolność. Ot, i cała filozofia. Człowiek, który potrafi manipulować swoimi dłużnikami, najdłużej zachowa nad nimi władzę.

Mlecznobiałe kostki lodu, pobrzękując z cicha, zderzały się ze sobą na powierzchni bladożółtego wina.

-A jaki dług ma u ciebie Clarke?

-Newton? Och, ogólnie mówiąc, jest mi winien jakieś trzydzieści tysięcy dolarów. Kiedyś pracował jako pośrednik w nieruchomościach. Parę lat temu zaproponował mi wspólną inwestycję, w której utopiłem sporą część życiowych oszczędności. Później okazało się, że to jedna wielka lipa. Clarkiem zainteresował się Prokurator Generalny i Komisja Papierów Wartościowych, a ja straciłem pieniądze.

-I to ma być forma odpłaty?

-Jeśli o mnie chodzi, informacje to towar przetargowy. Szkoda

tylko, że żaden z jego pozostałych dłużników nie podziela mojego zdania.

-To ile jeszcze jest ci winien?

Bailey roześmiał się. - Już dawno spłacił cały dług, tylko rzecz jasna nic o tym nie wie. I nigdy się nie dowie. Długi to piękna rzecz - pozostają nawet, gdy już dawno je spłacisz.

Nikt nie zwrócił uwagi na młodego człowieka, który wtoczył po rampie dwustulitrową metalową beczkę z płynem do czyszczenia. Było wpół do ósmej i zapadał zmrok, ale Trzydziesta Szósta Ulica była rozświetlona jak w czasie karnawału. Robotnicy spieszyli się, żeby zdążyć z przygotowaniami przed uroczystą ceremonią otwarcia McKennah Tower.

Ubrany w biały kombinezon Sonny zatrzymał się przed frontowymi drzwiami i postawił wózek w pozycji pionowej. Popatrzył na sfatygowaną tabliczkę z informacją: „Louis Bailey, adwokat”. Przez chwilę nasłuchiwał, ale za drzwiami panowała cisza. Zapukał w nie kilka razy, a kiedy nikt nie odpowiedział, bez trudu wyłamał zamek - była to umiejętność, której nie posiadał, zanim nie trafił do domu poprawczego - i wtoczył wózek do środka.

Tym razem był już nie na żarty wystraszony. Pożar w hotelu Eagleton postawił na nogi całą policję i straż pożarną w mieście. Jeszcze nigdy nie widział, żeby tylu gliniarzy i inspektorów straży pożarnej kręciło się po West Side. Posuwali się nawet do zatrzymywania przejeżdżających samochodów i przeszukiwania kierowców. Deptali mu po piętach, a on za wszelką cenę musiał ich powstrzymać. Tymczasem zaś lokalną sensacją stało się opublikowanie szkicu jego portretu pamięciowego.

Powróciło drżenie rąk, pot znowu zalewał mu twarz.

Pojawiły się też łzy. Frustracja i strach były tak silne, że w drodze na miejsce, pchając ciężki wózek od siebie z domu Dziewiątą Aleją, Sonny raz czy dwa razy przyłapał się na tym, że płacze.

Wszedł teraz do środka i postawił wózek z beczką obok biurka prawnika. Potem usiadł w obrotowym fotelu. Sztuczna skóra, pomyślał z pogardą. Agentka Scullery - teraz już nie tak postawna i harda, jak wtedy, gdy patrzyła na niego z góry, jakby był niewiele większy od wiewiórki - miała znacznie lepszy gust w kwestii wystroju wnętrza.

Mimo wszystko jednak Sonny był zadowolony. W biurze znajdowało się mnóstwo papierów. Nigdy przedtem nie spalił kancelarii adwokackiej i dopiero teraz zdał sobie sprawę, jakie to będzie łatwe; przy takiej ilości podpałki ogień powinien rozprzestrzenić się błyskawicznie.

Zdjął z półki kilka książek i kolejno je przekartkował, wodząc wzrokiem po linijkach szarego druku. Oczywiście nie miał pojęcia, co znaczą te wszystkie dziwne słowa. Dawniej bez przerwy czytał książki (choć wolał, kiedy matka mu je czytała), ale to było całe wieki temu. Teraz uświadomił sobie, że czytanie już go nie interesuje. Był ciekaw, dlaczego tak jest. Nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz przeczytał jakąś książkę. Na pewno bardzo dawno temu. Co to mogło być?

Gruby tom wysunął mu się z ręki.

Już pamiętał. To była autentyczna historia pożaru w cyrku braci Ringling, w Hartford w 1944 roku. Ponad sto pięćdziesiąt osób zginęło, gdy w ciągu kilku minut olbrzymi cyrkowy namiot stanął w płomieniach. Szef orkiestry kazał grać „Stars and Stripes Forever” - znany marsz tradycyjnie ostrzegający o niebezpieczeństwie - żeby uprzedzić artystów i pracowników cyrku o nadciągającej pożodze, ale niewielu z nich zdołało się uratować. Sonny zapamiętał zwłaszcza przypadek „Małej Miss numer 1565”, która została stratowana przez uciekającą publiczność. Jej ciało udało się zidentyfikować, ale nikt nigdy się po nie nie zgłosił.

Skończywszy książkę, Sonny długo zastanawiał się, dlaczego wcale nie było mu żal tamtej dziewczynki.

Teraz otrząsnął się z zadumy i skoncentrował na swoim zadaniu.

Na blacie znalazł świstek pożółkłego papieru z zanotowanym nazwiskiem Pellama i numerem telefonu. Nocny kowboj, przeklęty pedał, Antychryst... Dłonie znów zaczęły mu się trząść, czoło zrosił pot, do oczu napłynęły łzy...

Dosyć, dosyć, dosyć, dosyć, dosyć, dosyć!

Chwilę to trwało, zanim Sonny ochłonął. Trzeba wziąć się do roboty, zająć myśli czymś innym. Wykręcił żarówkę z lampy stojącej na biurku, ostrożnie otworzył plecak i wyjął jedną ze swoich magicznych żarówek. Była wielka, ciężka i wypełniona tłustym,

mlecznym sokiem. Odłożył ją delikatnie na blat, pochylił się nad metalową beczką i z kieszeni kombinezonu wydobył klucz francuski. Następnie powoli zaczął podwierać wieko.

## 22

Iskry strzelały wysoko w górę, sypiąc się ognistą kaskadą z dachu McKennah Tower, jakieś dwieście metrów nad jego głową. Pellam widział dziesiątki maleńkich słońc żarzących się w miejscach, gdzie pracowali spawacze.

Pomyślał o Carol Wyandotte i przypomniał sobie, że już raz, w drodze do jej mieszkania, zwrócił uwagę na ten zdumiewający budynek. To było tego dnia, gdy został u niej na noc.

Wracał właśnie z ośrodka pomocy młodzieży, gdzie miał nadzieję ją spotkać, okazało się jednak, że wyszła już do domu. Asystentka poinformowała go, że Carol cały dzień spędziła w sądzie. Jeden z dzieciaków pomieszkujących w ośrodku zaatakował nożem gliniarza w cywilu podczas policyjnej prowokacji dotyczącej handlu narkotykami. Carol przez sześć godzin przekonywała zastępcę prokuratora okręgowego, tłumacząc, że chłopak był zwyczajnie przerażony i wcale nie chciał zamordować funkcjonariusza.

To nie był udany dzień i Carol wróciła z sądu bardzo zdenerwowana, oznajmiła Pellamowi asystentka. Nie, nie zostawiła dla niego żadnej wiadomości. Nie nagrała się też na jego domową sekretarkę.

Teraz szedł do biura Louisa Bailey'a na umówione wcześniej spotkanie. Odwrócił wzrok od zwieńczenia wieżowca i jeszcze raz popatrzył na tablicę reklamową, którą widywał dziesiątki razy, odwiedzając Ettie. Widniała na niej reklama inwestycji McKennah Tower. Pellam zauważył, że pod kuszącym zdjęciem budynku wypunktowano najważniejsze informacje na jego temat. 60-piętrowy gmach miał być komputerowo sterowany („inteligentny” budynek), miało się w nim znajdować olbrzymie atrium o powierzchni trzech tysięcy metrów kwadratowych, pneumatyczny system automatycznego usuwania nieczystości, fachowo zaprojektowany ogród, teatr godny Broadwayu na pięć tysięcy miejsc, ekskluzywna restauracja i eleganckie butik. Wieżowiec miał być ponadto wyposażony w wodooszczędne toalety i samoprogramujące się windy oraz mieć najwyższy współczynnik izolacyjności.

Wszystko to jednak było niczym w porównaniu z szokującymi faktami, które przekazał Pellamowi Louis Bailey. Chodziło mianowicie o rewelacje dotyczące potajemnych układów McKennaha z ratuszem, komisją planowania przestrzennego, zarządem nieruchomości, komisją ochrony zabytków, zarządem transportu miejskiego, skarbowką, związkami, Clinton Community Association, klubem demokratów z West Side - układów, w efekcie których każdy centymetr kwadratowy budynku został kupiony, sprzedany albo zastawiony w zamian za ulgi podatkowe, obietnice kontraktów, robót publicznych, remontów chodników, poprawy zatrudnienia oraz - jakże by inaczej - żywą gotówkę wciskaną w wyciągające się gorliwie dłonie. Można to było nazwać dobrowolnym datkiem na cele społeczne albo... zupełnie inaczej. Tak czy owak, jeśli chodzi o budzenie silnych emocji, ostateczny kształt monumentalnej budowli nie mógł się nawet równać z zakulisowymi intrygami, które doprowadziły do jej powstania.

Może pewnego dnia nakręci dokument o budowie podobnego wieżowca. Zatytułuje go: „Drapacz chmur”.

A filmowi będzie towarzyszyła książka jego autorstwa...

Pellam odwrócił się plecami do placu budowy i wszedł do budynku, w którym mieściła

się kancelaria Louisa Baileya. Zdziwił się, widząc uchylone drzwi; widoczne w szparze pomieszczenie spowijał mrok. Pellam zmrużył oczy i dojrzał zarys sylwetki Baileya pochylonego nad biurkiem. Głowa prawnika spoczywała na jakimś kodeksie i Pellam natychmiast pomyślał z irytacją: „Cholera, upił się do nieprzytomności”. W powietrzu unosiła się kwaśna woń wina.

I czegoś jeszcze. Co to mogło być? Płyn do czyszczenia? Z pewnością jakiś silny środek chemiczny.

-Cześć, Louis - zawołał. - Pora wstawać! Co tak siedzisz po ciemku?

Jednocześnie przycisnął przełącznik na ścianie.

Wybuch był zadziwiająco cichy, niewiele głośniejszy od dźwięku, jaki wydaje pękająca nadmuchana torebka, ale kula ognia, która wyskoczyła z lampy, była po prostu olbrzymia.

Jezu Chryste!

Płonący płyn błyskawicznie rozlał się po blacie biurka, spowijając

lepkim płaszczem ciało prawnika, który drgnął i odskoczył do tyłu, wijąc się w przerażających konwulsjach. Jego twarz i klatka piersiowa płonęły białym ogniem, a z gardła wydobywał się rozpaczliwy, zwierzęcy krzyk. Nagle Bailey zniknął za biurkiem i zaczął desperacko tarzać się po podłodze. Obcasy jego butów wybijały głuchy rytm, a ręce wywijały opętańczego młynka, usiłując zdławić płomień.

Pellam wpadł do sypialni w poszukiwaniu koca czy ręcznika, przy pomocy którego dałoby się ugasić ogień. Zanim jego dłonie namacały starą kapę, całe pomieszczenie wypełnił dym - ohydne, gęste kłęby dymu z palonego mięsa.

-Louis! - Pellam narzucił kapę na ciało prawnika, lecz ta natychmiast się zajęła, ginąc w momentalnie rozprzestrzeniającym się morzu ognia. Pellam chwycił za telefon i szybko wybrał numer 911. Ale w słuchawce panowała głucha cisza; ogień zdążył właśnie strawić przewód aparatu. Pellam rzucił go na ziemię i wybiegł na korytarz. Tam wcisnął przycisk alarmu pożarowego i porwał ze ściany staroświecką gaśnicę. Wpadł z powrotem do biura, odwrócił gaśnicę i skierował syczący strumień wody prosto w rozszalałe płomienie.

W miarę jak przygasały, otaczała go coraz gęstsza chmura; czarny dym wciskał mu się do płuc, dławił, uniemożliwiał oddychanie. Pellam zaczął się krztusić. Przed oczyma wirowały mu tysiące czarnych punkcików. Mimo to niezmordowanie ścisnął w rękach gaśnicę, pokrywając kaskadą szarej wody drżącą, ciemną masę, jaką było teraz ciało Baileya.

Biurko i regał z książkami wciąż stały w ogniu, więc Pellam skierował na nie strumień wody z gaśnicy. Płomienie zaczęły się cofać, lecz równocześnie cały pokój wypełniał coraz gęstszy i bardziej gryzący dym.

Pellam splunął śliną czarną jak ropa naftowa, odrzucił pusty zbiornik i potykając się, wybiegł na zewnątrz w nadziei znalezienia kolejnej gaśnicy. Korytarz pełen był ludzi próbujących wydostać się z płonącego budynku. Chciał do nich zawołać, ale głos odmówił mu posłuszeństwa. Poczował, że zaczyna się dusić. Tu, na korytarzu, było nieco więcej świeżego powietrza, ale wszędzie czuło się dym i swąd śmierci w ognistej połodze.

W końcu jego płuca się poddały. Pellam odwrócił się, zatoczył i

chwiejąc się, zrobił krok w stronę wyjścia. W progu zamajaczyła postać strażaka.

-Tutaj! - zawołał Pellam i osunął się zemdłony na podłogę.

Chciwie wciągał powietrze przez maskę; oszołomienie wywołane zaccadzeniem z wolna ustępowało miejsca oszołomieniu spowodowanemu nadmiarem czystego tlenu.

Wokół niego migotały dziesiątki świateł. Wozy strażackie, karetki pogotowia, samochody policyjne. Jaskrawe, białe światła. I czerwone, i niebieskie.

-Nic panu nie będzie - odezwał się pocieszająco sanitariusz, młody mężczyzna z cienkim, jasnym wąsikiem. U pasa dyndały mu rozmaite przyrządy medyczne i to zapewne one również wypychały mu kieszenie spodni. - Niech pan spokojnie oddycha. No, śmiało. Oddychamy, oddychamy!

Mężczyzna zanotował coś w karcie, po czym poświecił Pellamowi w oczy cieniutką latarką i zmierzył mu ciśnienie.

-Wszystko w porządku - oznajmił wysokim głosem.

W tej samej chwili powróciło koszarne wspomnienie pożaru. - On nie żyje, prawda?

-Ten drugi? Niestety, nie miał żadnych szans. Ale z dwojga złego dobrze się stało, może mi pan wierzyć. Miałem już do czynienia z ofiarami poparzeń. Lepiej dla niego, że od razu umarł, niż miałby cierpieć z powodu zakażeń i odrzuconych przeszczepów skóry.

Pellam spojrział w bok i zobaczył nieruchomy kształt przykryty prześcieradłem.

Zastanawiał się właśnie, jak przekazać Ettie smutną nowinę Ośmierci Louisa Baileya, gdy naraz czyjaś dłoń dotknęła lekko jego ramienia. Ktoś przykucnął z wysiłkiem tuż obok niego.

Pellam usłyszał głos:

- No i jak się czujesz?

Dym wciąż szczypał go w oczy, wyciskał łzy. Pellam otarł je wierzchem dłoni. Wszystko było zamglone. Dopiero po chwili odzyskał ostrość widzenia i ujrzał nad sobą twarz. Szok niemal pozbawił go tchu. Pellam wyszeptał: - To ty! Ty żyjesz!

-Ja? - zdziwił się Louis Bailey.

-To nie ty. Myślałem, że ten tam, to ty... - Bełkocząc, Pellam



wskazał nieruchome ciało.

Bailey sapnął:

- Niewiele brakowało. Ale to ten piroman.

- Podpalacz?!

Adwokat skinął głową.

- Inspektor uważa, że próbował zastawić pułapkę. Domyślam się, że chciał wykończyć nas obu naraz.

- Włączyłem światło i żarówka wybuchła - wyszeptał Pellam i zaniósł się kaszlem.

- Sukinsyn popełnił błąd. Powinien był najpierw wyłączyć lampę z kontaktu - warknął ktoś gniewnie. To był Lomax. Podszedł do obu mężczyzn. - Prędzej czy później każdy piroman robi się nieostrożny. Tak samo, jak seryjny morderca. Instynkt bierze w nich górę nad rozsądkiem i przestają zwracać uwagę na detale. - Pokazał im trzymany w ręku plastikowy worek. - Pozamykał wszystkie okna w biurze.

W środku nie było wentylacji, a on pracował nad otwartą beczką tego cholernego świństwa i najprawdopodobniej zatruł się oparami. Zemdlał, a kiedy nasz pan Szczęściarz wszedł do środka i zapalił światło, zrobiło się małe bum.

- Kto to był? - zapytał Pellam.

Inspektor uniósł w górę nadpalony skórzany portfel w plastikowym worku.

- Jonathan Stillipo Junior. Słyszeliśmy o nim już wcześniej. W środowisku znany był jako Sonny. Zaliczył odsiadkę w poprawczaku za puszczenie z dymem domu swojej matki na północy stanu. Tak się nieszczęśliwie złożyło, że jej kochanek był akurat zamknięty w sypialni na gorze. Gość pasował do profilu typowego podpalacza. Maminsynek, odmieniec w szkole, problemy z tożsamością seksualną. W college odstawiał tak zwane pokazówki: podkładał ogień, żeby własnoręcznie bohatercko ugasić pożar. Od tamtej pory podpalał dla zabawy i dla pieniędzy. Mieliśmy go na liście potencjalnych podejrzanych i chcieliśmy przesłuchać w związku z ostatnimi pożarami, ale jakiś czas temu jakby zapadł się pod ziemię i dobrze zatarł za sobą wszelkie ślady. A to znaleźliśmy w tylnej kieszeni jego spodni. Można jeszcze co nieco odczytać.

Pellam spojrział na nadpalony plan miasta. Wzięte w kółka krzyżyki znaczyły miejsca ostatnich pożarów: stację metra przy Ósmej Alei, dom towarowy. Dwa z nich nie były zakreślone i Pellam domyślił się, że to miały być kolejne cele piromana. Jeden z krzyżyków zaznaczał budynek, w którym mieściła się kancelaria Louisa Bailey'a. Drugi centrum konferencyjne Javitsa.

-Dobry Boże - westchnął Bailey. Centrum konferencyjne dysponowało największą salą w Nowym Jorku.

Lomax dodał:

- Jutro miały się tam odbyć targi mody. Wzięłyby w nich udział dwadzieścia dwa tysiące ludzi. To byłoby największe podpalenie w historii świata.

-Na szczęście ten świr już nie żyje - zauważył Pellam i zaraz dodał: - Domyślam się, że teraz nie zezna, kto go wynajął. - Zauważył, że prawnik i inspektor wymieniają ukradkowe spojrzenia.

-Co jest, Louis? - zapytał niespokojnie.

Lomax skinął na umundurowanego policjanta, który zbliżył się i podał mu kolejny plastikowy worek.

-To również było w jego portfelu.

W worku znajdowała się kartka papieru. Plastik zaszeleścił złowrogo. Pellama przeszedł dreszcz; przypomniał mu się odgłos zalewanych wodą płomieni. Przed oczyma stanęło mu wstrząsane konwulsjami ciało Sonny'ego. Poczł odrażający swąd spalenizny.

Wziął do ręki worek, który podał mu inspektor, i przeczytał: Masz tu dwa tysiące, tak jak się umawialiśmy. Postaraj się nikogo nie skrzywdzić. Zostawię uchylone drzwi - te od piwnicy, na tyłach budynku. Resztę dostaniesz, jak wypłacą mi odszkodowanie. Ettie

## 23

Pellam podniósł się niezgrabnie, upuszczając na chodnik maskę tlenową.

-To fałszerstwo - powiedział szybko. - To zwykle...

-Już z nią rozmawiałem, Pellam - wtrącił się Louis Bailey. - Przez dziesięć minut rozmawialiśmy przez telefon.

-Rozmawiałeś z Ettie?

-John, ona się przyznała - oznajmił cicho adwokat.

Pellam nie był w stanie oderwać oczu od ciała Sonny'ego. Z niejasnego powodu prześcieradło - używane na co dzień przez tych, którzy tylko śpią - wydało mu się nagle bardziej przerażające niż zwęglone ciało.

Bailey mówił dalej:

- Powiedziała, że nie sądziła, iż komukolwiek może stać się krzywdą. Nie chciała nikogo zabić. I ja jej wierzę.

-Przyznała się?! - wyszeptał Pellam. Odchrząknął głośno i splunął. Zaczął kasłać i jeszcze raz splunął. Z trudem odzyskał oddech. - Muszę się z nią zobaczyć, Louis.

-To chyba nie jest najlepszy pomysł.

Pellam zniecierpliwiał się.

- Zastraszili ją. Albo zaszantażowali. - Ruchem głowy wskazał stojącego na krawężniku Lomaxa, który rozmawiał właśnie ze swoim asystentem-osiłkiem. Inspektor słyszał go, ale nie zareagował. Dlaczego miałyby to robić? Miał już swojego piromana. Miał też w garści kobietę, która go wynajęła. Lomax sprawiał wrażenie niemal zażenowanego desperackimi oskarżeniami Pellama.

Stary prawnik odparł ze znużeniem:

- John, nie ma mowy o żadnym wymuszaniu zeznań.

-A kasjer? Ten, który dokonał wypłaty? Powinniśmy z nim pogadać.

-Kasjer rozpoznał Ettie na zdjęciu.

-Próbowałeś sztuczki z Ellą Fitzgerald?

Bailey milczał.

Pellam zapytał go:

- Czego się dowiedziałeś w ratuszu?

-Na temat tunelu? - Bailey wzruszył ramionami. - Niczego. Nie ma śladu po jakimkolwiek dokumencie potwierdzającym służebność terenu albo leasing praw do działki pod kamienicą Ettie.

-Na pewno McKennah...

-John, to już skończone.

Po drugiej stronie ulicy rozległ się ogłuszający ryk klaksonu. Pellam nie wiedział, co to miało oznaczać. Robotnicy nie zwrócili uwagi na ten sygnał. Plac budowy wciąż był ich pełen. Nawet o tej porze.

-Niech już lepiej odsiedzi swoje - mruknął Bailey. - To więzienie o podwyższonym rygorze, będzie tam bezpieczniejsza. Dostanie ochronne odosobnienie.

Co oznaczało stały pobyt w izolatce. Tak przynajmniej było w San Quentin, zgodnie z tym, co twierdził wydział więziennictwa stanu Kalifornia. Izolatka... najgorsza niewola z możliwych. Dusze więźniów obumierały w samotności, nawet jeśli ich ciała zdołały ją przetrwać.

-Potem wyjdzie - ciągnął Bailey - i będzie po sprawie.

-Czyżby? - spytał Pellam. - W tej chwili ma siedemdziesiąt dwa lata. Kiedy najwcześniej będzie mogła się ubiegać o zwolnienie warunkowe?

-Prawdopodobnie po ośmiu latach.

-Jezu Chryste...

-Pellam, może powinieneś trochę odpocząć? Wyjechać gdzieś na urlop?

Pellam nie miał wątpliwości, że tak się właśnie stanie, chociaż jego urlop będzie przymusowy. W obecnej sytuacji „Na zachód od Ósmej” nie miało szans na powstanie.

-Zawiadomiłeś jej córkę?

Bailey przekrzywił głowę.

- Czyją córkę?

-Ettie... Dlaczego tak na mnie patrzysz? - zdziwił się Pellam.

-Ettie od lat nie ma żadnych wiadomości od Elizabeth. Nie miałyby pojęcia, gdzie jej szukać.

-Mówiła mi, że kilka dni temu z nią rozmawiała. Podobno jest w Miami.

-Pellam... - Bailey wolnym ruchem potarł dłonie. - Gdy w latach osiemdziesiątych zmarła matka Ettie, Elizabeth ukradła całą biżuterię babki i wszystkie oszczędności Ettie, a potem zniknęła. Wyjechała z jakimś facetem z Brooklynu. Wybierali się do Miami, ale nikt nie wie, gdzie tak naprawdę wylądowali. Od tamtej pory Ettie nie ma z córką żadnego kontaktu.

-Ale mnie powiedziała...

-Że Elizabeth prowadzi w Miami pensjonat? Albo że jest właścicielką sieci restauracji?

Pellam zapatrzył się na grupę robotników w kaskach ochronnych, dźwigających na plecach płyty gipsowe. Przenosili je na tyły wieżowca. Płyty sprężynowały to w górę, to w dół, na podobieństwo olbrzymich skrzydeł. Dopiero po chwili odparł: - Powiedziała mi, że ona jest agentką nieruchomości.

-Och. To też już słyszałem.

-To nieprawda?

-Myślałem, że wiesz. Właśnie dlatego tak bardzo niepokoił mnie ten motyw - próba wyłudzenia pieniędzy z ubezpieczenia. Przed rokiem Ettie zgłosiła się do mnie i oznajmiła, że chce wynająć prywatnego detektywa, żeby odszukał Elizabeth. Podejrzewała, że jest gdzieś w Stanach, ale nie wiedziała, gdzie. Ostrzegłem ją, że to może kosztować nawet piętnaście tysięcy, a może więcej. Odparła, że jakoś zdobędzie pieniądze. Była gotowa na wszystko, byle tylko odnaleźć córkę.

-Więc to nie Elizabeth pokrywa koszty twojego honorarium?

-Mojego honorarium? - Bailey zaśmiał się z cicha. - Nigdy nie wziąłbym od Ettie ani centa. Robię to za darmo.

Pellam przetarł piekące oczy. Przypomniał sobie dzień, w którym po raz pierwszy spotkał się z Baileyem w barze. W jego śródmiejskim „oddziale”.

Czy jesteś zupełnie pewien, że chcesz się w to angażować?

Sądził wówczas, że stary prawnik ostrzega go po prostu przed niebezpieczeństwami czyhającymi na niego w Hell's Kitchen.

Tymczasem najwyraźniej chodziło mu o coś całkiem innego; Bailey znał Ettie lepiej, niż Pellam przypuszczał.

Podszedł wolno do miejsca, w którym stała niegdyś kamienica

Ettie, i popatrzył na rozpościerający się przed nim pusty teren. Ziemię niemal zupełnie wyrównano. Przy krawężniku zatrzymała się zdezelowana furgonetka, wysiadło z niej dwóch mężczyzn. Podeszli do niewielkiej sterty gruzu i wyciągnęli z niej kawałek wapiennego gzymsu z głową lwa. Odkurzyli go z pyłu i wspólnymi siłami zatargali na pakę samochodu. Najprawdopodobniej trafi do jednego ze sklepów w centrum sprzedających stare ciekawostki architektoniczne, gdzie zostanie wyceniony na tysiąc dolarów. Mężczyźni rozejrzeli się jeszcze po rumowisku, ale nie znaleźli nic ciekawego i odjechali.

Bailey zawołał jeszcze za nim:

- Odpuść sobie, Pellam. Wracaj do domu. Odpuść sobie.

W związku z akcją policyjną stacja metra przy Ósmej Alei tymczasowo nie obsługuje podróżnych.

Przepraszamy za powstałe niedogodności.

Podróżnym zaleca się...

Przez chwilę John Pellam zastanawiał się, czy jednak nie zaczekać, ale podobnie jak większość osób korzystających z usług Miejskiego Przedsiębiorstwa Transportowego zdawał sobie sprawę, że przeznaczenie jest motorem większości podróży. Zdecydował, że pójdzie pieszo do centrum, gdzie złapie autobus, który zawiezie go w kierunku wschodnim, do jego mieszkania.

Wysiadł z brudnego wagonu metra i wspinał się po schodach na górę.

Na zachód od Ósmej Alei sklepy były już pozamykane, a metalowe kraty opuszczone na witryny.

Wieczór już zapadł i niebo rozświetlało teraz sztuczne słońce - miliony wielkomiejskich świateł, migotliwa poświata ciągnąca się od rzeki do rzeki. Wstanie świt, a ta ognista kopuła wciąż będzie się unosić nad miastem.

-Halo, kochanie! Masz ochotę na randkę?

Na zachód od Ósmej Alei od dawna leżały w łózkach. Mężczyźni zjedli gorącą kolację i siedzieli teraz w swoich wytartych fotelach, wciąż obolali po całodziennej harówce w firmach kurierskich i przewozowych, na poczcie, w magazynach albo restauracjach. Inni ślaniali się po wielu godzinach przesiedzianych w barze, gdzie roztrwonili kolejny dzień, gawędząc, kłócąc się, śmiejąc i dumając, jak

to możliwe, że miłość i poczucie sensu życia całymi latami tak uporczywie im się wymykają. Niektórzy z nich siedzieli już z powrotem w tych samych barach, wróciwszy tam po wieczornym posiłku spożytym w towarzystwie milczącej żony i hałaśliwych dzieci.

W ciasnych mieszkankach kobiety zmywały plastikowe naczynia, rozstawiały dzieci po kątach, rozmyślały o cenach jedzenia i z bolesną zawiścią zachwycały się aparycją, strojami i dylematami bohaterów telewizyjnych programów.

Noc była rozpalona jak piec, a w starych kamienicach nie podłączono klimatyzacji. Szum wentylatorów wypełniał więc większość lokali; w niektórych nawet tego brakowało.

-Jestem chory. Jestem bezrobotny. Jestem...

Za zachód od Ósmej gromadki ludzi przesiadywały na progach domów. Rozżarzone punkciki papierosów wędrowały z ust do ust. Światła przejeżdżających samochodów odbijały się bursztynowo w szkle butelek po piwie; odstawiane na betonowe stopnie, wydawały coraz to inny dźwięk w miarę, jak ubywało ich zawartości. Szum prowadzonych rozmów z trudem przebijał się ponad uliczny szum dobiegający z autostrady West Side Highway, którą pomimo późnej godziny tysiące aut wciąż umykało z miasta.

-Człowieku, daj ćwierć dolara na coś do jedzenia. Papierosa? Nie, już mam. Trudno, dobrej nocy. Niech cię Bóg błogosławi.

Okna kamienic rozbłyskiwały telewizyjną poświatą, której odcień zamiast niebieskiego często bywał szary. Czarno-białe odbiorniki. Wiele szyb było ciemnych. W innych żarzyła się jedynie pojedyncza naga żarówka, rzucająca jaskrawe światło na tkwiącą w oknie nieruchomą, obserwującą wszystko głowę.

-Koks, hera, amfa, trawa, hasz, kwas, grzybki, chcesz? Chcesz? Chcesz? A może kupon totka? Masz ćwierć dolara? Masz dolca? Chcesz świeżą cipkę? Ej, ty tam! Mam AIDS, jestem bezdomny. Bardzo pana przepraszam... Dawaj portfel, ty sukinsynu...!

Na zachód od Ósmej młodzi mężczyźni sadzili ulicami pewni siebie, całymi gangami. Niezwyciężeni. Nieśmiertelni. Kule przeszyją ich szczupłe ciała, pozostawiając serce nietknięte. Sunęli chodnikami w takt własnej ścieżki dźwiękowej: To świat białego człowieka, otwórz w końcu oczy.

Nie bądź ślepy, bo życie cię zaskoczy.

On ma wiadomość, specjalnie dla ciebie, że miejsce dla twoich szykują już w niebie.

Tutaj rządzi biały człowiek.

Tutaj rządzi biały człowiek...

Gangsterzy mierzą się wzrokiem z dwóch przeciwnych stron ulicy. Magnetofony zostają wyłączone. Następuje wymiana spojrzeń, a potem gestów. Wędrują w górę otwarte dłonie, rozcapierzone palce. W pewnym momencie brawura zaczyna pachnieć obelgą. Wtedy w ruch idą pistolety i ktoś ginie.

Na zachód od Ósmej wszyscy noszą broń.

Jednak tego wieczoru kończy się na wymianie spojrzeń. Następnie młodzi mężczyźni odwracają twarze, podkręcają magnetofony i rozchodzą się w przeciwnych kierunkach do wtóru grzmiących basów.

Tutaj rządzi biały człowiek. Tutaj rządzi biały człowiek...

Kochankowie obłapiają się w autach, a na podkładach dawno nieczynnej linii nowojorskiej kolei miejskiej, w pobliżu Jedenastej Alei, mężczyźni klękają przed innymi mężczyznami.

Wybija północ. Młode tancerki występujące w peep showach i klubach topless spieszą po pracy do domów. Podobnie aktorzy i aktorki z Broadwayu, równie zmęczeni. Siedzący na progach mieszkańcy gaszą papierosy i życzą sobie nawzajem dobrej nocy, porzucając na chodnikach puste butelki po piwie, które wkrótce trafią w ręce śmietnikowych nurków.

Słychać zawodzenie syren, dźwięk tłuczonego szkła, głośnie nawoływanie szaleńca...

Pora zniknąć z ulic.

Tutaj rządzi biały człowiek. Tutaj rządzi biały człowiek...

Na zachód od Ósmej mężczyźni i kobiety leżą w swoich tanich łóżkach, wsłuchując się w piosenkę, która snuje się za oknem albo dudni za ścianą u sąsiada. Muzyka wlewa się do sypialni, jest wszędzie, ale mało kto zwraca na nią uwagę. Ludzie po prostu leżą, wyczerpani i spoceni, ze wzrokiem wbitym w ciemny sufit, dręczeni tą samą myślą: „Za parę godzin zacznie się nowy dzień. Pozwólcie mi się wyspać! Błagam, niech się choć trochę ochłodzi, żebym mógł się na chwilę zdrzemnąć”.



## 24

Straciłeś ząb, stary. Nie potrafisz się bić?

-Było trzech na jednego - wyjaśnił Pellam Hectorowi Ramirezowi.

-No i co z tego? - Właśnie minęło południe następnego dnia.

Ramirez siedział na progu meliny Cubano Lords i palił papierosa.

-Gorąco - zauważył Pellam. - Masz piwo?

-Sie wie, stary. Jakie chcesz?

-Wszystko jedno. Byle było zimne.

Ramirez podniósł się, zapraszając go szerokim gestem do swojego królestwa.

Krytycznym spojrzeniem obrzucił posiniaczoną twarz Pellama. - Czyja to robota?

-Chłopców Corcorana. Dowiedzieli się o naszym nocnym spotkaniu z McCrayem i ciągnęli losy, któremu z nas fajniej będzie spuścić manto, mnie czy tobie. Wypadło na mnie.

-Jak chcesz, mogę kogoś rozwalić. Albo przestrzelić mu kolano. Zrobię to dla ciebie, stary, naprawdę. Nie ma sprawy.

-Nie trzeba - uśmiechnął się Pellam.

-To żaden problem.

-Może następnym razem.

Ramirez wzruszył ramionami, jakby uważał go za wariata. Pchnął drzwi i wszedł do środka. Pellam zauważył młodego Latynosa ukrytego w zacienionej niszy, z bronią za paskiem spodni.

Chłopak zagadał po hiszpańsku do Ramireza, który odwarknął coś w odpowiedzi.

Potem popatrzył na twarz Pellama i zaśmiał się cicho. Pellam postanowił uznać to za komplement.

Ramirez zastukał do drzwi wiodących do mieszkania na parterze, a gdy nikt nie odpowiedział, przekręcił klucz w zamku i otworzył je na oścież. Przepuścił przed sobą Pellama.

Mieszkanie było przestronne i wygodne, urządzone nowiutkimi meblami. Kanapę wciąż okrywała folia, a w kuchni piętrzyły się stosy skrzynek z żywnością i worki ryżu.

Podłogę jednej z sypialni zajmowało pięć zaścielonych materaców.

Druga zastawiona była kartonami alkoholu i papierosów. Pellam wolał nie pytać, skąd to wszystko pochodzi.

-Dos czy Tecate?

-Dos.

Ramirez wyjął z lodówki dwie butelki, oparł szyjki o krawędź szafki i uderzając w nie kantem dłoni, zerwał z nich kapsle. Następnie podał piwo Pellamowi, który od razu opróżnił butelkę niemal do połowy.

W kuchni panował nieznośny skwar. W obu oknach, zarówno tym wychodzącym na ulicę, jak i tyrn na podwórze, wisiały klimatyzatory, ale żaden nie pracował. Przez opuszczone rolety jak lawa wlewało się do środka gorące, ciężkie powietrze.

Na kuchennym stole Ramirez znalazł pudełko po butach. Wyjął ze środka parę trampek i zaczął je sznurować. Wyglądały bardzo podobnie do tych, które poprzedniego dnia podarował Ismailowi. - Masz, stary. Trzymaj.

-Wiesz, jaka jest kara za paserstwo? - zaśmiał się Pellam.

-Nie pieprz. Znalazłem je. - Ramirez aż podskoczył, spoglądając na niego z wyrzutem.

-Nie jestem typem sportowca.

-Widzę, że wolisz kowbojki. Stary, dlaczego ty ciągle nosisz te cholerne buciorzy? Nie bolą cię nogi? Atak w ogóle, to co ty tutaj robisz, Pellam? Co cię do mnie sprowadza?

-Wyjeżdżam z miasta - odparł Pellam. - Przyszedłem po swoją broń.

-Podobno ta moyeta się przyznała... No tak, przecież to twoja znajoma. Musi ci być ciężko. Ale nikt nie powinien puszczać z dymem tych starych kamienic. Tak nie można. Ramirez wyrównał sznurówki i naciągnął je odpowiednio. Powoli wstał, rozkoszując się elastycznością podeszew. Wspiął się na palce, zakołysał na piętach. Wykonał zwód w prawą, potem w lewą stronę, a na koniec zrobił wyskok w górę, muskając palcami obłazący z farby sufit i spuszczaając sobie na głowę deszcz białych odprysków.

Pellam zwrócił uwagę na ręcznie wykonany napis na ścianie, tuż obok plakatu reklamującego czerwoną corvette, o którą opierała się modelka w bikini.

Trafiłeś do hawiry Cubano Lords.

Zachowuj się jak pszyjaciel albo spieprzaj.

Ramirez podążył za jego wzrokiem.

- Wiem, wiem. Zaraz powiesz, że nie umiemy pisać jak ludzie.

-Wcale nie. Powiem, że to odjazdowy plakat.

-Grasz w kosza? - zainteresował się Ramirez.

-Trochę.

Ostatnim jego przeciwnikiem był człowiek na wózku i Pellam przegrał dwa do sześciu.

Cholerna szkoda, że nie będzie już miał okazji zagrać z Ismailem; jego przynajmniej zdołałby pokonać.

-Wybieram się dzisiaj do Village pograć na połowie boiska.

Przychodzą tam tacy wielcy moyetos. Stary, ależ te czarnuchy potrafią grać... Jak chcesz, możesz iść ze mną.

-Dzięki, ale się stąd zmywam - odparł stanowczo Pellam.

-Na dobre?

Pellam skinął głową.

- Zabieram przyczepę i wracam na Wybrzeże. Muszę postarać się o jakąś robotę. Za dwa miesiące ci, którym wiszę forszę, zaczną pukać do moich drzwi.

-Chcesz, żebym z nimi pogadał? Mógłbym...

Pellam pogroził mu palcem.

- O, nie. Tylko nie to.

Ramirez wzruszył ramionami, przeszedł w kąt kuchni, uniósł kawałek linoleum i wyjął z podłogi luźną klepkę. Wydobył ze skrytki colta Pellama i rzucił mu. - Stary, chyba ci odbiło, żeby nosić przy sobie takiego rupiecia. Załatwię ci nowiutkiego taurusa, co ty na to?

Fantastyczna spluwa, spodoba ci się. Bum, bum, bum! W dzisiejszych czasach facetowi przydaje się magazynek na piętnaście nabo.

-Nie używam broni tak często, jak ty.

Ramirez włożył klepkę z powrotem na miejsce. - Rzadko oglądam telewizję, ale włączę pudło, jak dadzą twój film, Pellam. Jak myślisz, kiedy to będzie?

-Dam ci cynk - mruknął Pellam.

Drzwi do mieszkania otworzyły się i do środka wszedł młody Latynos, rzucając Pellamowi podejrzliwe spojrzenie. Podeszedł do

Ramireza i szepnął mu coś na ucho. Tamten skinął głową i chłopak zostawił ich samych.

Pellam zaczął zbierać się do wyjścia, ale Ramirez go zatrzymał. - Stary, nie tak prędko!

Młody ma dla ciebie nowinę.

-A co to za jeden?

-Mój brat. - Ruch głowy w kierunku drzwi, za którymi przed chwilą zniknął chłopak.

-I ma dla mnie nowinę?

-Uhm. Chcesz wiedzieć, kto się wtedy do ciebie włamał?

-Już wiem, kto. Tamten piroman. Ten gość, który się spalił.

Musiałem go przez przypadek nagrać, kiedy kręciłem na zgliszczach kamienicy dzień po pożarze. Ramirez jeszcze raz podskoczył w swoich nowiutkich butach i pokręcił głową. - Mylisz się, stary.

Cholernie się mylisz...

-Siemasz, koleś.

-Cześć, Ismailu.

Pellam stał na chodniku przed ośrodkiem pomocy młodzieży. Rozgrzane, gęste od spalin powietrze przecinał jasny snop promieni słonecznych odbijających się od pobliskiego budynku.

-Co nowego, stary?

-Niewiele - odparł Pellam. - A u ciebie?

-Łażę to tu, to tam - wiesz, jak jest. Co tam masz?

-Prezent.

-Rewelka, koleś. - Chłopak wpatrywał się okrągłymi oczyma w dużą torbę na zakupy.

Pellam podał mu ją. Ismail zajrzał do środka i wyciągnął piłkę do kosza. - Ale jazda, Pellam!

Super! Ej, ziomale, patrzcie!

Podeszło do nich dwóch nieco starszych chłopców, z podziwem spoglądając na piłkę.

We trzech naprędce zaimprovizowali kilka podań.

-Jak ci tu jest? - Pellam skinął głową w stronę ośrodka.

-Nie najgorzej. Nawet tak bardzo człowieka nie gnoją. Ale każą wysłuchiwać tych wszystkich świrów, księży i terapeutów, co to gówna wiedzą. Ci to mają gadane! Głędzą, przynudzają, opieprzają

człowieka za rzeczy, o których nie mają pojęcia. - Wzruszył ramionami jak dorosły. - Ale takie jest życie, no nie, kurwa?

Pellam nie mógł się z tym nie zgodzić.

-A jeszcze ta Carol, mówię ci, koleś, to dopiero kawał suki - dodał szeptem Ismail, rozglądając się czujnie. - Lepiej z nią nie zadzierać. Opieprzyła mnie dzisiaj, bo wróciłem o trzeciej nad ranem. I dawaj robić wykład. Powiedziałem suce, co może zrobić.

-Naprawdę?

-A jak... To znaczy próbowałem jej powiedzieć. Ale z tą kobietą nie da się normalnie pogadać, stary.

-A co właściwie robiłeś na zewnątrz o trzeciej nad ranem?

-Normalnie...

-Rewirowałeś.

-Sie wie, Pellam. - Ismail odwrócił się do swoich kumpli: - Chodźcie, zagramy. - Cała trójka pobiegła w podskokach w głąb uliczki, szczęśliwi, jak tylko potrafią być chłopcy w ich wieku.

Pellam pchnął skrzypiące drzwi ośrodka.

Carol podniosła głowę znad biurka. Jej niewyraźny uśmiech zbladł na widok jego miny.

-Cześć - powiedziała.

-Jak się masz?

-Przepraszam, że byłem ostatnio taka nieuchwytna. Mieliśmy tu cholerne urwanie głowy. - Jej słowa, ciężkie jak ołów, padały w próżnię.

Milczenie. W powietrzu wirowały drobiny kurzu - ameby, schwyte w strumień bezlitosnego światła.

-No dobrze - odezwała się wreszcie Carol. - Nie dzwoniłam, bo się bałam. Minęło sporo czasu od kiedy ostatni raz z kimś byłam. A moje doświadczenia z facetami nie są szczególnie różowe.

Pellam skrzyżował ramiona, zerknął w dół, na biurko, żeby zobaczyć, nad czym Carol tak pilnie pracuje. Urzędowe formularze. Cała sterta. Sprawy wrażeń niezwykle szczegółowych i skomplikowanych.

Carol odchyliła się do tyłu, wciskając plecy w oparcie krzesła.

-Chodzi ci o coś innego, prawda?

-Owszem.

-A konkretnie?

-Dowiedziałem się paru interesujących rzeczy.

-Na przykład?

-Podobno rozpytywałaś się o mnie w dniu pożaru.

Uliczna poczta pantoflowa.

-Nie rozumiesz? Przystojniak w kowbojkach. Pewnie, że byłam ciębie ciekawa.

Roześmiała się ale nie udało jej się ukryć napięcia. Dotknęła naszyjnika z pereł, a następnie uniosła dłoń do okularów i zaczęła nerwowo ugniatać oklejony plastrem zawias oprawki. Pellam mówił dalej: - Dowiedziałaś się, gdzie mieszkam i włamałaś się do mnie tego ranka, kiedy u ciebie byłem. W tym samym czasie, kiedy spałem w twoim łóżku.

Carol kiwała głową nie, żeby potwierdzić czy zaprotestować, czy wyrazić cokolwiek innego.

Po chwili rozejrzała się i obłożyła długopis. Jej twarz zmieniła się w ponurą maskę; usilnie nad czymś rozmyślała.

- Możemy przejść na górę? Będziemy mogli spokojnie porozmawiać. Weszli do windy. Carol, z powagą malującą się na twarzy, oparła się o ścianę kabiny.

Zerknęła w dół na swoją bluzę i z roztargnieniem strzepnęła pyłek, który osiadł na nadruku z logo Harwardu - a konkretnie na dźwięcznym łacińskim słowie oznaczającym prawdę. Nie patrząc mu w oczy, zasypała go bezsensownym potokiem słów. Sztucznie ożywionym tonem poinformowała go na przykład, że pewna fabryka wind zamierza podarować ośrodkowi nowy dźwig. Wewnątrz kabiny miałyby się znaleźć wielka tablica z informacją o darczyńcy. Zupełnie, jakby jeżdżące nią dzieciaki tylko czekały na sposobność zakupienia własnej windy. - Niewiarygodne; czego ludzie nie zrobią dla reklamy...  
- Pellam nie odpowiedział, więc i ona w końcu umilkła.

Drzwi rozsunęły się i Carol poprowadziła go za sobą opustoszałym, brudnym korytarzem, który w słabym świetle jarzeniówek sprawiał przygnębiające wrażenie.

- To tutaj. - Pchnęła jakieś drzwi i Pellam wszedł do środka. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że nie znajdują się w biurze czy choćby pokoju śniadaniowym, tak jak się spodziewał, ale w mrocznym

magazynie.

Carol zamknęła za nim drzwi. Poruszała się zdecydowanie, z jej oczu powiało chłodem. Przeszła w głąb pomieszczenia i zaczęła przesuwać tam jakieś pudła. Potem pochyliła się nad zawartością jednego z nich, najwyraźniej czegoś szukając.

-Naprawdę bardzo mi przykro, Pellam...

Urwała. Wzięła głęboki oddech. Pellam nie widział, co kobieta trzyma w ręce.

Jego myśli pobiegły ku coltowi wsuniętemu z tyłu za pasek jego spodni. Absurdem byłoby podejrzewać, że mogłaby go skrzywdzić. Ale z drugiej strony, to była przecież Hell's Kitchen.

Przechodzisz sobie w samo południe obok ogródka przylegającego do frontu jakiejś kamienicy, myśląc sobie: „Jakie ładne kwiatki”, a w następnej sekundzie leżysz na ulicy z kulą w nodze albo szpikulcem do lodu wbitym w plecy.

A jej oczy... Były takie zimne, po prostu lodowate.

-Cholera, ale się porobiło. - Carol zacisnęła usta, po czym odwróciła się gwałtownie, wyciągając w ciemnościach rękę. Coś w niej trzymała. Pellam odruchowo sięgnął po broń. Okazało się jednak, że w jej pulchnej dłoni tkwią dwie kasety wideo skradzione z jego mieszkania.

-Przez cały ubiegły tydzień zastanawiałam się, czy stąd nie uciec. Wyjechać gdzieś, zacząć nowe życie. Po prostu zniknąć bez słowa.

-Mów dalej.

-Pamiętasz tego człowieka, który ci o mnie wspominał? Mówił, że uratowałam jego syna?

Pellam skinął głową. Dobrze pamiętał historię młodego chłopaka, który o mały włos nie zginął w budynku przeznaczonym do wyburzenia. Carol w porę go stamtąd wyciągnęła.

-Bałam się, że masz tam coś więcej na mój temat. Nie mogłam pozwolić sobie na taki rozgłos.

Przypomniał sobie jej brak zaufania do dziennikarzy.

-Dlaczego?

-Nie jestem tym, kim myślisz.

Stara śpiewka rodem z Hell's Kitchen.

-A kim jesteś? - warknął Pellam.

Carol chwyciła się krawędzi regału i ukryła twarz w zgięciu ramienia.

- Kilka lat temu wyszłam z więzienia, gdzie odsiadywałam wyrok za handel narkotykami. To było w Massachusetts. Byłam też skazana za... - Na moment zawiódł ją głos.

- ...za narażenie na szwank zdrowia i życia nieletniego. Sprzedałam towar kilku piętnastolatkom. Jeden z nich przedawkował i omal nie umarł. Cóż mogę ci powiedzieć, Pellam? To, co mnie w życiu spotkało, jest tak nudne, tak sztampowe, jak z opery mydlanej... Rzuciłam szkołę i zadałam się z niewłaściwymi ludźmi. Handel narkotykami, koks, hera, pieprzenie się za pieniądze... Wierz mi, wszystko to zaliczyłam.

-Tylko co to ma wspólnego z moimi taśmami? - zapytał chłodno Pellam.

Carol nerwowym ruchem poprawiła stertę spranych ręczników.

-Dowiedziałam się, że kręcisz dokument o naszej dzielnicy. A kiedy usłyszałam, że ktoś ci o mnie mówił, pomyślałam, że może zechcesz wspomnieć o tym w filmie. Bałam się, że zobaczy to ktoś w Bostonie i zawiadomi zarząd ośrodka. Nie mogłam ryzykować takiego rozgłosu. Zrozum, Pellam, zniszczyłam sobie życie... Przez te wszystkie aborcje nie mogę mieć dzieci... Mam za sobą wyrok. - Zaśmiała się gorzko. - Wiesz, co ostatnio usłyszałam? Z więzienia w Nowym Jorku wypuścili gościa, który obrabował bank. Gość nie mógł znaleźć pracy. Wkurzał się, kiedy ktoś nazywał go byłym skazańcem. Twierdził, że jest tylko „społecznie nieprzystosowany”.

Pellam nie odwzajemnił jej uśmiechu.

-Oto cała ja - „społecznie nieprzystosowana”. Nie zatrudniłaby mnie żadna rządowa instytucja socjalna. Żaden żłobek za nic nie chciał mi dać pracy. Na szczęście zarząd ośrodka był tak zdesperowany, że właściwie w ogóle nie prześwietlali kandydatów. Pokazałam im swoją licencję pracownika społecznego i sfabrykowany życiorys, a oni z miejsca mnie przyjęli. Ale jeśli odkryją, kim jestem, w okamgnieniu wyląduję na ulicy.

-A wszystko dla dobra dzieci... Dlaczego mnie okłamałaś?

-Nie ufałam ci. W ogóle cię nie znałam. Wiedziałam tylko, że dziennikarze zawsze wygrzebują brudy. Tylko to sukinsynów



obchodzi.

-No cóż, teraz już się nie dowiemy, jak bym postąpił, prawda? Nie dałaś mi takiej szansy.

-Proszę cię, Pellam, nie gniewaj się na mnie. To, czym się tu zajmuję, jest dla mnie bardzo ważne. Tylko to tak naprawdę trzyma mnie przy życiu. Nie mogę tego stracić. To prawda, że okłamałam cię, kiedy się poznaliśmy. Chciałam, żebyś zniknął z mojego życia, a jednocześnie marzyłam, żebyś w nim pozostał.

Spojrzenie Pellama spoczęło na kasetach.

- Nie interesuje mnie współczesna Hell's Kitchen, tylko jej historia, i to w przekazie mówionym. Nigdy nie zamierzałem wspominać w filmie o waszym ośrodku. Wiedziałybyś o tym, gdybyś mnie tylko zapytała.

-Proszę cię, nie odchodź. Daj mi szansę...

Lecz Pellam już otwierał drzwi. Powoli, bez melodramatycznych gestów, zszedł na dół po schodach, przeciął hol ośrodka i wyszedł na niemiłosiernie rozgrzaną śródmiejską ulicę, prosto w kakofonię warkotu silników, trąbienia klaksonów i pokrzykiwań przechodniów. Pomyślał, że jeden z tych głosów może należeć do Carol, ale szybko doszedł do wniosku, że nic go to nie obchodzi.

Poszedł na wschód, w stronę Fashion District i najbliższej stacji metra.

„Dzielnica mody”. Co za wariat wymyślił taką nazwę, dziwił się w duchu Pellam. Okolica, o której mowa, należała do najmniej szarych w całym mieście. Podwójne, a miejscami potrójne rzędy zaparkowanych ciężarówek; wysokie, brudne budynki, poszarzałe szyby; zadziorni robotnicy w podkoszulkach bez rękawów i z pasami na narzędzia przepychali z miejsca na miejsce stojaki z przyszłoroczną kolekcją wiosennych ubrań.

Jakaś kobieta tkwiła w budce telefonicznej, wałąc słuchawką w automat; po chwili zrezygnowała i dla odmiany zaczęła drzeć jakiś świstek na setki kawałeczków. To dopiero temat, pomyślał Pellam i natychmiast zapomniał o całym incydencie.

Przystanął przy placu budowy na Trzydziestej Dziewiątej, żeby przepuścić cofającą się śmieciarkę; jej przenikliwy sygnał - pi, pi, pi - działał mu na nerwy.

...Trzydziesta Dziewiąta Ulica - nazywano ją Battle Row. Bitewny

Zaułek. Gang Susłów miał tam swoją siedzibę. Najbardziej zakazana ulica w mieście. Dziadzio Ledbetter mawiał, że policja zazwyczaj nie zapuszcza się w rejony na zachód od Ósmej. Miał but z nacięciem na czubku w miejscu, gdzie trafiła go kula w czasie strzelaniny na Battle Row, kiedy był jeszcze dzieckiem. Opowiadał nam o tym, kiedy byliśmy mali. Nigdy mu tak do końca nie wierzyłam, ale niewykluczone, że mówił prawdę - do końca życia przechowywał tamten but w swoich rzeczach...

Z wykopu na placu budowy dobiegły go dwa przeraźliwe gwizdki. Na ten dźwięk gapie jeszcze liczniej przywarli do otworów wyciętych nielegalnie w ogrodzeniu ze sklejki, ciągnącym się wzdłuż całego chodnika. Pellam też się zatrzymał i spojrzał przez otwór. Rozległ się potężny huk. Ziemia zadrżała mu pod stopami, a metalowa siatka ochronna zafalowała od siły wybuchu, który zmienił kolejnych pięćdziesiąt ton kamienia w drobny żwir.

Pellam nie mógł się opędzić od wspomnienia głosu Ettie; jej słowa rozbrzmiewały mu w uszach z uporem zdartej płyty: Tutaj ciągle coś się budowało. Tatuś miał przez pewien czas ciekawą pracę. Mówił, że jest grabarzem budynków. Należał do jednej z ekip, które wywoziły gruz z rozbieranych kamienic na specjalne wysypisko na Brooklynie. Tony kamieni lądowały wtedy w rzece. Żartowali, że budują labirynt dla ryb, żeby miały się gdzie chować. Ojciec zawsze wtedy wracał do domu z tasergałem albo halibutem, jedliśmy je potem przez wiele dni. Od tej pory nie mogę patrzeć na ryby.

Trzy długie gwizdki - najwyraźniej sygnał dla ekipy rozbiórkowej, że teren jest już bezpieczny. Plac budowy zaroił się od robotników w kaskach, pomiędzy nich wjechał buldożer. Pellam cofnął się i już chciał odejść, kiedy coś zwróciło jego uwagę. Tablica reklamowa kolejnego dewelopera.

Znieruchomiał. W uszach dudniło mu jeszcze echo niedawnego wybuchu. Uważnie przeczytał umieszczone na tablicy informacje, żeby ostatecznie się upewnić. Potem ruszył przed siebie wolnym krokiem, który wkrótce, pomimo lejącego się z sierpniowego nieba żaru, zmienił się w szybki marsz. Zakręcił minął już biegiem.

## 25

To ten plac budowy.

-Słucham? - nie zrozumiał Bailey.

-Fundacja Świętego Augustyna. Zapamiętałem adres: Zachodnia Trzydziesta

Dziewiąta numer 500. Dokładnie naprzeciwko kościoła. Tyle tylko, że to jeden wielki wykop! Siedzieli w sypialni Baileya - jego tymczasowym biurze - jako że właściwy gabinet

spłonął w pożarze. Pomieszczenie to nie różniło się zbyt od dawnego miejsca pracy Baileya;

jedyna zauważalna różnica polegała na tym, że zamiast na biurku, przenośna lodówka na

wino stała teraz przy łóżku. Był tu także lepszy klimatyzator; co prawda nie chłodził, ale

przynajmniej w pokoju było nieco mniej parno. Wszechobecny smród spalenizny zdawał się wcale nie przeszkadzać Baileyowi.

-Może gdzie się przenieśli - zasugerował.

-Poczekaj, to jeszcze nie koniec - powstrzymał go Pellam. - Poprzytałem w kancelarii parafialnej. Nikt tam nigdy nie słyszał o Fundacji Świętego Augustyna. - Podeszedł do okna;

brudne szyby na moment pociemniały, kiedy padł na nie cień dźwigu przenoszącego ogromną rzeźbę na otwarty plac przed McKennah Tower.

Statua, owinięta w gruby brązowy papier pakowy, przypominała kształtem wielką rybę. Żuraw poruszał się powoli i Pellam domyślił się, że bryła kamienia lub metalu musi ważyć wiele ton. Robotnicy sprząkali teren wokół budynku, zatykając transparenty i chorągiewki na wielką uroczystość otwarcia.

-Ale przecież istnieje Fundacja Świętego Augustyna - zaprotestował Bailey i zaczął przerzucać leżące na łóżku papiery. W końcu znalazł plik nadpalonych kserokopii, na których widniała pieczęć prokuratora generalnego. - Zgodnie z prawem korporacyjnym została zarejestrowana jako organizacja typu non-profit. Istnieje. W jej zarządzie zasiada ośmiu członków.

Pellam rzucił okiem na listę nazwisk. Wszyscy członkowie zarządu mieszkali w najbliższej okolicy. Zatrzymał palec przy jednym nazwisku. James Kemper, zamieszkały przecnicę dalej, przy Trzydziestej Siódmej.

-Zobaczmy, co nam powie. - Bailey podniósł słuchawkę, ale Pellam dotknął jego ramienia.

-Lepiej zrobmy mu niespodziankę.

Obyło się jednak bez niespodzianki, przynajmniej dla Pellama. Na opustoszałej działce, gdzie rzekomo mieszkał pan Kemper, za dwa miesiące miały się rozpocząć prace budowlane.

-To jedna wielka lipa - mruknął Bailey, gdy wrócili do biura.

-Kto odebrał, kiedy próbowałeś się skontaktować z tamtym księdzem, dyrektorem fundacji?

-Nikt. Zgłosiła się automatyczna sekretarka.

-Jak si ę dowiedzieć, kto za tym wszystkim stoi? - głowił się Pellam. - Tylko tak, żeby się z niczym nie zdradzić...

Dzięki pracy w branży filmowej zdążył całkiem dobrze poznać złożoną specyfik ę szemranych korporacyjnych układów.

-To org anizacja typu non-profit, co oznacza, że czeka nas o wiele trudniejsze zdanie niż w przypadku spółek kapitałowych.

Przeszli do sypialni Bailey'a i Pellam zwrócił uwagę na osmalony dokument, leący tuż obok rejestru spółek. Była to ekspertyza dotycząca analizy pis.ma na polisie ubezpieczeniowej, porównująca je z próbką pisma Ettie.

Już wcześniej wypytywał Ettie o listy, które ostatnio pisała, podejrzewając, że ktoś mógł w ten sposób zdobyć próbkę jej pisma. Oboje jednak całkiem zapomnieli o oświadczeniu, jakie podpisała na prośbę firmy Rogera McKennaha, wyrażającym jej zgodę na przekroczenie przez McKenmah Tower limitu wysokości zabudowy ustalonego przez komisję planowama przestrzennego.

-To na j pewno McKenmah - oznajmił teraz, a widząc wyraz twarzy Bailey'a, vlmóśł ostrzegawczo dłoń. - Wiem, że nie wierzysz, aby tak znany deweloper podkładał ogień pod stare kamienice. I zgadzam się, że nigdy ly tego nie zrobił, gdyby chodziło tylko o odszkodowanie. Ale gdyby cay sukces jego inwestycji zależał od budowy tunelu na Penn Station. wówczas moim zdaniem mógłby się posunąć do podpalenia.

Od Newtona Clarke'a - i od żony McKennaha - wiemy, jak bardzo jest zdesperowany - Ale - Bailey uniósł w górę obie dłonie, wyraźnie skonsternowany. - Nie rozumiem, dlaczego po prostu tego nie zostawisz? Nawet jeśli McKennah rzeczywiście stoi za tą fundacją, to Ettie i tak przyznała się już do winy.

-To akurat - odparł Pellam - nie stanowi tu problemu.

-Ale...

-Sam się tym zajmę. Teraz najważniejsze to udowodnić istnienie powiązań między McKennahem a tą fundacją.

Na twarzy prawnika odmalował się niepokój.

- Deweloperzy to geniusze, jeśli chodzi o ukrywanie takich rzeczy. A McKennah jest w tym prawdziwym mistrzem. Będziemy musieli sprawdzić jego zagraniczne firmy, deklaracje prowadzenia działalności... To wszystko trochę potrwa.

-Jak długo?

-Kilka tygodni.

-A kiedy ma zapaść wyrok w sprawie Ettie?

Chwila wahania.

- Pojutrze.

- W takim razie chyba nie mamy aż tyle czasu. - Pellam utkwił nieruchome spojrzenie w placu budowy naprzeciwko. Owinięta w papier pakowy rzeźba została bezceremonialnie osadzona na cokole, jak byle dźwigar. Paru gapiów przyglądało jej się z zainteresowaniem, najwyraźniej zastanawiając się, co może przedstawiać. Jednak robotnicy odeszli, nie zdejmując papieru.

W garniturze od Armaniego - znowu! - i nasuniętym na czoło skradzionym kasku John Pellam wszedł pewnym krokiem do holu McKennah Tower. Ta część budynku była praktycznie ukończona i już zdążyli ją zasiedlić pierwsi lokatorzy, w tym dwie firmy deweloperskie i budowlane należące do McKennaha oraz agencja nieruchomości zajmująca się wynajmem przyszłych powierzchni biurowych.

Zdecydowane ruchy Pellama przekonały wszystkich, że nowo przybyły ma pełne prawo być w tym miejscu i lepiej będzie nie przeszkadzać mu w wykonaniu najwyraźniej bardzo pilnego zadania.

Nikt też go nie zatrzymywał.

Dzierżąc w dłoni podkładkę do pisania, Pellam minął rząd

sekretarek, pchnął śmiało solidne dębowe drzwi i wszedł do gabinetu tak wykwinicie urządzonego, że musiał należeć do Rogera McKennaha, który właśnie przed pięcioma minutami na jego oczach opuścił wieżowiec. Pellam miał w zanadrzu kilka zawczasu przygotowanych bajeczek, które w razie potrzeby zamierzał zaserwować zausznikom dewelopera, ale tym razem jego zdolności aktorskie okazały się zbędne - gabinet świecił pustkami.

Podszedł szybko do biurka, na którym stały dwie fotografie; jedna przedstawiała żonę McKennaha, druga jego dwoje dzieci. Jolie spoglądała z kosztownej ramki z przyklejonym do twarzy sztucznym uśmiechem. Chłopiec i dziewczynka na sąsiednim zdjęciu w ogóle się nie uśmiechali.

Pellam zaczął przeglądać zawartość szafek na papiery. Po kwadransie zdołał przekopać się przez setki listów, deklaracji finansowych i dokumentów prawnych, lecz nigdzie choćby słowem nie wspomiano o Fundacji Świętego Augustyna ani o kamienicach przy Trzydziestej Szóstej Ulicy.

Stojący za biurkiem sekretarzyk był zamknięty. Pellam wybrał najprostszy sposób rozejrzał się za nożem do papieru, którym mógłby wyłamać zamek. Właśnie wyjmował go z prawej górnej szuflady biurka, gdy w pokoju zagrzmiął czyjś donośny głos: - Ładny garnitur. - Pellamowi wydało się, że rozpoznaje lekki irlandzki akcent. Znieruchomiał. - Ale to niekoniecznie twój styl. Wyglądasz mi na takiego, który lepiej czuje się w dżinsach.

Pellam wyprostował się powoli.

W drzwiach gabinetu stał Roger McKennah, a obok niego śmiertelnie poważny ochroniarz, którego prawa dłoń ukryta była w kieszeni marynarki. Pellam, podejrzewając, że przy wejściu do Tower może natknąć się na wykrywacz metalu, zostawił swojego colta u Louisa Baileya.

Teraz popatrywał czujnie to na jednego, to na drugiego mężczyznę. - Szukaliśmy cię - oznajmił McKennah. - A tu proszę, to ty wpadłeś z wizytą do mnie. Skinął na swojego goryla, który położył na stole duży, ciemny przedmiot.

Kamera Pellama. Kiedy przed kilkoma godzinami wychodził z wynajętego w Village mieszkania, leżała bezpiecznie ukryta w szafie

w sypialni. Był ciekaw, czy reszta jego taśm została zniszczona.

-Co powiesz na małą przejażdżkę? - McKennah otworzył ukryte w ścianie drzwi prowadzące do ciemnego garażu, gdzie stała jego limuzyna marki Mercedes.

Ochroniarz wziął kamerę pod pachę i ruchem głowy wskazał Pellamowi drzwi.

Ten chciał zaprotestować, ale McKennah uniósł w górę palec wskazujący. - I co mi teraz powiesz? Że szukasz prawdy? Prowadzisz sprawiedliwą krucjatę? Założę się, że na wszystko znalazłbyś jakąś odpowiedź. Tyle że ja nie chcę cię słuchać. A teraz wsiadaj do wozu.

## 26

Milczeli przez kolejnych osiem przecznic.

W końcu limuzyna zaparkowała przed wałącym się budynkiem gdzieś w okolicach Czterdziestej Ulicy na dalekim krańcu West Side. Z murów odłaziła farba przypominająca białe, brudne confetti. Drewniane elementy wykończeniowe dawno przegniły, a przy bocznym wejściu piętrzyła się sterta worków ze śmieciami. McKennah wskazał ręką budynek. - Artie.

Ochroniarz otworzył drzwi limuzyny, zdecydowanie chwycił Pellama za ramię i zaprowadził do bocznego wejścia. Otworzył zniszczone drzwi i wepchnął Pellama do środka. Tam zaczęli na McKennaha.

Przed nimi ciągnął się długi, ciemny korytarz. Deweloper ruszył pierwszy, za nim Pellam z deptającym mu po palcach Artiem; ochroniarz trzymał kamerę tak, jakby to był karabin maszynowy.

Pellam rozglądał się, mrużąc oczy, czekając, aż jego wzrok przyzwyczai się do otaczających go ciemności. Ukryta w lewym rękawie dłoń ścisnęła rękojeść noża do papieru, który udało mu się niepostrzeżenie wynieść z biura McKennaha. Nie wydawał mu się zbyt solidny, ale podczas swojej odsiadki Pellam przekonał się, jakie szkody może wyrządzić nawet najbardziej niepozorna broń.

Korytarz oświetlała słaba, pojedyncza żarówka. Zakaszłał, czując w nozdrzach smród pleśni i uryny. Coś zakotłowało im się pod nogami. - Jezu - szepnął McKennah, gdy tuż przed nimi przemaszerował spokojnie wielki, tłusty szczur. Pellam zignorował go i jeszcze mocniej ścisnął rękojeść noża. Poczł wbijające się w przedramię ostrze. Czekał na przyływ pewności siebie. Daremnie.

Nagle coś usłyszeli.

Pellam zwolnił kroku na dźwięk cienkiego zawodzenia. Brzmiało jak krzyk kobiety. Odgłosy z telewizji? Nie, to z całą pewnością był głos żywego człowieka. Pellamowi zjeżyły się włosy na karku.

-Nie zatrzymuj się - rozkazał McKennah. Doszli do końca korytarza i dopiero tam stanęli.

Przerażające zawodzenie jeszcze bardziej się nasiliło.



Pellam zebrał się w sobie i starając się nie myśleć o przyczynie makabrycznego dźwięku, skoncentrował się na tym, co zamierzał zrobić. Mięśnie jego nóg napięły się. To był ten moment. Prawą dłoń wsunął do lewego rękawa.

McKennah dał znak Artiemu.

Zawodzenie stało się coraz głośniejsze. Dwie, może trzy osoby wyły z bólu. Ochroniarz brutalnie popchnął Pellama. Ten zacisnął zęby i zrobił krok naprzód, wyciągając jednocześnie z rękawa nóż do papieru.

Artie otworzył jakieś drzwi i wszedł do środka.

Najpierw zaatakuje goryla, celując w oczy. Potem spróbuje wyrwać mu broń. A potem...

Pellam zamarł w pół kroku na progu, kurczowo ściskając w dłoni nóż.

Co to ma być?!

Odwrócił się i popatrzył pytająco na dewelopera i jego osiłka. McKennah niecierpliwie dał mu znak, żeby wszedł głębiej. W odpowiedzi na to nieme polecenie Pellam ruszył przed siebie, ostrożnie stawiając stopy; trudno mu było manewrować w morzu popłakujących dzieci. W przeciwległym końcu pomieszczenia siedziała blada, otyła kobieta w poplamionej niebieskiej bluzce i jasnobrązowych szortach, kołysząca na kolanach najgłośniejszego wyjca malucha, którego głos słyszeli jeszcze na korytarzu. Zaskoczona, spojrzała na nich gniewnie, próbując jednocześnie wcisnąć dzieciakowi do buzi chrupkę. - A wy tu, kurwa, czego?

McKennah skinął na Pellama. A zwracając się do ochroniarza, powiedział: - Dobra, oddaj mu kamerę.

Mężczyzna podał Pellamowi sprzęt.

-No, dalej - ponaglił go McKennah.

Pellam pokręcił głową, nie rozumiejąc, czego się od niego żąda.

Półowa dzieci leżała w tekturowych kartonach, podczas gdy reszta raczkowała albo dreptała po sali, bawiąc się połamanymi zabawkami i klockami. Na podłodze pełno było plastikowych butelek jakiegoś pomarańczowego napoju gazowanego i coli; kilka przewróciło się, a ich zawartość wylała. Dwoje maluchów siłowało się z jedną z butelek; przypominały młode zwierzątka usiłujące rozbić orzech kokosowy.

Powietrze przesycone było ostrą wonią amoniaku z brudnych pieluch.

-Coście za jedni, do cholery?! - krzyknęła ponownie kobieta. -  
Chcecie, żebym wezwała gliny?

Roger McKennah odparł rozdrażnionym tonem:

- A właściwie, dlaczego nie? - Zirytowany warknął na Pellama: -  
Bierz się do roboty. Na co czekasz?

-Co niby miałbym robić?

-A jak myślisz? Masz okazję zabawić się w Charlesa Kuralta. No,  
jazda, uruchom kamerę! - Deweloperowi najwyraźniej zaczynały  
puszczać nerwy.

-Pieprz się! - wrzasnęła grubaska. - Wynocha stąd!

Jakiś maluch podpełzł szybko po brudnej podłodze i zaczął się  
bawić butem Pellama. Ten podniósł dziecko, otrzepał jego usmolone  
rączki i kolanka i posadził je na kocu.

- Niech ich pani lepiej pilnuje.

-Ty też się pieprz!

Okej, zrobimy to po twojemu. Pellam zarzucił kamerę na ramię i  
włączył nagrywanie.

- Przepraszam, czy mogłaby to pani powtórzyć?

-Dzwonię po gliny. - Kobieta nie ruszyła się jednak z miejsca. A już  
po chwili pochłonęła ją akcja kolejnego odcinka „Żaru młodości”  
wyświetlanego na przenośnym telewizorku. Nieproszeni goście  
przestali ją interesować.

Pellam powoli filmował kolejne kadry, nie mając pojęcia, co z nimi  
zrobi: wierzące się dzieciaki, niezdrowe jedzenie i uniesiony w  
obraźliwym geście palec tłustej baby nie miały raczej nic wspólnego z  
historią mówioną Hell's Kitchen.

Patrząc przez obiektyw kamery, zapytał McKennaha:

- Powiesz mi, co tu właściwie robimy?

-To nielegalny żłobek. Większości mieszkańców Hell's Kitchen nie  
stać na normalny, więc podrzucają swoje dzieci do takich chlewów jak  
ten. To skandal, ale rodzice nic na to nie poradzą, jeśli chcą  
pracować.

Kobieta rzuciła garść kukurydzianych chrupek na podłogę u stóp  
malca, który właśnie zaczął popłakiwać. Pellam utrwalił tę scenę na  
filmie.

McKennah odezwał się z udawanym podziwem:

- Murowany Pulitzer! No, dalej, nie krępuj się!

Dwadzieścia minut później byli już na zewnątrz i chciwie wdychali świeże powietrze. Pellam zapytał: - O co tu u diabła chodzi?

McKennah ruchem głowy wskazał mu ruinę, którą przed chwilą opuścili.

- Chcę, żeby miejsca takie jak to na dobre zniknęły z Nowego Jorku. To prawdziwy skandal... Chwileczkę, czyżbym wyczuwał jakiś cynizm? Zastanawiamy się, dlaczego Roger McKennah chce zrobić coś dobrego? Żadna ze mnie Matka Teresa, to fakt. Ale takie nory to nie jest rozwiązanie. W moim interesie leży zorganizowanie w tej okolicy porządných, tanich żłobków.

-Żłobków?

-A do tego basenów i parków. Chcę, żeby rodzice mieli poczucie, że ich dziecko jest bezpieczne, kiedy oni idą do pracy w moich biurach. Chcę, żeby młodzież grała w kosza na nowych boiskach, pływała w czystych basenach i przestała nareszcie napadać w nocy moich lokatorów. Egoizm? Owszem. Możesz mówić, co tylko chcesz, nic mnie to nie obchodzi. Na studiach nazywałem się filozofii Ayn Rand i nasiąkałem nią jak gąbka.

-Dlaczego mnie tu przywiozłeś?

-Bo cię rozgryzłem. Kręcisz dokument o tej dzielnicy. I jak wszyscy inni chcesz mi dokopać.

-Tak myślisz?

-Przyciągam szmatławce jak magnes i mam już tego, kurwa, potąd. Dlatego chcę mieć pewność, że opowiesz w swoim filmie całą prawdę. Ludzie nie mają pojęcia, co tak naprawdę robię dla Hell's Kitchen.

-To znaczy?

-To znaczy, że za własne cholerne pieniądze odnawiam publiczny parking przy Czterdziestej Piątej. Pilnuję, żeby remont basenu prowadzony przez Zarząd Parków i Terenów Zielonych skończył się przed przyszłymi wakacjami. Poza tym otwieram nowy żłobek przy Trzydziestej Szóstej i...

-Zaraz, zaraz - na rogu Trzydziestej Szóstej i Dziesiątej?

W kamienicy Louisa Baileya.

Rzekomy harem McKennaha...

-Dokładnie tam. Zajmujemy trzy piętra i otwieramy najlepszy żłobek w tym kraju. Rodzice, którzy wykażą, że posiadają zatrudnienie przynoszące dochód albo aktywnie szukają pracy, będą mogli zostawiać swoje dzieci pod opieką za pięć dolców dziennie. W to wliczone jest jedzenie, zabawki, wykwalifikowane opiekunki, książki...

-Rozumiem, że pożar na sąsiedniej posesji to zwykły zbieg okoliczności? I nie miał nic wspólnego z Tower?

McKennah znowu zapłonął gniewem:

- Słuchaj no, może i jesteś ważną szychą w Hollywood, ale to jest zwyczajne pomówienie! Mój prawnik puści cię w skarpetkach! Nigdy w życiu niczego nie podpaliłem. Możesz przeświecić wszystkie moje inwestycje, od samego początku. Chętnie przejrzę z tobą całą listę, budynek po budynku.

-A co z tunelem? Nie spaliłeś kamienicy, żeby móc pod nią kopać?

McKennah zmarszczył brwi.

- Skąd wiesz o tunelu?

-To nie wszystko. Wiem też o twoim układzie z Jimmym Corcoranem.

Deweloper zaskoczony zamrugał powiekami. Po chwili odparł:

- Najwyraźniej jednak nie wiesz wszystkiego. Tunel nie będzie przebiegał pod posesją, która się spaliła. Jest tam podziemna rozdzielnia, skąd tunel odbija na zachód, dokładnie pod budynkiem żłobka, który, tak się składa, należy do mnie.

Hm. Znowu kamienica Bailey'a.

-To prawda, że dogadałem się z Corcoranem co do prawa drażenia tunelu pod jego działką. Ale ta druga gówno mnie obchodzi. Skoro tyle wiesz o aktach własności i publicznych rejestrach gruntów, dlaczego do cholery nie sprawdzisz, kto jest prawnym właścicielem, i nie zaczniesz węszyć wokół niego?

Pellam powtórzył mu, czego się dowiedział o Fundacji Świętego Augustyna: - To zwykła lipa. Myślałem, że ty jesteś prawdziwym właścicielem. Właśnie tego szukałem w twoim biurze. Dowodów.

McKennah nie wyglądał już na zagniewanego. Zamyślony pokiwał głową. Zarejestrowali firmę jako organizację typu non-profit, żeby ukryć, kto jest prawdziwym właścicielem. Genialny pomysł. Nie ma

mowy o przepływie kapitału, więc prokurator generalny raczej się nimi nie zainteresuje. - W jego głosie brzmiał nieskrywany podziw; wyglądało na to, że McKennah postanowił zapamiętać to rozwiązanie i w przyszłości w odpowiednim momencie je wykorzystać.

-Członkowie zarządu fundacji to fikcyjne osoby. A mój prawnik twierdzi, że potrzebuje kilku tygodni, żeby dowiedzieć się, kto tak naprawdę zarządza tym całym kramem.

McKennah roześmiał się głośno.

- Lepiej zmień prawnika.

-Zrobiłbyś to szybciej?

-A pewnie. W kilka godzin. Ale dlaczego w ogóle miałbym zawracać sobie tym głowę? Co będę z tego miał?

McKennah nie ma nic przeciwko negocjacjom, nie przeszkadza mu nawet, jeśli ktoś jest w nich lepszy od niego.

-Potargujmy się - zaproponował ostrożnie Pellam.

-Mów. Słucham.

-W twojej firmie jest przeciek, zgadza się?

-Tego akurat nie wiem.

-A jak inaczej mogłem się dowiedzieć o twoim układzie z Jimmym Corcoranem? McKennah milczał przez chwilę, przyglądając mu się uważnie. - Podasz mi nazwisko?

-Przysługa za przysługę - odparł Pellam. - Przysługa za przysługę...

Bezszelestnie wznieśli się na wyżyny nowojorskiego korporacyjnego Olimpu.

Gdy wysiedli z windy na siedemdziesiątym pierwszym piętrze flagowego wysokościowca McKennaha na Upper East Side, deweloper powiódł Pellama przez labirynt biur i korytarzy, a następnie przekazał w ręce rozczochranego, dobrze ubranego nerwusa. Elmore Pavone powitał ich niechętnym skinieniem głowy, najwyraźniej zdając sobie sprawę, że za chwilę na jego przygarbione barki spadnie kolejny ciężar. Brzemię to jednak nakładał na niego sam Roger McKennah, a to oznaczało, że pozostanie na jego barkach tak długo, aż problem nie zostanie rozwiązany.

Deweloper opowiedział Pavonemu o podpaleniu i Fundacji Świętego Augustyna. Jego adiutant również wydawał się być pełen

podziwu dla pomysłu wykorzystania organizacji typu non-profit jako przykrywkę dla nielegalnych operacji.

Pellam dodał:

- Podejrzewam, że za fundacją tak naprawdę stoi Jimmy Corcoran. McKennah i Pavone nieźle się uśmieiali.

-Możesz mi wierzyć, że coś takiego zdecydowanie przekracza możliwości Corcorana powiedział deweloper. - To kompletny idiota, chodząca definicja drobnego cwaniaczka.

Pellam uniósł brew.

- Czyżby? Słyszałem, że podobno nieźle cię oskubał.

-Co ty powiesz?

-W związku z umową dotyczącą budowy tunelu. Udostępnił ci prawa do ziemi w zamian za udział w zyskach.

McKennaha aż zatkało ze zdumienia.

- Jak się tego wszystkiego dowiedziałeś?

Uliczna poczta pantoflowa.

-To prawda? - dociekał Pellam.

Deweloper uśmiechnął się szeroko.

- Owszem. Corcoran będzie miał udział w zyskach. Ale umowa jest tak skonstruowana, że dostanie jeden procent z dochodów, cytuję, generowanych przez jego działkę. A to znaczy, że ma prawo tylko do pieniędzy z tunelu, a nie z budynku. Mój układ z miastem jest taki, że oddaję tunel w leasing miejskiemu zarządowi transportu za symboliczną sumę dziesięciu dolców rocznie. Tak więc udziały Jimmy'ego Corcorana wyniosą rocznie okrągłe dziesięć centów! - I dodał: - Zawsze będę o krok przed półgłówkami w rodzaju Jimmy'ego Corcorana. Ja też terminowałem w irlandzkim gangu, tutaj, w Hells' Kitchen. Tyle że w moim przypadku na tym się nie skończyło.

-Niedobrze mieć takiego wroga - zauważył Pellam. - Mam na myśli Corcorana.

McKennah znowu się roześmiał.

- Słyszałeś może o gangu Susłów?

Pellam przytaknął. To był ten słynny gang, który tak fascynował dziadka Ettie.

-Wiesz, co ich ostatecznie wykończyło?

-Oświeć mnie.

-Nie gliniarze. Nie władze miasta. A już na pewno nie federalni. Wykończył ich zwykły biznes. Centralna kolej nowojorska. Oni to zatrudnili gości od Pinkertona i w ciągu pół roku gang Susłów przeszedł do historii. Mogę ci zagwarantować, że jeśli Corcoran będzie mi wchodził w drogę, też załatwię gnojka na cacy.

Pellam miał jeszcze jedno pytanie.

- Kto w takim razie stoi za tą cholerną fundacją, skoro nie Corcoran?

Przez chwilę Pavone i McKennah się naradzali. Zakładając, że przyczyną podpalenia kamienicy był fakt wpisania jej na listę zabytków, myślał głośno Pavone, jedynym powodem, dla którego ktoś mógłby chcieć pozbyć się takiego budynku, musiał być zamiar postawienia w tym miejscu czegoś innego. - Żeby móc rozpocząć budowę, trzeba wystąpić o pozwolenie, warunki planu zabudowy i decyzję środowiskową...

McKennah skinął głową i wytłumaczył Pellamowi, że inwestorzy muszą często czekać całymi miesiącami, żeby dany projekt został w ogóle zatwierdzony przez miasto. Do tego trzeba zdobyć warunki planu zabudowy, z czym wiążą się publiczne przesłuchania w Agencji Ochrony Środowiska, a czasem także zaświadczenie o warunkach użytkowania gruntu. Wszystkie te dokumenty trzeba załatwić jak najszybciej, aby maksymalnie skrócić okres, w którym obłożona wysokimi podatkami nieruchomość nie będzie przynosić żadnych zysków.

Oczywiście podpalacz musiał liczyć się z ryzykiem, że policja albo inspektorat straży pożarnej dokopią się do złożonych wcześniej wniosków. Ale w nieprzebytym gąszczu miejskiej biurokracji osoby prowadzące śledztwo najczęściej zadowalały się potwierdzeniem aktualnego stanu własności i nie szukały głębiej. Zwłaszcza jeżeli podejrzanego już zatrzymano...

McKennah dał znak Pavonemu, który chwycił za telefon i rzucił podwładnemu kilka zdań w niezrozumiałym dla laika żargonie. Zanotował coś na kartce i trzy minuty później odłożył słuchawkę.

- Mam.

Nikt nie starał się o warunki zabudowy, ale dwa dni temu jakaś firma deweloperska z White Plains wystąpiła o zezwolenie na

rozpoczęcie budowy przy Trzydziestej Szóstej Ulicy, pod numerem 458 - dokładnie tam, gdzie stała tamta spalona kamienica. Morrone Brothers, z siedzibą przy autostradzie numer 22.

McKennah pokiwał głową, najwyraźniej słysząc znajomą nazwę.

Pavone mówił dalej:

- Chcą postawić sześciopoziomowy parking na działce, gdzie był pożar, i na dwóch sąsiednich.

-Parking - szepnął Pellam. Tyle nieszczęść i ludzkiego bólu dla zwykłego parkingu?

-Tak więc nasz tajemniczy inwestor zakłada Fundację Świętego Augustyna, wykupuje dwie puste działki, podpala budynek na trzeciej i stawia tam parking.

-Muszę go dorwać - oświadczył Pellam. - Jak go znajdziemy?

-Kto robi stalowe konstrukcje dla Morrone'ow? - zapytał Pavone'a deweloper.

-Bronx Superstructures, Giannelli...

-Nie, nie tutaj - przerwał mu niecierpliwie McKennah. - W Westchester! W Connecticut. No, Elm, rusz głową. Ktokolwiek to jest, musi działać w pewnej odległości od miasta.

-Fakt, masz rację. Okej, w takim razie to musi być Bedford Building and Foundation.

-Nie. - McKennah zdecydowanie pokręcił głową. - Oni realizują teraz zlecenie dla Metro North. Nie mają takich mocy przerobowych, żeby robić to i jednocześnie budować parking. No, dalej! Myśl!

-To może Hudson Steel? Oni są z Yonkers...

-Bingo! - McKennah strzelił palcami i chwycił słuchawkę. Wybrał numer z pamięci i po kilku sekundach oczekiwania mruknął: - Mówi Roger McKennah. Zastałem go?

W czasie potrzebnym, aby wypuścić z palców rozgrzane do czerwoności wiertło, poszukiwany podwykonawca stawiał się przy telefonie, zakończywszy przedtem błyskawicznie inną rozmowę.

-Cześć, Tony... Dobra, dobra. - McKennah przewrócił oczyma, co miało świadczyć o tym, jak bardzo tamten mu się podlizuje. - Okej, przyjacielu, trochę mi się spieszy. Jest taka sprawa. Tylko nie próbuj wciskać mi kitu, rozumiano? Odpowiesz na parę pytań, a ja dam ci zbudować nasz nowy dok w Greenwich. Bez przetargu, bez niczego...



Dobra, możesz już podnieść się z klęczek... Tak, tak, prawdziwy szczęściarz z ciebie. A teraz słuchaj. Podobno Morrone jest głównym wykonawcą nowego parkingu w mieście. Przy Zachodniej Trzydziestej Szóstej. Właściciel to Fundacja Świętego Augustyna. Jak to nikt miał o tym nie wiedzieć? Chyba wiesz, kurwa, że przede mną nic się nie ukryje, Tony. Ty dostarczasz im stal, mam rację?... Widziałeś się z kimś z tej fundacji?... No, to sprawdź to. I zadzwoń do mnie za trzy minuty. A wspominałem już, że ten kontrakt na doki to robota za milion trzysta tysięcy dolców?

McKennah rozłączył się. - Zaraz oddzwoni. Dobra, ja wywiązałem się ze swojej części umowy. Teraz kolej na ciebie. Co za gnój wynosi z firmy moje tajemnice?

Pellam odparł:

- Kiedy wybrałem się dzisiaj do Tower, zafundowałem sobie małą wycieczkę po twoim biurze.

-Aha, wycieczkę - powtórzył sucho deweloper.

Pellam ciągnął:

- Wpadła mi w oko jedna z sekretarek. Kay Haggerty? Zwróciłem uwagę na jej identyfikator.

Błysk w oku McKennaha zdradził mu, że ponętna panna Haggerty była dla niego kimś więcej nietylko sekretarką.

-Kay? - McKennah wzruszył ramionami. - Co masz przeciwko niej? Miły z niej dzieciak.

-Nie wątpię. Ale to właśnie źródło twojego przecieku.

-Niemożliwe. To sumienny pracownik. Poza tym... - Rozpaczliwie szukał jakiegoś eufemizmu. - Mam do niej pełne zaufanie. Dlaczego uważasz, że mnie szpieguje?

-Bo to dziewczyna Jimmy'ego Corcorana. Tydzień temu widziałem ją w „488 Bar Grill”. Siedziała mu na kolanach.

John Pellam, poszukiwacz plenerów filmowych i reżyser w jednej osobie, spacerował wysoko ponad miastem, wyglądając przez nieskazitelnie czyste okna w gabinecie Rogera McKennaha.

Jego kowbojki stąpały bezszelestnie, wyciskając wąskie ślady stóp w puszystym, błękitnym dywanie. Miał wrażenie, że tutaj, na siedemdziesiątym pierwszym piętrze, powietrze było jakby rozrzedzone. Brakowało mu tchu. Podejrzewał jednak, że to nie z

powodu zawrotnej wysokości czy przytłaczającego korporacyjnego splendoru; po prostu jego płuca wciąż wypełniał dym po pożarze u Louisa Bailey'a.

Oskrzydlony przez miliardera i jego bezwzględnego współpracownika Pellam przechadzał się nerwowo wte i wewte. Minuty ciągnęły się jak dni, aż w końcu rozległ się przenikliwy dzwonek telefonu.

Deweloper dramatycznym gestem poderwał słuchawkę z widełek; Pellam domyślił się, że pewnie robi tak zawsze, gdy tylko ma publiczność. Przez kilka sekund słuchał w milczeniu, po czym nakrył dłonią mikrofon i rzucił Pellamowi triumfalne spojrzenie.

- Mamy ich...

Zapisał coś na kartce i zakończył rozmowę. Podetknął świstek Pellamowi.

- Czy to nazwisko coś ci mówi? Pellam przez dłuższą chwilę wpatrywał się w skrawek papieru. - Obawiam się, że tak - odparł wreszcie.

## 27

Popatrz, stary. To ta suka, co pracuje w ośrodku dla dzieciaków. - Człowieku, nie mów tak o niej. Babka jest w porządku. Mój brat był kompletnie popaprany, kiedy tam trafił. Brał koks, kumasza? A teraz już nie bierze.

-Akurat. Wszyscy myślą, że to miejsce jest w porządku, a tam odchodzi niezły szajs. Czego mnie gnoisz?

-Wcale cię nie gnoję, człowieku! Tylko mówię, że żadna z niej suka. Ma łeb na karku. I pomaga ziomalom, to wszystko.

Carol Wyandotte siedziała na nasączonych cuchnącym kreozotem deskach na nabrzeżu i spoglądając w mroczne wody rzeki Hudson, przysłuchiwała się rozmowie dwóch młodych mężczyzn, którzy minęli ją wielkimi krokami, sadząc na południe. Dokąd się tak spieszyli? Trudno było powiedzieć. Może do swojej pracy operatorów wózków widłowych? Żeby nakręcić niezależny film, jak John Singleton czy młody Spike Lee? A może żeby grzebać w śmieciach czy dobywszy scyzoryka obrabiać turystów na Times Square?

Podśluchana wymiana zdań sprawiła, że przypomniały jej się jej własne słowa, wypowiedziane całkiem niedawno w rozmowie z Johnem Pellamem: „On nie używa słowa «suka» w tym znaczeniu.”

Ten chłopak jednak najwyraźniej wiedział, co mówi.

A zresztą, kim była, żeby się na ten temat wypowiadać? Już wcześniej myliła się co do ludzi, w których życie zdarzało jej się brutalnie ingerować.

Siedziała teraz na tym nabrzeżu pod palącym słońcem i obserwowała statki kursujące w dół i w górę rzeki. Holowniki, kilka promów turystycznych, jakiś jacht. Niedaleko niej przepłynął statecznie jeden z wszechobecnych statków rejsowych należących do Circle Line, pomalowany w barwy włoskiej flagi. Tłoczący się na pokładzie turyści wciąż jeszcze tryskali entuzjazmem, podekscytowani perspektywą czekających ich widoków. Inna sprawa, że ich wycieczka dopiero się rozpoczęła. Carol zastanawiała się, czy za trzy godziny, gdy będą zgrzani i głodni, ich entuzjazm przypadkiem nieco nie zblednie.

Carol Wyandotte wyglądała tego dnia inaczej niż zwykle. Podwinęła rękawy bluzy, odsłaniając pulchne ramiona. Nie pamiętała już, kiedy ostatnio pokazała się publicznie z odkrytymi ramionami. Jej wystawiona na działanie słońca skóra nosiła teraz ślady lekkiego poparzenia. Opuściła głowę i wykręcając przedramię, przyjrzała się okropnej plątaninie blizn. Z roztargnieniem potarła dłonią tę oszpeconą część swojego ciała, a następnie ukryła twarz w zagłębieniu ramienia i pozwoliła, aby jej łyzy chłodziły rozpaloną skórę.

Gdzieś z tyłu trzasnęły drzwiczki samochodu. Zanim w napięciu doliczyła do pięćdziesięciu, usłyszała za sobą szelest trawy i czyjeś kroki. Ten ktoś zatrzymał się z wahaniem, lecz po chwili ruszył naprzód. Kiedy Carol doszła do siedemdziesięciu ośmiu, za jej plecami rozległ się głos.

Należał oczywiście do Johna Pellama.

- Mogę się przysiąc?

Wiele lat temu ktoś zapisał tę nieruchomości w testamencie organizacji dobroczynnej wyjaśniła Carol, podciągając kolana pod brodę. - Po pewnym czasie przekazano ją ośrodkowi. Pracowałam wówczas w głównym biurze administracyjnym i odkryłam w księgach trzy sąsiadujące ze sobą działki: przy Trzydziestej Szóstej numer 454, 456 i 458. Potem zauważyłam, że geodeci McKennaha przeprowadzają jakieś pomiary na terenie, gdzie stoi teraz Tower. Popytałam, kogo trzeba, i usłyszałam pogłoskę, że ma tam coś budować. W tamtym czasie to była naprawdę zakazana okolica, ale ja wiedziałam, czego się spodziewać. Wiedziałam, że w ciągu najbliższych kilku lat wartość tych działek niebotycznie wzrośnie. Oczywiście nikt z zarządu naszej organizacji nigdy nie ośmieliłby się pojawić w Hell's Kitchen; nie mieli zielonego pojęcia, co się tutaj dzieje. Powiedziałam im, że musimy jak najszybciej pozbyć się tych działek, bo dziennikarze kręcą tam swoje relacje o nastoletnich dziwkach, handlarzach narkotyków i bezdomnych koczujących w naszych budynkach.

-I co, uwierzyli ci?

-Jeszcze jak. Wystarczyło ich przekonać, że jeśli tylko pismaki zwąchają, kto jest właścicielem tych terenów, dla ośrodka będzie to prawdziwa katastrofa. Ci ludzie jak ognia boją się złej prasy. Wszyscy

oni - rabini, księża, fdantropi, prezesi dużych firm - to zwykli tchórze. Tak więc zarząd błyskawicznie pozbył się tych działek za symboliczną cenę. - Carol zaśmiała się. - Pośrednik powiedział, że to niemal wyprzedaż.

-A ty je kupiłaś?

Skinęła głową.

- Za pieniądze z narkotyków, które odłożyliśmy z moim eks. Założyłam lipną Fundację Świętego Augustyna. Wiedziałam, jak to zrobić, bo wszystkiego nauczyłam się jako sekretarka w kancelarii prawniczej w Bostonie. Wiedziałam, że nie mogę zburzyć budynku, który został objęty ochroną zabytków, więc po prostu czekałam na sposobną chwilę. A potem poznałam Sonny'ego.

-Jak do tego doszło?

-Przez parę lat mieszkał w ośrodku po wyjściu z poprawczaka, gdzie trafił za spalenie domu swojej matki i zabójstwo jej kochanka.

-Poza tym - dodał Pellam - znałaś też Ettie...

-Oczywiście - przyznała. - Była moją lokatorką. Miałam kopie jej rachunków za czynsz i próbki pisma. Znalazłam podobną do niej Murzynkę i kazałam jej wykupić polisę ubezpieczeniową. Zapłaciłam jej kilkaset dolarów. Skorzystałam z uniwersalnego klucza, żeby dostać się do jej mieszkania, kiedy była na zakupach. Tak znalazłam jej książeczkę oszczędnościową.

Pellam popatrzył na rozciągający się wokół nich płaski, trawiasty kawałek ziemi.

- A potem wypłaciłaś pieniądze z jej konta?

-Wypłaty dokonała ta sama kobieta, która załatwiła ubezpieczenie. Pamiętasz ten list, który znaleźli przy ciele Sonny'ego? Napisany przez Ettie? Miał go podrzucić na miejscu jednego z pożarów, żeby policja zdobyła ostateczny dowód. To ja go sfalszowałam.

-Ale dlaczego? Przecież i tak nie masz dostępu do pieniędzy fundacji.

Carol wybuchnęła śmiechem.

- Och, Pellam. Widać, że jesteś z Hollywood. Dla ciebie każdy przestępca musi od razu ukraść co najmniej dziesięć milionów dolarów w złocie albo sto milionów w obligacjach. Zupełnie jak w filmach z Bruce Willisem. Życie nie jest aż tak fantastyczne.

Fundacja czerpałaby niezłe zyski z parkingu, a ja mianowałabym się jej dyrektorem generalnym. Zarabiałabym siedemdziesiąt, osiemdziesiąt tysięcy rocznie, a prokurator generalny nawet okiem by nie mrugnął. Dodaj do tego pieniądze z kasy podręcznej i funduszu reprezentacyjnego, a zostałyby akurat tyle, żeby jeszcze wspomóc paru biedaków w Hell's Kitchen. - Uśmiechnęła się ponuro. - Widzę po twojej minie, że spodziewałaś się po mnie większej skruchy. - Jej wilcze oczy były zimne jak lód. - Pellam, wiesz, ile razy w ciągu ubiegłego roku płakałam - naprawdę płakałam? Raz pięć minut temu, myśląc o tobie. I drugi raz tamtego ranka, po wspólnie spędzonej nocy. Kiedy ukradłam z twojego mieszkania tamte taśmy, pojechałam metrem do pracy. Siedziałam w wagonie i płakałam, płakałam, płakałam. Prawie wpadłam w histerię. Myślałam o tym, jak mogłoby wyglądać moje życie u boku kogoś takiego jak ty. Ale wtedy było już za późno.

Minął ich jakiś samochód. Z jego głośników dobiegły ich basowe bity. Znow ta sama piosenka. Tutaj rządzi biały człowiek... Muzyka wolno cichła w oddali.

Pellam nie mógł oderwać oczu od pokrytych potwornymi szramami ramion kobiety. Usłyszał swój głos, pytający:

- Ale nie płakałaś nad losem Ettie, prawda?

- To ci się naprawdę udało, Pellam - zauważyła gorzko Carol. - Miałabym płakać nad losem Ettie Washington? Przez całe życie potrafiła być tylko ofiarą. Sam Bóg obsadził ją w tej roli. Cholera, połowa ludzi w tym mieście to ofiary, a druga to sprawcy ich nieszczęść. I to się nigdy nie zmieni, Pellam. Nigdy, nigdy, nigdy! Jeszcze to do ciebie nie dotarło? Nie ma żadnego znaczenia, co się stanie z Ettie. Jeśli nie pójdzie do więzienia za podpalenie, to na pewno za coś innego. Albo ją eksmitują i trafi do schroniska. Albo na bruk... - Otarła oczy. - A ten chłopak, który wszędzie za tobą łązi, Ismail? Ten, którego - jak ci się wydaje - możesz ocalić? Ten, do którego - jak sądzisz - udało ci się dotrzeć? Jak tylko uzmysłowi sobie, że nie jesteś mu już potrzebny żywy, wbije ci nóż w plecy, ukradnie portfel i wyda pieniądze, zanim ostygniesz... Och, wyglądasz tak spokojnie, gapiąc się na tę przeklętą trawę, ale przeraża cię to, co teraz mówię, mam rację? Wierz mi, nie jestem potworem, tylko

realistką. Widzę, co się wokół mnie dzieje. Tutaj nic się nie zmieni. Kiedyś tak myślałam, ale to nieprawda. Jedynym rozwiązaniem jest wydostać się z tego piekła. Oddzielić się od niego setką kilometrów albo górą pieniędzy.

-A dlaczego zwróciłaś mi te ukradzione taśmy?

-Myślałam, że jeśli przyznam się do mniejszego przewinienia, odsunę od siebie podejrzenia o coś gorszego. - Jej dłoń znalazła się o milimetr od dłoni Pellama, ale jej nie dotknęła. - Nie chciałam, żeby ktokolwiek zginął. Ale tak się stało. Zawsze się tak dzieje, przynajmniej w takich miejscach, jak Hell's Kitchen. Nie możesz po prostu o tym zapomnieć?

Pellam nie odpowiedział. Wyciągnął rękę, dotknął czubka swoich kowbojek i stracił suchy, zwinięty liść.

-Proszę cię - powiedziała Carol błagalnie.

Pellam milczał.

-Nigdy nie miałam domu. Spotykałam tylko niewłaściwych mężczyzn i niewłaściwe kobiety. - W jej szepcie zabrzmiała rozpacz. Zobaczyła, że Pellam wstaje i sama też się podniosła. - Nie odchodź, błagam!

Jej spojrzenie pobiegło w kierunku autostrady, gdzie zaparkowały trzy policyjne radiowozy. Uśmiechnęła się blado, jakby poczuła ulgę - jakby w końcu otrzymała od dawna spodziewaną złą wiadomość.

-Musiałem - rzucił Pellam, wskazując na samochody.

Carol odwróciła się ku niemu wolno.

- Znasz poezje Yeatsa?

-To i owo.

-A „Wielkanoc 1916”?

Pellam pokręcił głową.

Carol ciągnęła:

- Jest tam taki wers: „Serce przemienia się w kamień, zbyt długo składane w ofierze”\*. To moje życiowe motto. - Zaśmiała się głucho.

Statek Circle Line dawno już zniknął im z oczu, robiąc dużą pętlę za Battery Park.

Carol napięła mięśnie, zakołysała się na piętach i wykonała taki gest, jakby chciała go przytulić i pocałować.

Na ułamek sekundy John Pellam poczuł coś na kształt rodzącego

się współczucia; przyszło mu do głowy, że być może nieszczęścia, które Carol musiała w życiu znieść, były równie głębokie i liczne jak te, które sama spowodowała. Zaraz jednak przed oczyma stanęła mu Ettie Washington, zdradzona przez Billy'ego Doyle'a i tylu innych - zupełnie jak Carol Wyandotte. Odsunął się od niej z niechęcią.

Przez rzekę przetoczył się ryk syreny okrętowej; wielki holownik pchał przez wzburzone wody barkę długości boiska do futbolu. Pellam popatrzył na tańczące na falach odpryski słońca. Syrena ponownie zawyła. Pilot dawał sygnał innej prującej w górę rzeki jednostce.

Carol wyszeptała coś, czego Pellam nie zrozumiał - miał wrażenie, że było to pojedyncze słowo - i utkwiała spojrzenie swoich wyblakłych oczu w odległym punkcie na horyzoncie. Patrząc nieruchomo przed siebie, zrobiła spokojnie krok w tył i runęła w szarozieloną toń, gdzie prąd natychmiast wciągnął ją pod przepływającą barkę, zanim Pellam zdążył w jakikolwiek sposób zareagować.



To była prawdziwa sensacja.

Samobójstwo kierowniczkii ośrodka pomocy młodzieży, która wynajęła opętanego żądzą zniszczenia piromana... Prasa i programy telewizyjne prześcigały się w komentowaniu tej historii.

W programie „Live At Five” pokazano ścigacze straży przybrzeżnej i małe niebieskie motorówki policyjne przecinające Zatokę Nowojorską w poszukiwaniu ciała Carol Wyandotte. Reporter Associated Press okazał się autorem najbardziej dramatycznego ujęcia przedstawiającego ratowników wyciągających z wody ciało kobiety na tle wysp Liberty i Ellis. Pellam znalazł to zdjęcie w „New York Timesie”; Carol miała zamknięte oczy. Dobrze pamiętał ich blady odcień, tak blady, jak blada była jej skóra po wielu godzinach spędzonych w zimnej wodzie.

Wilcze oczy...

Zarzuty wobec Ettie umorzono. Ta informacja nie była nawet w połowie tak sensacyjna; jeżeli w ogóle ją przytaczano, to tylko z uwagi na fakt, którym najbardziej zainteresowały się brukowce: taki mianowicie, że Roger McKennah okazał się być właścicielem działki przylegającej do tej, na której mieszkała Ettie i gdzie stała jej spalona kamienica. Wszyscy z przyjemnością dołożyliby deweloperowi, ale nawet najbardziej zapamiętały łowca sensacji nie potrafił znaleźć żadnych dowodów na jego związek z podpaleniem. Jedna z sieci wyemitowała więc gorącą wiadomość z ostatniej chwili o otwarciu przez McKennaha w dzielnicy supernowoczesnego żłobka (komentarzowi towarzyszył niewyraźny filmik wideo nakręcony w nielegalnym żłobku przy Dwunastej Alei - niezwykle dramatyczna relacja, którą McKennah przygotował już we własnym zakresie).

Jednak większość dziennikarzy koncentrowała się na uroczystej ceremonii otwarcia McKennah Tower w najbliższą sobotę. Dobra wiadomość była taka, że chociaż były prezydent Bush, Michael Jackson i Leonardo DiCaprio nie mogli w niej uczestniczyć, swój udział potwierdzili Ed Koch, David Dinkins, Rudolph Giuliani, Madonna, Geena Davis, Barbara Walters i David Letterman.

Za kwadrans piąta w piątkowe popołudnie John Pellam pchnął skrzydło wysokich, mosiężnych drzwi wiodących do budynku sądów kryminalnych i pomógł Ettie Washington opuścić tę instytucję, a następnie sprowadził ją po kilku stopniach na szeroki chodnik.

Stali teraz na ulicy Centralnej, pod błękitnym niebem bez śladu choćby jednej chmurki. Powietrze było zaskakująco chłodne jak na sierpniowe popołudnie. Tydzień pracy dobiegł właśnie końca i setki urzędników państwowych mijały ich, udając się pospiesznie do domu.

-Dobrze się czujesz? - zwrócił się Pellam do wychudzonej staruszki.

-Dobrze, John, naprawdę dobrze. - Pomimo tych zapewnień Ettie wciąż utykała, a poprawiając prowizoryczny temblak, na którym spoczywało jej złamane przedramię, co raz wzdrygała się z bólu. Pellam zauważył, że jego podpis na gipsie nie doczekał się żadnego towarzystwa.

Ettie została bez większych ceregieli zwolniona z aresztu. Wydawała się teraz jeszcze słabsza i bardziej krucha, niż kiedy się ostatnio widzieli. Strażniczki były nieco mniej nieprzyjazne niż podczas poprzednich jego wizyt, ale Pellam złożył to raczej na karb ich zmęczenia niż skruchy.

-Proszę chwilę poczekać! - zawołał jakiś głos kilka metrów od nich.

Odwrócili się i zobaczyli wymiętego mężczyznę w wiatrówce i dżinsach, który zbliżał się ku nim szybkim krokiem. - Pellam. Pani Washington.

-Inspektorze Lomax - mruknął Pellam; jego twarz ściągnęła się i wyglądała teraz jak zagniewana maska. Ze wszystkich cięgów, jakich mu niezczędzono przez tych ostatnich parę dni - rozorany w strzelaninie policzek, pożar, spotkanie z irlandzką mafią - największy ból zadała mu koścista pięść znajomego Lomaxa, chudego człowieczka z rulonem ćwierćdolarówek.

Lomax zawahał się. Zgodnie z planem udało mu się zatrzymać Pellama i Ettie, ale teraz, gdy ich uwaga była na niego zwrócona, nie był pewien, co dalej robić. W końcu wyciągnął do Ettie rękę. Ostrożnie odwzajemniła jego uścisk. Zastanawiał się, czy nie postąpić tak samo wobec Pellama, ale intuicja słusznie podpowiedziała mu, że jego gest nie spotkałby się z życzliwym

przyjęciem. Dodał jeszcze: -Domyślam się, że nikt się nie pofatygował z przeprosinami.

-Przed chwilą byli tu prezydent i pierwsza dama.

-Myślałem, że może chociaż Lois Koepel przysłała kwiaty - spróbował inaczej inspektor.

-Może kwaciarnie były już pozamykane.

Ettie nie brała udziału w tej nerwowej wymianie zdań.

-Popełniliśmy błąd - przyznał Lomax. - Bardzo za to przepraszam. I przykro mi, że straciła pani dach nad głową.

Ettie podziękowała, nadal nieufna; Pellam podejrzewał, że zawsze tak reagowała, mając do czynienia z policją. Przez następnych kilka minut omawiali szokujący fakt zlecenia podpalenia szaleńcowi przez kierowniczkę ośrodka pomocy młodzieży.

-Był taki czas, gdy pies z kulawą nogą nie zainteresowałby się tym, co się dzieje w Hell's Kitchen - zauważył Lomax. - Na szczęście świat się zmienia. Powoli, ale jednak.

Ettie milczała, ale Pellam dobrze wiedział, co mogłaby na to odrzec. Niemal słowo w słowo pamiętał jedną z jej wypowiedzi:

...Ten nowiutki wieżowiec po drugiej stronie ulicy to prawdziwe cacko. Mam tylko nadzieję, że ktokolwiek go buduje, nie ma zbyt wielkich oczekiwań. Nic się długo nie uchowa tutaj w Hell's Kitchen, wiesz? Nic się nie zmienia, ale też nic nie trwa długo.

Lomax wręczył Ettie swoją wizytówkę, zaznaczając, że gdyby kiedykolwiek mógł coś dla niej zrobić... Na przykład dopomóc w znalezieniu nowego lokum. Albo załatwieniu zapomogi.

Ale Louis Bailey zdążył już znaleźć jej nowe mieszkanie. Ettie powtórzyła to Lomaxowi.

-I właściwie niczego już nie potrzebuję... - zaczęła, ale Pellam pokręcił głową i dotknął lekko jej ramienia. Miało to oznaczać: nie spieszmy się tak bardzo. Bailey mógł być kiepskim prawnikiem, ale Pellam nie miał wątpliwości, że jego znajomość miejskich trybików jest na tyle duża, aby wynegocjować od miasta hojne odszkodowanie.

Potem Lomax pożegnał się, a Pellam i Ettie stanęli przy krawężniku. Na widok ciemnoskórej kobiety kojarzącej się z kursem do Harlemu czy Bronksu kilka taksówek minęło ich w pędzie.

Pellam był wściekły, ale Ettie przyjęła to spokojnie. Skrzywiła się

jednak z bólu, więc zaproponował:

- Usiądźmy na chwilę. - I wskazał staruszcze ciemnozieloną ławkę.

-Wiesz, jak dawniej nazywała się ta dzielnica, John?

-Nie mam pojęcia.

-Five Points.

-Pierwsze słyszę.

-Kiedy w Hell's Kitchen rządziły Susły, ta okolica była prawie tak samo niebezpieczna. A może nawet bardziej. Dziadzio Ledbetter mi opowiadał. A mówiłam ci o jego gangsterskim dzienniku? Wklejał do niego różne wycinki z gazet.

-Nie, chyba nigdy mi o tym nie wspominałaś. - Pellam ogarnął spojrzeniem parki i neoklasyczne budynki sądów. - A te pieniądze, które odłożyłaś na rachunku... Twoje oszczędności. Chciałaś za nie odnaleźć córkę, prawda?

-Louis ci o niej powiedział?

Pellam przytaknął.

-W tej sprawie też nie byłam z tobą szczerą, John. Wybacz mi. Ale tak naprawdę tylko dlatego zgodziłam się udzielić ci wywiadu, bo miałam nadzieję, że może zobaczy mnie w telewizji, tam, na Florydzie, czy gdziekolwiek teraz jest. Zobaczy mnie i w końcu zadzwoni.

-Ale wiesz co, Ettie? To twoje przyznanie się do winy niemal poskutkowało...

Staruszka zajrzała do torebki i wyjęła z niej chusteczkę. Pellam przypomniał sobie, że zwykła prać je w perfumowanej wodzie i suszyć na cienkiej linie rozpiętej nad wanną. Teraz otarła nią oczy. - To mnie najbardziej bolało - że pomyślisz, że cię okłamałam. Albo że próbowałam cię skrzywdzić.

-Nawet przez moment tak nie myślałam.

-A powinieneś był - skarciła go Ettie. - O to mi przecież chodziło. Chciałam, żebyś wrócił do domu, do Kalifornii, tak jak zamierzałeś. I trzymał się z dala od kłopotów. Miałeś wyjechać i już nigdy tu nie wrócić.

-Myślałaś, że jeśli się przyznasz, prawdziwy morderca da za wygraną i nie będzie już próbował mnie zabić. Tak samo postąpił Billy Doyle: przyznał się, żeby ocalić życie twojemu bratu...

-To, co zrobił, poddało mi pewien pomysł - wyjaśniła. - Widzisz, wiedziałam, że to nie ja wynajęłam tego psychopatę, żeby spalił naszą kamienicę. Ale ktoś to zrobił i ten ktoś nadal był na wolności. Byłam pewna, że dopóki będziesz węszyć po okolicy, ten ktoś będzie próbował zrobić ci krzywdę.

Ettie utkwiła spojrzenie w wymyślnym, pokrytym zielonawoszarą patyną zwieńczeniu budynku Woolwortha, w mrowiu pączkujących na spiczastym dachu gargulców. W końcu powiedziała: - Tyle mi w życiu odebrano, John. Mój Billy Doyle poszedł za głosem swojej natury. Jakiś wariat z rewolwerem odebrał mi Frankiego. A Elizabeth dała się omamić bawidamkowi. Nawet moja dzielnica... Deweloperzy i różni bogacze cały czas mi ją odbierają, kawałek po kawałku. Nie chciałam, żeby odebrano mi również ciebie. Tego bym nie zniosła. Myślałam: „Do diabła, posiedzę parę lat i wyjdę.” A wtedy może nadal będziesz chciał ze mną rozmawiać, słuchać mnie i nagrywać moje historie na taśmę. A jeśli nie, to ja to zrozumieję. Ale przede wszystkim chciałam, abyś żył i miał się dobrze. - Zaśmiała się cicho. - Tylko tak niewiele pragnęłam dla siebie ocalić. Widzisz, czasami można ich jednak wyprowadzić w pole. O, tak, czasami to się udaje. A teraz jestem zmęczona. Chciałabym już wrócić do domu.

Pellam wyszedł zdecydowanie na jezdnię prosto przed maskę wolnej taksówki, która z piskiem zahamowała. Następnie pomógł Ettie przejść do auta; po drodze minęło ich trzech krzepkich mężczyzn eskortujących skutego kajdankami więźnia do budynku sądu. Zatrzymany jako jedyny z całej czwórki uklonił się z szacunkiem starszej kobiecie. Ettie skinęła mu w odpowiedzi głową. Wsiedli do taksówki.

Pakistański kierowca zerknął na Pellama, pytając niemo o kierunek jazdy.

-Hell's Kitchen - rzucił Pellam.

Taksówkarz zamrugał zdezorientowany.

Pellam powtórzył nazwę, ale mężczyzna pokręcił bezradnie głową.

-Róg Trzydziestej Czwartej i Dziewiątej Alei.

Zapadnięte oczy wpatrywały się w niego przez chwilę, po czym kierowca włączył

taksometr i ruszyli z piekielnym warkotem przez ruchliwe ulice.

## 29

Wieczorem następnego dnia Pellam i Louis Bailey spotkali się w świeżo odmalowanym biurze prawnika.

Stali teraz w identycznych pozach - wychyleni przez okno, ze zmrużonymi oczyma, wypatrując czegoś po przeciwnej stronie ulicy.

-To chyba gubernator - zauważył Bailey.

-Nie, nie sądzę - odparł Pellam, chociaż minęło już niemal dwadzieścia lat, odkąd zamieszkiwał ostatnio wspaniały stan Nowy Jork i obecnie miał bardzo blade pojęcie o tym, jak może wyglądać jakikolwiek gubernator - nieważne, dawny czy obecny.

-Jestem pewien, że to on.

-Dziesięć dolców, że nie - rzucił Pellam. Zakład był ryzykowny, ale grunt to pewność siebie; wiedział to z wiarygodnego źródła.

-Dobra. Ale pięć...

Podali sobie ręce.

Przecznicę dalej drzwi limuzyny otworzyły się i podróżujący autem dygnitarz, kimkolwiek był, stanął na czerwonym dywanie przed głównym wejściem McKennah Tower. Po chwili nobliwie wyglądający dżentelmen w smokingu i towarzyszący mu ochroniarze znikli wewnątrz budynku.

-Tablica rejestracyjna - odezwał się Bailey - miała numery NY 1.

-To pewnie jakiś miotacz Metsów.

-Wtedy na pewno nie byłoby jedyńki - odparował chłodno Bailey. Długi czarny lincoln zniknął za rogiem. Bailey zamknął okno.

Naprzeciwno trwała właśnie pierwsza chyba ceremonia otwarcia wysokościowca, której nie towarzyszyły zapierające dech w piersiach widoki. Nie mogąc pomieścić sześciu tysięcy zaproszonych gości na dachu Tower, McKennah postanowił przenieść ceremonię do urządzonego z przepychem audytorium na partnerze, gdzie w przyszłości miały się odbywać produkcje teatralne oraz musicale o iście broadwayowskim rozmachu. Tego wieczoru sala rozbrzmiewała muzyką z MTV nadawaną w systemie Dolby Surround i cada migotała od świateł laserów. Dodatkowo na setkach ekranów emitowano fragmenty teledysków i pokazy grafiki komputerowej.

Pellam nalał sobie kropelkę wi na z kartonu i ponownie skupił się na tym, co mówił Louis Bailey. Stary adwokat aż kipiał energią i usta mu się nie zamykały. Podczas gdy on opowiadał o zamkniętej właśnie sprawie, w mrocznym kącie odrem ontowanego biura ubrany w trójkolorową wiatrówkę Ismail kartkował jakiś wiekowy komiks o pożółkłych stronach. Na nogach miał no wiutkie buty do koszykówki.

-Muszę się jeszcze z kimś zobaczyć - zawołał do niego Pellam. - A ty powinieneś już wracać do ośrodka.

-Spoko, koleś. Bez paniki.

Jedna z osobistych sekretarek McKennaha telefonowała wcześniej z pytaniem, czy Pellam miałby ochotę uczestniczyć w ceremonii uroczystego otwarcia. Odmówił, ale zgodził się wpaść na chwilę o dziewiątej wieczorem; ze słów kobiety wynikało, że deweloper ma dla niego pamiątkę, która może go zainteresować. Początkowo pomyślał, że chodzi o jakiś drobiazg związany z historią Hell's Kitchen, na przykład coś, co wykopano podczas stawiania fundamentów pod Tower. Jako zaprzysięgły zwolennik mieszkania w przyczepie kempingowej, Pellam nigdy nie był typem kolekcjonera. Zaświtało mu jednak w głowie, że w grę może wchodzić czek na pokaźną sumę - nagroda za zdemaskowanie dziewczyny Corcorana i przygotowanie imponującej filmowej relacji z nielegalnego żłobka.

Pellam zaczął zbierać się do wyjścia.

- Idziemy, Ismailu.

Chłopiec ziewnął.

- Kiedy jeszcze nie jestem zmęczony.

-Pora wracać.

Ismail przeciągnął się, podszedł do Bailey'a i przybił z nim piątkę. - Nara, ziomal.

-Chyba ziomek? - nie zrozumiał Bailey. - Rzeczywiście, w końcu jesteśmy prawie sąsiadami.

Ismail zmarszczył brwi zakłopotany. Po chwili powtórzył: - Na razie.

-No, tak. Do zobaczenia, młody człowieku.

Pellam i Ismail wyszli w ciemności spowijające Trzydziestą Szóstą Ulicę. Tłumy gości były już wewnątrz wieżowca, ich limuzyny odjechały albo stały zaparkowane gdzie indziej. Wokół panowała

przytłaczająca pustka, kamienica Bailey'a była bowiem w tej chwili jedynym budynkiem mieszkalnym między Dziewiątą a Dziesiątą Aleją. Wybór lokalizacji dla zamku McKennaha nie odmienił wcale w magiczny sposób okolicznych terenów; wciąż daleko im było do tętniącej życiem oazy miejskiej cywilizacji.

Plac budowy po przeciwnej stronie ulicy przesłaniały transparenty i chorągiewki łopoczące w upalnych podmuchach wieczornego wiatru. Jedynym dźwiękiem był tutaj daleki pogłos muzyki dobiegającej z audytorium.

-Coś tu pustawo - zauważył Pellam.

-Co tam nawijasz, koleś?

-Mówię o ulicy. Pusto tu.

-I jak jeszcze. - Chłopak ponownie ziewnął.

Minęli wielki buldożer zaparkowany w miejscu, gdzie stała dawniej kamienica Ettie.

-Co tu teraz będzie? - myślał głośno Pellam.

Ismail wzruszył ramionami.

- Cholera wie. A kogo to obchodzi?

Ruszyli w stronę audytorium, gdzie Pellam miał się spotkać z McKennahem albo którymś z jego asystentów. Teatr mieścił się w osobnym budynku przylegającym do Tower, lecz nie będącym jego częścią. Wznosił się w górę na dwadzieścia metrów z okładem ponad lśniącym szkłem, marmurami i granitem frontonem. Wejście ozdabiał pseudoegipski motyw w kolorach piaskowym, rdzawoczerwonym i zielonym. W tej chwili hol świecił pustkami; uroczyskości dawno się już zaczęły.

Mijając plac budowy przylegający do budynku teatru, Pellam zauważył, że musieli tam pracować specjaliści od architektury krajobrazu. Trawa nie została jeszcze posiana, ale tego wieczoru ziemię okrywał gruby dywan sztucznej murawy, na której ustawiono rzędami drewniane donice z palmami. Naraz zatrzymał się.

-Co jest, Pellam?

-Wracaj do ośrodka, Ismailu. Muszę się tutaj z kimś spotkać.

-Nie chce mi się - jęknął mały. - Zostanę z tobą, stary.

-Nie ma mowy. Czas kłaść się do łóżka.

-Cholera, Pellam!



-Nie wyrażaj się. A teraz zmiataj.

Okragłą twarzą chłopca wykrzywił brzydki grymas. - No dobra... Siema, koleś. Przybili piątkę i mały poczłapał wolno przed siebie, kierując się na wschód. Za duże na niego buty kłapały głośno, gdy włókł się niechętnie w stronę głównej ulicy. Obejrzał się jeszcze i pomachał mu na pożegnanie.

Pellam prześliznął się przez dziurę w ogrodzeniu i przeszedł kilka kroków po gąbczastej sztucznej trawie.

Co to ma być?

Przyjrzał się bliżej temu, co zwróciło wcześniej jego uwagę. Robotnicy przymocowali donice z palmami do klamek bocznych drzwi, okręcając je w tym celu grubą liną. Pellam podejrzewał, że chodziło o to, aby okoliczni mieszkańcy nie przywłaszczyli sobie egzotycznych roślin.

Efekt był jednak taki, że wszystkie wyjścia awaryjne zostały zablokowane.

I to wyjątkowo skutecznie, przy użyciu wielu metrów grubej liny. Spośród dwudziestu wyjść awaryjnych tylko jedno nie było w ten sposób zamknięte. Zza lekko uchylonych drzwi dobiegały stłumione brawa, śmiech i głucho dudnienie instrumentów basowych. Pellam podszedł bliżej i zajrzał do środka.

Drzwi nie prowadziły bezpośrednio do samego audytorium, ale na wewnętrzne schody ewakuacyjne, wiodące, jak się domyślił, do głównej sali oraz do teatralnych łóż i balkonów. Jeśli nie liczyć płonących upiornym blaskiem oznaczeń wyjść ewakuacyjnych, cały korytarz tonął w ciemnościach. Wewnętrzne drzwi zablokowano w pozycji otwartej i Pellam widział przez nie fragment rzędu foteli obitych czerwonym aksamitem, ściany oraz rdzawoczerwony dywan.

Jego uwagę zwróciło coś na ścianie korytarza. Podszedł bliżej. Zobaczył pogniecioną kartkę papieru - plan zachodniego Manhattanu, który wydał mu się dziwnie znajomy. Po chwili zrozumiał, dlaczego. Wyglądał dokładnie tak samo, jak ten znaleziony po pożarze w kancelarii Louisa Baileya. Plan, na którym Sonny pozaznaczał miejsca wszystkich swoich podpaleń.

Tyle że na tym planie ostatnim celem piromana nie było centrum konferencyjne Javitsa, tylko właśnie McKennah Tower.

Poczuł nagle pieczenie pod powiekami; w nozdrza uderzyła go gryząca woń chemicznych oparów. Taka sama, jak zapach środka czyszczącego przed kilkoma dniami w biurze Bailey'a. Pellam pamiętał, że poczuł go ułamek sekundy przed eksplozją żarówki.

Oczywiście koniec końców okazało się, że nie był to żaden środek czyszczący, tylko domowej roboty napalm. A w tej chwili miał przed sobą źródło nieprzyjemnej woni: cztery metalowe beczki tego świństwa. Stały równym rzędem pod ścianą, a ich wieka były odkryte.

Za jego plecami rozległ się jakiś dźwięk.

Pellam odwrócił się gwałtownie.

Młody blondyn przyglądał mu się ciekawie, przechylając lekko głowę w bok. Na jego wargach igrał uśmiech szaleńca, a w oczach tańczyły świetlne refleksy iluminacji wieżowca.

-Nocny kowboj - wyszeptał mężczyzna. - Pellam, Pellam... A ja jestem Sonny. Jak to miło, że w końcu się spotykamy.

Colt opuścił swoje schronienie za paskiem Pellama, a kurek był już na wpół odciągnięty, gdy Sonny zamachnął się nagle długim kluczem francuskim, trafiając dokładnie w przedramię Pellama. Kość pękła z suchym trzaskiem, a uderzenie było tak mocne, że z rozciętej skóry trysnęła krew. Pellam poczuł, że oczy uciekają mu na tył głowy. Wpadł w ciemny tunel i chwytając powietrze ustami jak ryba, uderzył głową o krawędź metalowej beczki. Ta zadźwięczała głucho, jak dzwon w mglisty dzień.

Sonny odłożył klucz na ziemię i wsunął broń Pellama za pasek swoich spodni. Następnie wyjął z kieszeni kajdanki. I zapalniczkę.

## 30

Pierwsza myśl Pellama brzmiała: nic nie czuję. Dlaczego nic mnie nie boli? Złamana. Moja ręka jest złamana...

Z rozcięcia na jego przedramieniu buchała krew.

Sonny, z kropką krwi Pellama na czole jak jakiś Hindus, pochylił się i szukał czegoś w kieszeni. Po chwili wydobył z niej srebrny kluczyk od kajdanek. Trzęsły mu się ręce, a cienkie pasma włosów falowały wokół jego głowy jak woda. Dlaczego nie czuję bólu? - zastanawiał się Pellam, nie mogąc oderwać wzroku od swojego strzaskanego przedramienia.

-Jeśli zastanawiasz się, kogo znaleźli w kancelarii prawnika - odezwał się rzeczowym tonem szaleniec - to wiedz, że był to twój dobry znajomy. Alex, ten cholerny kapuś. Przywiozłem go od siebie w beczce. Musiał się zgiąć we dwoje. Założę się, że nie była to dla niego zbyt przyjemna podróż. Potem zostawiłem go, żeby się trochę poopalał pod lampą. Musiałem się was w końcu pozbyć. Przekłęci kowboje.

Kluczykiem otworzył jedną z obręczy kajdanek.

-To będzie moje ostatnie dzieło. - Skinął głową w stronę audytorium. - A my dwaj mamy miejsca w pierwszym rzędzie. - Chwycił Pellama za kołnierz i silnym szarpnięciem zmusił do wstania z podłogi. - Umrzemy razem, kowboju, ty pieprzony Antychryście... Ty, ja i jakieś pięć tysięcy innych dobrych ludzi. Kopnięciem przewrócił jedną z beczek; spieniony płyn popłynął korytarzem w kierunku audytorium, wdzierając się na salę. To samo stało się z drugą beczką.

-To mój magiczny sok - dodał rzeczowo Sonny. - Sam go wymyśliłem. Widzisz, sama benzyna by nie wystarczyła. Benzyna jest do dupy. Niska temperatura zapłonu, duży wybuch, chłodny płomień - raz, dwa i jest po sprawie. Znałem kiedyś takiego jednego gościa... Sonny zaczął manipulować kluczykiem przy zamku drugiej obręczy kajdanek. Ręce trzęsły mu się coraz bardziej. Na chwilę znieruchomiał i wziął głęboki oddech. Ostry chemiczny zapach, który przyprawiał Pellama o mdłości, najwyraźniej go uspokajał. Ponownie pochylił się nad kajdankami i podjął przerwany wątek: - Zawsze używał benzyny.

Myślał, że jest taaaki wspaniaaały. Pewnego razu miał robotę na drugim piętrze starej czynszówki. Wtaszczył na górę dwa dwudziestolitrowe kanistry, polał wszystko jak się patrzy i stłukł żarówkę, żeby facet wyleciał w powietrze, jak wróci do chałupy i zapali światło. A potem zaczął przetrząsać szuflady, pewnie szukał biżuterii czy czegoś w tym stylu. Nie wiedział tylko, że opary benzyny są cięższe niż powietrze i kiedy on buszował na górze, opary dostały się do piwnicy, gdzie był... Domyślasz się już? Bingo! Płomyk dyżurny w podgrzewaczu wody. Chyba później znaleźli kawałek jego kości.

Pellam zakrztusił się. Kiedy Sonny perorował, setki litrów płynu zapalającego wpływały do budynku. Pellam przypomniał sobie opowieść Lomaxa o pożarze w świetlicy „Happy Land”. Tam wystarczyły niecałe cztery litry, żeby zmienić budynek w istne piekło.

-No, jazda, kowboju. - Sonny dotknął zgruchotanego ramienia Pellama. Złamana kość poruszyła się i przeszywający ból popłynął wreszcie niczym nie powstrzymywaną falą przez ramię i kark aż do żuchwy Pellama. Jego lewa pięść odruchowo wykonała zamach, trafiając Sonny'ego w podbródek.

Uderzenie nie było zbyt mocne, ale zaskoczyło tamtego na tyle, że musiał się cofnąć.

-Ty gnoju! - Sonny pchnął Pellama na ścianę.

Ten upadł na kolana, zdrową ręką nabrał w dłoń napalmu i cisnął nim w twarz napastnika. Płyn ominął oczy, ale rozprysnął się na ustach i nosie mężczyzny, który zatoczył się do tyłu i krzyknął z bólu. Jednocześnie upuścił zapalniczkę, którą Pellam natychmiast pochwycił. Już miał rzucić się na Sonny'ego, gdy zauważył, że tamten rozpaczliwym gestem wyciąga zza pasa jego colta.

-Dlaczego to zrobiłeś? - wrzasnął. W jego głosie brzmiało niedowierzanie. Policzek błyskawicznie zrobił mu się jaskrawoczerwony, wargi spuchły, ale oczy patrzyły przytomnie, choć tliło się w nich szaleństwo. Podniósł rewolwer i pociągnął za spust.

Pellam odwrócił się i zataczając, wypadł przez drzwi.

Sonny nie zdawał sobie sprawy, że rewolwer Pellama wyposażony jest w mechanizm spustowy bez samonapinania - żeby oddać strzał, trzeba było najpierw odciągnąć zamek. Kiedy on mocował się z bronią, Pellam wykorzystał okazję, żeby wydostać się na zewnątrz i

zacząć wzywać pomocy.

Wydało mu się, że w oddali, przy następnej przecznicy, widzi niewyraźną postać, która patrzy w jego stronę. Ale nie mógł być tego pewien. Spróbował zamachać zdrową ręką i natychmiast poczuł, jak w drugim ramieniu przesuwają się końce złamanej kości. Niewiele brakowało, żeby zemdłał. Krzyknął jeszcze raz, ale ból tak go oślepił, że nie potrafił stwierdzić, czy ów człowiek - o ile w ogóle ktoś tam był - usłyszał go albo zauważył.

Tymczasem Sonny wypluł chemikalia z ust i podążył jego tropem. Odwracając się, Pellam dostrzegł błysk śmiertelnie bladej twarzy, błękitne szparki oczu i białą dłoń dzierżącą czarny rewolwer. Jasne włosy tańczyły wokół głowy na podobieństwo płomieni.

Cholera, co za ból. Przytrzymując złamaną rękę, Pellam wybiegł na środek jezdni.

W ciemnościach błysnęły światła nadjeżdżającego samochodu. Auto zbliżyło się i zahamowało. Kierowca udał, że go nie widzi, i przyspieszył, wbijając w szybę wzrok z zaaferowaną miną kogoś i tak już mocno spóźnionego na prośzone przyjęcie.

Pellam powlókł się w kierunku Tower, usiłując znaleźć się jak najdalej od teatru.

Raz za razem przeszywał go ostry ból. Pot lał się z niego strumieniami, a każdy krok potęgował agonię. Chciał przystanąć, choćby na chwilę, żeby złapać oddech.

Nie zatrzymuj się. Idź przed siebie.

Obejrzał się. Sonny też się zataczał, ale był coraz bliżej. Pellam domyślił się, że zrozumiał już działanie rewolweru. Za jakąś minutę znajdzie się na tyle blisko, żeby strzelić. Rzucił się biegierfi w uliczkę prowadzącą na tyły wieżowca, omijając w pędzie błyszczące w mroku kawałki folii aluminiowej, butelki, strzykawki i fiolki po cracku. Jedna z nich rozprysła się nagle, a odłamki szkła wbiły w czarny asfalt.

Usłyszał za sobą tupot nóg tamtego.

Suchy trzask.

Kula roztrzaskała szybę w oknie opuszczonej kamienic - Kolejny strzał.

Może ktoś to usłyszy i wezwie policję.

Ale nie - oczywiście, że nie. Kto w tej okolicy zawrą całby sobie

głowę odgłosami strzelaniny? Każdej nocy w Hell's Kitchen towarzyszył identyczny podkład dźwiękowy. Lepiej było udawać, że nic się nie dzieje.

Idź przed siebie i patrz w ziemię, powtarzali sobie w duchu mieszkańcy. Odsuń się od okna. Wracaj do łóżka, skarbie... Tutaj rządzi biały człowiek...

## 31

Zataczając się jak pijany, Pellam wybiegł z uliczki i skręcił w Trzydziestą Piątą. Znajdował się teraz w odległości jednej przecznicy od teatru i odbywającej się w nim uroczystości, a okolica wyglądała na jeszcze bardziej wymarłą niż ta przy Trzydziestej Szóstej.

Jedyny ruch, jaki można tu było dostrzec, to ćmy miotające się w świetle ulicznych latarni i znajdujące śmierć na ich grubym szkłe.

W tym miejscu dźwięki rockowej muzyki były już ledwo słyszalne. Przynajmniej udało mi się odciągnąć Sonny'ego od ludzi w audytorium, pomyślał Pellam. Miał nadzieję, że goście wyczują podejrzaną woń i opuszczą budynek.

Przekrzywił głowę i ze zdumieniem stwierdził, że kłęczy na samym środku jezdni. Zerknął przez ramię i zobaczył wyraźnie Sonny'ego, którego usta były krwistoczerwone i obrzmiałe po oparzeniu domowej roboty napalmem. Mężczyzna z każdą chwilą był coraz bliżej. Z jego nadgarstka zwisały kajdanki. Pellam zebrał się w sobie, wstał i pobiegł dalej przed siebie ulicą, która podobnie jak kamienice o pozabijanych deskami oknach, plac budowy i przyległe doń boczne uliczki również tonęła w mroku. Dotarł do ogrodzenia otaczającego podstawę Tower i prześliznął się przez szczelinę w bramie z metalowej siatki.

Tutaj, na placu budowy, będzie wreszcie bezpieczny. Wokół panowały nieprzeniknione ciemności. Sonny nigdy go nie odnajdzie w tym zbiorowisku baraków, stert bali i desek, sprzęzarek, różnego rodzaju sprzętu budowlanego oraz rusztowań udekorowanych czerwonymi, białymi i niebieskimi chorągiewkami. Było tu mnóstwo zacienionych miejsc, gdzie mógł się ukryć. Mnóstwo pojazdów, pod którymi mógł się schować.

Miejsc, gdzie będzie mógł się wreszcie zatrzymać, położyć i zapomnieć o koszmarzym bólu.

Z trudem dowlókł się do niewielkiego metalowego baraku i wczołgał w mroczną niszę pod spodem. Sonny zbliżał się. Brzęknęło ogrodzenie z metalowej siatki. Czyżby napastnik tylko sprawdził bramę i poszedł dalej? A może jednak wszedł na plac? Nie, jednak wśliznął się do środka. Pellam wyraźnie słyszał jego kroki.

Przeszedł bardzo blisko jego kryjówki.

-Halo, kowboju... Dlaczego przede mną uciekasz? - Sonny sprawiał wrażenie szczerze zaskoczonego. - Przecież mamy dziś razem umrzeć. - Brzęk kajdanek. - Ty i ja.

Pellam otworzył oczy i zobaczył nogi w podartych białych tenisówkach kroczące ostrożnie po żwirze i ziemi. Jeden z butów był rozwiązany, a poszarzałe sznurówki utyłane w błocie. Przed oczyma stanął mu Hector Ramirez i jego kradzione buty do koszykówki.

Żwir chrzęścił pod stopami Sonny'ego.

Pellam doznał objawienia. Krew. Ten świr podąża śladem krwi do mojej kryjówki. W takim razie dlaczego mnie jeszcze nie znalazł? Domyślił się, że w ciemnościach niełatwo jest wypatrzeć na ziemi ciemniejsze plamy.

Zgrzyt metalu o metal.

Głuchy rezonujący dźwięk, jakby ktoś uderzał w dzwon czy metalową beczkę.

A po chwili syk rozlewającej się po ziemi substancji. Mocniej przycisnął do siebie złamaną rękę. Co ten Sonny wyprawia?

Po kilku minutach ten sam odgłos wylewanego płynu. I jeszcze raz.

Chwila ciszy, po której gdzieś bardzo blisko niego rozległ się strzał. Pellam aż podskoczył. Potężny błysk uświadomił mu, że Sonny otworzył baryłki z benzyną czy olejem napędowym, które musiały znajdować się na placu budowy, a następnie podpalił je, strzelając z jego rewolweru.

Miejsca, gdzie dotąd panowały egipskie ciemności, zalała oślepiająca jasność.

-Och, Pellam...

W przerażającym, żółtym świetle ognia jak na dłoni widać było ślady krwi, prowadzące wprost do kryjówki Pellama. Mimo to postanowił nigdzie się nie ruszać. Nigdy w życiu nie zdołał przed nim uciec, pomyślał. Na tle ściany ognia widział Sonny'ego, który miotał się wściekle, przeszukując odległy kraniec placu niedaleko wciąż nie odpakowanej figury.

Z każdą chwilą Pellam czuł coraz większy żar. Płonące paliwo rozlewało się po rusztowaniach i stertach drewna, które natychmiast



się zajmowały. Ułamek sekundy i dwa, nie, trzy drewniane baraki stanęły w ogniu. Potem jeszcze jeden. Pożar dotarł do zaparkowanej na placu ciężarówce, której opony eksplodowały i stopiły się, wzniecając morze pomarańczowych płomieni i kłęby czarnego dymu. Drewniane deski pękały z suchym trzaskiem przypominającym odgłos wystrzału. Nagle całym placem wstrząsnęła seria eksplozji; zbiorniki z paliwem - benzyną i propanem - pękły, z sykiem wyrzucając swoją płonąącą zawartość prosto w nocne niebo.

Niemal natychmiast cały plac budowy długości kilkuset metrów zmienił się w rozszalałe morze ognia. Płonęły kolejne ciężarówce. Drewniane baraki, sterty desek i ciemnych, eleganckich paneli - które być może miały trafić do luksusowego apartamentu McKennaha na ostatnim piętrze budynku - trzeszczały w piekielnym żarze. Na jego oczach z drewna w sposób samoistny strzelały płomienie, a wściekłe, gorące podmuchy wiatru przenosiły ogień dalej, między innymi na palety oparte o barak, pod którym się schronił. Pellam wcisnął się głęboko w kąt, jak najdalej od szalejącej pożogi.

Huk ognia brzmiał zupełnie jak hałas nadjeżdżającego metra.

W tym samym momencie, gdy pożar zdążył się już rozprzestrzenić na cały plac budowy i nie było miejsca, skąd nie strzelałyby w górę pomarańczowe płomienie, iskry padły na czerwono-biało-niebieską dekorację w kształcie półksiężyca. W przeciwieństwie do wszystkiego, co znajdowało się na dole, materiał palił się powoli, a rozgrzane powietrze unosiło go coraz wyżej i wyżej.

I to właśnie ten element patriotycznego wystroju, a nie dziesiątki litrów płonącej benzyny czy sterty trawionych ogniem desek, przypieczętował los McKennah Tower.

Płonący skrawek materiału osiadł na stercie tekturowych kartonów złożonych w otwartym atrium wieżowca. Pudła zaczęły się żarzyć, by po chwili buchnąć jasnym płomieniem. Po kilku minutach ogień był już w głównym holu i przeskakiwał z jednego biura do drugiego, trawiąc artystyczne koncepcje projektantów wewnątrz, wysokie palmy, których widok tak bardzo zdumiał Ettie Washington, gdy patrzyła, jak je dostarczano, rulony linoleum i tapet, wiadra z farbą... Eksplodowały kolejne zbiorniki propanu na wózkach widłowych i różnego rodzaju podnośnikach; kawałki metalu niczym szrapnele przelatywały ze

świsłem przez hol, roztrzaskując w drobny mak olbrzymie szyby okienne.

Płomienie były teraz wszędzie.

Otulający tajemniczą rzeźbę papier spalił się do cna, ale Pellam, który biegł teraz chwiejnie w kierunku głównej bramy, wciąż nie mógł się zorientować, co właściwie przedstawiała.

W końcu nie mógł już dłużej zwlekać. Ogień był już zbyt blisko, temperatura powietrza gwałtownie rosła. Wymknął się ze swej kryjówki w tym samym momencie, gdy okno baraku pękło z cichym trzaskiem, strzelając wokół odłamkami rozpalonego szkła.

Pozostała mu tylko jedna droga ucieczki - ta sama, dzięki której się tu dostał, przez szparę w bramie z metalowej siatki. Sonny doskonale zdawał sobie z tego sprawę, ale Pellam nie miał innego wyjścia. Atrium i plac przed budynkiem stały w ogniu.

Gdy potykając się, wyszedł z ukrycia i ruszył chwiejnym krokiem w kierunku ogrodzenia, zauważył czerwonawą łunę w oknach pierwszego piętra Tower, po chwili drugiego, potem piątego czy szóstego i wyżej, wyżej... Pożoga rozprzestrzeniała się błyskawicznie szybami wentylacyjnymi budynku.

Ogromne zespolone szyby pękały od ognia, sypiąc odłamkami szkła i gradem czarnego, stopionego plastiku.

Ostatkiem sił Pellam dobrnął do bramy. Sonny'ego wciąż nie było nigdzie widać.

„Serce przemienia się w kamień...”

Zdołał jakoś precyzyjnie się przez szczelinę w bramie, ale jedno ze skrzydeł wysliznęło mu się i sprężynując, uderzyło prosto w jego strzaskane przedramię. Na chwilę zupełnie stracił przytomność, a gdy ją odzyskał, okazało się, że klęczy, podpierając się zdrową ręką. Zaczepnął głęboko powietrza i poczołgał się jak najdalej od piekła na placu budowy, na sam środek Trzydziestej Piątej Ulicy. Z tyłu za nim wznosiła się w niebo ściana żółtych płomieni, strzelały pomarańczowe słupy ognia, syczały niebieskie języki. Okna eksplodowały z hukiem, waliły się ściany. Ciężkie buldożery, baraki i wywrotki poddawały się bez walki i umierały.

Nagle poczuł na ramieniu stalowy uchwyt czyjejs dłoni.

Wężowe palce Sonny'ego zacisnęły obręcz kajdanek wokół jego

zdrowego nadgarstka. Zanim się zorientował, mężczyzna włókł go za sobą z powrotem na plac budowy.

-Szybciej, szybciej! - krzyczał.

Pellam spodziewał się, że lada moment padnie strzał, a kula przesyje jego ciało, lecz Sonny cisnął colta na ziemię. Najwyraźniej miał inne plany, bo z determinacją parł w stronę wykopu znajdującego się obok jednego z barakowozów. Dół w ziemi całkowicie wypełniała płonąca benzyna. Sonny pociągnął Pellama w tym kierunku. Ten jednak potknął się, a upadając, mimowolnie wsparł się na swojej złamanej ręce. Znów na kilka sekund stracił przytomność, a kiedy otworzył oczy, okazało się, że Sonny jakimś nadludzkim wysiłkiem zdołał zatańczyć go aż na krawędź wykopu.

-Czy to nie piękne? Czy to nie wspaniałe? - wołał, wpatrując się w tańczące w dole płomienie i dym kłębiący mu się u stóp.

Pochylił się - iw tej samej chwili Pellam z całej siły wymierzył mu kopniaka. Sonny pośliznął się i zsunął z krawędzi wykopu, zanurzając się po pas w płonącym paliwie. Natychmiast zaczął krzyczeć i miotać się jak oszalały, a w swoich konwulsjach coraz bardziej wciągał Pellama za sobą w ogień.

Oślepiiony dymem i przypalany strzelającymi w górę językami ognia Pellam nie miał jak się bronić. Czuł, że każda sekunda przybliża go do upadku w piekielną czeluść. W uszach słyszał głos Ettie:

Czasami razem z moją siostrą Elizabeth chodziłyśmy na Jedenastą Ałeję popatrzeć, jak prowadzą owce na rzeź do ubojni przy Czterdziestej Drugiej. W każdym stadzie zawsze trafia się jedna owca-zdrajca. Wiedziałaś o tym? I to ona prowadzi inne na śmierć. Próbowaliśmy przestraszyć takiego Judasza krzykiem i rzucaliśmy kamieniami, żeby zboczył z drogi, ale nigdy nam się to nie udawało. Te owce naprawdę znały się na rzeczy.

Nagle wśród ogłuszającego ryku ognia rozległo się czyjeś wołanie.

-Pellam, Pellam, Pellam... - W wysokim głosie brzmiała panika.

W kłębach dymu zamajaczył jakiś cień. Ludzka postać otulona dymem jak ciężkim, czarnym płaszczem. Pellam upadł na ziemię. Miotane drgawkami ciało Sonny'ego ciągnęło go za sobą w otchłań.

Pellam zmrużył oczy, usiłując przeniknąć spojrzeniem gęsty dym.

Przy ogrodzeniu stał Ismail; po jego policzkach płynęły łzy.

- Tutaj! Jest tutaj! - Chłopak machał rozpaczliwie, pokazując komuś miejsce, gdzie leżał Pellam.

Obok niego wyrósł kolejny cień. Obie postacie przecisnęły się przez szparę w bramie.

-Uciekajcie! - krzyknął Pellam.

-O słodki Jezu - jęknął Hector Ramirez i chwycił przegub Pellama, w ostatniej chwili ratując go przed osunięciem się w morze ognia.

Szybkim ruchem wyciągnął zza paska pistolet i przyciskając lufę do łańcuszka łączącego obręcz kajdanek, wystrzelił pięć czy sześć razy.

Pellam już tego nie słyszał. Nie słyszał też wściekłego wycia płomieni ani okrzyków Ramireza, gdy ten odciągał go jak najdalej od śmiertelnej pułapki. Jedynym dźwiękiem, jaki rozbrzmiewał mu w uszach, był głos Ismaila powtarzającego w kółko: - Wszystko będzie dobrze, będzie dobrze, będzie dobrze...

## 32

Ostatecznie role się odwróciły.

Tym razem to Ettie Washington odwiedziła Pellama w szpitalu. Jednak w przeciwieństwie do niego miała na tyle wyobraźni, żeby przynieść ze sobą prezent. Ale nie kwiaty czy słodczyce, tylko coś o wiele bardziej pożądanego. Teraz zaś rozlała przemycone wino do dwóch plastikowych kubków i podała jeden Pellamowi.

-Twoje zdrowie - powiedziała.

-I twoje.

Jednym haustem opróżnił kubek. Ettie, jak zawsze wtedy, gdy spoglądał na nią przez wizjer swojej kamery, z godnością wysączyła zawartość swojego. Była ucieleśnieniem oszczędnej gospodyni, którą to cechę, jak sobie przypominał, wpoila jej za młodu babka Ledbetter.

Jednoosobowa sala, gdzie obecnie leżał, znajdowała się dokładnie pod tą, gdzie aresztowano Ettie, i powyżej tej, gdzie zmarł mały Juan Torres. Pellam zastanawiał się, gdzie jest teraz ciało Sonny'ego. Szpitalna kostnica prawdopodobnie mieściła się w piwnicy. A może przewieźli go do miejskiej? Tak czy inaczej jedyne, co go jeszcze czekało, to rutynowa sekcja zwłok, a potem ostatnia droga na miejski cmentarz dla przestępców i biedaków.

-Wszyscy pytają mnie, co się właściwie stało, John. Pytają, bo wiedzą, że się przyjaźnimy. Policja, inspektor, no i oczywiście dziennikarze. Wszyscy chcą wiedzieć, jak ci się udało uciec z rąk tego szaleńca. Podejrzewają, że wiesz, tylko nie chcesz nic powiedzieć.

-To był cud - odparł sucho Pellam.

Nie miał zamiaru komplikować życia swoim dwóm nieoczekiwanym wybawcom, rozповідаjąc na prawo i lewo o tym, jak to Ismail, zamiast wrócić na noc do ośrodka, tak jak mu Pellam przykazał, kręcił się w pobliżu wieżowca w nadziei spędzenia z nim dodatkowego czasu, dzięki czemu stał się przypadkowym świadkiem napaści Sonny'ego na Pellama i pobiegł w te pędy, aby wezwać na odsiecz Hectora Ramireza.

-Nie chcesz, to nie mów. Niech to będzie twoja słodka tajemnica - powiedziała Ettie, cytując ulubione powiedzenie swojego dziadka. -Ale

ten inspektor od pożarów powiedział coś jeszcze, coś, czego do końca nie rozumiałam. Kazał ci powtórzyć, że powinieneś wynieść się z miasta, zanim zaczną cię nazywać „pan Pechowiec”... To co teraz zamierzasz, John? Rzeczywiście stąd wyjedziesz?

-A skąd. Mamy przecież film do nakręcenia.

-Tamten chłopak wpadł cię odwiedzić, kiedy spałeś...

-Ismail?

Ettie skinęła głową.

- Ale już sobie poszedł. Jak na takiego młodzika, to ma naprawdę niewyparzoną gębę. Z miejsca go usadziłam. Musi wiedzieć, że nie wolno się tak zwracać do starszych... Powiedział, że jeszcze tu wróci.

Pellam nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości.

Będę twoim kumplem...

A ja twoim, Ismailu.

Długi to piękna rzecz - pozostają nawet, gdy już dawno je splącisz.

Ettie przyniosła mu też najnowsze wydanie „The Post” z

ogromnym nagłówkiem „Wieżowiec w ogniu” i zamieszczonym obok równie wielkim zdjęciem płomieni trawiących McKennah Tower.

Nie było żadnych ofiar śmiertelnych. Tylko pięćdziesiąt osiem osób ucierpiało, a i to głównie z powodu zaczadzenia. Rozlany w teatrze napalm nie zajął się i jedyne obrażenia, do jakich doszło, miały związek z tym, że uciekający goście tratowali się nawzajem w panice. Najpoważniejszym przypadkiem było złamanie nogi u kobiety odepchniętej przez ochroniarzy torujących drogę dygnitarzowi, który powinien mieć rzecz jasna pierwszeństwo nad zwykłymi śmiertelnikami (jak się potem okazało, był to gubernator we własnej osobie, co kosztowało Pellama piąta, którego był zmuszony wypłacić Louisowi Baileyowi, królowi smarowania i wtykania kija w szprychy).

Wieżowiec przestał istnieć. Spłonął do samych fundamentów. Oczywiście był ubezpieczony, ale polisa pokrywała jedynie koszt samego budynku, a nie utracone profity. Pozbawiony wpływów z czynszu płaconego przez agencję reklamową deweloper nie był w stanie spłacać choćby jednej czwartej odsetek od pozaciąganych na całym świecie kredytów. McKennah i jego spółki byli właśnie w trakcie składania wniosków o ogłoszenie upadłości.

Krótką notkę w gazecie zatytułowaną była: „Witaj w klubie, Rog!”  
Co ciekawe, wszystkie zdjęcia przedstawiały opanowanego biznesmena, całkowicie obojętnego wobec perspektywy utraty kilku miliardów dolarów. Na jednej z fotografii widać było, jak wchodzi luźnym krokiem do kancelarii swoich prawników w towarzystwie młodej, atrakcyjnej kobiety podpisanej jedynie jako osobista asystentka. Jego wzrok był utkwiony w jej biuście, jej - w obiektywie aparatu.

Na krótką chwilę szpitalna sala pociemniała i najeżyła się niewidzialnymi ostrzami. Pellam wsunął do ust tabletkę niezastąpionego demerolu i popił winem.

Kiedy ponownie spojrzął na Ettie, zaskoczyła go jej surowa mina. Nie miało to jednak nic wspólnego z faktem mieszania leków z alkoholem. Ettie odezwała się poważnie: - John, tyle dla mnie zrobiłeś. I o mały włos nie zginąłeś. Powinieneś być od razu stąd wyjechać. Nic mi nie jesteś winien.

Powiedzieć jej czy nie? Przez ostatnich kilka miesięcy Pellam ciągle się nad tym zastanawiał. Dziesiątki razy przymierzał się, żeby to wreszcie zrobić. Teraz w końcu się odważył.

- Mylisz się, Ettie - powiedział.

-Dziwnie wyglądasz, John. O czym ty mówisz?

-Bardzo wiele ci zawdzięczam.

-Wcale nie.

-Nie jest to tak naprawdę mój dług, tylko mojego ojca.

-Twojego ojca? Nawet go nie znam.

-Znałaś. Byłaś nawet jego żoną.

Po chwili milczenia Ettie wyszeptała:

- Billy Doyle?

-Był moim biologicznym ojcem - przytaknął Pellam.

Ettie siedziała jak skamieniała. Był to chyba pierwszy raz, odkąd się poznali, kiedy nie potrafił dostrzec na jej twarzy choćby cienia emocji.

-Ale... jak to możliwe? - zapytała wreszcie.

Pellam powtórzył jej wszystko, co już raz opowiedział Ramirezowi: o nieoczekiwanym wyznaniu matki, o jej mężu, którego ciągle nie było w domu, kochanku i okolicznościach swojego poczęcia.

Ettie pokiwała głową.

- Billy mówił mi, że miał wcześniej dziewczynę gdzieś na północy stanu. Ale że to była twoja matka... Nie do wiary, po prostu nie do wiary. - W ułamku sekundy wróciły wspomnienia; jej pamięć jak zwykle działała bez zarzutu. - Powiedział, że ją kochał, ale ona nie chciała odejść od męża. Więc to Billy ją zostawił i osiadł tutaj, w Hell's Kitchen.

-Podobno kiedyś dostała od niego list - dodał Pellam. - Na kopercie nie było zwrotnego adresu, tylko stempel z poczty przy Ósmej Alei. Dlatego tu przyjechałem - żeby go odnaleźć. A przynajmniej czegoś się o nim dowiedzieć. Nie byłem pewien, czy w ogóle chcę się z nim spotkać. Poszperałem w miejskich archiwach i znalazłem jego podanie o pozwolenie na ślub.

-Ze mną?

-Z tobą. A także wasz akt ślubu. Był tam adres starej kamienicy przy Trzydziestej Szóstej.

-Oczywiście - tej, w której zamieszkaliśmy zaraz po ślubie. Wyburzono ją parę lat temu.

-Wiem. Popytałem trochę w okolicy i odkryłem, że Billy dawno temu wyjechał z miasta, a ty przeprowadziłaś się w górę ulicy. Pod numer 458.

-I zapukałeś do moich drzwi. Z tą swoją kamerą. Dlaczego nic mi wtedy nie powiedziałaś, John?

-Zamierzałem to zrobić. Ale potem dowiedziałem się, że Billy cię porzucił, i doszedłem do wniosku, że ostatecznie, na co miałabyś ochotę, to pogawędki z jego nieślubnym synem.

Ettie zmrużyła oczy i przyjrzała mu się uważnie. - To dlatego tak bardzo przypominasz mi Jamesa.

Kiedy przed miesiącem Ettie opowiedziała mu o swoim synu, Pellam uświadomił sobie, że trochę to potrwa, zanim zdoła przyzwycząić się do myśli, że nie jest już jedynakiem. Miał rodzeństwo, przyrodniego brata.

Ettie ścisnęła lekko jego ramię. - Ach, ten Billy Doyle... Popatrz no tylko, mój mąż i twój ojciec. Kim w takim razie jesteśmy, John, ty i ja?

-Sierotami? - podsunął Pellam.

-Nigdy nie należałam do tych, co uganiają się za mężczyzną.



Kiedy mnie zostawił, do głowy by mi nawet nie przyszło, żeby za nim jechać. Nigdy go nie szukałam. Co nie znaczy, że nie jestem ciekawa.

-Uśmiechnęła się nieśmiało. - Masz jakiś pomysł na to, dokąd mógł zawędrować?

Pellam pokręcił głową. - Niestety. Przeszukałem wszystkie rejestry w okolicy. I nic, ani śladu.

-Wspominał mi kiedyś o powrocie do Irlandii. Kto wie, może w końcu to zrobił? - I zaraz dodała: - W dzielnicy wciąż żyje paru jego znajomych. Widuję ich czasami, jak wysiadują w knajpach. Moglibyśmy z nimi porozmawiać, jeśli miałbyś ochotę. Może mieli od niego jakieś wiadomości?

Musiał się nad tym zastanowić. Na razie nie potrafił podjąć decyzji. Spojrzał za okno, gdzie szare, brązowe i płowóżółte kamienice czynszowe sąsiadowały z zamienionymi na nielegalne noclegownie magazynami, połyskującymi wieżowcami i poczerniałymi szkieletami rozbieranych właśnie budynków.

Na zachód od Ósmej...

Dotarło do niego, że Hell's Kitchen pod wieloma względami kojarzy mu się z poszukiwaniami Billy'ego Doyle'a - z porażką pozbawioną smaku rozczarowania i nie całkiem szczerą nadzieją.

Do szpitalnej sali wtargnęła nagle biała zjawia pielęgniarki z Południa, która tydzień wcześniej zajmowała się Ettie, i oznajmiła, że staruszka powinna już sobie pójść.

-Marnie biedaczek wygląda - powiedziała z ochryłym teksańskim akcentem. Pellamowi zdawało się, że dostrzega piegi, ale ostrość jego wzroku wciąż pozostawiała wiele do życzenia. Pielęgniarka dodała: - Skarbie, nie miałbyś przypadkiem ochoty trochę teraz odpocząć?

-Chyba nie - odparł Pellam. A może tylko tak mu się wydawało. Zamknął oczy. Kubek wysunął mu się z ręki. Poczuł, że ktoś mu go odbiera, otoczył go obłok kwiatowych perfum i po chwili już spał.